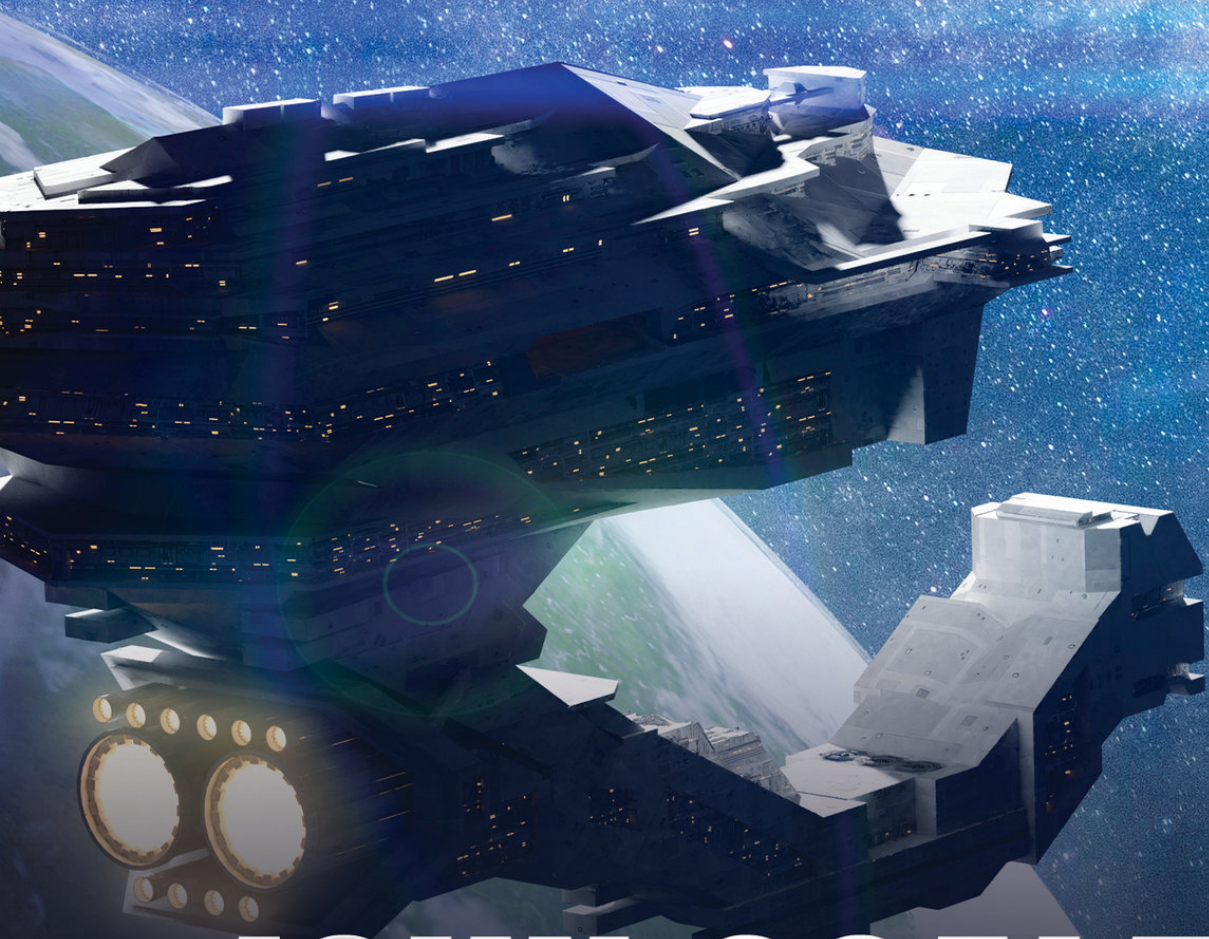


IMPERIUM W PŁOMIENIACH



JOHN SCALZI



JOHN SCALZI

**IMPERIUM
W PŁOMIENIACH**

TŁUMACZENIE

PAWEŁ GRYSZTAR

OŚWIĘCIM 2020

Tytuł oryginału
The Consuming Fire
Copyright © 2018 by John Scalzi
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Michał Swędrowski
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-345-3

SPIS TREŚCI

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Książka ta stanowi fikcję literacką. Wszelkie postacie, organizacje i wydarzenia przedstawione na jej kartach są albo wytworami wyobraźni autora, albo zostały wykorzystane jako fikcja.

Dla Meg Frank i Jesi Lipp

Wspólnota międzygwiazdowego imperium ludzkości znajduje się na krawędzi rozpadu. Nurt, pozawymiarowy tunel, który umożliwia podróże między systemami gwiazdowymi, zanika, sprawiając, że kolonie ludzi zostaną pozostawione same sobie. Znikający Nurt może sprawić, że zniknie również cała ludzkość... Chyba że zostaną podjęte naprawdę desperackie środki.

Imperoks Grayland II, przywódczyni Wspólnoty, jest gotowa zastosować te środki i tym samym zapewnić miliardom ludzi życie. Jednak nic nigdy nie jest takie proste. Przeciwno niej stają ci, którzy uważają rozpad Nurtu za mit. Albo za okazję, która da im szansę na zdobycie władzy.

Podczas gdy Grayland przygotowuje się na katastrofę, inni szykują się do wojny domowej, która zostanie stoczona w komnatach władców, na rynkach handlowych, ołtarzach kultu oraz pomiędzy okrętami kosmicznymi i na polach bitew. Imperoks oraz jej sojusznicy są sprytni i mają potężne zasoby, ale nie inaczej ma się sprawa z ich przeciwnikami.

W tym starciu o władzę zostanie wciągnięta cała ludzkość.

Prolog

Wiele lat później Lenson Ornill miał snuć refleksje nad ironią faktu, że dwa momenty stanowiące ramy okresu, kiedy był człowiekiem religijnym, wyznaczało jedno, konkretne stwierdzenie:

– Noż kurwa – powiedziała Gonre Ornill do swojego męża Tansa.

Znajdowali się na mostku statku kosmicznego *Nie ma na to naszej zgody*. Tans spojrział na żonę znad swojego stanowiska, gdzie uczył ich syna Lensona, lat jedenaście, kilku co bardziej subtelnych spraw dotyczących zarządzania energią całego statku.

– Co tam? – zapytał.

– Kojarzysz ten imperialny statek, który za nami nie leciał?

– Aha.

– Teraz już leci.

Lenson przyglądał się, jak ojciec uniósł brwi, ruchem ręki zwinął z ekranu swojego pulpitu panel zarządzania energią i wywołał ekran nawigacyjny. Znajdowały się na nim znaki reprezentujące cały ruch statków kosmicznych pomiędzy placówką Kumasi a płycizną Nurtu, która miała zabrać *Nie ma zgody* do Yogyakarta, czyli następnego punktu na ich trasie, gdzie powinni dotrzeć w ciągu pięciu tygodni. Większość statków stanowiły jednostki prywatne i handlowe, ale dwa były okrętami Floty Imperialnej. Jeden z nich, *Oliveer Bransid*, właśnie zmienił kurs i leciał tak, by przechwycić *Nie ma zgody* za jakieś sześć godzin, czyli tuż przed tym, jak mieli wlecieć w płyciznę.

– Myślałem, że popłaciliśmy wszystko, co trzeba – powiedział Tans do małżonki.

– Bo *popłaciliśmy* – odparła Gonre.

Tans wskazał na swój pulpit, jakby chciał powiedzieć: „No najwyraźniej nie”. Żona potrząsnęła głową.

– Zapłaciliśmy – powtórzyła.

– Jest nowy dowódca floty – odezwała się Genaro Partridge, oficer łączności. Była członkiem obsady mostka na *Nie ma zgody*. – Słyszałam, jak Samhir mówił o tym w mesie. Podobno ostrzegali go przed nim, kiedy ładowaliśmy towar.

– Teraz nam o tym mówisz?

– Przepraszam. Rozmawialiśmy w mesie. Myślałam, że Samhir wam wspomniał.

Gdy trzy minuty później zdyszany ochmistrz Samhir Ghan pojawił się na mostku, zapewnił:

– Miałem wam powiedzieć.

Patrząc, jak Ghan próbuje złapać oddech, Lenson wiedział, że jego ojciec ma reputację sympatycznego kapitana, dopóki ktoś nie sprawi, że sympatyczny być przestawał. Ghan był na dobrej drodze do tego, aby na tę chwilę wybić jego tacie sympatię z głowy.

– Przepraszam – dodał Ghan. – Byliśmy zajęci przy załadunku.

– Mów teraz – odparł Tans.

– Dowódca floty nazywa się Witt. Z której strony by nie patrzył, kawał z niego chciwego kutasa. Przenieśli go tutaj z Hubu, bo spał z małżonką niewłaściwego człowieka, i próbuje tam wrócić, robiąc tu „czystkę”. A to oznacza, że miesza w ustalonych praktykach, żeby pokazać, jaki to jest skuteczny.

Na te słowa Tans zmarszczył brwi. Lenson jako jedenastolatek niezbyt się orientował w szczegółach biznesu rodziców, ale wiedział dość, by rozumieć, że znaczna ich część opierała się na „dobrych relacjach” z różnymi ludźmi, miejscowymi i imperialnymi, którzy odpowiadali za egzekwowanie prawa w systemach gwiazdnych, gdzie latał *Nie ma zgody*. Wspomniane „ustalone praktyki”, o których dopiero niedawno dowiedział się Lenson, oznaczały dawanie pewnym ludziom pieniędzy oraz innych cennych rzeczy w sposób, który wedle powszechnego rozumienia nie był do końca legalny.

Lenson podchodził do tego absolutnie neutralnie. Był na tyle młody, aby wierzyć, że wszystko, co robią jego rodzice, jest bezapelacyjnie właściwe, i żeby nudziły go co bardziej skomplikowane szczegóły ich pracy. Tym razem jednak zanosilo się na to, że szczegóły go nie ominą.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytała Ghana Gonre.

– Cybel Takkat. Moja odpowiedniczka na *Fenomenalnym*.

Lenson wiedział, że Ghan mówi o statku *Co za fenomenalny widok*, z którym dzielili ładownię na stacji handlowej Kumasi. Małe statki, takie jak *Nie ma zgody* i *Fenomenalny*, często wspólnie wynajmowały na stacjach przestrzeń ładunkową, aby zaoszczędzić nieco grosza. Czasami w trakcie załadunku i wyładunku to i owo się w pośpiechu zapodziewało i trafiało na ten drugi statek. Jak Lenson teraz o tym myślał, zapewne to także wymagało kilku „ustalonych praktyk”.

– Wspomniała, że jej człowiek z tutejszej marynarki odmówił przyjęcia zwyczajowego smarowania – kontynuował Ghan. – Tłumaczył, że ludzie Witta zbyt uważnie mu się teraz przyglądają.

– Ta informacja mogła nam się przydać wcześniej – rzuciła Gonre.

– Przepraszam – powtórzył Ghan. – Chciałem wam powiedzieć. Pomyślałem, że po prostu Cybel mówi, że zabrali się za łapówkarstwo, no i że my musimy teraz bardziej

się pilnować. Nie sądziłem, że z tego powodu flota będzie nas ścigać aż do płycizny Nurtu.

Tans przeniósł wzrok na Partridge.

– Jakies wiadomości od tego okrętu wojennego?

– Nie. Nie przesyłają powitania. Po prostu posuwają się kursem przechwytyjącym.

– Nie mamy pełnej mocy – powiedziała Gonre do męża. – Możemy przyspieszyć i uciec.

Tans potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. – Tapnął na panelu, żeby oznaczyć *Bransida*. – To duży statek. Potężna masa. Wolniej przyspiesza, ale szybkość potrafi rozwinąć większą niż my. Jeśli teraz spróbujemy im uciec, złapią nas, zanim dotrzemy do płycizny.

– Jeśli nas złapią z tym ładunkiem, wszyscy mamy przejebane – zauważył Ghan, po czym zreflektował się, do kogo to mówi. – Eee, proszę pana.

Tans z roztargnieniem skinął głową, a jego palce zatańczyły po klawiaturze pulpitu. Lenson zobaczył, że ojciec dokonuje obliczeń dla *Nie ma zgody* i *Bransida*. Nie mógł nadążyć za nimi w szczegółach, ale usłyszał, jak Tans lekko odchrząknął z satysfakcją, po czym spojrzał na syna.

– Wiesz, co robię? – spytał.

– Nie – odparł Lenson.

– Zgaduj.

– Próbujesz uciec innemu statkowi.

– Tak – potwierdził Tans. – A wiesz jak? Już powiedziałem, że jeśli teraz przyspieszymy, oni nas złapią.

– Nie wiem – odpowiedział Lenson.

– Chodź tu, Len, pracuj ze mną.

Lenson myślał przez chwilę.

– Czekasz – rzucił wreszcie, mając nadzieję, że ojciec nie będzie dopytywał o więcej szczegółów, bo prawdę mówiąc, Lenson nie miał pojęcia, co się stanie potem.

– Tak. Jest taki punkt w czasie, że jeśli przyspieszymy po nim, włączając pełną moc w silnikach, okręt floty nas nie dopadnie, zanim dotrzemy do płycizny, nawet jeśli oni też dadzą pełną moc. A ten czas to – Tans spojrzał na Gonre – cztery godziny i szesnaście minut od teraz.

– O ile *Bransid* nie zacznie przyspieszać wcześniej – wtrąciła Gonre.

– Tak.

– I o ile nasze silniki będą w stanie wytrzymać obciążenie pełnego przyspieszenia przez trzy godziny, jakie zajmie nam dotarcie do płycizny.

– Tak.

– I o ile nasze pola dociskowe pozostaną aktywne, żebyśmy nie zostali rozbabrani niczym dżem przez stałe, wysokie przeciążenie związane z przyspieszeniem.

– Tak – powtórzył Tans, nieco rozdrażniony.

– No i o ile nie spróbują nam władować pocisku w rury wydechowe.

– Noż kurwa mać, Gonre – warknął Tans.

– Próbuję tylko powiedzieć, żebyśmy na razie nie byli z siebie przesadnie zadowoleni – podsumowała Gonre, po czym zwróciła się do syna: – A ty wracaj do swojej kajuty. Reszta z nas będzie zajęta, dopóki nie wlecimy w płyciznę.

– Ale w mojej kajucie nie ma nic do roboty – narzekał Lenson.

– Jasne, że jest! I nazywa się nauka.

Na te słowa chłopak jęknął i powlókł się do kajuty, która choć miała rozmiar mniej więcej schowka, na statku była na drugim miejscu pod względem luksusów, zaraz po pomieszczeniu jego rodziców, które miało rozmiar dwóch schowków. W kajucie Lenson aktywował tablet i zamiast się uczyć przez kilka godzin oglądał kreskówki, póki nagle nie zniknęły i nie pojawiły się na nim materiały edukacyjne. Lenson jęknął ponownie, poirytowany, że matka, podobno taka zajęta, miała czas sprawdzić, co ogląda jej syn. Niechętnie zaczął czytać lekcję religii na temat Racheli, prorokini, a zarazem przywódczyni i pierwszej imperoks Wspólnoty.

Lenson jakoś specjalnie nie palił się do nauki, ale lekcje religii nudziły go wyjątkowo. Ani on, ani jego rodzice nie byli pod żadnym względem religijni, ani też nie postępowali zgodnie z nakazami Kościoła Wspólnoty w większym stopniu, niż jakiegokolwiek innego. Nie mieli nic przeciwko kościołom czy innym religiom (Lenson wiedział, że niektórzy członkowie załogi *Nie ma zgody* mieli własne przekonania religijne, a jego rodziców to nie obchodziło) i Ornillowie przekazali tę neutralną obojętność w tych sprawach swojemu synowi.

Jedyną konkretną rzeczą, jaką dało się powiedzieć o braku religijności rodziny Ornillów, był fakt, że jeśli było jakieś wyznanie, które najmniej praktykowali, był to właśnie Kościół Wspólnoty. Ze swej strony Lenson coś niejasno kojarzył, że istnieją inne kościoły, ale wiedział o nich tak mało, że nie mógłby powiedzieć, że je odrzuca czy ignoruje. Nawet się nad nimi nie zastanawiał.

Niemniej Kościół Wspólnoty znał przynajmniej trochę. Jedną z zalet bycia oficjalną religią Wspólnoty było to, że w całym imperium informacje na ten temat musiały wejść w skład materiałów służących do nauczania dzieci jako czytanka. Uczyłeś się o KW i o prorokini Racheli niezależnie od tego, czy wierzyłeś albo czy cię to obchodziło.

Oprócz tego Ornillowie, tak jak każdy, świętowali Dzień Imperoksa, który obchodzono w urodziny Racheli, według kalendarza standardowego, aczkolwiek

sprowadzało się to do wysypiania się, wymieniania prezentami i obżerania niczym świnia.

Niestety dla Lenson'a to, co właśnie czytał, nie mówiło o Dniu Imperoksa, ani o prezentach, ani o objadaniu się. Tekst omawiał proroctwa Racheli – zbiór wizji przyszłości, które spajały przeróżne zamieszkałe przez człowieka systemy gwiazdne w jedno imperium znane pod nazwą Wspólnoty. Pomogły one ustanowić ekonomiczne, prawne i społeczne podwaliny, na których wciąż się opierało, mimo upływu całego tysiąclecia.

Wszystko to, stwierdził Lenson, było nudne jak cholera. I to nie tylko dlatego, że materiały do nauki, przygotowane dla czytelników pomiędzy dziesiątym a dwunastym standardowym rokiem życia, nie zagłębiały się w proroctwa czy też ich wpływ w rzeczowy sposób, ograniczając się do prostych zdań oznajmujących. W efekcie materiały podawały zbiór pedagogicznych faktów, a nie wiadomości, o których można by dyskutować lub je interpretować (choć trzeba uczciwie powiedzieć, że Lenson, jak już widzieliśmy, niezbyt pilny uczeń, i tak zapewne nie zaangażowałby się w nie). Innym powodem mozołu, z jakim chłopak czytał proroctwa, było nie do końca sprecyzowane uczucie – coś, czego nie potrafił ująć w słowa, nawet gdyby próbował.

Gdyby się jednak na taką próbę zdobył, brzmiałoby to mniej więcej tak: *Hej, wiecie co, oparcie całego systemu kontroli społecznej, politycznej i ekonomicznej na mglistych słowach jednej osoby, które tak łatwo interpretować w niewłaściwy sposób, nie jest zbyt mądre, no nie?*

Uczucie to wynikało z faktu, że Lenson, tak jak i jego rodzice, był typem skrajnie pragmatycznym, poświęcającym raczej mało czasu sprawom duchowym, teleologicznym czy eschatologicznym, a wspomniane wyżej kwestie wywoływały przytłumione uczucie niepokoju – intelektualną wersję wgrzyzienia się w kawałek ciasta, którego smak czujesz, choć nie potrafisz go tak do końca określić, ale wiesz, że to konkretne ciasto tak nie smakuje, co z kolei sprawia, że przestaje być czymś smakowitym, za to staje się czymś, co jest w twoich ustach, ale tak w zasadzie nie jesteś pewien, czy chcesz, aby tam było, chociaż z drugiej strony zapewne niegrzecznie byłoby to wypluć, więc po prostu przełykasz, a resztę ciasta przykrywasz serwetką i próbujesz zwyczajnie przeżyć resztę dnia.

Czytanie proroctw dawało Lensonowi to samo irytujące, nieokreślone uczucie intelektualnego nieusatisfakcjonowania, które stanowiło ukoronowanie nudy, więc zrobił jedyną w tej sytuacji logiczną rzecz, to znaczy poszedł spać, trzymając tablet w dłoni. Plan był znakomity, dopóki *Nie ma zgody* nie zakołysał się gwałtownie, zwalając chłopca z koi, a przez jego kajutę przeleciał wyjący wicher, wysysając powietrze przez kilka sekund, zanim drzwi się zamknęły i uszczelniły.

Lenson leżał na podłodze i dezorientowany walczył o oddech, równocześnie próbując zrozumieć, co się właściwie stało. Wsłuchiwał się w kilka wysokich, świszczących dźwięków rozbrzmiewających w pomieszczeniu. Drzwi się zamknęły, ale uszczelnienie nie było doskonałe. Tak samo rzecz się miała z otworami wentylacyjnymi, które zostały odcięte, gdy tylko powietrze zaczęło przez nie przepływać w niewłaściwym kierunku, ale zostało kilka maciupenkich dziurek, którymi powietrze prześlizgiwało się przez uszczelkę.

Będąc dzieckiem, które całe życie spędziło na statku kosmicznym, Lenson nie musiał się nawet domyślać, co oznaczają te świszczące odgłosy. Podszedł do drzwi i docisnął je, tak aby domknęły się całkowicie. To ograniczyło miejsca, przez które uchodziło powietrze, do otworów wentylacyjnych. Mechanizmy, które je uszczelniały, znajdowały się niestety w ścianach statku – poza jego zasięgiem.

Jego tablet zadzwonił, a gdy Lenson odebrał połączenie, okazało się, że to jego matka. Po kilku sekundach pełnego ulgi płaczu, kiedy przekonała się, że jej syn nadal żyje, opowiedziała mu o tym, co się wydarzyło.

– Skurwysyny do nas wystrzelili – był to pierwszy raz, kiedy Lenson usłyszał z ust matki to przekleństwo. – Nie byli w stanie nas złapać i nie odpowiadaliśmy na ich pozdrowienia, więc tuż przed tym, jak wlecieliśmy w Nurt, wystrzelili w naszym kierunku trzy pociski. Elementy naszej obrony je zatrzymały, lecz jeden eksplodował zbyt blisko i jego części przebiły kadłub niedaleko ciebie. Odcięliśmy ten obszar, ale mamy problem.

– Jaki?

– Jesteśmy obecnie w Nurcie – odparła Gonre – a to oznacza, że musimy uważać, aby nie zakłócić bąbla czasoprzestrzennego dookoła statku. Jeśli naruszymy go za bardzo albo go przerwiemy, może to oznaczać kłopoty dla całej jednostki.

Lenson wiedział, że matka przedstawia problem znacznie lepiej, niż jest w rzeczywistości. Nurt był jak rzeka, którą statki kosmiczne mogły podróżować pomiędzy systemami gwiazdnymi, jednocześnie sprawiając, że poruszały się w tę i z powrotem szybciej, niż to było możliwe w normalnej przestrzeni, gdzie nie dało się przekroczyć prędkości światła. Jednak o ile Nurt był jak rzeka, to rzeką nie był. Był za to pozawymiarowym czymkolwiek-tam-jest i jeśli człowiek miał pecha i zetknął się z nim bezpośrednio, po prostu *znikał*. Podróżujące przez Nurt statki musiały wytworzyć bąbel energetyczny, który wiązał kawałek czasoprzestrzeni dookoła nich, i w ten sposób mogły zachować istnienie. Jeśli jednak bąbel pękał, to samo działo się ze wszystkim, co było w środku.

– Musimy być ostrożni, próbując się do ciebie dostać, a także przy naprawianiu statku – dokończyła Gonre.

– Mamo, ucieka mi powietrze – powiedział Lenson.

Lenson patrzył, jak matce całkiem nieźle wychodzi udawanie opanowanej.

– Ile? – zapytała.

– Teraz niewiele. Na początku straciłem sporo, ale zaraz zamknęły się drzwi i je uszczelniłem. Tylko że przez otwory wentylacyjne dalej ucieka.

Gonre odwróciła się na chwilę od tabletu i krzyknęła do kogoś na mostku. Zaraz potem znów spojrzała na syna.

– Tym zajmiemy się najpierw – obiecała. – Zapewnimy ci też więcej powietrza.

– Ile to zajmie?

– Niedługo. Będziesz do tego czasu dzielny?

– Pewnie – odparł Lenson.

Jednak po dwóch godzinach powietrze stało się wyraźnie rzadsze, a odwaga chłopca zaczęła topnieć i trochę popłakiwał. Po trzech godzinach miał przyptyw totalnej paniki i Tans Ornill robił co mógł za pośrednictwem tabletu, żeby nie dopuścić, by jego syn popadł w hiperwentylację, ograniczając zapas tlenu.

Po czterech godzinach Lenson po raz pierwszy w życiu zaczął się modlić do prorokini Racheli.

Po pięciu go odwiedziła.

Lenson spojrzał w górę, na oblicze prorokini, która miała na twarzy spokojny, łagodny uśmiech, któremu jednak przeczył wyraz jej oczu – czyli wyglądała całkowicie zgodnie z najlepszymi tradycjami religijnej ikonografii na przestrzeni stuleci, w której bogowie, boginie i inni prorocy byli w stanie, w najlepszym razie, zdobyć się na pozbawione emocji uniesienie kącików ust. Niemniej dzięki temu Lenson się wyciszył i poczuł ciepło.

– Boję się – przyznał przed prorokinią.

Uśmiechnęła się jeszcze mocniej, promieniejąc pocieszeniem, które było bardziej uspokajające, niż jakiegokolwiek słowa, które by do niego wypowiedziała. Powiedziała do niego, a przynajmniej on w to wierzył (a w tym momencie dłaczegóż miałby w to wątpić), że przyszła, bo się do niej modlił, że przybyła właśnie dla niego i jej obecność w tym miejscu stanowi dowód, że on, Lenson Ornill, przeżyje i nie tylko będzie żył dalej, ale jest też stworzony do wielkich rzeczy.

To właśnie tam, leżąc w swojej kajucie i wpatrując się w prorokinię, mrugając oczami bardzo powoli, Lenson Ornill ofiarował swe życie Kościołowi Wspólnoty.

Prorokini uśmiechnęła się do niego szerzej, jakby przyjmując jego dar.

Właśnie wtedy wentylatory otworzyły się i zahuczały, wypełniając kajutę powietrzem. Lenson Ornill dosłownie pochłaniał słodki tlen i w spazmach religijnej ekstazy stracił przytomność.

– Jak dla mnie to wygląda na podręcznikowe niedotlenienie – powiedział później tego wieczora Tans Ornill do syna w niewielkiej izbie chorych na statku.

To właśnie on jako pierwszy wszedł do kajuty Lenson'a i najgorsze przeczucia się rozwiały, kiedy usłyszał, że jego syn chrapie. Gdy chłopiec przebudził się w izbie chorych, natychmiast opowiedział rodzicom o cudownym objawieniu.

– Oddychałeś niedostateczną ilością tlenu i tuż przed atakiem czytałeś o prorokini. To, że miałeś takie halucynacje, wydaje się całkiem sensowne.

Lenson spojrzał na ojca i matkę stojących przy jego leżance, na ich twarze, na których malowała się ogromna ulga, że ich syn żyje, i uświadomił sobie, że nigdy nie dostrzegą ani nie zrozumieją tego, czego doświadczył podczas nawiedzenia, i zdecydował (dosyć dojrzałe, jak wówczas uważał), że nie będzie drążył tematu. Pozornie zgadzając się z ojcem, skinął głową, po czym pozwolił, aby rozmowa zeszła na temat tego gnoja Witta, któremu wszyscy poprzysięgli za coś zemstę i który, jak się znacznie później dowiedział Lenson, jakimś sposobem znalazł się po niewłaściwej stronie śluzu powietrznej, mniej więcej rok po tym, jak *Nie ma zgody* został zaatakowany. Krążyły plotki, że Witt znów spał z współmałżonkiem niewłaściwej osoby, ale chłopak uważał, że w grę mogły też wchodzić inne czynniki, w których jego rodzice mogli, bądź nie, maczać palce.

Jednak w czasie gdy Lenson dowiedział się o przedwczesnym spotkaniu Witta z zimną, ciemną próżnią kosmosu, nie latał już na *Nie ma zgody*. Uczęszczał do seminarium Uniwersytetu Xi'an – szkoły przygotowującej do służby w Kościele Wspólnoty. Niecodzienne dzieciństwo Lenson'a, spędzone na statku kosmicznym, przyciągało ciekawość kolegów z seminarium, ale tylko na początku. Tym, co naprawdę sprawiło, że stał się obiektem zainteresowania, było objawienie prorokini.

– Wygląda to na niedotlenienie – oświadczył podczas późnonocnych pogaduch Ned Khlee, jeden z jego współlokatorów na pierwszym roku, pociągając łyk frado, likieru o lekkich właściwościach psychotropowych, po czym przekazał butelkę Lensonowi.

– To nie było niedotlenienie – odparł Lenson, łyknął z butelki i podał ją dalej na prawo.

– To znaczy... *byłeś* niedotleniony, no nie? – upewnił się Sura Jimn, kolejny ze współlokatorów, równocześnie przejmując naczynie.

– Statek miał dziury w kadłubie. Powietrze uchodziło w kosmos. W twojej kajucie brakowało go przez wiele godzin.

– Tak – przyznał Lenson – ale myślę, że to nie dlatego ją zobaczyłem.

– A ja myślę, że właśnie dlatego – powiedział Khlee, który sięgnął ponad Lensonem, żeby odebrać frado od Jimna.

– A więc żaden z was nie doznał nigdy objawienia Racheli? Nigdy? – spytał Lenson nieco zbity z tropu.

– Nie – odparł Khlee. – Raz przywidziała mi się jaszczurka, ale wtedy zdrowo dałem w palnik.

– To nie to samo – stwierdził Lenson.

– Ja ci mówię, że to samo – odrzekł Khlee i wypił kolejny łyk. – Golnę jeszcze parę razy z tej butelczyny i może zobaczę ją ponownie.

Lenson uznał, że dalsze zwierzanie się współlokatorom w tej sprawie zapewne nie jest najlepszym pomysłem. Jak się później okazało, tak samo sytuacja przedstawiała się z większością jego kolegów z seminarium. Ogólnie rzecz biorąc, byli miłymi, uprzejmymi, spokojnymi i empatycznymi ludźmi, ale wszyscy też mieli w sobie praktyczny, realistyczny pierwiastek i żaden nigdy w życiu nie doświadczył ekstatycznego, religijnego uniesienia, czy to za sprawą Racheli, czy kogokolwiek innego.

– Kościół Wspólnoty to w znacznej mierze *praktyczna* religia – wyjaśniała wielebna Huna Prin, doradczyni programowa Lensona, na wczesnoporannym spotkaniu, kiedy chłopak stwierdził, że potrzebuje wskazówek, a Prin wydała mu się osobą, do której może się zwrócić z pytaniem, zanim sam dojdzie do bezpodstawnych wniosków. – Tak naprawdę nie zasadza się na mistycyzmie, ani jeśli chodzi o prawdy wiary, ani ich codzienne zastosowania. Biorąc pod uwagę korzenie, bliżej mu do konfucjanizmu niż do chrześcijaństwa.

– Ależ sama Racheli miała wizje – zaprotestował Lenson, unosząc *Komentarze do prorocत्व Racheli I* Kowala w miękkiej oprawie, które przypadkiem miał w ręce, i machając nimi przed oczami doradczyni.

– Tak, owszem – zgodziła się Prin – i oczywiście jedna z największych dyskusji w łonie Kościoła dotyczy tego, jakiej natury były to wizje. Czy stanowiły one faktyczną komunikację z istotą boską, czy też „wizje” – Lenson wyczuł cudzysłów, w jaki ujęte zostało ostatnie słowo – oznaczają tak naprawdę parable, które miały pomóc podzielonej ludzkości zrozumieć potrzebę stworzenia nowego systemu etycznego, który skupiałby się na współpracy i wspólnotowości na znacznie większą skalę niż cokolwiek, co istniało wcześniej.

– W toku dziejów Kościoła wrzały dyskusje – powiedział Lenson, skinąwszy głową. Powtarzał tu jeden z podstawowych tekstów, jakie czytał, będąc znacznie młodszym chłopcem, gdy wyobrażał sobie, jak dawni teologowie, jeden po drugim, toczyli batalie o duszę Kościoła.

– Cóż, *wrzały* to może lekka przesada – odparła Prin. – Zdaje się, że na Piątym Zgromadzeniu Plenarnym Episkopatu biskup Chen rzuciła filiżanką herbaty w biskupa

Gianniego, ale miało to mniej wspólnego z fundamentalną naturą wizji, a więcej z faktem, że nieustannie jej przerywał i miała już tego serdecznie dosyć. W sumie wczesne debaty były uporządkowane i koncentrowały się na praktycznej kwestii tego, jak przedstawić wizje. Biskupi wczesnego Kościoła doskonale zdawali sobie sprawę, że charyzmatyczne religie mają tendencję do podziałów i schizm, a to stało w fundamentalnej sprzeczności względem koncepcji wspólnoty.

– Na pewno byli też inni, którzy mieli wizje takie jak ja – dopytywał Lenson. Gdy później przypominał sobie tę rozmowę, wiedział, że jego pytanie miało prawie błagalny charakter.

– Historia Kościoła przekazuje nam informacje o pojawiających się co jakiś czas kapłanach i biskupach, którzy twierdzili, że mają wizje religijne, i wykorzystywali je, aby uzasadnić usiłowanie schizmy. Kościół wypracował proces badawczy, przez który musi przejść każdy kapłan czy biskup twierdzący, że ma wizje.

– Jak on wygląda?

– Jeśli dobrze pamiętam, kapłani twierdzący, że mają wizje, zwykle zostają poddani opiece medycznej pod kątem wcześniej niezdiagnozowanych dolegliwości psychicznych, a następnie leczy się ich i przywraca do służby lub też, jeśli dolegliwości się utrzymują, odsyła na emeryturę.

Lenson zmarszczył czoło.

– To znaczy, że Kościół ogłasza ich wariatami?

– Myślę, że „wariat” to pejoratywne określenie. Lepiej, jak sądzę, powiedzieć, że Kościół jest świadom, że praktycznie rzecz biorąc, wizje zwykle nie pochodzą tak naprawdę od istoty boskiej, lecz są wynikiem innych, znacznie mniej dramatycznych zjawisk. Lepiej się tym zająć niż pozwolić utrzymywać się takiemu stanowi rzeczy i ryzykować schizmę.

– Ale ja miałem wizję, a moje zdrowie psychiczne jest w porządku.

Prin wzruszyła ramionami.

– Dla mnie wygląda to na niedotlenienie.

Lenson nie drążył głębiej.

– A co się dzieje, jeśli imperoks ma wizje? – zapytał mimo wszystko. – Jest faktyczną głową Kościoła. Czy on także musiałby przejść badanie?

– Nie wiem – przyznała Prin. – Nic podobnego nie miało miejsca od czasów Racheli.

– Nigdy? – dopytał sceptycznie Lenson.

– Po objęciu władzy imperokswie rzadko interesowali się Kościołem w jakiś szczególny sposób. Mieli inne zmartwienia. Ty zresztą również, Lenson.

– Tak więc uważa pani, że powinienem przypisać moją wizję niedoborowi tlenu?

– Uważam, że powinieneś postrzegać swoją wizję jako dar – oznajmiła Prin, wyciągając rękę, by uspokoić swego rozmówcę. – Jakiegokolwiek jest jej pochodzenie, zainspirowała cię do służby Kościołowi i jest to błogosławieństwo dla ciebie i potencjalne błogosławieństwo dla Kościoła. Już zmieniła twoje życie, Lensonie. Jesteś szczęśliwy, idąc ścieżką, na którą cię przywiodła?

– Tak – odparł chłopak, i naprawdę tak uważał.

– Sam widzisz – skonkludowała Prin. – W tym świetle nie ma znaczenia, czy miała ona pochodzenie boskie, czy też była wynikiem czasowego niedoboru tlenu. Znaczenie ma za to fakt, że potem, kiedy już miałeś dość tlenu, zdecydowałeś, iż Kościół stanowi twoje powołanie. Postarajmy się oboje zrobić z tego jak najlepszy użytek, dobrze?

Lenson postanowił, że zrobi, i dał się pochłonać studiowaniu. Niektóre z jego początkowych przedmiotów fakultatywnych koncentrowały się wokół mistycyzmu Kościoła Wspólnoty, ale, o ironio, nauczano ich w sposób suchy i z minimalnym zaangażowaniem. Podejście Kościoła do tego, czego można by po prostu zakazać albo uznać za pisma odszczepieńcze, nie polegało na unikaniu tematu, ale na pozbawieniu go romantyzmu poprzez zawalenie tomami komentarzy, które najwyraźniej pomyślano tak, aby czytelnikowi doskonale się nad nimi usypiało. Lenson czytał tyle, ile był w stanie wytrzymać, i odkrył, że mimo wszystko te sprawy go interesują, z początku trochę, ale z czasem coraz bardziej.

W życiu Lensona zachodziły dwa procesy. Pierwszy sprowadzał się po prostu do sprostania codziennym potrzebom edukacji seminaryjnej i pastoralnej, która zajmowała mu coraz więcej czasu. Jego ilość, jaką mógł poświęcić interesowaniu się bardziej ezoterycznymi aspektami Kościoła (nawet drobnymi, jak się ostatecznie okazało), kurczyła się zauważalnie, kiedy musiał się przyłożyć do prozaicznych kwestii związanych z posługą oraz zaangażować się w życie wspólnoty, spędzać czas na Xi'an i Hubie, przyglądając się i pomagając kapłanom oraz zatrudnionym przez Kościół pracownikom w ich obowiązkach – obowiązkach, którymi pewnego dnia sam miał się zająć. Niełatwo było zajmować się ezoteryką własnej religii, kiedy spędzało się czas na donoszeniu świec potrzebnych do sprawowania obrzędów.

Drugi proces wynikał z tego, że praktyczna natura Lensona, przekazana mu przez rodziców poprzez geny i wychowanie, nigdy nie została stłumiona, nawet w apogeum jego religijnego nawrócenia, i powoli, acz niezachwianie przypominała o swym istnieniu, zaś doczesne aspekty Kościoła Wspólnoty raczej temu pomagały niż przeszkadzały. Lenson odkrył, że rutyna i ciche systemy kontroli, jakie oferował, przemawiają do niego i porusza się w ich ramach całkiem dobrze. W ciągu lat spędzonych w seminarium zmienił się na oczach profesorów i kolegów z obiektu

ciekawości we wzorowego seminarzystę, takiego, którego potencjał predestynował do pięcia się w górę kościelnej hierarchii.

Po skierowaniu na swoją pierwszą placówkę na Bremen (gdzie na wygodnej emeryturze osiedli jego rodzice, wcześniej uważnie odczekawszy przewidziany prawem okres) Lenson pozwolił się nieść tej fali pochwał i uczuć. Podobnie było, gdy przeniesiono go z powrotem na Hub, a wreszcie na Xi'an, gdzie po odpowiednim czasie został mianowany biskupem. Piastując to stanowisko, otrzymał zadanie zarządzania kościelną posługą wobec najuboższych obywateli. Funkcja ta odwoływała się bardziej do praktycznej niż czysto duchowej strony Kościoła.

W miarę jak Lenson, teraz biskup Ornill, pioł się w górę hierarchii i wchodził w głąb struktur Kościoła Wspólnoty, wydarzenie, które pchnęło go do wstąpienia w jego szeregi – nawiedzenie przez prorokinię Rachelę – blakło w jego pamięci. Z głęboko poruszającego momentu nawrócenia przeobraziło się w cichy fundament wiary, potem dziwne wydarzenie, które doprowadziło do wyboru ścieżki życia, później w historię opowiadaną bliskim przyjaciółom w Kościele, jeszcze później anegdotę dla parafian, aż wreszcie zmieniło się w puentę imprez koktajlowych, na których nieodmiennie powtarzano ją nowym znajomym, kiedy inny biskup poprosił, by znów ją opowiedział.

– Brzmi jak piękna chwila – stwierdziła pewna młoda kobieta na jednym z takich przyjęć.

– To prawdopodobnie było niedotlenienie – odparł w czarująco lekceważący sposób.

W jakimś zakątku umysłu Lenson zachował poczucie wstydu, że wraz z upływem czasu zracjonalizował jedyny moment swojej religijnej ekstazy, który teraz stał się pozostałością po zaburzeniu procesów metabolicznych w równym stopniu dla niego, co dla innych. Jednak temu małemu zakątkowi odpowiadał, w swoim mniemaniu słusznie, że zamiast iść za głosem mylnie interpretowanej mistycznej chwili ruszył ścieżką praktycznej służby Kościołowi, który był jednym z kamieni węgielnych najlepiej prosperującej i pod wieloma względami najbardziej trwałej ze wszystkich cywilizacji stworzonych przez człowieka. Cynicy powiedzieliby, że Kościół, tak dobrze wkomponowany w imperialny system, stanowił po prostu kolejne narzędzie kontroli, ale Lenson miał świadomość, że cynik może sobie pozwolić na luksus cynizmu, ponieważ istnieje stabilny system, z którego drwi.

Krótko mówiąc, w religijności Lensona, a w późniejszym okresie także w jego wierze nie pozostało niemal nic z mistycyzmu. Co nie znaczy, że jego wiara osłabła. W zasadzie była silniejsza, niż kiedykolwiek przedtem. Nie była to jednak wiara w prorokinię Rachelę, lecz w Kościół, który się dzięki niej narodził – praktyczny

i skonstruowany tak, aby przetrwał stulecia i pomógł również imperium przetrwać i się rozrastać. Wierzył w Kościół Wspólnoty i jego misję, będącą także misją Lensona, w przyjazne, solidne i z gruntu świeckie podstawy jego rządów. Żył w harmonii ze swoją pragmatyczną wiarą.

To właśnie biskup Lenson Ormill, wraz ze wszystkimi innymi biskupami Kościoła Wspólnoty, jakich dało się zebrać w wyznaczonym czasie, siedział w ławach katedry w Xi'an, czekając na imperoksa Grayland II, jego tytułarną głowę. Władczyni, co niezwykle, chciała przemówić do hierarchów swego Kościoła jako kardynał Xi'an i Hubu (tak naprawdę to te tytuły stawiały ją na czele Kościoła Wspólnoty), a nie w bardziej prozaicznej roli imperoksa.

Na tę wiadomość uniósł brwi w zdumieniu, ponieważ żaden imperoks za ludzkiej pamięci nigdy niczego podobnego nie robił. Ostatnim, który tak postąpił, był Erint III – ponad trzysta standardowych lat wcześniej. Mówił wtedy o dosyć przaśnym temacie ponownego podziału kościelnych prowincji, tak aby biskupstwa lepiej odpowiadały rozkładowi populacji. Obecne diecezje całkowicie pokrywały się z zaludnieniem, więc temat na pewno był inny.

Również Grayland II, przez biskupów uważana za przyjemnie nieudolną w swojej roli imperoksa, nie wykazywała jak dotąd żadnego szczególnego zainteresowania Kościołem jako całością. Ostatnio zajmowała ją próba wszczęcia rebelii przez ród Nohamapetan oraz teoretyczna kwestia stabilności prądów Nurtu. Żadna z tych spraw nie odnosiła się bezpośrednio do Kościoła, jego działań czy misji.

Fakt, że imperoks miała zamiar przemówić do biskupów w sprawach kościelnych, był zaskakujący i jak może powiedzieliby niektórzy, impertynencki. Ogólnie rzecz biorąc, odczucie wśród zebranych biskupów było takie, że są skłonni grzecznie wysłuchać wszelkich przemyśleń, jakie stały się udziałem ich młodej imperoks, po czym udać się z nią na formalne przyjęcie, zjeść trochę przekąsek i zrobić sobie z nią kilka zdjęć, a potem zachować wydarzenie w pamięci jako ciekawe wspomnienie i okazję do wymiany opinii. A już na pewno Lenson uważał, że tak właśnie się wszystko potoczy.

Dlatego też właśnie biskup Lenson Ormill, podobnie jak, by być sprawiedliwym, reszta biskupów, był zaskoczony, kiedy Grayland II, w prostych szatach liturgicznych zwykłego kapłana zamiast ozdobnych strojów kardynała, stanęła na skraju prezbiterium i zaczęła przemawiać:

– Wiele lat temu Rachel, nasz przodek i poprzednik, miała wizje. Owe cudowne widzenia przyniosły owoc w postaci naszego Kościoła, tego fundamentu, na którym zasadza się cała nasza cywilizacja. Bracia i siostry, mamy dobre wieści. My również mieliśmy wizje. Cudowne wizje. Wizje, które mówiły o misji naszego Kościoła i jego

roli w niespokojnych czasach, u progu których się znajdujemy. Cieszcie się, bracia i siostry. Nasz Kościół został wezwany do ponownego duchowego przebudzenia, dla zbawienia ludzkości w tym świecie i poza nim.

Lenson Ormill rozważył słowa Grayland II, ich intencję oraz znaczenie, to, co oznaczały one dla jego wyobrażenia Kościoła, jego wiary, którą w sobie rozwinął, oraz początków swojego związku z jednym i drugim, kiedy to bardzo dawno temu uwięziony w małej kajucie walczył o każdy oddech. I wtedy, zupełnie mimowolnie, wypowiedział słowa, które zwięźle podsumowywały to, co w tym epokowym momencie myślał o jednym i drugim:

– Noż *kurwa*.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Na początku było kłamstwo.

Kłamstwem było, że prorokini Rachela, założycielka Świętego Imperium Wspólnoty Państw i Gildii Kupieckich, miała mistyczne wizje. Wizje te przepowiadały zarówno utworzenie, jak i konieczność powstania tego imperium złożonego z ludzkich osiedli, rozciągających się daleko, na przestrzeni wielu lat świetlnych kosmosu, połączonych wyłącznie przez Nurt – metakosmologiczną strukturę porównywaną do rzeki. Myślano o nim jak o rzece głównie dlatego, że ludzkie mózgi, pierwotnie zaprojektowane do włóczenia dupska po afrykańskiej sawannie, nie rozwinęły się jakoś specjalnie od tamtej pory i, dosłownie, nie potrafiły ogarnąć, czym on tak naprawdę jest. Tak więc niech będzie ta „rzeka”.

W tych tak zwanych prorocत्वach Racheli nie było krzty mistycyzmu. To ród Wu odział je w takie szaty. Wu, prowadzący konsorcjum rozmaitych interesów i firm, z których jedne budowały statki, a inne zaciągały najemników, spojrzeli na bieżący klimat polityczny i stwierdzili, że nadszedł czas, by rozpocząć grę o kontrolę nad płyciznami Nurtu – to znaczy nad miejscami, gdzie zrozumiała dla człowieka czasoprzestrzeń przenikała się z Nurtem i pozwalała statkom kosmicznym wejść i wyjść z tej metaforycznej rzeki w okolicach gwiazd. Rodzina ta doskonale zdawała sobie sprawę, że ustalenie ceł i zmonopolizowanie ich pobierania stanowi znacznie stabilniejszy model biznesowy niż budowanie różnych rzeczy czy też ich rozwalanie, w zależności od tego, której gałęzi ich przedsiębiorstw ktoś zapłacił. Jedyne, co musieli stworzyć, to sensowny powód, dla którego to właśnie oni mieli ściągać opłaty celne.

Na spotkaniach rodzinnych zaproponowano prorocत्वa, które następnie zaakceptowano, spisano, ustrukturyzowano, przetestowano metodą A/B i wyszlifowano, zanim przypisano je Racheli Wu – młodej dziewczynie, która już wtedy była powszechnie znana jako dobroczynne oblicze swojej rodziny. Miała również ostry jak brzytwa umysł, jeśli chodzi o marketing i sprawy publiczne. Prorocत्वa stanowiły projekt rodzinny (a przynajmniej pewnych ważnych członków rodziny; przecież nikt normalny by nie sprosił *wszystkich*, bo aż nazbyt wielu kuzynów nadawało się tylko do picia i robienia za przedstawicieli regionalnych), ale to Rachela miała je sprzedać.

Tylko komu? Szeroko pojętej publice, którą należało przekonać, aby rozmaite i mocno rozproszone ludzkie osiedla zjednoczyć pod parasolem władzy centralnej, na

której czele, całkiem przypadkiem, mieli się znaleźć Wu i jak to władza ma w zwyczaju, zbierać cła i podatki od podróży międzygwiazdnych.

Całością miała się zająć nie tylko Rachela. W każdym systemie Wu zatrudniali i przekupywali miejscowych polityków oraz szanowaną publicznie inteligencję, aby promowała ideę pod względem politycznym i społecznym. Istnieli bowiem ludzie, którzy lubili sobie wyobrażać, że aby porzucić lokalną suwerenność i kontrolę na rzecz rodzącej się unii politycznej, którą właśnie budowano według wzorców imperialnych, potrzebują czegoś przekonującego – jakiegoś logicznego powodu. Z drugiej strony ci, którzy nie potrzebowali, aby ktoś łechtał ich intelektualną próżność, albo po prostu woleli przyjąć ideę unii wzajemnie zależnych osiedli od atrakcyjnej młodej kobiety, której pozbawiony gróźb przekaz o jedności i pokoju sprawiał, że *czuli się dobrze*, no cóż... Oto mieli świeżo wykreowaną prorokinię Rachele.

Wu nigdy nie kłopotali się sprzedawaniem mistycznej idei Wspólnoty innym rodom czy wielkim korporacjom, wśród których obracał się ich konglomerat. Dla nich przygotowali inny magnes: Wesprzyjcie plan rodu Wu, w ramach którego będziemy pobierać opłaty, ubrany w pióra altruistycznego przedsięwzięcia budowy narodu, a w zamian dostaniecie monopol na konkretne, zawsze potrzebne dobra albo usługi. W rezultacie mieli wymienić swoje dotychczasowe interesy, z ich irytującymi cyklami wzlotów i upadków, na stabilny, przewidywalny i nieprzerwany strumień dochodów, i to na zawsze. A oprócz tego upusty na cła, jakie Wu mieli zamiar nałożyć na podróże przez Nurt. Jak się dobrze zastanowić, nie było żadnych upustów, bo Wu mieli zamiar oclić coś, co dotąd wszyscy robili, nie ponosząc jakichkolwiek kosztów. Jednak Wu słusznie zakładali, że rody i przedsiębiorstwa, o których tu mowa, tak zaślepi oferta nienaruszalnego monopolu, że i tak nie będą się zbytnio opierać. Okazało się to w znacznej mierze właściwym założeniem.

Koniec końców wprowadzenie idei Wspólnoty w życie zajęło Wu mniej czasu niż się spodziewali. W ciągu dziesięciu lat inne rody i kompanie wskoczyły na przewidziane miejsca ze swoimi monopolami i obiecany tytułami szlacheckimi, opłaceni politycy i intelektualiści zrobili co do nich należało, zaś prorokini Rachela i jej szybko rozrastający się Kościół Wspólnoty w większości załatwili sprawę z pozostałymi. Był opór, autsajderzy i rebelie, które trwały przez całe dziesięciolecie, ale Wu w przeważającej mierze właściwie wybrali czas, swój moment w historii oraz swój cel. Dla mąciwodów zaś przeznaczyci planetę zwaną Kresem – placówkę ludzką w ramach świeżo utworzonej Wspólnoty, dokąd i skąd leciało się najdłużej, a także istniała tylko jedna płycizna wlotowa i wylotowa. To właśnie tam zorganizowali śmietnisko dla tych, którzy stanęli na ich drodze.

Rachela, wówczas publiczna i duchowa twarz Wspólnoty, została wybrana przez aklamację (uważnie zaaranżowaną) na pierwszego „imperoksa”. Ten nowy tytuł wybrano, ponieważ badania rynku wykazały, że przemawiał do niemal wszystkich jego segmentów jako świeży, nowy i przyjazny neologizm wywodzący się od „imperatora”.

Historia formowania się Wspólnoty, opowiedziana pokrótce, może sprawiać wrażenie, że nikt nie kwestionował kłamstwa. Że miliardy ludzi bezkrytycznie łyknęły fikcję stojącą za prorocstwami Racheli. Nie całkiem tak to wyglądało. Ludzie *kwestionowali* kłamstwo w takim samym stopniu, jak każdy element popularnej duchowości, który podejrzenie wychodził naprzeciw istniejącej religii. Stawali się również coraz bardziej czujni, w miarę jak zyskiwała ona akceptację, wyznawców i szacunek społeczny. Ówczesni obserwatorzy życia nie pozostawali też ślepi na machinacje rodu Wu, jakie ten uskutečnił w grze o władzę imperialną. Na tej kwestii koncentrowało się wiele artykułów prasowych, programów informacyjnych oraz pojawiających się okazjonalnie działań legislacyjnych.

Przewaga, jaką nad nimi miała rodzina Wu, sprowadzała się do organizacji, pieniędzy i sojuszników w postaci innych, teraz już szlacheckich rodów. Stronnictwo Świętego Imperium Wspólnoty Państw i Gildii Kupieckich było szarżującym wołem piżmowym, a sceptyczni obserwatorzy chmarą komarów – nie wyrządzali sobie nawzajem większej szkody, a ostatecznie zrodziło się z tego imperium.

Kolejny powód, dla którego kłamstwo zadziało, polegał na tym, że kiedy już Wspólnota się uformowała, prorokini-imperoks ogłosiła, że jej wizje i prorocтва w zasadzie już dobiegły końca. Scedowała wszelką władzę wykonawczą administracji Kościoła Wspólnoty na arcybiskupa Xi’an oraz zgromadzenie biskupów, którzy z miejsca dostrzegli okazję i ogarnęli sytuację. Szybko stworzyli organizację, która odsunęła jednoznacznie duchowy aspekt Kościoła na boczny tor, tak aby stanowił jedynie przyprawę dla nowej religii, a nie był głównym smakiem.

Innymi słowy w tamtych kluczowych wczesnych latach formującej się Wspólnoty, gdy imperium siłą rzeczy było najbardziej kruche, ani Rachela, ani Kościół nie rozgrywali zbyt intensywnie duchowej karty. Następcy Racheli, z których żaden nie dodawał do swej tytulatury słowa „prorok”, zasadniczo szli za jej przykładem, nie ingerując w sprawy kościelne, z wyjątkiem kwestii czysto ceremonialnych, zarówno ku uldze, jak i w miarę mijania kolejnych stuleci w zgodzie z oczekiwaniami samego Kościoła.

Co oczywiste, prawda o prorocत्वach i wizjach Racheli nigdy nie została ujawniona przez Kościół. Bo i po cóż? Zaczniemy od tego, że ani Rachela, ani ród Wu nigdy jednoznacznie nie powiedzieli, poza rodzinnymi konferencjami, że duchowy

komponent Kościoła Wspólnoty został od początku do końca sfabrykowany. Trudno oczekiwać, by następcy Racheli, czy to jako imperokswowie, czy też w ramach Kościoła, przyznali coś podobnego albo nawet publicznie wypowiedali się na temat własnych podejrzeń, tym samym podkopując swój autorytet. Koniec końców wystarczyło po prostu poczekać, aż wizje i prorocтва staną się częścią obowiązującej doktryny.

Poza tym wizje Racheli w znacznej mierze się sprawdziły. Stanowiło to potwierdzenie, że „prorocтво” Wspólnoty, choć szeroko zakrojone, pozostawało praktycznie wykonalne, o ile komuś nie brakowało ambicji, pieniędzy i pewnej dozy bezwzględności, a tak się złożyło, że rodzina Wu miała tego wszystkiego w bród. Prorocтва Racheli nie żądały od ludzi, aby zmienili swój sposób życia w małych, codziennych sprawach. Proszono ich jedynie, by zmienili system rządów, tak żeby ci na samiułtkim szczycie mieli jeszcze więcej władzy, kontroli i pieniędzy niż wcześniej. Jak się okazało, nie proszono o zbyt wiele.

Wreszcie, co ciekawe, rodzina Wu się *nie myliła*. Ludzkość była mocno rozproszona, a spośród wszystkich systemów, do których znano drogę za pośrednictwem Nurtu, tylko jedna planeta była w stanie utrzymać życie bez dodatkowych instalacji – Kres. Wszyscy ludzie w pozostałych systemach żyli w habitatach na planetach, księżycach lub w przestrzeni kosmicznej. Wszystkie one w razie izolacji były niezwykle podatne na zniszczenie, a żaden z nich nie mógł pozyskać ogółu surowców koniecznych do egzystencji lub wytworzenia wszystkiego, czego potrzebował, by przetrwać.

To, czy potrzebowano akurat *Wspólnoty* jako struktury politycznej, społecznej i religijnej, aby zaistniała ta współzależność, było sprawą wysoce dyskusyjną, nawet po upływie millenium. Rodzina Wu dostrzegła ścieżkę prowadzącą do objęcia władzy politycznej i społecznej, którą dla siebie zdobyła, wykorzystując w tym celu kłamstwo, by nikt jej się nie sprzeciwiał. Przy okazji Wu stworzyli też system, w którego ramach większość ludzi mogła wieść komfortowe życie, pozbawione strachu przed izolacją, entropią i nieuniknionym, straszliwym rozpadem społeczeństwa oraz śmiercią wszystkiego i wszystkich, którzy byli im drodzy. Dotąd bowiem taka obawa nieustannie, każdego dnia, czała się gdzieś z tyłu ich głowy.

Kłamstwo, w mniejszym lub większym stopniu, pasowało wszystkim. Dla Wu było świetne, całkiem niezłe dla reszty arystokracji i ogólnie w porządku dla większości ludzi. Kłamstwo się ludziom nie podoba, jeśli ma negatywne następstwa. Ale w innym wypadku? Żyją dalej i ostatecznie zapominają, że było to kłamstwo, albo – tak jak w tym przypadku – spisują je jako fundament praktyk religijnych, polerują i szlifują, tak aby stało się czymś ładniejszym i bardziej właściwym.

Wizje i prorocтва Racheli były kłamstwem, które zadziałało dokładnie tak, jak miało zadziać. Znaczy to, że stały się kamieniem węgielnym Kościoła Wspólnoty,

pochodzącym, pamiętajmy, od prorokini. Ta była tylko jedna i równocześnie została pierwszym imperoksem. Nic w doktrynie Kościoła nie wykluczało możliwości, by inny imperoks przypisał sobie wizje czy moc prorokowania. W gruncie rzeczy doktryna wyraźnie mówiła, że moc prorokowania jest czymś przysługującym imperoksom z urodzenia, jako głowom Kościoła Wspólnoty – wszystkim osiemdziesięciu ośmiu, którzy dotąd panowali i mogli wyprowadzić swój ród od samej prorokini-imperoks, która oprócz bycia matką Wspólnoty została też rodzicem siedmiorga dzieci, w tym trojaczków.

Według doktryny każdy imperoks potrafił mieć wizje i formułować proroctwa. Tyle że z wyjątkiem samej Racheli żaden tego nie robił. To znaczy żaden, aż do teraz.

Arcybiskup Gunda Korbijn zatrzymała się nagle w przedsionku komnaty komitetu wykonawczego – pomieszczenia w pałacu imperialnym oddanego na potrzeby grupy ludzi o tej samej nazwie, której była zarówno członkiem, jak i przewodniczącą – zaskakując tym swojego asystenta, a następnie pochyliła głowę.

– Wasza eminencjo? – zagadnął asystent, młody kapłan nazwiskiem Ubes Ici.

Arcybiskup uniosła rękę, by powstrzymać go przed zadawaniem pytań, i stała przez chwilę, zbierając myśli.

– A miało być tak pięknie – wymruczała pod nosem, a następnie uśmiechnęła się smutno.

Chciała zmówić krótką modlitwę, o cierpliwość i spokój, i pogodę ducha w obliczu tego, co zapowiadało się na długi dzień, i miesiąc, i zapewne resztę jej kariery. Wyszło jednak coś całkiem innego.

I tak to w sumie miało wyglądać przez pozostałe dni.

– Czy wasza eminencja coś mówiła?

– Tylko do siebie, Ubes.

Młody ksiądz skinął głową, po czym wskazał na drzwi prowadzące do komnaty.

– Pozostali członkowie komitetu wykonawczego są już na miejscu. Oczywiście oprócz imperoks. Ona przyjdzie w umówionym czasie.

– Dziękuję – powiedziała Korbijn, patrząc na drzwi.

– Wszystko w porządku? – spytał Ici, widząc, w co wpatruje się jego przełożona. Może i był uległy, ale na pewno nie głupi. Arcybiskup to wiedziała. Doskonale zdawał sobie sprawę z bieżących wydarzeń. Trudno było je przeoczyć, zarówno jemu, jak i komukolwiek innemu. Wstrząsnęły Kościołem.

– Nic mi nie jest – zapewniła Korbijn. Postawiła krok ku wejściu, a Ici ruszył za nią, ale arcybiskup uniosła rękę ponownie. – Na to spotkanie wstęp mają tylko członkowie

komitetu – wyjaśniła, a zaraz potem zauważyła na twarzy asystenta niewypowiedziane pytanie. – Na posiedzeniu prawdopodobnie dojdzie do szczerzej i otwartej wymiany poglądów, więc lepiej, żeby pozostały w murach tej komnaty.

– Szczera i otwarta – powtórzył Ici sceptycznie.

– Tak – odparła Korbijn. – Na razie pozostanmy przy tym eufemizmie.

Ici uniósł brwi, a po chwili usunął się na bok.

Arcybiskup spojrzała ku górze, zmówiła modlitwę, tym razem autentyczną, i pchnęła drzwi, wchodząc do środka.

Komnata była wielka i tak przesadnie zapełniona różnymi ornamentami, jak mogły być tylko pomieszczenia w imperialnym pałacu, a także zagracona mnóstwem nagromadzonych przez stulecia darów, wytworów artystów korzystających z mecenatu oraz rzeczy nabytych przez imperoków, którzy mieli więcej pieniędzy niż dobrego smaku. Na przeciwległej ścianie ciągnął się fresk, na którym widniały co ważniejsze postacie historyczne, które w minionych wiekach były członkami komitetu. Namalował go artysta o nazwisku Lambert, który stworzył tło w stylu włoskiego renesansu, zaś same postacie utrzymał we wczesnowspółnotowym realizmie. Od swoich najwcześniejszych dni w tym komitecie Korbijn postrzegała ten fresk zarówno jako odpychający miszmasz, jak i niemal komiczną przesadę w heroicznym przedstawieniu postaci, biorąc pod uwagę to, czym komitet zajmował się na co dzień.

„Tego komitetu nikt nie uwieczni na fresku” – pomyślała Korbijn, podchodząc do długiego stołu, który otaczało dziesięć ozdobnych krzeseł. Na ośmiu z nich zasiadało już dwóch innych przedstawicieli Kościoła, trzech członków parlamentu oraz trzy osoby reprezentujące gildie oraz kontrolującą je arystokrację. Spośród dwóch pozostałych krzeseł to u jednego krańca stołu było przeznaczone dla niej, jako przewodniczącej komitetu. Drugie miała zająć imperok Grayland II – źródło nieustannego bólu głowy Korbijn.

O czym z resztą przypomniano jej w dokładnie tej samej sekundzie, w której zasiadła przy stole.

– O co, do kurwy nędzy, chodzi z tym, że imperok ma *wizje*?! – zapytał Teran Assan, latorośl rodu o tymże nazwisku i najświeższy członek komitetu. Był porywczym (prawdopodobnie *zbyt* porywczym, przynajmniej według oceny Korbijn) uzupełnieniem składu w miejsce Nadashe Nohamapetan, która na tę chwilę znajdowała się w imperialnym areszcie pod zarzutem zabójstwa, zdrady i próby zamordowania imperoksa.

Korbijn brakowało jej stosunkowo uprzejmej osobowości. Może i była zdrajczynią, ale maniery miała znakomite. Niestety wyskok Assana stanowił w jego przypadku normę. Był on jednym z tych, którzy uważali, że zasady społeczne są dla słabych.

Arcybiskup powiodła wzrokiem po osobach siedzących przy stole, przyglądając się ich reakcjom na ten wybuch, a te wahały się od zde gustowania po niechętnie uznanie zachowania Assana za prawdopodobny zwiastun nowych, niskich standardów złego zachowania.

– Tak, pana również dobrze widzieć, panie Teran – powiedziała Korbijn. – Jak to miło z pana strony, że zechciał pan rozpocząć nasze spotkanie od tej wymiany uprzejmości.

– Zachciewa się pani uprzejmości, kiedy nasza imperoks ogłasza, że ma religijne urojenia na temat końca Wspólnoty i rozpadu naszego systemu gildii? Niech mi wolno będzie zauważyć, wasza eminencjo, że pani odczucia w kwestii priorytetów są wzięte z dupy.

– Panie Teran, obrażanie innych członków komitetu nie jest szczególnie efektywną metodą pracy – wtrąciła Upeksha Ranatunga, wysokiej rangi parlamentarzystka zasiadająca w Komitecie. Assan ścierał się z nią od chwili, gdy znalazł się w Komitecie. Korbijn wiedziała, że Ranatunga nie da się sprowokować. Była modelowym przykładem pragmatycznego polityka. Starła się współpracować z każdym, zwłaszcza z ludźmi, którymi się brzydziła.

– Niech mi będzie wolno się usprawiedliwić – odpowiedział Assan. – W ciągu ostatniego miesiąca nasza ukochana imperoks ogłosiła, że wierzy, iż Nurt, czyli nasz sposób przemieszczania się między gwiazdami, rozpada się, przy czym wygrzebała skądś patałachowatych naukowców, o których nikt nigdy nie słyszał, żeby potwierdzili, jej słowa. A to, co mówi, napędza niepokoje ekonomiczne i społeczne, chociaż inni naukowcy podważają te twierdzenia. A teraz jeszcze, w odpowiedzi na *to*, imperoks przypisuje sobie zdolność *kontaktów mistycznych*. Mimo to jej eminencja – tu Assan machnął ręką w kierunku Korbijn – chce wymieniać *uprzejmości*. No dobra. Witam, wasza eminencjo. Jakże zacnie nam dziś wyglądasz. Jednak trawienie czasu na uprzejmości jest głupie i niepotrzebne, bo tak przy okazji, w razie gdyby wasza eminencja nie słyszała, przywódca naszego imperium ma jebane *wizje*, więc może darujmy sobie uprzejmości i skupmy się na tym! Co wasza eminencja na to?

– A cóż to masz przeciwko tym wizjom, panie Teran? – zapytała Korbijn tak uprzejmie, jak się dało, składając ręce.

– No wasza eminencja chyba sobie jaja robi. – Assan nachylił się w krześle. – Po pierwsze, to oczywiste, że imperoks snuje te twierdzenia o wizjach, bo przyparto ją do muru w temacie poglądu, że zamyka nam się Nurt. Próbuje pójść na skróty, omijając parlament i gildie, które jej się opierają. Po drugie, póki co Kościół, czyli *wasza* działka, eminencjo, daje jej podkładkę do tych działań. Po trzecie wreszcie, jeśli faktycznie ma *wizje* i nie używa ich jako wygodnej karty, to nasza młoda imperoks ma

tak naprawdę urojenia, a to może stanowić *pilną sprawę*. I wszystkim tym trzeba się zająć. Teraz! Zaraz!

– Kościół nie daje imperoks żadnej podkładki – odezwał się biskup Shant Bordleon, który jako drugi od końca pod względem starszeństwa członek komitetu siedział naprzeciw Assana.

– Doprawdy? – odpalił Assan. – Nie słyszałem bodaj pierdnięcia z jego strony w tej sprawie, od kiedy dwa dni temu Grayland wygłosiła swoją małą przemowę w katedrze. To *kilka* cykli publicystycznych. Na pewno do tej pory dało się coś na ten temat powiedzieć. Może na przykład zdementować?

– To imperoks jest *głową Kościoła* – powiedział Bordleon tonem, jakim należy się zwykle zwracać do wyjątkowo krnąbrnego dziecka. – Nie mówimy tu o jakimś pomniejszym kapłanie, który znarowił się gdzieś, w jakimś odległym habitacie górniczym i możemy mu powiedzieć, żeby wracał do szeregu.

– Czyli z imperoks nie jest tak prosto – rzucił Assan sarkastycznie.

– Istotnie, nie jest – odparła Korbijn. – Imperoks przemawiała do biskupów formalnie, *ex cathedra*, nie jako świecka głowa imperium, lecz jako człowiek Kościoła i następcza prorokini. Nie możemy *odrzuć* tego, co powiedziała w takim kontekście. Nie możemy też zdementować. Jedyne, co jesteśmy w stanie uczynić, to *pracować* nad tym – interpretować.

– Interpretować urojenia.

– Interpretować *wizje*. – Korbijn powiodła wzrokiem po siedzących przy stole. – Kościół Wspólnoty został zbudowany na fundamencie wizji prorokini Racheli, która została również pierwszą imperoks. Obie te role przenikały się od samych początków imperium. – Teraz skupiła wzrok na Assanie. – Pod względem doktrynalnym Grayland nie robi niczego kontrowersyjnego. Kościół, niezależnie od tego, jaką ma teraz postać, został oparty o wizje natury duchowej. Nasza doktryna przyjmuje, że kardynał Xi'an i Hubu jako głowa Kościoła może mieć wizje natury duchowej, tak jak Racheli. Wizje te mogą być objawieniami i wpływać na doktrynę.

– I oczekujecie, że my tak po prostu przyjmujemy to do wiadomości? – powiedział Assan.

– A kogóż to masz na myśli, mówiąc „my”? – zapytała arcybiskup.

– Po pierwsze gildie – odparł Assan, po czym wskazał na Ranatungę – a po drugie parlament.

– Nadal *istnieją* prawa piętnujące bluźnierstwa – zauważył Bordleon. – Czasami się je nawet egzekwuje.

– To wielce dogodne – stwierdził Assan.

– Pan Teran ma słusność – wtrąciła się Ranatunga i Korbijn szanowała ją przynajmniej za to, że potrafiła to powiedzieć, nie owijając w bawełnę. – Zgodnie z doktryną czy nie, na ile sięgamy pamięcią, żaden z imperoksów nie korzystał tak aktywnie ze swojej funkcji jako głowa Kościoła. A już na pewno nie twierdził, że ma wizje.

– Uważasz, że to podejrzany czas na takie rzeczy – powiedziała Korbijn do Ranatungi.

– Nie użyłabym słowa „podejrzany” – odrzekła tamta, jak zawsze tonem polityka – jednak nie mogę też nie dostrzegać sytuacji politycznej, w jakiej znalazła się Grayland. Pan Teran ma rację. Swoimi twierdzeniami na temat Nurtu imperoks zdeorganizowała funkcjonowanie aparatu rządowego. Wywołuje wśród ludzi panikę. W takiej sytuacji nie należy odwoływać się do prorocत्व, lecz do nauki i rozumu. – Na te słowa Korbijn zmarszczyła nieco czoło. Ranatunga to zauważyła i wyciągnęła uspokajająco dłoń. – To nie krytyka Kościoła czy jego doktryn. Jednak musisz to przyznać, Gunda: to nie tym zajmują się imperoksowie. Musimy przynajmniej ją o to zapytać. Bezpośrednio.

Na tablecie Korbijn wyskoczyło powiadomienie o nadejściu wiadomości. Przeczytała ją i wstała, dając znak pozostałym, aby zrobili to samo.

– Będziecie mieli taką okazję. Powstańmy. Już tu jest.

ROZDZIAŁ 2

Chwila, na którą imperoks Grayland II czekała, nadeszła pod koniec długiego i, szczerze mówiąc, otępiającego umysł spotkania.

– Wasza wysokość, może powinniśmy ponownie omówić... wizje – odezwała się arcybiskup Gunda Korbijn.

Wszystkie głowy członków komitetu wykonawczego, zasiadających dookoła stołu i mających za zadanie doradzać imperoks w administrowaniu Wspólnotą, niezależnie od tego, czy chciała rady, czy też nie, obróciły się w jej kierunku.

Na tych dziewięciu twarzach Grayland zauważyła przeróżne emocje. Niektóre odzwierciedlały troskę, co doceniała. Nie doceniała za to pogardy, którą dostrzegła na innych. Na jeszcze innych odmalowywały się rozbawienie, irytacja, niesmak i dezorientacja. Były i takie, na których dało się zauważyć połączenie kilku lub nawet wszystkich tych emocji.

Grayland II, imperoks Świętego Imperium Wspólnoty Państw i Gildii Kupieckich, królowa Hubu i Narodów Powiązanych, głowa Kościoła Wspólnoty, sukcesorka Ziemi i matka wszystkich, osiemdziesiąty ósmy imperoks z rodu Wu, przyjrzała się tym twarzom, ogarniając je wszystkie i oceniając nastrój dziewięciu prawdopodobnie najpotężniejszych ludzi w znanym wszechświecie – nie licząc jej samej.

A potem się roześmiała.

Co nie zyskało ich sympatii.

– Myślicie, że zwariowaliśmy – stwierdziła Grayland, używając imperialnego „my”, ponieważ w gruncie rzeczy właśnie była w swym wcieleniu imperoksa i mogła tak mówić, nie czując się zanadto pretensjonalnie.

– Nikt nic podobnego nie insynuuje – zapewniła pospiesznie Korbijn.

– Mamy przekonanie graniczące z pewnością, że to nieprawda – powiedziała Grayland lekceważąco. – Na pewno nikt nie zasugerował niczego takiego prosto w twarz, tutaj, przy tym stole. Nie jesteśmy jednak tacy naiwni, by wątpić, że pod naszą nieobecność o takich rzeczach nie tylko się mówi głośno, ale czasami może nawet je wykrzykuje.

Grayland zauważyła, że na te słowa kilkoro oczu zwróciło się ku Teranowi Assanowi, najnowszemu członkowi komitetu. Nie było to dla niej całkowitą niespodzianką.

– Wszyscy pozostajemy lojalni, wasza wysokość – oznajmiła Upeksha Ranatunga.

Grayland zwróciła ku niej głowę.

– Nie mamy powodu, by wątpić w lojalność komitetu – odparła uprzejmie. Twarz Ranatungi wyrażała troskę. – Względem mnie i Wspólnoty. A jednak mamy świadomość, że „lojalność” prowadzi do zatroskania, jeśli osoby ją przejawiające są przekonane, że obiekt ich lojalności postradał zmysły.

– Zatem wasza wysokość żąda od nas posłuszeństwa – rzucił Assan.

Jego oblicze z kolei wyrażało pogardę, chociaż trzeba uczciwie powiedzieć, że miał ją na twarzy od chwili, gdy kilka tygodni wcześniej objął swoją funkcję.

– Mamy nadzieję, że zachowacie wiarę – odpowiedziała Grayland i popatrzyła po zebranych. – Możecie mi wierzyć, że rozumiemy, iż ta wiara nie jest dla was łatwa. Żaden imperoks od czasów Racheli nie twierdził, że ma objawione wizje. Od tysiąclecia imperokswie byli zadowoleni, nie wtrącając się w tego rodzaju sprawy. Nawet ci z nas, którzy doświadczyli jakichś omamów, nie wiązali ich ze sferą religijną. Gdy pod koniec swojego panowania Attavio II miał halucynacje alkoholowe, widział ozdobione klejnotami kurczaki biegające po całym pałacu. – Grayland zachichotała przy tym, ale zauważyła, że nikt inny się nie śmieje.

– Niektórzy z nas mają obawy, że wizjom waszej wysokości może być bliżej do kurczaków niż do faktycznego objawienia – odrzekł Assan, a imperoks patrzyła, jak osiem par brwi, każda należąca do innego członka komitetu, wędruje ku górze, w różnym stopniu wyrażając szok i zaskoczenie.

Grayland znów się roześmiała.

– *Dziękujemy*, panie Teran. Chcielibyśmy, aby wszyscy nasi doradcy byli równie szczerzy w swych opiniach.

– Nie powiedziałem tego, żeby zyskać łaskę waszej wysokości – powiedział Assan.

– Mogę pana zapewnić, że nic podobnego nie przyszło nam do głowy – zaznaczyła Grayland, po czym zwróciła się do Korbijn, będącej przewodniczącą komitetu: – Ponieważ przewidzieliśmy, że sprawy te będą stanowić przedmiot troski komitetu, nie wspominając o Wspólnocie jako całości, nakazaliśmy Qui Drininowi, królewskiemu medykowi, aby pozostawał do dyspozycji komitetu wykonawczego. Gdy tylko szanowne grono zechce, może zapytać go o nasze zdrowie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Możecie go pytać, o co tylko zechcecie.

– Miło nam to słyszeć – podziękowała Korbijn. – Rychło go wezwiemy.

Grayland skinęła głową, po czym znów zwróciła się do Assana.

– Nasze wizje to nie kurczaki z przywidzeń, panie Teran. To coś zupełnie odmiennego. Nie możemy powiedzieć, że ich pragnęliśmy. Czasy są dostatecznie trudne i bez dodawania do nich kwestii duchowych. A jednak jesteśmy imperoks i bezpośrednimi spadkobiercami prorokini Racheli. W naszych żyłach płynie ta sama krew, co w jej. To *jest* Święte Imperium Wspólnoty Państw, a imperium uznało za

celowe utrzymać ród Wu na tronie przez całe millenium. Czyż nie jest rzeczą nierozsądną żywić przekonanie, że jednym z powodów takiego stanu rzeczy nie było pozostawienie otwartej możliwości objawienia?

– Sceptycznie podchodzę do koncepcji, że zdolność do miewania objawień jest cechą przekazywaną genetycznie, wasza wysokość – odparł Assan.

– Cóż, jeśli mamy być szczerzy, to my również. A jednak jest jak jest. My, tak jak Rachela, jesteśmy głową Kościoła Wspólnoty, który to Kościół został zbudowany na fundamencie objawień. Tak jak Rachela otrzymaliśmy nasze objawienie u progu nadchodzących zmian w funkcjonowaniu ludzkości w kosmosie. Tak jak Rachela zostaliśmy wezwani, aby pasterską ręką poprowadzić nasz lud przez czas kryzysu.

– To znaczy przez ten rozpad Nurtu, który wmawia nam naukowiec waszej wysokości.

Grayland się uśmiechnęła.

– Widział pan listę statków, jakie przybyły w ciągu ostatniego miesiąca z Kresu na Hub, panie Teran? My widzieliśmy. Jest bardzo krótka, bo ich liczba wynosi zero. Nie dotarły tu, bo nigdy nie opuściły Kresu. Prąd Nurtu, jaki prowadził stamtąd tutaj, rozpadł się. Jeśli mnie pamięć nie myli, jeden z tych statków miał być *wasz*, to znaczy należący do rodu Assan. Miał przybyć z Kresu trzy tygodnie temu. Jestem niemal pewna, że wspominał mi o tym mój główny celnik.

Assan wyglądał na nieco niespokojnego.

– Jego spóźnienie nadal mieści się w normie.

– A na Kresie trwa wojna domowa – zauważyła Ranatunga. – To będzie miało pewien wpływ na czas przybycia statków.

– Komitet może uważać, że posiada luksus wymyślania zwyczajnych przyczyn dla opóźnień w przybyciu każdego statku z któregoś z naszych państw – powiedziała Grayland. – My jednak tak nie uważamy. Hrabia Claremont pod rządami mego ojca studiował dane pochodzące z prądów Nurtu przez trzy dekady i z dokładnością do godzin przewidział rozpad tego prowadzącego z Kresu do Hubu. Jest bardzo prawdopodobne, że w przeciągu miesiąca jako następny zniknie prąd z Hubu do Terhathum. Wszystkie te dane udostępniliśmy komitetowi, parlamentowi i naukowcom. Pan Marce, syn hrabiego Claremonta, pozostał z nami, aby wyjaśnić te dane każdemu, kto zechce go wysłuchać.

– A jednak nie są przekonani ani naukowcy, ani parlament – mruknęła Korbijn.

– Do omówienia jest wiele danych, a niestety nie ma dużo czasu – odpowiedziała Grayland. – Z żalem przyznajemy, że czujemy się bardziej przekonani, kiedy rozpadnie się prąd prowadzący do Terhathum.

– Jeśli – powiedział Assan.

Grayland potrząsnęła głową.

– Kiedy.

– I wasza wysokość widziała to w swoich *wizjach* – naciskał dalej Assan.

Na te słowa imperoks się uśmiechnęła.

– Komu potrzebne są wizje, jeśli ma dane? Jednak w obu wypadkach trzeba chcieć dostrzec to, co jest do zobaczenia. Chcielibyśmy, aby ten komitet dostrzegł sedno w jednym i w drugim. Chcemy, byście zrozumieli dane. Chcemy, byście mieli wiarę. Jeśli jednak nie zdobędziecie się ani na jedno, ani na drugie, panie Teran, to *przyjmujemy* zwykłe posłuszeństwo. Na razie to wystarczy.

Wstała, zmuszając również komitet do powstania. Skinęła głową z szacunkiem, po czym wyszła z pomieszczenia.

– Myślę, że mogłam popełnić błąd – powiedziała Cardenia Wu--Patrick do ducha swojego ojca.

Attavio VI, a ściślej rzecz ujmując, jego zjawa, a jeszcze dokładniej mówiąc, jego komputerowa symulacja przygotowana w oparciu o nagrywane za życia wspomnienia, emocje i działania, kiwnął głową.

– Możliwe – odparł.

– Dzięki – burknęła Cardenia, którą w pełnej majestatu wersji zwano Grayland II. – Twój przepełniony pewnością siebie głos jest niezwykle inspirujący.

Oboje znajdowali się w Pokoju Pamięci – wielkim i w przeważającej mierze pozbawionym ozdób pomieszczeniu, do którego wejść mógł tylko aktualnie panujący imperoks. Wewnątrz znajdował się wirtualny asystent zwany Jiyi, którego można było poprosić, by przyzwał awatara dowolnego z poprzednich imperoksów, nie wyłączając Racheli. W chwili zakończenia rządów wspomnienia, emocje i działania Cardenii również miały zostać ściągnięte, aby służyły temu, kto będzie kolejnym imperoksem.

O ile jeszcze jakiś kiedykolwiek będzie, co w tej chwili uderzyło ją jako pytanie pozbawione dostatecznie dobrej odpowiedzi.

– Zwyczajnie się z tobą zgodziłem – stwierdził Attavio VI. – Wydajesz się wzburzona, więc pomyślałem, że przyznanie ci racji sprawi, że poczujesz się lepiej.

– Cóż, muszę ci powiedzieć, że akurat nie w tym przypadku. Trzeba w tym twoim programie popracować nad rozpoznawaniem emocji.

– A zatem – Attavio złożył ręce, stojąc, podczas gdy jego córka siedziała – opowiedz mi bardziej szczegółowo o tym, gdzie twoim zdaniem popełniłaś błąd.

– Mówiąc, że mam wizje.

– O końcu Wspólnoty?

– Tak.

– Hmm, cóż, tak. Prawdopodobnie w tym miejscu popełniłaś błąd.

Cardenia wyrzuciła ręce w górę.

– Zastanawiam się, na co właściwie liczyłaś – powiedział ojciec.

– Doprawdy?

– No, na ile jestem w stanie, to tak, owszem.

– To powiedz mi, dlaczego?

– Próbujesz odtworzyć to, co zrobiła Rachel, ale nie dysponujesz takimi jak ona warunkami wyjściowymi. Nie masz za sobą wsparcia rodziny Wu ani też zasobów, które mogłyby ci pomóc na innych polach. Nie masz kart przetargowych, które pozwoliłyby ci dojść do porozumienia z domami arystokratycznymi. Jedyne poparcie, jakie być może zdobędziesz, będzie pochodzić od Kościoła Wspólnoty, a i ono będzie raczej niechętnie. No i wreszcie nie tworzysz imperium, tylko próbujesz je rozmontować. Imperium, które z powodzeniem funkcjonowało przez tysiąc lat.

– Wszystko to wiem – odparła Cardenia. – Rozważyłam też fakt, że już mamy jeden prąd Nurtu, który się rozpadł, a wkrótce zaczną się zamykać kolejne. Wiem, że nie mam czasu budować konsensusu w parlamencie, z gildiami czy nawet wśród naukowców, zanim wszystko zacznie się walić. Muszę wyprzedzić kryzys na tyle, żebym miała szansę uratować tak wielu ludzi, jak to tylko możliwe. Droga do tego celu prowadzi przez Kościół, a żeby się to udało, muszę to zrobić tak, by nie miał on szansy spierać się ze mną na polu doktrynalnym. Muszę ogłosić proroctwa.

– Rozumiesz zapewne, że brak „szansy spierania się na polu doktrynalnym” nie oznacza wcale „braku sporu” – stwierdził Attavio VI. – Kościół to instytucja niezależna od religii, której służy. Tworzą go ludzie. A wiesz, jacy są ludzie.

Cardenia skinęła głową.

– Myślałam, że to wiem.

– Teraz jednak masz wątpliwości.

– Mam. Nie sądzę, że mogłam zwrócić się do Kościoła od razu. Nie jestem głupia. Liczyłam jednak na więcej współpracy z jego strony. Na więcej zrozumienia tego, co chcę zrobić.

– Nie powiedziałaś tego przywódcom Kościoła – zauważył Attavio VI, na co Cardenia zachnęła się i spojrzała na ojca.

– Aż *tak* głupia również nie jestem – odparła. – Jeśli chodzi o Kościół, mam jasny pogląd na temat funkcji swoich wizji. Jeśli chodzi o komitet wykonawczy, także. Spotkałam się dzisiaj z nimi i powiedziałam, że potrzebna mi ich wiara. Myślałam, że przynajmniej głowa mości Terana eksploduje z wściekłości.

– Nie znałem go – powiedział Attavio VI. – Znałem jego ojca. Ród Assan jest bliskim politycznym sprzymierzeńcem rodziny Wu.

Cardenia znów skinęła głową.

– Właśnie dlatego, jak sędzę, Teran znalazł się w komitecie. Gildie doszły do wniosku, że muszą mnie udobruchać po tym, jak umieściły w nim Nadashe Nohamapetan. Nie mam jednak pewności, czy on jest od niej w jakiś sposób lepszy. W przypadku Nadashe człowiek przynajmniej wiedział, że montuje intrygi z korzyścią dla siebie i swojej rodziny. Nie mam żadnej pewności, co knuje Teran.

– Mogłabyś się dowiedzieć – zasugerował Attavio VI.

– Chyba jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas.

– Jesteś imperoksem. Dla ciebie zawsze jest odpowiedni czas.

Pan Teran Assan przesunął dłoń nad zamkiem otwierającym drzwi do apartamentu w rezydencji jego rodziny na Xi'an. Mieszkanie nadal było wyposażone jedynie w najbardziej potrzebne rzeczy. Większość jego ruchomości wciąż znajdowała się w większym apartamencie w Hubfall, gdzie Teran, zanim otrzymał nominację na obecne stanowisko, pełnił funkcję dyrektora zarządzającego działaniami rodu Assan w całym systemie gwiazdowym.

Zdobycie pozycji w imperialnym Komitecie Wykonawczym stanowiło dla Assanów osiągnięcie, do którego dążyli dosłownie od stuleci. Zawsze z góry im tego odmawiano, ponieważ ród ten był powszechnie znany jako wierny sojusznik rodziny Wu, a tej z kolei nominalnie przewodził imperoks. Tak naprawdę przywódcy imperium nigdy nie mieszały się na co dzień w działania swego rodu. Kolegium dyrektorów rodziny Wu, składające się z wysoko postawionych kuzynów, natychmiast dałoby do zrozumienia, jak bardzo jest tym oburzone, a poza tym imperoks miał całą Wspólnotę do zarządzania.

Mimo to inne gildie i odpowiadające im rody arystokratyczne uważały, że relacje między Wu a Assanami są o wiele zbyt zażyłe, aby czuć się z tym komfortowo z politycznego punktu widzenia. Ostatnie, czego im było trzeba, to kolejny potakiwacz dla polityki tego, kto aktualnie zasiada na tronie imperoksów.

Jednak właśnie teraz Nadashe Nohamapetan musiała podjąć próbę zamordowania Grayland II – co najmniej raz, a możliwe, że dwa (skład sędziowski miał się dopiero zebrać, aby rozważyć ten problem). Niezależnie od tego, jak naprawdę wyglądała sytuacja w kwestii zamordowania imperoks, Nadashe, usiłując to zrobić, na pewno zabiła swojego starszego brata, podżęgała do rebelii na Kresie, wysyłając w tym celu

na planetę drugiego brata, i ogólnie działała na wszelkie zdradzieckie sposoby, jakie można sobie wyobrazić.

Nagle gildie doszły do wniosku, że przydałoby się nieco przypocholebić imperoks. Tym to właśnie sposobem ród Assan dostał się do komitetu wykonawczego. Jako wysoko postawiony członek rodziny w tym systemie Teran miał obowiązek wziąć tę odpowiedzialność na swoje barki.

Co nie zmienia faktu, że Teran uważał to za autentyczne marnowanie jego czasu. Grayland (tu skrzywił się mimowolnie, bo spotkał obecną imperoks, gdy była jeszcze Cardenią Wu-Patrick i nie zaimponowała mu ona w żaden sposób; nadawała się na przywódcę imperium mniej więcej w takim stopniu, jak Assan do żonglowania nożami) musiała spotkać się z komitetem i wysłuchać obaw i rad jego członków. Nie miała jednak obowiązku w żaden istotny sposób ich rozważać czy się do nich zastosować, a pod koniec pierwszego zebrania, w którym miesiąc temu brał udział Assan, stało się jasne, że Grayland przychodzi na posiedzenia głównie po to, żeby mieć je z głowy.

To było szczególnie problematyczne, bo tuż przed przyjściem na spotkanie Grayland rzuciła ten swój nonsens o przesunięciu się strumieni Nurtu, wyskakując z jakimś pierdołą, paniątkiem o imieniu Marce, który podobno miał na to dowody. Trzeba powiedzieć, że Marce nie był zbyt przekonującym mówcą, ani przed komitetem, ani wtedy, gdy omawiał sprawę w parlamencie. Ponieważ coraz więcej statków nie docierało z Kresu, co martwiło kilka rodów (nie wyłączając Assanów – imperoks miała rację, że jeden z ich piątaków, *I z powodu tego daru czuję się błogosławiony*, niepokojąco się spóźniał), fakt, że imperoksowy przydupas ogłosił, że następnym prądem Nurtu, jaki się rozpadnie, będzie ten prowadzący do rodzimego systemu Nohamapetanów, mógł oznaczać, że *naprawdę coś się dzieje*.

Tak czy inaczej na razie nic się nie stało. Dopóki (albo raczej jeśli) nic się nie stanie, istnieje całe mnóstwo powodów, dla których statki z Kresu mogły zostać wstrzymane, i wcale nie trzeba szukać drastycznego wyjaśnienia w postaci rozpadu prądu Nurtu. Jednym z nich mogło być wstrzymanie ruchu przez władze imperialne.

To zaś prowadziło do pytania, w co *tak naprawdę* gra Grayland II. I jak długo, jej zdaniem, może sobie tak pogrywać, zanim wszystko wokół niej się zawali? Wreszcie, czy te jej cholerne „wizje” to tylko kolejna taktyka, mająca podtrzymać tę głupią grę, do czegokolwiek miałaby ona prowadzić, przez następnych kilka dni lub tygodni?

Niezależnie od tego, co należało sądzić o tym wszystkim, Assan stwierdził, że powinien po prostu zostać w biurze i zająć się swoimi sprawami.

Co wcale nie oznacza, że nie miał zamiaru wykorzystać obecnej sytuacji na swoją korzyść.

Podszedł do barku, wrzucił do szklanki trochę lodu, nalał whiskey, po czym zadzwonił z bezpiecznego łącza do Jasina Wu – członka zarządu rodu Wu.

– Chciałeś dostać sprawozdanie z tej sesji? – zapytał Assan. Gdy Jasin mruknął potwierdzająco, opowiedział mu co ważniejsze fragmenty, w tym rozmowę na temat wizji Grayland. – Poprosiła nas, żebyśmy mieli *wiarę* – zakończył relację.

– O ja cię pierdolę – powiedział Jasin Wu z irytacją. – Rodzina Wu produkuje statki kosmiczne. A ona łązi po ludziach i opowiada, że Nurt się rozpada. Zamówienia są czterdzieści procent niższe, niż zwykle. Normalnie jakby chciała zniszczyć własny ród.

– Tak naprawdę nigdy nie *była* częścią rodziny, czyż nie? – mruknął Assan. – To Rennered miał wszystko przejąć.

– Tak, póki nie wjechał autem w mur – odparł Jasin. – Głupota. To znaczy mam na myśli to, że Nadashe Nohamapetan zabiła go, uszkodzając jego samochód.

– W sumie ona nie stanowi już dla ciebie problemu.

– Nadal żyje. Tak więc jest problemem. Póki co.

– Póki co? – dopytał Assan.

Jasin zignorował pytanie.

– Musisz załatwić spotkanie z Grayland w cztery oczy. Wybadaj, co naprawdę się z nią dzieje.

– Próbuję się z nią spotkać, od kiedy przyleciałem – zaproponował Assan. – Stale mnie wywalają z grafiku. Ty powinieneś poprosić o to spotkanie. I zabrać mnie ze sobą.

– Zwykle nie robi się takich rzeczy – odrzekł Jasin. – Imperoks co roku kurtuazyjnie spotyka się z zarządem rodu Wu, a tak na co dzień wszystko załatwiamy przez podwładnych.

– Imperoks twierdząca, że ma wizje, to też nie jest coś zwyczajnego – zauważył Assan.

Na te słowa Jasin znów mruknął potwierdzająco.

– Pomyślę nad tym – powiedział i się rozłączył.

Assan upił łyk whiskey i nawiązał kolejne bezpieczne połączenie, tym razem z Deranem Wu, kuzynem Jasina, również należącym do zarządu rodziny Wu.

– Chciałeś dostać sprawozdanie z tej sesji? – zapytał Assan, po czym zrelacjonował Deranowi spotkanie mniej więcej w ten sam sposób.

– Tak samo opisałeś wszystko Jasinowi? – spytał Deran.

– Z grubsza tak.

– I jak zareagował?

– Martwi go wpływ sytuacji na produkcję statków.

Deran parsknął.

– Bo to idiota. Cokolwiek stracimy w branży stoczniowej, i tak odbijemy sobie na sprzedaży broni i kontraktach na ochronę.

– Krótkoterminowo – zauważył Assan. – Jeśli imperoks ma rację w kwestii rozpadu prądów Nurtu.

Deran machnął ręką lekceważąco.

– Prywatny idiotyzm Grayland. Nie minie dużo czasu, zanim reszta rodu uzna ten fakt i podejmie odpowiednie kroki.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że na tę chwilę nie musisz się tym kłopotać. A także to, że byłoby miło, gdyby Nadashe Nohamapetan udało się załatwić sprawę, kiedy posłała ten prom, by przeorał moją drogą kuzynkę. To był majstersztyk.

– Wydaje mi się, że Jasin nie jest zbyt zadowolony, że ona nadal żyje. To znaczy Nadashe Nohamapetan, nie Grayland.

– Uwierz mi, jestem całkowicie świadom opinii Jasina na ten temat. Niezbyt się z nią kryje.

– Nie postawiłoby to imperoks w zbyt dobrym świetle, gdyby coś miało się stać Nohamapetanównie.

– Nie – zgodził się Deran. – I ja również wolałbym, żeby akurat ta figura szachowa opuściła planszę w inny sposób. Jedna i druga, skoro już przy tym jesteśmy. Ale to kolejna rzecz, o którą nie musisz się na razie martwić, Teran.

– Jasne.

– Powinieneś spróbować spotkać się Grayland sam na sam.

– Ignoruje mnie.

– Zobaczymy, co da się z tym zrobić, dobrze? – Deran uśmiechnął się, po czym przerwał połączenie.

Assan uśmiechnął się, tyle że do siebie. Dopił whiskey, a następnie nawiązał trzecią i ostatnią rozmowę tego wieczora.

– Tak? – zapytał głos po drugiej stronie.

– Chciałbym rozmawiać z panią Nohamapetan.

– Jest... niedysponowana.

– Mam tego świadomość. A także tego, że mogę zostawić panu wiadomość i zostanie jej przekazana.

– W czym rzecz?

– Myślę, że będzie chciała usłyszeć sprawozdanie z tej sesji.

Po drugiej stronie łączy nastąpiła chwila ciszy, aż wreszcie usłyszał:

– Proszę mówić.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy przyszła po nią zabójczyni z ostrzem wykonanym ze szczoteczki do zębów, pierwszą myślą Nadashe Nohamapetan było: „Cóż, trwało to dłużej, niż się spodziewałam”. Znajdowała się w imperialnym areszcie już od ponad miesiąca. Fakt, że Grayland II wysłała po nią kogoś dopiero teraz, stanowiło niemal obrazę. Drugą myśl, jaka jej przyszła do głowy, wypowiedziała na głos:

– Ożeż kurwa.

Gdy ktoś teoretycznie spodziewa się, że dostanie szczoteczkę (albo cokolwiek innego) pod zębra, i gdy się wie, że ktoś już ją ostrzy dla ciebie na kamieniu, i jest to osobnik wyglądający, jakby w życiu poza więzieniem dusił gołymi rękami żywy inwentarz, to całkiem na miejscu jest w takiej sytuacji solidnie sobie zakląć.

Szczerze powiedziawszy, było to tylko całkiem poruszające uwięźczenie miesiąca, który dla Nadashe Nohamapetan był naprawdę mało spektakularny.

Znała jednak ryzyko, kiedy ustawiła (w więcej niż jednym znaczeniu tego słowa) swojego brata z Grayland na wycieczkę po statku kosmicznym, a potem z pełną prędkością posłała prom w kierunku doku załadunkowego. Znała je, a jednak było to wykonalne. Ostatecznie nawet *całkowicie sensownie* można by oczekiwać, że w rezultacie tego planu imperoks zostanie rozsmarowana po pokładzie ładowni lub wessana w próżnię kosmiczną, ewentualnie że stanie się coś pomiędzy jednym i drugim. Prom był dostatecznie wielki, miał się poruszać wystarczająco szybko, a ładownia też była odpowiednio duża. Doprawdy, tylko wyjątkowemu pechowi należy przypisać, że alarmy ostrzegające o niebezpiecznym zbliżeniu się do innego obiektu rozległy się dosłownie o kilka sekund za wcześnie, co dało Grayland dość czasu, żeby rzucić się przez prędko zamykające się drzwi próżniowe.

Zdołała też przeżyć w świeżo zbudowanym statku, który wpadł w rotację i rozpadał się w wyniku działania sił odśrodkowych, odizolowana w tunelu przejściowym, z którego powoli uchodziło powietrze. Grayland powinna była zginąć w wyniku uderzenia promu, następnie w rozrywanym statku kosmicznym, a wreszcie w wyniku najzwyklejszego niedoboru tlenu.

Nie wspominając już o próbie zamordowania jej podczas ceremonii koronacyjnej.

Trudno zaprzeczyć, że Grayland miała skurwysyńskie szczęście.

W przeciwieństwie do Nadashe w ostatnich dniach.

– Lista zarzutów przedstawia się następująco – powiedział Cal Dorick, jej osobisty prawnik, niedługo po odprowadzeniu jej do aresztu – zabójstwo pierwszego stopnia za Amita, zabójstwo pierwszego stopnia za pilota promu, morderstwo drugiego

stopnia za ludzi z ochrony Grayland i Amita, usiłowanie zabójstwa, jeśli chodzi o pozostałych ochroniarzy, usiłowanie zbiorowego zamordowania załogi statku, tu mamy kilkadziesiąt osób, usiłowanie zamordowania imperoksa, próba zabójstwa imperoksa, co technicznie rzecz biorąc, stanowi osobną obrazę majestatu, no i, rzecz jasna, zdrada stanu.

– To już wszystko? – zapytała Nadashe.

Dorick spojrział na nią dziwnie, ale kontynuował.

– Na tę chwilę. Podejrzewam, że ród Nohamapetan, to znaczy twoja rodzina, rozważa właśnie, czy poprosić państwo o uzupełnienie zarzutów o zniszczenie własności. Ród Lagos, którego prom ukradłaś, niemal na pewno taką skargę wniesie, chociaż póki co to nie nastąpiło. Mogą pojawić się jeszcze kolejne punkty, bo na pewno zostanie wszczęte śledztwo.

– Więc czego możemy się spodziewać? Jeśli chodzi o wymiar kary?

Dorick zdawał się oszołomiony.

– Kary śmierci, Nadashe – odparł wreszcie. – Za zdradę to praktycznie tradycyjny wyrok. Całkiem możliwe, że za morderstwa pierwszego stopnia także dostaniesz karę śmierci. Jeśli chodzi o te stopnia drugiego, zapewne będzie to dożywocie. W przypadku usiłowania zabójstwa normalnie również grozi za nie dożywocie. Za usiłowanie zbiorowego morderstwa grożą drobniejsze kary, ale strona państwowa poinformowała mnie już, że będziesz sądzona za każde z nich z osobna, a nie za wszystkie jednocześnie.

Nadashe rozejrzała się po ponurym pokoju spotkań, w którym oboje siedzieli, pomalowanym w barwy industrialnej zieleni i szarości.

– Czyli najlepszy scenariusz, jakiego można się spodziewać, przedstawia się mniej więcej tak: jestem w dupie na resztę tego i kilka następnych żyć.

– Owszem, to najlepszy scenariusz – odpowiedział Dorick. – Scenariusz wysoce optymistyczny.

– Jakież propozycje ugody?

– Raczej nie. Kiedy państwo uważa, że usiłowałaś zabić imperoksa, zapewne zechce zrobić z ciebie przykład.

– Cóż – mruknęła Nadashe i położyła zgięte ręce na stole pomiędzy nią a jej osobistym prawnikiem – to zwyczajnie nie do zaakceptowania.

Dorick zamilkł na chwilę, ale wyglądał, jakby miał zamiar coś powiedzieć, po czym ostatecznie zamknął usta. Poprawił marynarkę, a następnie sięgnął po rysik i pad.

– A zatem mówisz mi właśnie, że „jesteś niewinna”?

– Oczywiście, jestem całkowicie niewinna.

– Wszystkich wymienionych zarzutów.

– Absolutnie wszystkich. Pomysł, że mogłabym usiłować zabić Amita, mojego brata, którego kochałam, obraża mnie. Zaś co do Grayland, jej brat był niegdyś moim narzeczonym. A mój brat miał nadzieję zostać jej narzeczonym. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie ma żadnego powodu, dla którego pragnęłabym jej śmierci. Wszystko to jest niedorzeczne. Nie jestem winna żadnej z tych rzeczy. – Dorick popatrzył na nią znacząco. – Co?

– Chciałbym ci przypomnieć, że *przyznałaś się* do zdrady – wyjaśnił prawnik. – Przejęłaś okręt transportowy wypełniony po brzegi imperialnymi marines i wysłałaś go w płyciznę Nurtu prowadzącą na Kres, żeby wsparli waszą próbę dokonania przewrotu na planecie. Powiedziałaś to samej imperoks. No i komitetowi wykonawczemu.

– Wypowiedź w afekcie – odparła Nadashe.

– Nie tak, z prawnego punktu widzenia, działa „wypowiedź w afekcie”, ale w porządku.

– Zuchwałość w chwili pełnej emocji – kontynuowała niezrażona – wywołana przez obwinianie mnie o śmierć brata. Jeśli mam być szczerą, nie pamiętam zbyt wiele z tego, co wtedy mówiłam.

– Są nagrania.

– Nie wątpię, że są. Ale pamięć mi szwankuje jeśli chodzi o szczegóły. Ocena psychologiczna może wykazać, że dla tego przedziału czasowego mam lukę w pamięci.

Dorick spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Grayland nakazała służbom przeprowadzenie dokładnego śledztwa, żeby sprawdzić, kto jeszcze mógł zostać w to wmieszany.

– *Ja* nikogo w to nie wmieszałam. To był Amit.

– Amit?

– Tak.

– Twój zmarły brat, który usiłował nakłonić imperoks do małżeństwa.

– Zawsze był przekonany, że należy mieć plan B.

– Jego plan B przewidywał zabicie się?

– Ludzie potrafią posuwać się do dramatycznych kroków – powiedziała Nadashe. – Myślę, że w czasie swojego śledztwa odkryjesz, że Amit pozostawił instrukcje, aby w razie jego śmierci okręt *Prooctwa Racheli* wyruszył na Kres.

– Tak mówisz? – zapytał Dorick, zapisując coś.

– Oczywiście.

– Stwierdzenie to jest absolutnie niemożliwe do zweryfikowania, bo jeśli imperoks ma rację, to prąd Nurtu prowadzący tutaj z Kresu już się rozpadł.

- Jeśli ktoś wierzy w coś podobnego, to tak.
- Jednak twoja wiedza na temat planowanych przez Amita działań wydaje się dość znaczna.
- Śledziłam jego poczynania.
- Dorick spojrział na swój pad i uniósł brwi.
- Z powodu zdrady?
- Tak, między innymi.
- I nie pomyślałaś, żeby powiedzieć o tym imperoks, komitetowi wykonawczemu albo choćby odpowiednim instytucjom pilnującym przestrzegania prawa, których jest... kilka.
- Amit to mój *brat*, Cal – podkreśliła Nadashe. – Musiałam mieć pewność.
- Dobra, to jeszcze raz, żebyśmy mieli jasność, wszystko to... – Dorick machnął ręką z rysikiem, jakby chciał objąć ogrom zbrodni, które usiłował popełnić jej brat.
- ... sprawka Amita, owszem.
- Jest ktoś, kto potwierdzi cokolwiek z tego, co powiedziałaś?
- Mój brat, Ghreni – odparła Nadashe. – Oni dwaj byli ze sobą bardzo blisko.
- Ghreni, który także przebywa na Kresie, a zatem nie można go tutaj wezwać, aby potwierdził twoje słowa.
- Tak. Strasznie to niefortunne.
- Strasznie – potwierdził Dorick tonem, który może o dwa odcienie różnił się od całkowitej szczerości. Nadashe z zadowoleniem zauważyła, że jej prawnik załapał dość szybko. – Cóż, to z pewnością alternatywna wersja wydarzeń, prawda?
- Tak – zgodziła się Nadashe.
- Taka, która zajmie nieco czasu, aby ją sprawdzić. Na pewno kilka tygodni, prawdopodobnie miesięcy. Może nawet lat?
- Powinieneś zająć się tą sprawą na spokojnie. Pracuj tak długo, jak potrzebujesz. Jestem skłonna poczekać na sprawiedliwość.
- Z pewnością – odrzekł Dorick i zawiesił na chwilę głos. – To będzie sporo kosztowało. Mówiąc mało delikatnie, to, czy ród Nohamapetan zechce sfinansować twoją obronę, jest dość niepewne.
- Nadashe skinęła głową.
- Zapisz sobie – powiedziała, po czym podyktowała mu długi ciąg cyfr. – Zabierz to do Banku Imperialnego w Hubfall. Skrzydło naprzeciwko Domu Gildii.
- Jeśli konto jest prowadzone na twoje nazwisko, może już być zablokowane.
- Nie, nie na moje. Na twoje.
- Hm, szkoda, że wcześniej nie wiedziałem o swojej fortunie.
- Wolałabym, żebyś się w ogóle o niej nie dowiedział. A jednak jest jak jest.

Dorick skinął głową i wstał.

– Następnym razem zobaczymy się na odczytaniu aktu oskarżenia.

– Chciałabym wyjść za kaucją – powiedziała Nadashe.

– Pamiętaj, że masz zostać oskarżona o próbę zabicia imperoksa. Liczenie na wyjście za kaucją jest bardzo *optymistyczne*.

– Mimo to spróbuj.

Cal Dorick spróbował, argumentując, nie tak znów *całkowicie* bez podstaw, że osobę oskarżoną, ale absolutnie niewinną usiłowania morderstwa któryś ze współwięźniów może usiłować skrzywdzić lub nawet zabić, zwyczajnie dla rozgłosu albo chybionej nadziei, że zabicie kogoś, kto próbował zamordować imperoksa, może poprawić jego lub jej szanse na zwolnienie warunkowe czy złagodzenie wyroku. Sędzia odczytujący akt oskarżenia był, delikatnie mówiąc, nieprzekonany. Z drugiej strony niechętnie przyznał, że Nadashe potrzebuje dodatkowej ochrony. Po zaoferowaniu miejsca w izolatce na czas poprzedzający proces sędzia ostatecznie dał Nadashe osobną celę w średnio chronionym skrzydle Zabezpieczonego Zakładu Karnego imienia Imperoksa Hanne II, położonego trzydzieści kilometrów za obrzeżami Hubfall.

Placówkę uznawano za „zabezpieczoną”, ponieważ nie istniała podziemna kolej pasażerska prowadząca do tego miejsca. Jedyнным sposobem, aby się tam dostać i odwrotnie, była podróż po powierzchni. Ponieważ Hub była pozbawioną powietrza planetą o obrocie synchronicznym, na której temperatura wynosiła albo +300, albo -200 stopni Celsjusza, w zależności od tego, po której stronie linii planetarnego terminatora ktoś chciałby sobie wędrować, przemieszczanie się po powierzchni, nawet w optymalnych warunkach, nie było, powiedzmy sobie szczerze, najprzyjemniejszym doświadczeniem. Tylko pojazdy mające odpowiednie uprawnienia mogły się zbliżyć do więzienia. Jeśli zbliżyły się takie pozbawione wspomnianych uprawnień, w odległości trzech tysięcy metrów otrzymywały ostrzeżenie, na dwóch tysiącach kierowano ku nim pociski, a na tysiącu je odpalano i niszczonego intruza. Nikt nie wychodził na powierzchnię planety, aby pobyć chwilę w samotności.

W ciągu miesiąca od swojego przybycia Nadashe stroniła od ludzi, każdemu usuwała się z drogi i unikała kłopotów. Pomagał jej w tym fakt, że kazano jej jeść posiłki we własnej celi i tam je przynoszono. Prysznic brała w ambulatorium, gdzie znajdowały się kabiny i zabezpieczone instalacje służące do brania kąpeli. Raz w tygodniu spotykała się z Dorickiem, który informował ją o bieżących wydarzeniach, między innymi o tym, że ród Lagos otrzymał administrację interesów Nohamapetanów w ramach systemu gwiazdowego i o tym, że Grayland II wywołała kryzys społeczny i polityczny, ostrzegając o nadchodzącym rozpadzie prądów Nurtu,

a całkiem niedawno zaczęła twierdzić, że ma objawienia religijne, tak jak Rachela w pierwszych latach formowania się Wspólnoty.

Nadashe, lepiej rozumiejąc kontekst obu tych kroków niż niemal każdy inny człowiek we Wszechświecie, nic nie powiedziała prawnikowi o swoich przemyśleniach i zamiast tego skupiła się na rodzinie Lagos, która przejmowała od Nohamapetanów administrację.

– Kto objął główne stanowisko? – zapytała.

– Pani Kiva Lagos – odparł Dorick.

– Aaa. Ona.

– Znacie się?

– Używała Ghreniego jako chłopca do zabawy, kiedy byliśmy na studiach. Jak jej idzie prowadzenie interesu?

– O ile można stwierdzić z zewnątrz, chyba radzi sobie dobrze.

– A od wewnątrz?

– Na razie nikt z pracujących tam ludzi nie rozmawia ze mną zbyt wiele.

– Cóż, to niegrzeczne z ich strony.

Dorick wzruszył ramionami.

– Jesteś oskarżona o zamordowanie głowy swojej korporacji i zniszczenie należącego do niej najnowszego i najdroższego statku. Tak przy okazji, wstrzymano wypłatę kwoty przewidzianej polisą ubezpieczeniową. Ponieważ w chwili wydarzenia, tak jak to póki co wygląda, należałaś do zarządu korporacji, firma ubezpieczeniowa twierdzi, że *jest* to próba wyłudzenia odszkodowania.

– To niedorzeczne.

– Biorąc pod uwagę, o jakiej kwocie mówimy, w normalnych warunkach ród zyskałby całkiem spory powód, aby inwestować w twoje uniewinnienie. Ale ponieważ usiłujesz przypisać wszystko Amitowi... – Dorick ponownie wzruszył ramionami. – Nie będą skłonni się wtrącać. Zwłaszcza teraz, kiedy sprawami zarządza Kiva Lagos.

– Póki co.

Prawnik skinął głową.

– Wydaje się całkiem prawdopodobne, że twoja matka wyśle z Terhathum jednego z kuzynów, razem z falangą prawników, aby odzyskali kontrolę. Jednak jeszcze nie dotarli, a zważywszy na to, co sugeruje Grayland w kwestii prądu Nurtu prowadzącego do Terhathum, który może znajdować się na krawędzi rozpadu, to dodaje do całości jeszcze jedną warstwę... dramatyzmu. Będę wzywał do sądu ludzi i przedkładał dokumenty, ale tak jak rozmawialiśmy, nam się nie spieszy.

Nadashe machnęła na to ręką.

– A jak tam idzie opóźnianie daty procesu?

– Zaskakująco dobrze. Prokuratura chce więcej czasu, żeby przedstawić sprawę ze swojej strony. Kiedy już zacznie się rozprawa, chcą ją zamknąć tak szybko, jak to tylko możliwe. Zachęcam ich, by się nie spieszyli.

– Dobrze.

– Czy jest jakiś inny powód wywoływania opóźnień niż dłuższe utrzymanie cię przy życiu?

– A to nie dostateczny powód? – zapytała Nadashe.

– Dostateczny. Jednak jako twój prawnik wolałbym wiedzieć, czy dzieje się coś jeszcze, co może mieć związek ze sprawą.

– A dlaczego pytasz?

Dorick otworzył teczkę i wyciągnął z niej kawałek papieru, który przesunął po blacie w kierunku Nadashe.

– Zeszłej nocy ktoś do mnie zadzwonił. Treść rozmowy może cię zainteresować. – Nadashe po cichu przeczytała kartkę. – No i nie znalazłem w niej nic, co by w jakiś szczególny sposób odnosiło się do twoich spraw w sądzie, więc nie czuję się zobligowany do pokazania jej treści oskarżeniu, jak to normalnie mógłbym zrobić – mówił dalej prawnik. – To znaczy, chyba że ty mi powiesz, że jest taki związek, a wtedy im ją przekażę.

Nadashe przesunęła papier z powrotem.

– Nie, nie sądzę, by się odnosiła do sprawy. Wygląda to trochę tak, jakby ktoś próbował cię wkręcić albo skłonić do działania w określony sposób.

– To raczej mało prawdopodobne – odparł Dorick, chowając kartkę z powrotem. – Jasne, to sprawa dużego kalibru i dostaję w związku z nią mnóstwo wiadomości od rozmaitych popaprańców.

– Dawaj mi znać, jeśli pojawią się jakieś inne wiadomości w tym rodzaju.

– Oczywiście.

Wracając do swojej celi, Nadashe obracała w myślach treść notatki pokazanej jej przez Doricka. Pochodziła od Terana Assana, którego znała towarzysko. Facet piął się w górę drabiny społecznej, rozpychając się łokciami, ale był też fiutem mającym o sobie zbyt wysokie mniemanie. Wielokrotnie też okazał się użyteczny jako źródło informacji o swoim własnym rodzie i rodzinie Wu. Fakt, że zajął jej miejsce w komitecie wykonawczym, a teraz chciał się z nią podzielić informacjami na temat imperoks oraz swoich kontaktów z rodem Wu, był bardzo interesujący.

Nadashe wiedziała, że ta hojna oferta nie jest darmowa i w którymś momencie przyjdzie czas na zapłatę, taką czy inną. To jednak było zmartwienie na kiedy indziej. Teraz mózg Nadashe był zajęty dopasowywaniem do siebie elementów układanki.

Zajęty tak bardzo, że nie zauważyła zabójczyni z naostrzoną szczoteczką do zębów, dopóki nie znalazła się mniej więcej trzy kroki od niej, prędko się zbliżając.

– Ożeż *kurwa* – powiedziała Nadashe, a zaraz potem zabójczyni wyciągnęła rękę, złapała ją za szyję, pchnęła na podłogę i wbiła nóż zrobiony ze szczoteczki do zębów w tętnicę szyjną kobiety stojącej za Nadashe, która zbliżała się do niej z całkowicie inną bronią, zrobioną z łyżki.

Łyżka Majcher, ewidentnie zaskoczona zarówno nagłym pojawieniem się kobiety z bronią ze szczoteczki, jak i faktem, że właśnie tkwiła ona w jej szyi, upuściła własny oręż i bezskutecznie próbowała namacać ostrze tkwiące w jej arterii. Pani Szczoteczka odsunęła rękę, a potem, już otwartą dłonią, pchnęła swoją broń głębiej, wywołując u tamtej gwałtowną próbę złapania oddechu. Następnie chwyciła Łyżkę Majcher za przód jej więziennej koszuli i przerzuciła ją za poręcz. Tamta spadła cztery metry w dół, na dolne piętro więzienia, wydając głuchy odgłos połączony z płasnięciem, a następnie umarła.

Szczoteczka spojrzała w dół, a potem podniosła broń Łyżki Majcher. Pomachała nią przed Nadashe.

– Nie przynoś łyżki na walkę szczoteczkami – powiedziała, po czym rzuciła broń do najbliższej celi.

– Co? – zapytała Nadashe.

Szczoteczka wskazała na Łyżkę Majcher.

– Wiesz, od kogo to?

– Obstawiam Grayland.

– Blisko, ale nie. To było od Jasina Wu.

– Dobra – stwierdziła Nadashe. – A ty od kogo?

– Od Derana Wu. I przynoszę propozycję, jaką chce ci złożyć.

W tej chwili strażnicy i inne osadzone zbierali się już wokół ciała Łyżki Majcher i spoglądali w górę, gdzie dostrzegli Nadashe.

– Tym się nie martw – zapewniła Szczoteczka. – Da się załatwić.

– Dobrze wiedzieć.

– Chcesz usłyszeć tę propozycję?

Nadashe ponownie zwróciła wzrok na Szczoteczkę. A potem pomyślała: „Hm, to też trwało dłużej, niż się spodziewałam”.

– Słucham – powiedziała do swej wybawczyni, zauważając, że strażnicy już biegną ku nim po schodach. – Tylko lepiej się pośpiesz.

ROZDZIAŁ 4

Kiva Lagos rozejrzała się po magazynie, na którego środku stała, po czym odwróciła się do Gaye Patz.

– Przyprowadziłaś mnie tutaj, żebyśmy sobie popatrzyła na pieprzone nic? – zapytała.

Gaye Patz, główna audytorka finansowa jej rodziny pokiwała głową.

– Patrzy pani na nic – zgodziła się – a *powinna* pani patrzeć na magazyn wypełniony kilkoma milionami marek nohamapetanowego zboża oraz innych towarów gotowych do załadunku na statek.

Na te słowa Kiva zamrugwała.

– A więc już zostały załadowane i zabrane?

– To możliwe – odparła Patz – ale jeśli tak się stało, to nie zrobiono tego legalnie ani nie sprzedano legalnym nabywcom. Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że w ogóle tu tego nie było. Towar wart dziesięć milionów marek zniknął.

– Ale według ksiąg rachunkowych...

– Tak, według ksiąg rachunkowych całość nadal tu jest – zapewniła audytorka. – Podobnie zresztą, jak towar wart kolejne czterdzieści albo i więcej milionów marek, który powinien znajdować się w innych magazynach Nohamapetanów na całym Hubie, a go tam nie ma.

– Towar, za który już wzięliśmy jebane pieniądze.

Patz przytaknęła.

– Wszystko, co miało się znajdować w tym magazynie, ktoś już zamówił i za to zapłacił. Tak samo za dobra z pozostałych składów. Ród Nohamapetan, a obecnie *pani*, bo przecież jest pani odpowiedzialna za administrowanie ich interesami, odpowiada za te warte czterdzieści milionów marek towary. Ale są i dobre wieści.

– Tak? Mianowicie?

– Zmagazynowane tu towary miały zostać wysłane poza nasz system. Imperoks twierdzi, że prądy Nurtu się rozpadają, więc całkiem możliwe, że tak się stanie, zanim będzie pani prawnie zmuszona wypełnić warunki kontraktu.

Na te słowa Kiva parsknęła i znów rozejrzała się po pustym magazynie.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– O tym magazynie?

– Tak.

Patz wzruszyła ramionami.

– Bo chociaż w tym przekręcie poszło całkiem sporo pieniędzy, to i tak jest to niecały jeden procent miejscowych zasobów rodu Nohamapetan i oczywiście jeszcze mniejsza część wartości całego ich handlu. Towary są przywożone i wywożone, więc te magazyny nigdy nie pozostają puste na długo. – Machnęła ręką, pokazując cały skład. – Zauważyliśmy to głównie dzięki temu, że przejście przez rodzinę Lagos zarządu nad interesami Nohamapetanów oznaczało, że trzeba zrobić audyt. W ciągu kilku dni ten oraz kilka innych magazynów znów by się zapełniły.

– Jak, do chuja, oni to poupychali?

– To magia, jaka jest możliwa, tylko jeśli twoi klienci znajdują się wiele tygodni lub miesięcy drogi od ciebie. Gdy ładunek dociera na miejsce, w przypadku jeśli pojawiają się jakieś niedobory, zamówienie albo się dopasowuje, tak aby uwzględnić braki na stanie, albo też uzupełnia się je przy późniejszych dostawach. W jednym i drugim przypadku to, co się zapodziało, zostaje zaksięgowane jako straty biznesowe i odlicza od podatków. Żeby zobaczyć w tym coś więcej, trzeba zrobić przegląd całego interesu.

– Czego Nohamapetanowie nie zamierzali zrobić, bo to oni ten bajzel uskuteczniłi – stwierdziła Kiva.

– Cóż. – W głosie Patz dało się wyczuć nutkę powściągliwości. – Na to nie ma na razie żadnych twardych dowodów.

– Z wyjątkiem tego, że Nadashe Nohamapetan najwyraźniej finansowała próbę jebanego przewrotu we Wspólnocie z kieszonkowego.

– Ano właśnie – mruknęła Patz.

– Damy radę jakoś zatuszować te braki? – zapytała Kiva. – W przeciwieństwie do pieprzonych Nohamapetanów nie możemy tak naprawdę twierdzić, że towar odpadł sobie od statku w samym środku podróży Nurtem.

– To nie moja działka. Przypuszczam, że będzie pani w stanie poprzesuwać to i owo, ale jak by nie było, jest pani pięćdziesiąt milionów marek w plecy. Kazałam moim ludziom przejrzeć rachunki z ostatniej dekady, żeby sprawdzić, jak szeroko zakrojone były te lewe działania.

– Myślisz, że znajdziesz tego więcej?

Patz spojrzała na swoją szefową z kamiennym wyrazem twarzy.

– Pani Kivo, przekręt na taką skalę nie odbywa się tak po prostu. Szukamy towarów wartych setki milionów, a może nawet miliardy marek.

– Zamachy stanu nie są tanie – zauważyła Kiva.

– Przypuszczam, że nie, proszę pani.

– A wiemy, *gdzie* te cholerne pieniądze się ostatecznie podziały?

– Jeszcze nie. Nie mamy uprawnień, by szukać ich poza miejscowymi kontami Nohamapetanów. Rachunki osobiste członków rodziny oraz inne, niepowiązane konta

znajdują się poza naszym zasięgiem. Oczywiście wymieniam informacje z imperialnym ministerstwem skarbu. Oni będą w stanie przeprowadzić szerzej zakrojone śledztwo.

– Jak znajdą jakieś pieniądze, chcę je z powrotem.

– Muszę panią uprzedzić, że to bardzo mało prawdopodobne, by ministerstwo przystało na tę prośbę.

– Pies ich szturchał.

– Tak – zgodziła się Patz – ale jest jeszcze kwestia tego, że ród Nohamapetan prawdopodobnie zalega z podatkami i grzywnami. Niemal na pewno przekroczą one sumę pieniędzy, które zaginęły.

Kiva się skrzywiła, po czym spytała:

– To ile z odpowiedzialności za to spadnie na *mnie*?

– Myślę, że to zależy od tego, kto będzie o niej orzekał. Nie sądzę, by Grayland albo ministerstwo finansów chcieli zrzucić winę za to na panią, jeśli nie z innych przyczyn, to choćby dlatego, że niemal wszystko *to* – tu audytorka znów wskazała cały magazyn – nastąpiło, zanim objęła pani zarząd. Co nie zmienia faktu, że Nohamapetanowie mogą próbować, zwłaszcza w świetle kilku ostatnich wydarzeń.

– Jakich wydarzeń?

– To kolejna rzecz, jaką wybadaliśmy w czasie audytu. Sabotaż: towarów, maszyn, statków. Wszystko to w ciągu ostatniego miesiąca, od kiedy ród Lagos przejął zarząd.

– Ile?

Patz nie odpowiedziała, ale spojrzała na Kivę, jakby chciała powiedzieć „od zajebania”.

– No to niech się powtórzę: dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Jest pani nowym szefem. Niektórzy nie chcą z panią rozmawiać.

– A inni?

– Cóż, inni chcą panią zniszczyć.

Trzy godziny później Kiva była z powrotem w swoim biurze w Domu Gildii – byłym biurze również byłego Amita Nohamapetana, który za sprawą swej siostry znalazł się na drodze promu, po czym został rozsmarowany na przestrzeni mniej więcej pół hektara pokładu ładowni, kiedy tenże prom przetoczył się po nim, a potem w nim wytarzał, niczym pies w kupie łajna.

Kiva nie uważała takiego sposobu zejścia za szczególnie dobry. Z drugiej strony im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że są gorsze. Amit umarł, zanim zdążył się o tym dowiedzieć, a przynajmniej ludzie latami będą

mówili o tym, jak zginął. Jak by nie było, sposób na pewno ciekawszy niż jakiś tam udar czy zawał serca. Jeśli się dobrze zastanowić, sprawa śmierci Amita była najbardziej pasjonująca w całym jego życiu, co jak stwierdziła Kiva, raczej nie stanowiło najlepszej spuścizny, jaką może zostawić człowiek po przeżyciu tylu lat.

Biuro obecnie-martwego-i-nieco-rozmazanego Amita Nohamapetana było przestronne, jak przystało na człowieka kierującego interesami rodziny w systemie Hubu, urządzone ze smakiem, jednak na sposób wyraźnie wskazujący, że w całości zaprojektował je wedle własnego gustu wynajęty projektant wnętrz, nie zaś Amit zgodnie ze swymi preferencjami, o ile w ogóle jakieś miał. Najprawdopodobniej nie. Po prostu w pracy dysponował wszystkimi udogodnieniami i innowacjami technologicznymi, jakich mógł potrzebować lub wymagać współczesny menedżer wysokiego szczebla.

„Może z wyjątkiem alertu ostrzegającego: hej, twoja pieprzona siostra ma zamiar wjechać ci promem w dupę” – dodała w myślach Kiva. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że taki gadżet byłby dość wyspecjalizowanym urządzeniem.

Takie właśnie myśli krążyły po głowie Kivy, kiedy patrzyła na zewnątrz przez ścianę z przezroczystego szkła i przyglądała się ulicy w dole. Oprócz normalnego zgiełku Hubu (największego miasta we Wspólnocie, co zresztą stanowiło cechę wszystkich imperialnych stolic w historii) pojawiała się w nim dodatkowa nuta, której źródłem, jak się wydawało, był jakiś protest. Kiva znajdowała się zbyt wysoko, aby dostrzec transparenty czy wyraźnie dosłyszeć, co tamci wykrzykiwali, ale niezależnie od tego, co to było, tłum wydawał się niezwykle rozemocjonowany.

– Pani Kivo.

Odwróciła głowę i zobaczyła Buntona Salaanadona, jej osobistego asystenta, który wcześniej służył Amitowi. Kiva zachowała go na tym stanowisku, bo przecież nie jego wina, że dostał robotę u mało skutecznego zdrajcy Wspólnoty. Poza tym znał się na rzeczach, które dla niej pozostawały tajemnicą, a nie chciała poświęcać tygodni czy miesięcy, aby się ich nauczyć. Jak dotąd wykazywał zarówno należną wdzięczność za to, że nie wyleciał z pracy, jak i autentyczną użyteczność na polu prowadzenia interesów rodu Nohamapetan przez Kivę, usiłującą to robić w sposób inny niż dupek, który przyplątałby się nie wiadomo skąd.

Ruchem głowy wskazała za szklaną ścianę.

– Przeciw czemu oni tam protestują?

Salaanadon podszedł do szefowej i zerknął na ulicę.

– Myślę, że to nie jest tak do końca protest. Imperoks powiedziała, że ma wizje na temat przyszłości Wspólnoty. Sądzę, że ci ludzie przyszli wyrazić poparcie.

– Aha.

Salaanadon przeniósł wzrok na Kivę.

– Czy jej wysokość wspominała o tych wizjach, kiedy pani się z nią spotkała?

– Nie – odparła Kiva. – Gdy się z nią widziałam, zasadniczo nadal zbierała się po tym, jak siostra twojego poprzedniego szefa rozwalila cały statek z nią w środku. Nie za wiele wtedy mówiła. Podziękowała mi za pomoc w odkryciu spisku Nadashe i powiedziała, że dostanę zarząd tego wszystkiego. A potem wyszłam.

– Mimo wszystko spotkanie z imperoks to zaszczyt.

– Jest w porządku. Wydaje mi się, że może się teraz bzykać z chłopakiem, z którym się dawniej zabawiałam.

– To znaczy, proszę pani? – zapytał Salaanadon.

– Nieważne. Przyszedłeś się ze mną zobaczyć w jakiejś sprawie?

– Tak, proszę pani. Zjawił się prawnik.

– Wywal go przez okno.

– W zasadzie to ją, jak sędzę.

– Zatem wywal ją przez okno. Założę się, że poleci tak samo.

– Tak bym zrobił, ale ją przysłał ród Nohamapetan.

– Czyli ktoś, kto aktualnie pracuje dla mnie.

– Obawiam się, że nie. Ta prawniczka przybyła tu z Terhathum. To...

– Wiem, czym i gdzie jest Terhathum – powiedziała Kiva. – Przyleciała z pieprzonej głównej siedziby.

– Tak, proszę pani.

– Matematyka się nam tu nie sypie?

– Terhathum leży piętnaście dni drogi Nurtem od Hubu. Tak więc nie, ale o mały włos.

– Czego ona chce?

– Przypuszczam, że chce z panią omówić administrowanie lokalnym majątkiem Nohamapetanów.

– To niech lepiej pogada z imperoks, bo to ona mnie tu usadziła.

– Zasugerowała, że są też inne sprawy.

– No to jeszcze więcej tematów do imperoks.

– Obawiam się, że nie można jej odprawić. Ma ze sobą opieczętowany dokument.

Na te słowa Kiva uniosła brwi.

– Oj, kurwa mać.

Opieczętowany dokument był aktem prawnym, który nakazywał traktować jego posiadacza tak jak najwyższego członka danego rodu. Z prawnego punktu widzenia Kiva nie mogła uniknąć spotkania z tą pierdoloną prawniczką, bo to tak, jakby olała

hrabinę Nohamapetan, co było wykluczone. Technicznie rzecz biorąc, i to pomimo zarządzenia imperoksa, Kiva w swojej nowej roli dyrektora była pracownikiem hrabiny.

- W tej chwili jest w poczekalni – dodał Salaanadon.
- W porządku. Przyrowadź ją. Miejmy to już z głowy.
- Tak, proszę pani.

Salaanadon skłonił się lekko i wyszedł. Kiva raz jeszcze zerknęła na tłum wznoszący okrzyki na ulicy i przez chwilę zastanawiała się, ilu z tych ludzi jest naprawdę wierzących, a ilu Grayland musiała zapłacić. Imperoksowie wynajmowali już tłumy do spraw mniejszej wagi niż mistyczne wizje. A jeśli Wspólnota zbliża się do katastrofalnego końca, to równie dobrze może wydać te marki, zanim staną się bezwartościowe.

„Dla ciebie to też nie jest taki zły pomysł” – powiedziała Kiva do siebie.

Jasne, ale problem z *nimi* polegał na tym, że Kivę, jak na osobę bogatą, w naprawdę niewielkim stopniu motywowały pieniądze. *Lubiła* pieniądze, podobało jej się, że je *ma*, i była świadoma, że życie bez nich byłoby w całej rozciągłości do dupy. A jednak posiadanie przez całe życie pieniędzy na dosłownie wszystko, co tylko chciałyby robić (bycie córką głowy arystokratycznej rodziny miało swoje dobre strony), sprawiało, że nigdy o nich zbyt nie myślała, a jej potrzeby materialne były pokrywane przez niewielki odsetek kwot, po jakie mogła sięgnąć.

Zamiast tego Kiva miała dwa podstawowe ulubione zajęcia: pieprzenie się, któremu oddawała się z zapałem graniczącym niekiedy z deficytem wybredności; drugim było kierowanie różnymi sprawami, co przynosiło jej satysfakcję i jak się okazało, nie była w tym taka zła. Kiva nigdy się nie łudziła, że kiedykolwiek będzie zarządzać interesami całego rodu. Jako dość późny dodatek do już wtedy licznej rodziny hrabiny Lagos, znajdowała się poza rywalizacją o sukcesję roli głównego dyrektora rodu. Ponadto, mimo przykładu danego przez jej niegdysiejszą kumpelę ze studiów Nadashe Nohamapetan, nie była skłonna mordować rodzeństwa, żeby poprawić swoje na to szanse. Niemniej Wszechświat był dostatecznie duży, by Kiva otrzymała w zarząd coś własnego. Na przykład, jak w tym przypadku, interesy Nohamapetanów.

Przynajmniej na razie. Dopóki albo Nohamapetanowie jej tego nie odbiorą, albo wszystkie prądy Nurtu się nie rozpadną i wszyscy tak czy inaczej będą mieli przesrane.

„Cholernie ciekawe czasy” – pomyślała Kiva.

Drzwi się otworzyły i wszedł Salaanadon, prowadząc kobietę mniej więcej w wieku Kivy.

- Pani Kiva Lagos. Pani Senia Fundapellonan – dokonał prezentacji.
- Pani Kivo – powiedziała prawniczka, kłaniając się.

– Tak, tak – odparła Kiva i machając ręką, zachęcała tamtą, żeby weszła i się zbliżyła. Kiedy prawniczka przebyła całe pomieszczenie, wskazała jej fotel stojący przed jej potężnym biurkiem. Salaanadon uniósł brwi, ale ostatecznie po cichu się oddalił. Kiva zapadła się w jej własne siedzisko.

– Chciałabym zacząć od złożenia na pani ręce podziękowań od hrabiny Nohamapetan, która jest wdzięczna za objęcie kontroli nad jej lokalnymi sprawami w tych niespokojnych czasach.

Na te słowa Kiva przewróciła oczami.

– Posłuchaj... Jeszcze raz, jak ci na imię?

– Senia Fundapellonan.

– Trudne do wypowiedzenia jednym tchem.

– Przypuszczam, że tak, pani Kivo.

– Fundapellonan, możemy po prostu... *darować* sobie te gówniane części rozmowy? Mam wrażenie, że jesteś mądrą osobą.

– Dziękuję, pani Kivo.

– A zatem, jako mądra osoba, wiesz równie dobrze jak ja, że wśród wszystkich emocji, jakie teraz może pod moim adresem odczuwać hrabina Nohamapetan, *wdzięczność* znajduje się na samym pierdolonym końcu listy. Dostarczyłam imperoks dowodów, że jej dzieci są zdrajcami i że jedno zamordowało drugie, a teraz zarządzam jej cholerną korporacją. Jeśli miałabym się domyślać, co *tak naprawdę* chciałaby mi zrobić, to obstawiałabym wypchnięcie mnie przez cholerne okno. – Na te słowa Fundapellonan delikatnie się uśmiechnęła. – Poza tym, zakładając, że faktycznie przyleciałaś z Terhathum...

– Owszem.

– ... to prawdopodobnie, jeśli wziąć pod uwagę czas, jaki zajmuje lot tam i z powrotem, zostałam wysłana niemal natychmiast po tym, jak hrabina dostała wieści o swoich problematycznych dzieciach. W takim razie opcja, że myśli o mnie *cokolwiek*, jest dosyć zabawna. Przypuszczam, że hrabina Nohamapetan przede wszystkim myśli teraz, pomijając „kurwa jebana mać”, o tym, jak uratować córkę od niemal pewnej kary śmierci oraz jak pozbyć się mnie i każdej innej osoby, która nie jest Nohamapetanem, z jej drogiej, pieprzonej korporacji. Czy to rozsądne założenia?

Fundapellonan odczekała sekundę, zanim odpowiedziała.

– Nie myli się pani.

– A zatem, mając żywotny interes w zaoszczędzeniu nam obu odrobiny czasu, zapytam, czy zechciałabyś od razu przejść do jebanego *sedna*.

– W porządku – powiedziała Fundapellonan. – Oto i ono, pani Kivo: rodzina Nohamapetan, którą reprezentuję, prosi, abyś ustąpiła i pozwoliła dyrektorowi,

którego sami wybierzemy, objąć w zarząd nasze lokalne interesy. – Wyciągnęła opieczętowany dokument i położyła go na biurku Kivy. – To oficjalna prośba. Nieoficjalnie mogę dodać, że w ramach warunków pani odejścia otrzyma pani znaczną premię.

– Masz na myśli łapówkę.

– Mam na myśli premię. Docenienie ze strony hrabiny faktu, że zechciałaś objąć stery w chwili kryzysu.

– Chyba już wspominałam, żebyśmy darowali sobie takie pierdolenie.

– Mamy pierdolenie, a potem kolejne pierdolenie, pani Kivo.

– No, przynajmniej w tym masz rację. – Kiva wskazała na opieczętowany dokument. – Zakładam, że zarówno ty, jak i hrabina zdajecie sobie sprawę, że zarząd nad sprawami waszego rodu otrzymałam od imperoks? Nie mogę tak po prostu zrezygnować.

– Rozumiemy to. Podobnie jak fakt, że imperoks byłaby bardziej chętna pozwolić pani odejść, gdyby również pani była skłonna zrezygnować dobrowolnie.

– Nie byłabym taka pewna.

– A dlaczego?

– Pomijając nawet to, że Nadashe Nohamapetan usiłowała zamordować imperoks przy pomocy promu, co nie przysłużyło się reputacji całej cholernej rodziny, mamy jeszcze kwestię przekrętów wewnętrznych, na jakie natrafili moi audytorzy w waszych rejestrach dotyczących kilku ostatnich lat.

Fundapellonan pochyliła lekko głowę.

– A rodzina Lagos jest całkowicie wolna od przekrętów i korupcji, pani Kivo? Wie pani równie dobrze jak ja, że kombinowanie, i to z góry na dół, ze strony pracowników, zarządzających i czasami, co przykre, także ze strony członków rodziny, nie jest niczym niespotykanym. To smutne, owszem, ale nie niespotykane.

– „Wszyscy tak robią”. To ma być wasz argument przemawiający za tym, by przywrócić zarząd Nohamapetanom?

– Uczciwie rzecz ujmując, wszyscy tak robią.

– Uczciwie rzecz ujmując, nie wszyscy, kurwa, próbują zamordować imperoks.

– A zatem pani odpowiedź brzmi „nie”?

– A zatem moja odpowiedź brzmi „chyba sobie jaja robicie”.

Fundapellonan wzruszyła ramionami.

– Jak sobie pani życzy. Chciałabym jednak, aby pani wiedziała, że tak czy inaczej mamy zamiar złożyć wnioski o pani usunięcie.

– Proszę bardzo, życzę szczęścia.

– Nie potrzebujemy szczęścia, pani Kivo. Mamy pani niekompetencję.

– Co ty pierdolisz?

– Musi pani mieć świadomość, że nastąpiło poważne zwiększenie skali sabotażu własności i towarów rodu Nohamapetan.

– Słyszałam o tym.

– Czyli musi pani zdawać sobie też sprawę, że to podważa zdolność rodu do wypełnienia zobowiązań biznesowych. To narusza reputację rodziny.

– Tego nie wiem – odparła Kiva. – Nie mam zamiaru zaprzeczać, że ostatnio nastąpił gwałtowny wzrost sabotażu, ale wydaje mi się, że najbardziej *znaczący* akt miał miejsce wtedy, kiedy Nadashe zmieniła nowiutki statek Nohamapetanów w pieprzony złom. Dopóki rozmawiamy o tym, co narusza reputację waszej rodziny, należałoby również to położyć na szali.

Na te słowa Fundapellonan uniosła brwi.

– Możliwe, że imperoks spojrzy na to odmiennie.

– Wątpię. Jeden z nich – Kiva wskazała na podpisany dokument – zapewni ci spotkanie z Grayland, ale wątpię, by imperoks zechciała zapomnieć, że wasz ród powstał przeciwko niej.

– Nie cały ród, a jeden z jego członków.

– Powodzenia z lansowaniem tego argumentu.

– *Ja* nie przedstawię tego argumentu. Zrobi to hrabina Nohamapetan.

Na te słowa Kiva zamrugwała.

– Wybiera się tutaj?

– Oczywiście – odparła Fundapellonan i się uśmiechnęła. – Pani Kivo, jak już pani trafnie zauważyła, reputacja rodu Nohamapetan ucierpiała ostatnio na skutek kilku wydarzeń. Nie jest to problem, jaki naprawiłoby pojawienie się skromnej osoby prawnika. Ba, nawet i tysiąc prawników by tego nie naprawił. Jedynym sposobem, w jaki można temu zaradzić, jest przyłot hrabiny z Terhathum, aby porozmawiała bezpośrednio z imperoks. Ja jestem tutaj, żeby zająć się, za pani przeproszeniem, kilkoma pomniejszych, przynajmniej stosunkowo, kwestiami wstępnymi. Przykładowo rozmową z panią. Hrabina zajmie się cięższymi zagadnieniami.

– A kiedy się tu zjawi?

Fundapellonan zerknęła na nadgarstek, na którym nosiła zegarek, co zirytowało Kivę jako gest przesadnie dramatyczny.

– Jeśli statek, na który planowała wsiąść, przyleci zgodnie z planem, to za mniej więcej trzy dni. – Ponownie uniosła wzrok. – Co daje pani dokładnie tyle czasu na zmianę zdania. Proszę jednak nie czekać tak długo. Naprawdę radziłabym się namyślić wcześniej.

ROZDZIAŁ 5

– To *ile* dokładnie mamy czasu?

Marce'owi Claremontowi udało się zachować opanowany wyraz twarzy. Uczył się, jak osiągnąć przynajmniej tyle, ale w myślach, przy wszystkich ważnych sprawach, klepał się dłonią w czoło, po czym przeciągał nią po twarzy. Przez ostatni miesiąc jego życie składało się z odpowiadania na pytania, raz za razem, i jeszcze raz i jeszcze... Pytanie było to samo, w swoich nieskończonych, ale przyziemnych odmianach, zadawane przez ludzi, którzy nie chcieli zostać przekonani przez odpowiedź i nie dysponowali wiedzą matematyczną pozwalającą im zrozumieć, dlaczego tak się stanie, niezależnie od tego, jak bardzo chcieliby, aby odpowiedź brzmiała inaczej.

Jednak na tym właśnie polegała teraz jego praca: specjalny asystent do spraw polityki naukowej przy imperoks Grayland II, którego zadaniem było przedstawianie Bardzo Ważnym Ludziom wszelkich spraw związanych z mającym wkrótce nastąpić rozpadem Nurtu. A należeli do nich, choć nie wyłącznie, imperialni ministrowie, członkowie parlamentu, głowy wielkich rodów arystokratycznych wraz z ich otoczeniem, biskupi i arcybiskupi Kościoła Wspólnoty, a także innych kościołów, naukowcy, dziennikarze, topowi celebryci, „myśliciele”, renomowani intelektualiści i okazjonalnie gospodarze różnych talk show.

Cały dzień, codziennie, przez ostatni miesiąc.

Cały dzień, codziennie, w dającej się przewidzieć przyszłości.

Akurat teraz Marce przyjechał ze swoją wysłużoną i sprawdzoną prezentacją do Imperialnego Stowarzyszenia Egzogeologicznego, które zebrało się na swoim zjeździe, odbywającym się co dwa lata na Hubie – co dwa lata, bo wszystkim członkom, zamieszkującym na obszarze całej Wspólnoty, trudno było taszczyć swoje dupska przez prądy Nurtu, co zajmowało całe tygodnie, a czasami nawet miesiące, zanim dotarli na miejsce, zaś na Hubie, ponieważ wszystkie prądy po prostu tutaj się zbiegały.

(„Póki co” – wyrwała się jakaś część mózgu Marce'a, który zepchnął ją z powrotem w ciemny zakątek).

Ktoś mógłby uznać, że spośród wszystkich grup, z którymi Marce omawiał temat rozpadu prądów Nurtu, to właśnie naukowców najłatwiej będzie przekonać. Ostatecznie miał dane – trzy dekady danych, przeanalizowanych, spisanych i zaprezentowanych w formie, którą zrozumiałby niemal każdy przedstawiciel tej grupy. Wykresy, diagramy i całe kolumny przypisów oraz oczywiście cyfrowy plik

pełen surowych danych, które jego ojciec, hrabia Claremont, zebrał przez te trzydzieści lat.

A jednak naukowcy byli bez wyjątku najgorszą publicznością, przed jaką przemawiał. Marce mógłby zrozumieć, jeśli fizycy zajmujący się Nurtem okazaliby się trudni albo lekceważący. W końcu to było ich poletko, a teraz jakieś pomniejsze paniątko, a jeszcze mniejszy profesor, z jakiegoś uniwersytetu na zadupiu przestrzeni kosmicznej, prezentuje im informacje, które przekazał mu jego *tata*, według których wszystko to, co wiedzieli na temat Nurtu, jest całkowicie błędne. To był dla nich prawdziwy intelektualny cios poniżej pasa. Mówiąc zupełnie szczerze, Marce mocno by się zdziwił, gdyby naukowcy zajmujący się Nurtem go nie zaatakowali. No, przynajmniej zanim znaleźliby czas, żeby usiąść nad danymi i dostrzec w nich przerażającą prawdę.

Nie chodziło jednak o samych fizyków zajmujących się Nurtem. Każda grupa naukowców, z każdej dyscypliny, opierała się przed przyjęciem do wiadomości danych, jakie on i jego ojciec zebrali i zinterpretowali. Marce czuł się autentycznie speszony, dopóki nie wrócił pamięcią do czasów akademickich i nie przypomniał sobie, co pewnego razu powiedział mu kierownik jego katedry na temat kolegów, którzy koniecznie chcieli ograniczyć znaczenie każdego nowego odkrycia, odnosząc go do obszaru, w którym czuli się ekspertami i do żadnego innego. Powiedział wówczas: „Kiedy masz młotek, wszystko wygląda dla ciebie jak gwóźdź”.

Nie był to pierwszy raz, kiedy zdanie to okazywało się prawdziwe, ale teraz Marce widział jego sedno w nowym świetle: naukowców, którzy wiedzieli jedną drobną rzecz i uważali, że tę wiedzę da się zastosować do każdego innego problemu i to do tego stopnia, że wykluczali lub dyskredytowali informacje pochodzące od ludzi specjalizujących się w tym właśnie problemie, było więcej niż kilku.

Marce raczej nie cierpiał na podobną przypadłość. Był zbyt świadomy wszystkiego, czego nie wiedział, a w ostatnich dniach miał poczucie, że owo wszystko dotyczy rzeczy, które nie są związane z rozpadem Nurtu. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, jak liczni byli naukowcy dzierżący młotki i uparcie próbujący znaleźć gwóźdź w jego danych oraz w prezentacji.

To było wyczerpujące. Marce nie raz pragnął wznieść rękę i powiedzieć: „Dobra, nie wierzcie ani mi, ani danym. Miłego okazania się głupkami, kiedy rozpad nastąpi”. Wtedy jednak przypominał sobie, jak obiecał Grayland – imperoks Wspólnoty, która w niepojęty i nieco zabawny sposób stała się również jego przyjaciółką – że pomoże jej uprzedzić upadek całej ich cywilizacji.

To zaś oznaczało, że *nie powinien* wydzierać się na widownię złożoną z opornych egzogeologów, mówiąc im, że Nurtu nic nie obchodzi, czy oni wierzą w to, że się

rozpada, czy też nie, za to *powinien* niezliczoną ilość razy odpowiadać na to samo cholerne, podstawowe pytanie, jakie padało zawsze, gdy występował ze swoją prezentacją.

– Nie mamy go ani trochę – odpowiedział Marce mężczyźnie, który zadał pytanie, łysemu facetowi sprawiającemu wrażenie ważniaka. Marce przypuszczał, że był on wybitnym specjalistą w skali całej Wspólnoty od jakiegoś bardzo specyficznego rodzaju skały wulkanicznej. Wskazał na unoszący się nad jego głową schemat, ukazujący systemy Wspólnoty oraz rozciągające się pomiędzy nimi prądy Nurtu, a dokładnie na jeden z nich, łączący Hub, stolicę, z Kresem, będący, tak się złożyło, domem Marce’a. A on zastanawiał się, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy. – Jak już wspomniałem – mówił dalej – prąd prowadzący z Kresu do Hubu już zaczął się rozpadać. Rozpad następuje od tej pierwszej planety w kierunku drugiej. Jednym z ostatnich statków, który przybył z Kresu, był ten, na którym ja przyleciałem już w czasie, kiedy to się działo. Od tygodni nie było z Kresu nowych przylotów. I według naszego najlepszego rozeznania opierającego się na danych – nie będzie.

– Czyli Kres został odcięty? – zapytał kolejny z naukowców.

– W jednym kierunku – powiedział Marce i wskazał drugi prąd idący łukiem od Hubu w kierunku Kresu. – W przeciwną stronę prąd pozostaje jeszcze otwarty. Możemy wysłać statki na Kres. Tyle że one po prostu nie wrócą. – Marce wskazał kolejny łuk. – Jesteśmy niemal pewni, że prąd łączący Hub z Terhathum będzie następnym, który się rozpadnie. Spodziewamy się, że nastąpi to w ciągu kilku tygodni. Imperoks wysłała statek badawczy, aby monitorował płyciznę Nurtu po tej stronie. Posyłamy również we wspomnianą płyciznę wyspecjalizowane drony, aby mierzyć stabilność prądu.

– A w jaki sposób to robicie? – spytał kolejny egzogeolog.

– Cóż, to skomplikowane – odparł Marce. – Wewnętrzna topografia Nurtu nie do końca odpowiada czasoprzestrzeni, do której przywykliśmy. W zasadzie gdybyśmy nie otaczali naszych statków małym bąbelkiem czasoprzestrzennym, zanim tam wleczą, po prostu przestawałyby istnieć, a przynajmniej na sposób, w jaki my rozumiemy istnienie. Mógłbym wyjaśnić to bliżej, ale potrzebowałbym więcej czasu, a za dwie i pół godziny mam następną prezentację, po drugiej stronie Hubfall.

Rozległ się cichy śmiech.

– Gdy prąd prowadzący z Hubu się rozpadnie, wtedy Terhathum zostanie odcięte, tak jak teraz Kres – stwierdził łysy prawdopodobny-ekspert-od-bardzo-specyficznego-rodzaju-skały-wulkanicznej.

– Nie – powiedział Marce i był pewny, że słyszy jęk. – Kres nazywa się tak jak się nazywa częściowo dlatego, że jest tylko jeden prąd prowadzący z niego i jeden

prowadzący do niego, oba łączące się z tym miejscem, z Hubem. Terhathum – Marce wskazał palcem rejon, gdzie obraz tego systemu gwiazdnego unosił się w powietrzu – jest połączone z Hubem, ale ma także łączność z trzema innymi systemami: Shirak, Melaka i Paramaribo. Tak więc teraz, zamiast bezpośrednio stąd, najszybsza trasa będzie prowadzić najpierw do Melaki, a potem do Terhathum. To doda do czasu podróży dziewięć dni.

– Jednak Terhathum nie będzie odizolowane.

– Jeszcze nie – Marce podszedł do panelu kontrolnego i nacisnął przycisk inicjujący animację. – Lecz rozpad prądu prowadzącego z Hubu do Terhathum będzie jedynie pierwszym z wielu. Wkrótce po nim będziemy tracić kolejne. – Jeden po drugim linie prądów znikają z animacji, co oznaczało coraz mniej połączeń między planetami. – W ciągu trzech lat niektóre systemy zostaną odizolowane. – Animacja przyspieszyła. – A zanim minie dziesięć, prądy Nurtu znikną całkowicie.

– A nie mamy innego sposobu, aby bez nich dostać się z jednego systemu gwiazdnego do innego? – zapytał ktoś inny po chwili.

– Nie, chyba że poświęcimy na to co najmniej kilkaset lat. Silniki naszych statków są zaprojektowane tak, aby poruszać się wewnątrz systemów, z szybkością stanowiącą ułamek prędkości światła. Ale nawet jeśli zbudujemy takie, które umożliwią podróżowanie szybciej, z prędkością wynoszącą, powiedzmy, dziesięć procent prędkości światła, podróże między najbliższymi gwiazdami i tak zajmą dziesięciolecia. – Marce dostrzegł rękę wędrującą do góry. – Ponieważ jesteście panowie naukowcami, nie muszę wam mówić, że poruszanie się szybciej niż światło jest fizycznie niemożliwe. – Ręka bardzo szybko opadła w dół.

– I jest pan tego pewien? – spytał łysy mężczyzna. – Bo wspominałem szwagrowi, który jest fizykiem zajmującym się Nurtem, że spotykamy się z panem dzisiaj, a on dość dosadnie powiedział, że jest pan pomyłeńcem, któremu jakoś udało się oszukać imperoks.

Na te słowa Marce się uśmiechnął. Do tego pytania też był już przyzwyczajony.

– Proszę pana, wydaje mi się, że pan nie rozumie – odpowiedział. – Ja, podobnie jak mój ojciec, którego efekty pracy państwu prezentuję, bylibyśmy *zachwyceni*, mogąc się mylić. Niepomniernie by nas ucieszył każdy fizyk Nurtu, który usiadłby nad tymi danymi – a udostępniamy je każdemu, kto tego zapragnie – wskazał w nich luki i jednoznacznie dowiódł, że umknął nam jakiś istotny skrawek informacji, a tym samym odczytywaliśmy wszystko nie tak, jak by należało. Czyż nie tak pracują naukowcy? Prezentują swoją hipotezę kolegom po fachu, pokazują wszelkie pomiary, obserwacje i dane, a potem proszą, aby wykazać w nich nieścisłości. *Najlepszy*

scenariusz, jaki nas czeka, proszę pana, jest taki, że ja i mój ojciec okazemy się pomyłkami, a ja w niesławie polecę do domu, na Kres.

Marce ponownie wskazał na Kres i kontynuował:

– Z tym jest jednak pewien problem, o którym wspominałem. To się *już* zaczęło, zgodnie z naszymi przewidywaniami i danymi. Jeśli nadal toczymy w tej kwestii spór, to wyłącznie dlatego, że rozpadł się tylko jeden prąd i nadal da się znaleźć inne powody, dla których statki, choć powinny dotrzeć już do Hubu, jeszcze nie przyleciały. Kiedy dojdzie do rozpadu prądu Hub – Terhathum, co nastąpi w najbliższych tygodniach, czas na debaty o stanie Nurtu dobiegnie końca. A kiedy tak się stanie, pytanie, jakie będziemy musieli sobie zadać, brzmi: jakie kroki powinniśmy *jako naukowcy* przedsięwziąć, aby pomóc przeżyć wszystkim pozostałym ludziom we Wspólnocie?

– Powiada pan „jako naukowcy”, lecz imperoks twierdzi, że ma wizje na temat tego, co nadciąga – narzekał egzogeolog.

Marce wyraźnie czuł się z tym nieswojo.

– Nie mogę o nich rozmawiać. Mogę rozmawiać o zaangażowaniu imperoks Grayland w dalsze i coraz szerzej zakrojone badania naukowe na ten temat, które rozpoczął już jej ojciec Attavio VI.

– Ale czy nie wydaje się panu dziwne, że ona angażuje się w ten mistyczny nonsens? Wygląda na to, że w żaden sposób nie pomaga to jej sprawie.

Marce milczał przez chwilę, rozważając jego słowa.

– Drodzy koledzy – odezwał się w końcu – właśnie przedstawiłem wam godzinną prezentację na temat hipotezy, której dane pasują do obserwowanego zachowania się Wszechświata, która została odpowiednio zrecenzowana i odpowiada wszelkim przyjętym standardom metodologii naukowej. A jednak widzę, że mniej niż połowa z was jest mniej niż w połowie do niej przekonana. Jesteście naukowcami. Jeśli nie zdołam wszystkich *was* przekonać za pomocą tych danych, to zapewne jeszcze mniej zdziałam z szerokimi kręgami społeczeństwa. – Powiódł wzrokiem po egzogeologach, którzy teraz zachowywali pełną ciszę. – Nie zamierzam wmawiać wam, że rozumiem to, co imperoks twierdzi na temat *wizji* i objawień. Na pewno nie mogę ściśle powiedzieć, że w nie wierzę. Wierzę jednak w imperoks. Wierzę, że na pewno chce pomóc swoim poddanym przygotować się na to, co się zbliża. Jeśli zaś posiadanie wizji pomaga tam, gdzie nie może tego zrobić prawdziwa, możliwa do zobaczenia i zweryfikowania nauka, to jestem w tej kwestii otwarty. Zważywszy na to, co się szykuje, możliwe, że wy też będziecie.

Marce wyczuł kobietę, zanim ją zobaczył, czy też dokładniej mówiąc, zauważył, że Nadau Wilt, jego asystent i ochroniarz, spina mięśnie, zatrzymując się w drodze do czekającego samochodu i staje między nim a kimś, kto ewidentnie szedł w kierunku ich obu. Uniósł głowę i zobaczył kobietę, nieco starszą od niego, zbliżającą się szybko i wyraźnie rozemocjonowaną, niosącą plik papierów. Kobieta zauważyła ruch Wilta i zatrzymała się kilka metrów od niego, unosząc ręce w obronnym geście:

– Powiedział pan tam prawdę, doktorze Claremont?

Marce się uśmiechnął. Trochę czasu minęło, odkąd ktoś nazwał go „doktorem”.

– Na temat Nurtu? Bezwzględnie.

– Nie na ten temat – powiedziała kobieta już otwarcie poirytowanym, wzgardliwym tonem – tylko o tym, że byłby pan zachwycony, gdyby ktoś wykazał, że jest pan w błędzie.

„Oho – pomyślał Marce – no to jedziemy”.

Jednym z nieodmiennych elementów jego prezentacji było pojawianie się jednego czy dwóch słuchaczy, którzy koniecznie chcieli go później dopaść i podzielić się własnymi „naukowymi” teoriami. Przykładowo jak to Nurt jest widmowym planem albo że imperoks tak naprawdę likwiduje prądy na rozkaz nigdy nieodkrytej, inteligentnej rasy obcych, którzy wyglądają jak skrzyżowanie rekina z pudlem (facet z tym pomysłem przyszedł z rysunkiem). W takich wypadkach strategia Marce’a sprowadzała się do bycia uprzejmym, ale jednocześnie pozwalał Wiltowi, żeby odepchnął delikwenta i pomógł mu przejść dalej.

– Tak – odparł uprzejmie. – Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby ktoś dowiódł, że się myślę w tej kwestii.

– Jest pan pewien, doktorze Claremont? Bo muszę panu powiedzieć, że nie byłam zbyt zadowolona, kiedy to pan udowodnił, że *ja* się myślę.

Przez kilka sekund Marce był zmieszany tymi słowami, ale zaraz mu przeszło. I wtedy dosłownie szczeka mu opadła.

– Pani jest... Hatide Roynold.

– Tak.

– To pani powiedziała Nohamapetanom, że prądy Nurtu nie znikają, lecz się przemieszczają.

– Tak.

– Myliła się pani w tej kwestii.

– Tak, tak – odparła poirytowana Roynold. – Może bym się nie pomyliła, gdyby pański ojciec raczył odpowiedzieć na moją korespondencję na ten temat, jaką mu wysyłałam. Nigdy tego nie zrobił.

– Imperoks nakazał mu, aby zachował wyniki swoich badań dla siebie – odrzekł Marce.

– Tak, rozumiem jego wymówkę.

– Nohamapetanowie użyli pani danych i zaplanowali przewrót.

– Nie mówili mi, że planują coś takiego – powiedziała Roynold. – Podobnie jak zapewne imperoks nie powiedziała panu, że planuje użyć pańskich danych do tych swoich niedorzecznych „wizji”.

Marce spojrział ponownie na budynek, gdzie odbywała się konferencja, z którego właśnie wyszli.

– Jak... Widziała pani moją dzisiejszą prezentację? Nie jest pani egzogeologiem.

– Dopadłam jakiś identyfikator i wtopiłam się w tłum – Roynold wskazała na siebie, niemal lekceważąco. – Wyglądam jak wyglądam. Inni egzogeologowie też nie ubierają się zgodnie z najnowszymi trendami, więc pasowałam do reszty.

– Panie Marce, powinniśmy iść – wtrącił Wilt, który wiedział, kiedy należało pchnąć sprawy do przodu.

Marce odwrócił się, pozwalając, by ochroniarz go prowadził.

– Myli się pan, doktorze Claremont – powiedziała Roynold, podchodząc do niego raz jeszcze. Także tym razem zatrzymała się, gdy Wilt posłał jej znaczące spojrzenie, lecz nie odeszła.

– Co ma pani na myśli? – spytał Marce.

Roynold wskazała na jego teczkę, gdzie miał swój tablet, projektor i papiery.

– Pańską pracę. Nie jest poprawna. Nie jest *błędna*, nie jako całość. Jednak nie jest poprawna. Jest niekompletna.

– Niekompletna...

Roynold pokiwała głową.

– Właśnie tak.

Marce zrobił krok w jej kierunku, ku niemałej konsternacji Wilta.

– Dane, jakimi dysponował mój ojciec, przewidywały rozpad prądu Nurtu z wysokim stopniem pewności. Sam sprawdzałem obliczenia matematyczne.

– Tak. Są prawidłowe. Zgadzą się również te, które dotyczą rozpadu prądu prowadzącego z Hubu do Terhathum. Niech pan posłucha, powiedziałam, że nie jesteście w błędzie.

– No to w jaki sposób nasza praca jest niekompletna?

– *Ta* część nie jest niekompletna. Jednak wasza teoria owszem. Pan i pański ojciec pracowaliście nad ogólną teorią na temat rozpadu Nurtu. – Tu Roynold potrząsnęła papierami, które trzymała w ręce. – Tu jest teoria szczegółową.

– Co ma pani na myśli?

– Mam na myśli to, że pana ojciec precyzyjnie przewidział, kiedy prądy Nurtu się rozpadną, a pan sprawdził obliczenia matematyczne. Umknęło mu jednak, że Nurt także otworzy kilka prądów. Nigdy pan nie sprawdzał tej kwestii, bo on tego nie zauważył.

Roynold wyciągnęła rękę z papierami w kierunku Marce'a, który podszedł i je wziął.

– Doszłam do błędnych wniosków, bo zaczęłam od kilku niewłaściwych założeń, których nie sprawdziłam – mówiła, kiedy Marce czytał. Wzruszyła ramionami. – Zwykła recenzja by pomogła, ale zapłacono mi, żebym nikomu o tym nie mówiła. Okazuje się, że cały *proces* przeprowadziłam dobrze, tyle że warunki początkowe dobrałam źle. Gdy dostałam pana dane, dostrzegłam, że pański ojciec i ja badaliśmy różne aspekty tego samego problemu. Powiązane, ale niemal niezależne od siebie. Włączyłam jego odkrycia w mój własny proces naukowy i doszłam do tego. – Wskazała na papiery.

Marce uniósł wzrok znad dokumentów i bezmyślnie zamrugał, patrząc na Roynold.

– Zgadza się? – zapytała i machnęła ręką w kierunku kartek. – Wszystko to oczywiście wyniki wstępne. Mimo to...

– Panie Marce – powiedział Wilt, tym razem bardziej przynaglająco.

Marce dał ochroniarzowi znak, że zrozumiał, po czym odwrócił się do Roynold, unosząc papiery.

– Mogę to zatrzymać?

– Przyniosłam je właśnie dla pana.

– Jak mogę się z panią skontaktować? Żeby porozmawiać o tym szerzej.

– Kontakt do mnie znajduje się na okładce.

– O której najlepiej do pani dzwonić?

Roynold uśmiechnęła się niezręcznie.

– Nie ma złej pory, żeby zadzwonić, doktorze Claremont. Obecnie nie mam stałego zajęcia.

Marce uniósł brwi.

– Myślałem, że jest pani profesorem uniwersyteckim.

– Cóż, okazuje się, że kiedy twoja praca popycha zdrajców do podkopania struktur Wspólnoty, w wyniku czego próbują oni zamordować imperoks, to udanie się do pracy na imperialnym uniwersytecie staje się... *problematyczne*.

– To nie pani wina, że użyli pani ustaleń w ten sposób. Nie mówili, co planują.

– Nie – zgodziła się Roynold. – Z drugiej strony ja też ich o to nie pytałam, prawda?

– Wzruszyła ramionami. – Tak czy inaczej mam teraz masę wolnego czasu, żeby pracować nad tym. Nie do końca jestem pewna, co będę jadła w następnym tygodniu. Przypuszczam jednak, że po to we Wspólnocie mamy zasiłek minimalny.

Na te słowa Marce znów podniósł wzrok.

– Doprawdy? – powiedział.

– Cóż, zdaje się, że trochę przesadziłam. Przepraszam. Czasami trudno mi wyczuć, kiedy powinnam przestać.

Marce uśmiechnął się i zwrócił jej kartki.

– Proszę pójść ze mną. Mam jeszcze jedną taką prezentację po drugiej stronie miasta. I już jestem na nią spóźniony. Możemy porozmawiać po drodze. Po prezentacji zresztą też.

– W porządku – Roynold wzięła od niego papiery. – Naprawdę nie ma mi pan za złe, że udowodniłam panu błąd. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się tego.

– Sama pani to powiedziała, doktor Roynold. Nie jestem w błędzie. Po prostu nie do końca mam rację.

ROZDZIAŁ 6

Prąd Nurtu prowadzący z Hubu do Terhathum się rozpadł.

Rozpad nastąpił przed czasem, ale ledwo zmieścił się w widełkach, jakie Marce Claremont zaprezentował imperoks Grayland II. Ostatnim statkiem, jaki wyleciał w płyciznę, zmierzając do Terhathum, był piąтак rodu Nohamapetan o nazwie *Zawsze będę cię pamiętał jako dziecko*. Uczynił to sześć godzin przed rozpadem. Kapitan *Dziecka* został przed wejściem w Nurt ostrzeżony, że doradca naukowy imperoks przewiduje jego zanikanie, a także o tym, że będzie ono następowało, poczynając od losowych rejonów prądu, a nie, jak to miało miejsce w przypadku tego prowadzącego z Kresu do Hubu, z jednego końca ku drugiemu, niczym fala. Kontrola ruchu z Hubu zasugerowała obranie drogi przez Melakę, a dopiero potem do Terhathum.

Kapitan *Dziecka* Daris Moria w rozmowie ze swoim zastępcą Linem Burrotinolem wyraziła wzdę dla Grayland II, jej doradcy naukowego oraz kontroli ruchu w systemie Hubu, po czym rozkazała statkowi wlecieć w płyciznę zgodnie z planem.

Statek miał nigdy nie dotrzeć do Terhathum zgodnie z planem. Nie miał tam dotrzeć w ogóle. *Dziecko* pozostało utracone dla Wspólnoty na zawsze. Statek wypadł z zanikającego prądu w miejscu odległym od najbliższej znanej placówki ludzi o kilka tysięcy lat świetlnych. Stało się tak, ponieważ choć o Nurcie myśli się jak o rzece, drodze czy innej linearnej trasie, tak naprawdę w żaden sposób ich nie przypominał. Nie miał też nic wspólnego z linearnością. Gdyby *Dziecko* wypadło z Nurtu sekundę wcześniej, znalazłoby się zaledwie rok świetlny od gwiazdy Syriusz A, zaledwie rzut ciężkim beretem od rodzimego systemu słonecznego ludzkości. Gdyby przydarzyło mu się to sekundę później, wyszedłby znacznie bliżej centrum galaktyki Drogi Mlecznej.

Tak więc niezależnie od tego, gdzie by się w takich przypadkach znalazł, byłoby to *daleko*. Daleko od Hubu, daleko od Terhathum, daleko od gatunku ludzkiego. Daleko od ratunku. Daleko od życia.

Zawsze będę cię pamiętał jako dziecko był statkiem zaprojektowanym do podtrzymania życia i bezpieczeństwa załogi przez pięć lat, zanim wszystko nieuchronnie stoczy się w chaos i szaleństwo. Jednak, jak większość komercyjnych piątaków, *Dziecko* tak naprawdę nie było przygotowane do utrzymania załogi przez pięć lat. W przypadku tego konkretnego statku wszystko zoptymalizowano pod kątem krótkich przewozów towarowych z Hubu do Terhathum i z powrotem, czyli odbywania podróży trwających mniej więcej dwa tygodnie w jedną stronę. Nie było *potrzeby* przystosowywać statku do przetrwania przez załogę długich okresów. Aż do teraz.

Kapitan Moria zaapelowała do swojej załogi o spokój, czemu się zresztą podporządkowano – na dwa tygodnie. Po następnych dwóch tygodniach Moria już nie żyła, a załoga, aż nadto świadoma, co się stało z *Dzieckiem* i gdzie się znajduje (a gdzie nie) oraz jak niewiele zostało żywności i innych zasobów, zaczęła się dzielić. Nim minęło kolejne pół miesiąca, połowa jej członków nie żyła, w tym większość oficerów. Dalsze sześć tygodni później przy życiu zostało zaledwie trzydziestu ludzi w trzech niewspółpracujących ze sobą grupach, zaś systemy statku zaczęły się psuć.

Minęło kolejnych 277 dni, gdy ostatni z żyjących członków załogi, magazynier Jayn Brisfelt, nagrał dość długą relację na temat ostatnich, niezwykle depresyjnych dni *Dziecka* i jego załogi, a następnie poszedł do pomieszczenia ochrony, wziął broń krótką, skierował się do jednej z kajut dla załogi, włączył jedną ze swoich ulubionych komedii, a potem zastrzelił się w pół śmiechu podczas ulubionej części filmu.

Żadna żywa istota nie miała zobaczyć ani usłyszeć nagranej na tablecie relacji. Samego tabletu, którego wewnętrzna bateria wyczerpała się w ciągu dwóch lat, po kolejnych pięćdziesięciu nie dałoby się już włączyć, nawet gdyby została naładowana. Po upływie dziesięciu lat *Dziecko* miało stać się zimną, pozbawioną mocy skorupą. Statek nigdy nie został odnaleziony przez ludzi ani żadne inne inteligentne stworzenia, nawet jeśli jakieś istnieją. Miał dryfować między gwiazdami przez dwadzieścia milionów lat, aż w końcu znalazł się w obszarze oddziaływania grawitacyjnego czerwonego karła, wokół którego orbitował przez kolejne sześć milionów lat, po orbicie przypominającej te zataczane przez komety, aż w końcu opadł na gwiazdę i rozpadł się na atomy.

Wszystko to jednak miało zdarzyć się w przyszłości. Na tę chwilę rozpad prądu Nurtu z Hubu do Terhathum został potwierdzony za pomocą prostej czynności – dron badawczy spróbował wlecieć w płyciznę i nie zdołał tego zrobić. Tam gdzie jeszcze przed momentem się znajdowała, nie było nic poza zwykłą czasoprzestrzenią i próżnią kosmiczną. Pobliski obszar zaczęły badać inne statki, podejrzewając, że wlot do Nurtu mógł się przesunąć albo też się przesunął, co obserwowano rzadko, ale teoretycznie było to możliwe. A jednak płycizna się nie przesunęła. Po prostu jej nie było.

Miało minąć wiele miesięcy, zanim wieści o rozpadzie prądu do Terhathum dotarły do wszystkich systemów Wspólnoty (w tym na samą planetę, teraz znajdującą się prawie miesiąc drogi od stolicy). Jednak w systemie Hubu efekt był natychmiastowy.

Na giełdach kursy akcji zanurkowały, a kontrakty terminowe na towary uległy załamaniu i równowartość miliardów marek wyparowała niemal w jednej chwili. Bardzo nieliczni spekulanci dzięki krótkiej sprzedaży przejściowo stali się wręcz

niedorzecznie bogaci, dopóki całkowicie nie wstrzymano transakcji handlowych, a zarówno zyski, jak i straty uległy zamrożeniu.

Kilka rodzin kupieckich złożyło u rodu Aiello, mającego monopol na ubezpieczenia, roszczenia o odszkodowania za straty, jakie poniosły w związku z rozpadem prądu Nurtu (teraz niemal na pewno potwierdzonym) z Kresu do Hubu. Roszczenia obejmowały utracone statki, towary i załogi, a łącznie szły w miliardy marek. Ród Aiello odrzucił prawie wszystkie te roszczenia, twierdząc, nie tak całkiem od rzeczy, że rozpad prądów Nurtu stanowi Akt Boski.

Sklepy i rynki na całym obszarze Hubu zostały zalane przez spanikowanych kupujących, którzy w pierwszej kolejności przychodzili po produkty podstawowe, a później już po wszystko, co jeszcze zostało. Przytłoczeni sytuacją właściciele i kierownicy sklepów zapewniali klientów, że rozpad pojedynczego prądu Nurtu nie oznacza, że od razu grozi im głód i rozpacz. Nie podziałało tak skutecznie, jak by chcieli.

Policja i siły bezpieczeństwa w całym systemie zostały postawione w stan najwyższej gotowości i otrzymały rozkaz przygotowania się na rozruchy. Dobra wiadomość była taka, że panika zdawała się ograniczać do spraw związanych z zakupami. Zła taka, że nikt nie wierzył, by potrwało to długo.

Miejsca kultu Kościoła Wspólnoty, a także innych wyznań, były zatłoczone, gdy wierzący, również ci od całkiem niedawna oraz ci w-sumie-to-wcale-ale-to-jakieś-dziwne-cholerstwo-więc-zabezpieczam-się-z-każdej-strony, przychodzili i w zależności od podejścia modlili się, medytowali albo zastanawiali się, co powinni zrobić w zaistniałej sytuacji. Księża, pastorowie, rabini, imamowie oraz przywódcy innych religii pozostawali do ich dyspozycji, zachwyceni, że mogą się przydać w chwili kryzysu duchowego i egzystencjalnego, choć z drugiej strony mieli świadomość, że to teologiczny odpowiednik panicznej bieganiny kupujących, zaś ich nowi parafianie zwyczajnie łapią co popadnie i mają nadzieję, że pomoże im to przetrwać.

W Hubfall ci o świeżo rozpalonych sercach, którzy nie znaleźli się w kościele, przyszli pod bramy Brighton – miejscowej rezydencji imperialnej. Wszyscy na Hubie wiedzieli o wizjach Grayland na temat przyszłości Wspólnoty oraz znali jej orędownika sprawy, pana Marce'a Claremonta, którego odkrycia naukowe przewidziały rozpad prądów łączących ich system z Kresem i Terhathum. Niezależnie od tego, czy uważali wizje imperoks za autentyczne, czy mieli je za podstęp użyty na potrzeby łatwowiernych albo za oznakę braku równowagi psychicznej, teraz mieli podstawy, by wierzyć, że coś jednak wie. Dlatego też przybyli do Brighton, jedni by złożyć hołd, inni by się modlić, a jeszcze inni, nawet nie mając zamiaru pójść do

kościół, chcieli jednak gdzieś się udać w tych bardzo niepokojących z teologicznego punktu widzenia chwilach.

Imperoks jednak nie przebywała w Brighton. Była na Xi'an – potężnym imperialnym habitacie unoszącym się nad planetą Hub i miastem Hubfall. Jak sugerowali niektórzy, utrzymywała kontakt ze swoją przodkinią Rachelą, jedynym imperoksem-prorokiem oprócz niej. Obie planowały następne posunięcie, następne obwieszczenie, które miało ocalić jej ludzi i jej imperium.

I tak do końca się nie mylili.

Arcybiskup Korbijn nie mogła powiedzieć, że była jakoś specjalnie zachwycona swoim następnym gościem, chociaż z drugiej strony w tej chwili niewiele już mogła zrobić, nawet gdyby chciała go odprawić. Do jej biur w kompleksie katedralnym Xi'an wkroczył Teran Assan.

– Witam, panie Assan – powiedziała, mając nadzieję, że zrobiła to dostatecznie uprzejmie.

Assan delikatnie skłonił się samą głową, po czym obrócił ją najpierw w jedną, potem w drugą stronę, oglądając prywatne biuro Korbijn, które było ogromne i wspaniale urządzone.

– Imponujące – powiedział.

– Dziękuję – odparła Korbijn. – Jestem głową mojego Kościoła.

Assan skinął głową.

– Nie Kościoła, który zbudowano na pokorze.

– Został założony przez potomkinię rodu kupieckiego, która następnie została imperoks międzygwiazdnej cywilizacji, tak więc nie, nieszczególnie.

– Skoro już mówimy o potomkach rodów kupieckich, którzy zostali imperokami, zakładam, że słyszała już pani wieści o tym, że Grayland II ma zamiar wygłosić przemówienie w parlamencie.

– Słyszałam.

– Pojawiają się spekulacje, że przy tej okazji ogłosi wprowadzenie stanu wojennego. Widząc, jak przewidywania jej naukowego pupilka na temat rozpadu prądu prowadzącego do Terhathum się sprawdzają, ludzie wpadli w panikę.

– To jeszcze nie panika.

Assan potrząsnął głową i się uśmiechnął.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewniła Korbijn. – Owszem, ludzie są wstrząśnięci i wystraszeni, ale niczego nie palą.

– Jeszcze nie.

– Miejmy nadzieję, że wcale. Pożary w zamkniętych habitatach nigdy nie są niczym dobrym.

Assan wskazał podbródkiem w kierunku okna, gdzie na placu przed katedrą w Xi'an zebrał się tłum.

– Wasz biznes w tej chwili kryzysu kręci się całkiem nieźle.

– Chciał się pan ze mną widzieć z jakiegoś konkretnego powodu, panie Teran?

– Co zrobi Kościół, jeśli imperoks wprowadzi stan wojenny?

– Po to chciał się pan ze mną spotkać?

– Częściowo tak – odparł Assan. – Jako reprezentant gildii w Komitecie Wykonawczym odbyłem kilka niepokojących rozmów na łączach, a także otrzymałem wiadomości od zaniepokojonych rodów arystokratycznych oraz przedstawicieli gildii. Wiem, że podobnie wygląda sytuacja u moich odpowiedników z parlamentu, którzy muszą rozmawiać ze swoimi wyborcami. Jednak podstawą waszej władzy, panie arcybiskup, nie są ludzie, lecz sam Kościół.

– Panie Teran, mówi pan tak, jakbyśmy nie mieli parafian.

Assan znowu wskazał na tłum.

– Teraz więcej niż przedtem.

– Mówię tylko, że nie zgadzam się z pańską oceną.

– Jak sobie pani życzy, ale nadal nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Bo się nad tym nie zastanawiałam – odrzekła Korbijn – a nie zastanawiałam się, ponieważ dosłownie pierwszy raz o tym słyszę. Nie jestem skłonna dokonywać pobieżnych osądów na temat spekulacji. Równie dobrze mogłabym zapytać pana, co by pan zrobił, gdyby Grayland ogłosiła, że zabrania jedzenia śniadania.

– Jestem za jedzeniem śniadań.

Korbijn uniosła rękę.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem, o co pani chodziło – zapewnił ją Assan. – Zaryzykuję jednak stwierdzenie, że pani umyka, o co chodziło mnie. Nie przedstawiam pani abstrakcyjnej, hipotetycznej kwestii, jak prawne zakazanie spożywania posiłków. Imperoks przemówiła do Kościoła jako jego przywódca i ogłosiła, że ma wizje, czyli wydarzyło się coś, co nie miało miejsca od tysiąca lat, po czym zobligowała was, żebyście podążali za jej przywództwem. – Machnęła ręką w kierunku tłumu stojącego pod katedrą. – Rzekłbym, że rozegrała to bardzo dobrze. Właśnie widzimy, jak do waszych kościołów i katedr cisną się przerażeni ludzie, a wasza instytucja, ta, którą panie arcybiskup reprezentuje, zyskała więcej władzy. Tę władzę jednak wam pożyczono, a wierzycielem jest imperoks, która ją zyskała tym swoim bredzeniem o wizjach.

– Co pan sugeruje?

– Nic nie sugeruję. Mówię to głośno i wyraźnie: zrobiła wam przewrót, wam w szczególności, pani arcybiskup, i wykorzystwała rozpad dwóch prądów Nurtu, aby przenieść władzę z Kościoła na siebie. Zrobiła to tak zręcznie, że najwyraźniej nawet jeszcze tego nie zauważyliście. No chyba że to widzicie, ale wam to nie przeszkadza. – Korbijn już otwierała usta, żeby na to odpowiedzieć, lecz Assan mówił dalej. – Teraz zaś imperoks planuje przemówić w parlamencie, zaraz po rozpadzie prądu prowadzącego do Terhathum, kiedy ludzie są przerażeni, bezradni i szukając oparcia, są podatni na naciski polityczne. Biorąc *to* wszystko pod uwagę, czy moje pytanie na temat możliwości, że imperoks wprowadzi stan wojenny, brzmi pani jak hipotetyczna abstrakcja?

– Nie – odparła po chwili Korbijn.

– A zatem wróćmy do rzeczoności pytania.

– Ale również nie wydaje mi się to *prawdopodobne* – ciągnęła arcybiskup, ignorując wtrącenie Assana. – Jak dotąd pracowałam z imperoks przez całe jej panowanie. Znałam ją, zanim została przywódcą. Grayland ma wiele cech, z których nie wszystkie są pożądane u imperoksa, ale żądza władzy nie jest jedną z nich.

– A jeśli się pani myli?

– A jeśli *pan* się myli? – Teraz na Korbijn przyszła kolej, by wskazać na tłum na zewnątrz. – Pańska ocena na temat przewrotu w Kościele Wspólnoty pomija fakt, że w żadnym momencie, ani przed, ani po tym, jak przemówiła do biskupów, nie próbowała w żaden sposób przejąć kontroli. Nie siedzi w tym biurze, określając politykę, praktyki czy doktrynę. To ja tu jestem. To nie ona przydziela księży do parafii. Robi to biskup Carnick. Nie zarządza też naszą polityką socjalną. Robi to biskup Ormill. Na razie.

– Na razie?

– Zastanawia się, czy nie poprosić o zmianę przydziału. Powiada, że to nagły kryzys wiary. Ktokolwiek jednak zajmie jego miejsce, nie będzie to nominacja imperoks. To jest właśnie sedno tego, co usiłuję panu powiedzieć, panie Teran. Żeby nastąpił przewrót, musi dojść do przesunięcia władzy. A nic takiego nie miało miejsca.

– Skoro tak pani mówi, pani arcybiskup – powiedział Assan. – Zdaje się, że otrzymałem pani odpowiedź. Dziękuję. – Skinął głową, po czym wyszedł równie nagle jak wszedł, obrzucając całe biuro wzrokiem, tak jak zrobił to wcześniej.

Korbijn stała przez chwilę, zastanawiając się, co tak naprawdę właśnie się stało, po czym zaniepokojona siadła za biurkiem. Zadzwoiła po Ubesa Ici, swego asystenta. Pojawił się w drzwiach niemal natychmiast.

– Tak, wasza eminencjo?

- Zorganizuj na ten wieczór spotkanie z moimi doradcami – poprosiła. – Na siódmą. Każ biskupom wyczyścić swoje terminarze, jeśli zajdzie taka potrzeba.
- Mogę im powiedzieć, czego będzie dotyczyło spotkanie?
- Potrzebuję ich rady. Na temat imperoks.
- Ici zamilkł na chwilę, jakby chciał poprosić o więcej wskazówek, ale się rozmyślił.
- Tak, wasza eminencjo.
- I... Ubes.
- Tak?
- Każ przygotować kolację i przekąski. To będzie długie spotkanie.

- A jak arcybiskup Korbijn przyjęła twoją sugestię, że została rozegrana? – zapytał Jasin Wu.

- Zaprzeczyła, to oczywiste – odparł Assan. – Nie chodziło jednak o to, żeby się z tym zgodziła, tylko o zasianie ziarna niepewności. Jasne, już przedtem je miała. Ktoś na jej stanowisku nie przechodzi do porządku dziennego nad nową imperoks, która wyskakuje nagle z prorocत्वami. To zagrożenie dla jej osobistej władzy i wpływów.

Jasin odchrząknął. Obaj siedzieli w jego biurze w Domu Gildii w Hubfall, charakteryzującym się prostymi kształtami i atmosferą władzy, jak przystało na pozycję Jasina w zarządzie rodu Wu. Trzymali w dłoniach szklanki z whiskey, co jak pomyślał Assan, stanowiło równie banalną oznakę władzy, jak ogromne biuro, w którym właśnie stali.

- Kiedy przyjdzie czas, będę jej potrzebował po swojej stronie, Teran.
- Wiem o tym, Jasin.
- Dobrze, bo wygląda na to, że ten czas nadejdzie raczej wcześniej niż później.
- Z powodu rozpadu prądu Nurtu prowadzącego do Ter-hathum.
- Z powodu tego, że jest on zaledwie pierwszym. No – zreflektował się Jasin – drugim. Tak czy inaczej spotka to wszystkie pozostałe, a my musimy się przygotować, zanim rozpadnie się ich zbyt wiele.

- Przygotować na twój zamach stanu.

Jasin się skrzywił.

- Kurwa mać, nie wymawiaj tego słowa na głos, Teran.
- Nazywajmy rzecz po imieniu, Jasin. Obaj wiemy, że to konieczne. To dlatego robiłeś te wszystkie manewry, aby przede wszystkim umieścić mnie w Komitecie Wykonawczym. Żebym urobił w tej kwestii pozostałych jego członków.

Jasin zerknął na niego.

– Ponoć nie jesteś jakoś specjalnie popularny wśród członków komitetu. W rozmowach na twój temat często się przewija słowo „duppek”.

– Jestem po prostu sobą.

– To prawda. Zawsze byłeś dupkiem. Mówię to z szacunkiem.

– Wiem. Nie widzę powodu próbować być kimś, kim nie jestem. Ludzie w komitecie nie są głupi. Dostrzegliby to. Tak więc jestem dupkiem. Tyle że jestem dupkiem, który ma rację. Niezależnie od tego, jak bardzo mnie nie lubią, nie mogą zaprzeczyć, że ją mam.

– Optymistyczne podejście.

– Ale działa.

– Miejmy nadzieję. – Jasin upił łyk ze szklanki. – Nadashe Nohamapetan nadal żyje.

– Słyszałem.

Jasin znów spojrzał na Terana.

– Żyje, bo powiedziałaś Deranowi, że planowałem kazać ją zabić?

– Nie – odparł Assan z pogardą. – Żyje bo biuro Derana jest trzy drzwi dalej, a w rodzinie Wu informacje przepływają bardzo łatwo.

– Dałem ci do zrozumienia, że coś planuję.

– I nikomu o tym nie mówiłem. Wiesz, że rozmawiam z Deranem, a Deran wie, że ja rozmawiam z tobą. Różnica polega na tym, że Deran sądzi, że jestem jego podwójnym agentem, podczas gdy tak naprawdę jestem twoim. I pozwól, że jako twój podwójny agent powiem ci, że dobrze się stało, że ta próba się nie powiodła.

– Nadashe Nohamapetan jest niebezpieczna.

– Owszem. Tyle że ona i jej rodzina mogą być twoimi wrogami albo sprzymierzeńcami. Ród Nohamapetan jest teraz w niełasce, ale nadal pozostaje potężny. Wciąż ma potężnych przyjaciół. A jeśli to, co planujesz, ma się powieść, będziesz potrzebował wszystkich przyjaciół, jakich tylko zdołasz znaleźć.

– Chciałbym zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy mu powiedziałaś, że to nie ty mi doniosłaś, że planuje zamordować Nadashe – powiedział pół godziny później w swoim biurze Deran Wu. Było ono nieco mniejsze niż to Jasina, ale chyba bardziej bogato wyposażone, zaś whiskey na pewno lepsza.

– Cóż, ty wiesz, że rozmawiam z Jasinem – odrzekł Assan – a on z kolei wie, że rozmawiam z tobą. Jedyne różnica polega na tym, że Jasin sądzi, że jestem jego podwójnym agentem, podczas gdy tak naprawdę jestem twoim. I pozwól, że jako twój

podwójny agent powiem ci, że przyszedł czas, żebyś był ostrożny, jeśli chodzi o Nohamapetanów.

– Dlaczego? Teraz, kiedy mam z Nadashe umowę, będzie się o mnie pozytywnie wypowiadała przed swoją rodziną za pośrednictwem prawnika. W zamian ja użyję naszego wymiaru sprawiedliwości i kontaktów w służbach bezpieczeństwa, aby narobić bałaganu w dowodach, które wiążą ją z całą sprawą.

– Czyli z konieczności będziesz musiał zwalić wszystko na Amita.

– No i?

– No i to, że powszechnie wiadomo, że Amit był ukochanym dzieckiem hrabiny, więc szczerze na jego pamięć, żeby wyciągnąć z tarapatów jej córkę, co do której na pewno wie, że zabiła tegoż właśnie ulubieńca, może nie dać rezultatów, jakie sobie po tym obiecujesz.

Deran zmarszczył czoło.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Tak właśnie sędzę.

– Masz jakiś plan alternatywny?

Assan się uśmiechnął.

– To zależy, jak bardzo agresywny chciałbyś być przy próbie zostania imperoksem.

– A zatem rozgrywa pan dwóch kuzynów Wu przeciwko sobie – powiedziała Tinda Louentintu, która była szefem zespołu hrabiny Nohamapetan, a mówiła to w apartamencie w Racheline, najbardziej ekskluzywnym i najbezpieczniejszym hotelu w całym Hubfall. Mówiła to właśnie tam, a nie w biurach rodu Nohamapetan, ponieważ w tamtym gniazdku rezydowała aktualnie kukułka, czym zresztą należało się niebawem zająć. Racheline zachowywała się w sposób perfekcyjny, imperialny apartament był genialnie przygotowany i urządzony, zaś whiskey, którą Assan pił bardzo powoli, pamiętając, ile już alkoholu krąży w jego organizmie, była wręcz niemożliwie wyborna.

– Nie do końca rozgrywam ich przeciw sobie – odparł Assan. – Pozwalam im obu myśleć, że wykorzystują mnie do szpiegowania tego drugiego, a ja decyduję którego z nich chcę w danym momencie wstrzymać w ich pędzie do tronu imperoksa.

– To może się kiepsko skończyć, jeśli porównają notatki – zauważyła Louentintu.

– Żeby do tego doszło, musieliby pohamować wzajemną odrazę na dłużej niż piętnaście sekund. Moja rodzina od pokoleń jest blisko z rodem Wu. Jestem w wieku dokładnie pomiędzy Jasinem i Deranem i dorastałem w Hubfall, kolegując się

z jednym i drugim. Nikt spoza rodziny nie zna ich lepiej niż ja. Żadnemu nie grozi zapalenie nagłym uczuciem do kuzyna.

– Widzę, że uważa pan za korzystne utwierdzenie ich w sprzecznych celach.

– Mówi to pani, jakbym to ja ich popychał przeciwko sobie – odparł Teran. – Moja rodzina ma takie powiedzenie: „Nikt nie nienawidzi Wu tak jak inny Wu”. To niemal cud, jeśli na ich zebraniu dyrektorów zdołają się zgodzić, co zjedzą na obiad, a co dopiero w kwestii faktycznie związanej z interesami. Nie utwierdzam Jasina i Derana w sprzecznych celach, ale też nie widzę problemu w wykorzystaniu ich sprzecznych celów na własną korzyść.

Louentintu skinęła głową.

– I właśnie dlatego jest pan tutaj, panie Teran.

– Tak. Musi pani wiedzieć, że niezależnie od wszystkiego Grayland jest na krawędzi. Jeśli rzeczywiście ma wizję, to jest w stanie niestabilnym. Jeśli ich nie ma, to oznacza, że w chwili kryzysu podjęła grę, którą częściowo rozgrywa według własnych zasad. Dla dobra Wspólnoty ona musi odejść.

– Skoro pan tak mówi.

– Uhm, tylko że to nie ja – powiedział Assan. – A przynajmniej nie *tylko* ja. Inne rody robią się nerwowe w związku z tymi zmianami w Nurcie oraz z tym, że Grayland może je wykorzystać jako pretekst do zmian w ich monopolach i sposobie prowadzenia interesów. Parlament jest przekonany, że imperoks ma zamiar wprowadzić stan wojenny. Nawet Kościół nie jest do końca pewien, co w tej sytuacji zrobić z Grayland, która zaczyna naśladować Rachelę. Zbliżają się zmiany. Tyle przynajmniej jest oczywiste. Myślę, że każdy się zgodzi, że gdy zmiana nastąpi, będziemy potrzebować stabilności na szczytach władzy. Na tronie imperoksów.

– Już raz ród Nohamapetan podniósł rękę na imperoks – zaznaczyła Louentintu. – Nie wyszło nam to na dobre.

Assan potrząsnął głową.

– Nie. Proszę mi wybaczyć, pani Louentintu, ale to nie rodzina Nohamapetan podniosła rękę na imperoks, tylko jeden z jej członków. Choć ów członek mógł postępować nierozważnie, to jasne jest, że rodzina mogła zasadnie mieć pretensje. Ród imperialny zgodził się, by następny imperoks poślubił kogoś z Nohamapetanów, po czym nowa władczyni wycofała się z umowy. A nie powinna tego robić. Był to błąd wymagający naprawy. I można go naprawić. – Na te słowa Louentintu uniosła pytająco brwi. – To znaczy jeśli ród Nohamapetan będzie skłonny zawrzeć umowę z tym czy innym kuzynem z rodu Wu, który aktualnie próbuje przejąć tron, i poprzeć go swoimi zasobami oraz zasobami swych przyjaciół.

– Kiedy?

– Wkrótce, jak sądzę. Przecież naukowcy imperoks podali nam chronologię procesu.
– A co pan będzie z tego miał? – zapytała trzecia osoba w pomieszczeniu, wyciągnięta na łóżku w pozycji półsiedzącej, która do tej pory się nie odzywała.

– Co ma pani na myśli?

– Mam na myśli to, że nie jestem głupia – powiedziała hrabina Nohamapetan. – Wiem, po co są w tym wszystkim potrzebni Jasin i Deran Wu. Po prostu imperoksem musi być ktoś z ich rodu i są na tyle głupi, aby się pisać na tę robotę. Nawet teraz, kiedy wszystko najwyraźniej się wali. Jasne też jest dla mnie, jaki pana zdaniem my mamy w tym interes, bo ewidentnie sugeruje nam pan unię polityczną pomiędzy naszym rodem a tym spośród Wu, kto po całej tej imprezie znajdzie się na szczycie. Ja zaś chciałabym wiedzieć, jaki pan ma w tym interes. Już teraz jest pan dyrektorem biznesowym rodu Assan. Zasiada pan w Komitecie Wykonawczym. Ma pan tytuł szlachecki. Dysponuje pan wszelką władzą, jaką kiedykolwiek będzie mógł dysponować. A zatem czego jeszcze mógłby pan chcieć?

Assan się uśmiechnął.

– Nie dla siebie – odrzekł, po czym wyciągnął tablet i otworzył zdjęcie. Było na nim dwoje małych dzieci uśmiechających się do fotografa. Assan pokazał je hrabinie.

– Urocze – stwierdziła. – A jak to się ma do przedmiotu naszej rozmowy?

– Tak, że jedno z nich poślubi dziecko następnego imperoksa.

Trudna do odczytania gra emocji przemknęła przez twarz hrabiny, gdy myślała nad jego słowami.

– To ambitne z pana strony, panie Teran, planować tak daleko naprzód. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że nasza cywilizacja zbliża się do gwałtownego końca.

– Nie cała. Choć faktycznie większość. Nadal jest Kres. Nad którym, dodam, pani syn Ghreni próbuje uzyskać kontrolę i gdzie Nadashe wysłała statek pełen marines, aby pomogli mu tego dokonać. To jedyne miejsce we Wspólnocie, gdzie ludzie będą w stanie na dłuższą metę przeżyć. Pani dzieci planowały zabezpieczyć tę planetę i uczynić rodzinę Nohamapetan nowym rodem imperialnym. Cóż, nie poszło to zgodnie z planem. Zatem wracamy do planu A: poślubić imperoksa. A ja pomogę wam tego dokonać.

– I chce pan zaledwie tronu.

– Ostatecznie tak. Wy możecie mieć go najpierw. A właśnie tego chcecie. Proszę pani.

Assan zobaczył, że hrabina Nohamapetan spojrzała na swoją szefową zespołu, która niemal niezauważalnie skinęła głową. Następnie jej oczy znów spoczęły na nim.

– Proszę nam powiedzieć więcej, panie Teran.

– Zaczę od pytania, którego z dwóch Wu by pani wolała – spytał Assan. – Jasina czy Derana?

ROZDZIAŁ 7

Kiva Lagos była właśnie w trakcie świetnie wykonywanej minety, gdy zadzwonił jej tablet. Rzuciła na niego okiem i zobaczyła, że to Bunton Salaanadon, jej osobisty asystent. Przez chwilę zastanawiała się, czy może nie odbierać, bo była zajęta, a przecież powiedziała Salaanadonowi, żeby jej nie przerywał, chyba że świat stanie w ogniu. Ponieważ jednak faktycznie istniała możliwość, że świat się pali, a poza tym mineta wprawdzie była świetna, ale nie jakaś spektakularnie doskonała, więc nie wymagała pełnej uwagi, wzięła tablet i odebrała, włączając tylko głos.

– Czyżby ten pierdolony świat stał w ogniu? – zapytała.

Z dołu spojrzała na nią pytająco jej partnerka, które to pytanie zinterpretowała jako „mam na chwilę przestać?”. Kiva machnęła ręką, by kontynuowała. Partnerka wróciła do swojego zajęcia.

– To zależy, czy uważa pani wezwania przez imperoks za palącą sytuację – odparł Salaanadon.

– Co? Wyjaśnij.

– Hrabina Nohamapetan poprosiła i otrzymała pozaplanową audiencję u imperoks, która ma dotyczyć miejscowej sytuacji w interesach jej rodu. Dokładnie rzecz ujmując, poprosi, aby usunięto panią z zajmowanej pozycji. Przypuszczam, że imperoks uznała, że jedynym uczciwym sposobem załatwienia sprawy będzie poznanie pani opinii w tej kwestii.

– Kiedy będzie ta audiencja?

– Za dwie godziny, proszę pani.

– To będę potrzebowała podwózki.

– Kazałem już podstawić pojazd pod pani apartamenty i załatwiłem priorytetowe miejsce w promie na Xi'an. Ponieważ odpowiada pani na imienne zaproszenie imperoks, ma pani zagwarantowane miejsce i niezwłoczny odlot. Gdy tylko pani przybędzie, powita panią imperialna eskorta. Już wypełniłem papierologię, żeby przyspieszyć przejście przez ochronę.

– Jasne, nie zabieram żadnej broni.

– Tak, to by było wskazane, proszę pani – odrzekł Salaanadon.

Kiva nigdy nie miała pewności, czy jej asystent zdaje sobie sprawę, kiedy ona mówi z sarkazmem, a kiedy nie. Zakładała, że po prostu przyjął styl życia prostego faceta jako linię obrony.

– Będzie tylko nasza trójka?

– Na spotkaniu? Rozumiem, że hrabina przyprowadzi ze sobą swoją prawniczkę, pannę Fundapellonan. Jak sobie pani może przypomina, spotkała się z nią pani niedawno.

– Tak, jesteśmy ze sobą zaznajomione – odparła Kiva.

– Czy mam pani podesłać na to spotkanie jednego z naszych prawników?

– Poradzę sobie. Upewnij się tylko, że moje pliki „z przychodami” są aktualne. Mogą mi się przydać.

– Tak, proszę pani.

– Kiedy samochód mnie zgarnie?

– Za kwadrans będzie pod pani apartamentami. No chyba że życzy sobie pani, aby zjawił się szybciej.

– Nie, pasuje mi – odrzekła Kiva, po czym się rozłączyła i ponownie skupiła na świetnej miniecie, którą jej właśnie robiono. – Chyba powinnaś sprawdzić swoje wiadomości – powiedziała do partnerki, kiedy doszła.

– A to dlaczego? – spytała Senia Fundapellonan.

– Zobaczysz – Kiva poszła do łazienki, żeby zmyć z siebie zapach seksu.

– Mogłaś mi powiedzieć, kiedy do ciebie zadzwonili – zachnęła się Fundapellonan, gdy Kiva pojawiła się z powrotem, nie mając już na sobie woni pozostałej po świetnej miniecie, którą jej właśnie zrobiono.

– Byłaś zajęta.

Fundapellonan zamachała tabletem.

– To trochę ważniejsze.

– Punkt widzenia zależy od punktu leżenia – odpowiedziała Kiva. – Poza tym raczej się przez to nie spóźnisz.

– Muszę zamówić taksówkę do portu, a potem złapać prom.

– Po prostu jedź ze mną.

– A nie wydaje ci się, że to będzie wyglądało źle, jeśli ty i ja wsiądziemy pod twoim apartamentem do tego samego samochodu?

Kiva wzruszyła ramionami.

– Przecież hrabina już wie, że się pieprzymy.

Na te słowa Fundapellonan zamrugowała.

– Co?!

– Zakładam, że powiedziała ci, że lubię przygodny seks, więc powinnaś się przy mnie zakręcić i sprawdzić, czy powiem coś użytecznego podczas bzykania.

– Naprawdę myślisz, że to właśnie miało tu miejsce? – spytała Fundapellonan.

– A nie?

– Cóż, tak – przyznała. – Ale nie powinnaś tak *myśleć*.

- To, że lubię się pieprzyć, nie znaczy, że jestem głupia – odparła Kiva.
- Skoro wiedziałaś, że to było ustawione, to dlaczego...?
- Poszłam z tobą do łóżka na upojne dymanie?

– Tak.

– A dlaczego nie?

– Bo to strasznie fałszywe?

Kiva spojrzała na Fundapellonan spod zmrużonych powiek.

– Dużo się dowiedziałaś?

Fundapellonan się zirytowała.

– Najwyraźniej nie?

– Ja pierdołę, to po prostu *seks* – stwierdziła Kiva. – Nie planowałam go dla jakiegoś konkretnego celu. Zaproponowałaś, jesteś wystarczająco słodka...

– Dzięki – wtrąciła sucho Fundapellonan.

– ... a ja nie za dużo z kimś sypiałam, odkąd Marce Claremont przeniósł się do imperoks. No i przecież nie zamierzałam nic ci mówić o moich interesach.

– Masz na myśli *nasze* interesy.

– Cóż, jak by nie było, właśnie tego będzie dotyczyło dzisiejsze spotkanie. Chcę przez to powiedzieć, że to była dość bezpieczna możliwość bzyknięcia się z kimś.

– Nie jestem pewna, jak się z tym teraz czuję – odparła Fundapellonan.

– No przecież coś jednak z tego miałaś – zauważyła Kiva.

Słyszac to, Fundapellonan się uśmiechnęła.

– W sumie tak. – Zamilkła na chwilę. – Pierwszy raz zrobiłam coś takiego.

– Uprawiałaś z kimś seks, bo kazał ci to zrobić twój klient?

– Tak.

– I jak się z tym czujesz?

– Z grubsza w porządku.

– No to dobrze – powiedziała Kiva i klepnęła Fundapellonan w ramię – bo wydymam cię jeszcze raz, tyle że teraz w obecności imperoks.

Hrabina Nohamapetan zdecydowanie była osobą spragnioną wszystkich tych dzwonów, trąb i pieprzonych błyskotek, dlatego też jej audiencja u imperoks odbywała się w formalnie do tego przeznaczonej komnacie. Była tak ogromna, że można by w niej wylądować promem, chociaż Kiva przypuszczała, że zważywszy na to, kto prosił i kto udzielał audiencji, wszelkie głupie żarciki na ten temat mogłyby zostać źle odebrane.

Kiva zerknęła na hrabinę Nohamapetan, która nie zrobiła na niej specjalnego wrażenia. Jej okropnie wyszukany strój rzucał się w oczy i zupełnie nie pasował w obecności tej konkretnej imperoks. Grayland przesadnie wystroiła się tylko na jedną jedyną okazję w całym życiu – na koronację, a ponieważ podczas tego wydarzenia doszło do zamachu bombowego i zamordowania jej najlepszej przyjaciółki, nie był to najwspanialszy dzień w dziejach mody. Doradcy hrabiny mogli jej powiedzieć, że Grayland woli bardziej umiarkowaną prezencję. Wyglądało na to, że albo tego nie zrobili, albo ona ich zignorowała i teraz wyglądała, jakby dostała się w pole rażenia granatu, który wybuchł w szufladzie pełnej metalicznych wstążeczek.

Sama Kiva miała na sobie bardziej subtelny strój – formalny ubiór stanowiący mieszankę czerni i złota, z naszyjnikami w kolorach rodu Lagos: czerwieni, żółci oraz jasnym i ciemnym błękitem. Jej zdaniem formalny ubiór sprawia, że wygląda jak kelner albo pieprzony służący, ale to nie od niej zależało, co włoży na siebie na spotkanie z imperoks, więc po prostu się z tym pogodziła.

O ile dobrze pamiętała, imperoks wolała strój bliższy temu, co nosiła Kiva, niż coś w stylu takim, jak ta smutna potworność, którą miała na sobie hrabina. Preferowała ubiór dokładnie dopasowany (bo dłaczegóżby nie), w kolorze imperialnej zieleni, który nie do końca dobrze się komponował z odcieniem skóry Grayland, ale mimo to wyglądała w porządku. Może samo bycie improksem oznaczało, że wszystko wyglądało na tobie nieźle. Dobra strona ogólnie cholernie niewdzięcznej roboty.

Kiva, hrabina i Senia Fundapellonan, która miała na sobie ten sam ładny, konserwatywny ubiór, z którego Kiva rozebrała ją nieco wcześniej tego dnia, ustawiły się przed podium, gdzie stał tron, na którym miała się rozsiąść Grayland. Ani podium, ani tron nie były jakoś przesadnie zdobione, co oznaczało, że nie pasowały do tego pomieszczenia, ale odpowiadały osobistemu gustowi Grayland.

Za podium otworzyły się drzwi i do komnaty weszła imperoks. Nie ciągnęli za nią doradcy, co jak zauważyła Kiva, stawało się jej zwyczajem. Podała dłoń Kivie i Fundapellonan oraz przyjęła ich ukłony, a także bardziej wyszukany kurtuazyjny-ukłon-czy-cokolwiek-to-kurwa-było hrabiny. Następnie weszła na podium, usiadła na tronie i się uśmiechnęła.

– Jesteśmy gotowi cię wysłuchać, droga hrabino Nohamapetan – powiedziała.

Kiva odnotowała użycie władczego „my”, którą to formę w ustach Grayland słyszała po raz pierwszy. Gdy spotkały się poprzednio, imperoks mówiła wyłącznie „ja” i „mnie”. Jak by jednak nie było, ostatnim razem, kiedy się z nią widziała, Grayland dochodziła do siebie po ataku przeprowadzonym za pomocą statku kosmicznego. Możliwe, że nie do końca była sobą.

Hrabina ponownie wykonała swój popieprzony kurtuazyjny ukłon czy cokolwiek to miało być.

– Niechaj mi wolno będzie, wasza wysokość, zacząć od zapewnienia o niezachwianej lojalności rodu Nohamapetan. Ja sama, a także moja rodzina mamy świadomość, że ostatnio zaszły wydarzenia, które dają powód, by powątpiewać w tę lojalność. Rozumiem, że jedynym sposobem, aby odzyskać zaufanie waszej wysokości, są powolne i trudne starania. Uczynimy je misją naszego rodu. Jako wstęp do tej misji oraz pierwszy mały krok w ramach rekompensaty chciałbym przekazać wszystkie zyski, jakie ród Nohamapetan osiągnie w tym systemie, na rzecz Fundacji Naffy Dolg.

Kivaomal się nie zadławiła własnym językiem, słysząc to gównon. Przedewszystkim hrabina cholernie dobrze wiedziała, że nie może przekazać dochodów w systemie na cokolwiek. Znajdowały się pod kontrolą Kivy i to ona miała ostatnie słowo w temacie tego, jak mogą zostać użyte. Ponieważ to Kiva kontrolowała lokalne interesy Nohamapetanów, wszelkie przychody trafiały na konta, które udostępniła ministerstwu skarbu, jako swego rodzaju stałe narzędzie kontroli. Jedynym sposobem, w jaki hrabina mogła cokolwiek zrobić z przychodami bez zgody Kivy, było zwrócenie jej kontroli nad miejscowymi działaniami korporacji. Wiedziała o tym z pewnością równie dobrze jak Kiva. Tak więc był to wstępny gambit mający na celu jej usunięcie albo przynajmniej zrobienie z Kivy pierdoły dnia, co zresztą też miało prowadzić do jej usunięcia.

Poza tym Naffa Dolg, najlepsza przyjaciółka imperoks z czasów dziecięcych i pierwsza szefowa jej personelu, została *zamordowana* w pieprzony dzień koronacji, ginąc od bomby, która niemal na pewno, choć jeszcze tego nie udowodniono, została podłożona przez jakiegoś kutasa pracującego dla dziedziców rodu Nohamapetan – zasranych dzieci tej właśnie zasranej hrabiny. Niezależnie od tego, czy ona sama wiedziała wówczas o planowanym zamachu, czy też nie, *teraz* już na pewno się dowiedziała. Tak samo jak o tym, że bomba miała zabić samą Grayland.

A zatem, zasadniczo rzecz biorąc, hrabina Nohamapetan mówiła imperoks: „Chcę dowieść mojej lojalności, oferując pieniądze, których nie mam, na cele dobroczynne fundacji imienia twojej przyjaciółki, którą zupełnie przypadkowo moje dzieci zabiły, kiedy próbowały zamordować *ciebie*”.

Był to dla Kivy niezwykle *interesujący* sposób, aby zyskać łaskę imperoks.

Albo hrabina była śmiesznie nieświadoma obrazą, jaka wiązała się ze złożoną właśnie Grayland ofertą, albo odważnie próbowała wybadać, co robi z tym imperoks. Kiva, pamiętająca zarówno Nadashe, jak i Ghreniego Nohamapetanów ze studenckich czasów, wątpiła, by hrabina aż tak się wygłupiła. Może i wyglądała jak błyszczący kurczak, ale nie była głupia.

A zatem musiało to stanowić swoisty rekonesans, który zdaniem hrabiny miał być jakimś sprawdzianem dla imperoks. Może chciała zobaczyć, czy Grayland się wygłupi. Ewentualnie jak zareaguje na coś, co było policzkiem wymierzonym imperoks i jej ukochanej przyjaciółce. Albo może hrabina chciała po prostu zobaczyć, co może zyskać i co imperoks zechce jej zabrać. Mogła też uważać, że Grayland jest jebaną idiotką.

Kiva zerknęła na Fundapellonan, której twarz pozostawała przyjemnie niewzruszona. Krótco rozważała, czy czasem to właśnie jej najnowsza kochanka nie zasugerowała swojej hrabinie takiego posunięcia. Wątpiła w to. Fundapellonan raczej nie miała w sobie dostatecznego poziomu skurwysyństwa, żeby odstawić taki numer. Kiva przeniosła wzrok z powrotem na Grayland, która po chwili namysłu kontynuowała.

„No dalej – pomyślała Kiva – zapytaj mnie, co o tym, kurwa, sądzę”.

– Wasz datek poruszył nasze serce, hrabino – powiedziała Grayland. – Stanowi odzwierciedlenie walorów twej duszy i jesteśmy zadowoleni, mogąc je poznać. – A następnie, po tym cholernie doskonałym majstersztyku, w którym przekazała: „Tak, widzę cię, suko, na wylot”, choć zabrzmiało to jak komplement, imperoks zwróciła się do Kivy: – Zastanawiamy się, co pani Kiva jako zarządzająca sprawami hrabiny w tym systemie ma do powiedzenia w związku z tak nadzwyczajną ofertą.

„No to patrz” – pomyślała Kiva, po czym zaczęła.

– Wasza wysokość, hrabina bez wątpienia ma jak najlepsze intencje, lecz obawiam się, że nasze zyski w ramach tego systemu zamkną się w okolicach zera.

Na te słowa Grayland zamrugwała.

– A to dlaczego, pani Kivo?

– Szeroko zakrojone przekręty, wasza wysokość. Kiedy wasza wysokość poprosiła mnie o nadzór nad systemowymi interesami Nohamapetanów, nakazała przeprowadzenie audytu i odkryliśmy znaczne nieścisłości. Wszystkie one będą miały wpływ na przychody i zyski. Nadal staramy się dotrzeć do wszystkich. Sporządzenie pełnego raportu zajmie kilka miesięcy, a tymczasem musimy radzić sobie z kompensowaniem strat naszym klientom, a także płaceniem grzywien oraz kar, jakie nakłada na nas ministerstwo skarbu.

– To istotnie niewesołe nowiny – stwierdziła Grayland.

– Jeśli wasza wysokość sobie życzy, prześlę pełny raport – usłużnie zaoferowała się Kiva. – Przedłożyliśmy go już ministerstwu skarbu.

– Dziękujemy, pani Kivo. Bardzo chętnie się z nim zapoznamy.

– Za pozwoleniem – kontynuowała Kiva – chciałabym przedstawić rozwiązanie tego jakże niefortunnego problemu.

– Słuchamy zatem.

– Nie mam wątpliwości, że gdy hrabina przekazywała waszej wysokości tegoroczne zyski z całego systemu, jej intencją nie było zaoferowanie niczego. Raporty, jakie dostawała, są mylące i spreparowane. Ponieważ jest na miejscu od naprawę niedawna, nie miałam okazji zapoznać ani hrabiny, ani jej ludzi ze stanem tutejszych finansów. Niewątpliwie jest to niezamierzona pomyłka. Prawdę mówiąc, gdyby oszustwa nie były tak dobrze zakamuflowane przed światem zewnętrznym i tak szeroko rozpowszechnione, ród Nohamapetan miałby tu znakomity zysk roczny.

– Co sugerujesz, pani Kivo? – spytała Grayland.

– To proste, wasza wysokość. Każę moim księgowym przedstawić kwotę, która będzie stanowiła sumę lokalnych zysków za ostatnie dwanaście miesięcy, nie uwzględniając ubytków wynikających z przekrętów oraz kar. Hrabina będzie mogła wówczas podarować tę sumę Fundacji Naffy Dolg z ogólnych zasobów rodu Nohamapetan. Wszyscy dostaną to, czego chcą.

Grayland skinęła głową i zwróciła wzrok ku hrabinie.

– Jeśli hrabina zaakceptuje tę drobną poprawkę względem jej hojnej oferty, a nie mamy wątpliwości, że tak się stanie, to będziemy zachwyceni, mogąc przyjąć ten wspaniały gest.

„Ssij to, ty dwulicowy krabie”, pomyślała Kiva. Hrabina sądziła, że sprawdzi Grayland, a okazało się, że to ona dostała szkołę. Imperoks zmieniła policzek, jaki ta chciała jej wymierzyć swoim podarunkiem, i sprawiła, że hrabina sama pacnęła się w twarz.

Hrabina Nohamapetan pozwoliła sobie na może dwie i pół sekundy mrugania w zaskoczeniu, aż wreszcie powiedziała:

– Oczywiście, wasza wysokość. Tak właśnie się stanie.

– Świetnie. – Grayland zwróciła się do Kivy. – Kiedy możemy spodziewać się wyliczenia wspomnianej przez panią kwoty?

– Mogę ją przedłożyć waszej wysokości jutro.

– A zatem będziemy jej oczekiwać – powiedziała imperoks, po czym znów odwróciła się do hrabiny: – Zaś Fundacja Naffy Dolg, jak rozumiem, może się spodziewać wpłaty niedługo potem? W ciągu tygodnia?

– Oczywiście – zapewniła hrabina.

Grayland kiwnęła głową.

– Ma pani ogromne szczęście, hrabino Nohamapetan, że pani Kiva zarządza waszymi sprawami. Nie licząc sprytnego rozwiązania tego drobnego problemu, samo odkrycie przez nią szeroko zakrojonych przekrętów i korupcji w waszej korporacji musi stanowić dla pani ulgę.

– Tak, dużą – odparła hrabina, nawet nie spojrzawszy na Kivę.

– Gdyby takie praktyki rozlały się poza struktury w naszym systemie i przekradły się do wszystkich przedsiębiorstw Nohamapetanów, byłyby to bardzo niefortunne – mówiła dalej Grayland. – Musiałyby wtedy wkroczyć ministerstwa skarbu i sprawiedliwości. – Tu znów zerknęła na Kivę: – Jednak nie uważa pani, aby coś takiego mogło mieć miejsce?

– Na razie nie, wasza wysokość – odpowiedziała Kiva. – Oczywiście nasze śledztwo jeszcze nie dobiegło końca.

– Jak pani sądzi, pani Kivo, ile ono może potrwać?

– Biorąc pod uwagę złożoność źródeł przychodów oraz księgowania w rodzinie Nohamapetan, a także przemyślany sposób, w jaki robiono przekręty, potrzeba będzie jak sądzę kolejnych kilku miesięcy.

– Kolejnych kilka miesięcy – powtórzyła Grayland, z lekkim naciskiem wypowiadając słowo „miesiące”.

– Tak, co najmniej – potwierdziła Kiva.

Grayland ponownie zwróciła się do hrabiny Nohamapetan.

– Nie wątpimy, hrabino, że wasza miejscowa dyrektor może spodziewać się z waszej strony uprzejmości i współpracy w trakcie sprawdzania, jak daleko zaszły sprawy w waszych miejscowych strukturach.

– Tak, wasza wysokość, ale...

– Tak, hrabino?

– ... choć pani Kiva wykazała się wielką pomysłowością...

– Pani hrabina jest nadto uprzejma w swoich pochwałach – wtrąciła się Kiva, zbijając hrabinę z pantafelku. – A ja muszę powiedzieć, że z mojej strony nie było tu niemal żadnej pomysłowości. Aby zauważyć te wszystkie mankamenty, wystarczyło zerknąć na nie świeżym okiem.

– Kogoś z zewnątrz, to chciała pani powiedzieć, pani Kivo? – dopytała Grayland.

– Tak, być może wystarczyłoby zaledwie tyle – odparła Kiva.

Grayland uderzyła lekko rękami w poręcz tronu.

– W takim razie uważamy, że najlepiej będzie, jeśli wspomniane oczy z zewnątrz nadal będą się przyglądać sprawom interesów rodu Nohamapetan w tym systemie oraz pomagać tej ich części powrócić do formy. Rzecz jasna, pani Kivo, pełniąc swoją funkcję jako dyrektor, będzie pani pozostawać w bezpośrednim kontakcie z hrabiną celem informowania jej, czego się pani dowiedziała, podobnie jak w równym stopniu będzie pani informowała *nas*.

– Oczywiście, wasza wysokość – zapewniła Kiva.

– Bardzo interesujemy się rodem Nohamapetan, pani Kivo – napomniała ją Grayland. – Dźwigasz na swych barkach dużą odpowiedzialność, zarówno względem niego, jak i wobec nas.

– Rozumiem – odparła Kiva znacząco. Spojrzała przy tym na hrabinę, która trzeba przyznać w godny podziwu sposób panowała nad wściekłością.

– A teraz – podjęła Grayland – pomówmy o pani córce, hrabino.

– Wasza wysokość? – spytała tamta, całkowicie zbita z tropu tymi słowami.

– Sądziłyśmy, że taki był powód pani prośby o audiencję – wyjaśniła Grayland.

– W zasadzie to przyszyliśmy porozmawiać o pani Kivie...

– Tę kwestię już ustaliliśmy, czyż nie? – spytała Grayland. – A co do pani córki, *chcielibyśmy* o tym z panią pomówić. O ile zechce pani posłuchać.

Kiva dostrzegła, jak hrabina przez moment, niemal niezauważalnie, rozważała pragnienie powrotu do sprawy wysadzenia Kivy z interesu oraz możliwość rozgniewania imperoks, która na razie robiła z jej żalonym dupskiem co tylko chciała. Wybrała tchórzliwe wyjście z sytuacji.

– Z radością porozmawiam o mojej córce, wasza wysokość.

– Pani córka, hrabino, jest oskarżona o najcięższe zbrodnie. Morderstwo. Usiłowanie zabójstwa. Zdradę. Zbrodnie te, jeśli okaże się winna, zagrożone są karą śmierci.

Na te słowa hrabina nieco zbladła.

– Tak, wasza wysokość.

– Z żalem widzimy, w jakiej sytuacji się znalazła, hrabino Nohamapetan. Po pierwsze dlatego, że sądziłyśmy, iż może zostać naszą siostrą, poślubiwszy naszego brata Rennereda, który miał być imperoksem. Sprawy przedstawiałyby się zupełnie inaczej, gdyby żył i objął tron po naszym ojcu.

– Tak, to prawda – stwierdziła hrabina. – Istotnie tak by było.

– Nie potrafimy powiedzieć, cóż takiego mogło pchnąć Nadashe do zbrodni, o jakie jest oskarżona. Nie jesteśmy w stanie powstrzymać tego, co musi nastąpić. A Nadashe musi stanąć przed sądem. Kiedy zostanie osądzona i okaże się, że jest winna, musi ją spotkać kara. Wszyscy podlegamy prawu i korzemy się wobec sprawiedliwości. Rozumie to pani, hrabino Nohamapetan?

– Tak, rozumiem – zapytana spojrzała na wyszukaną mozaikę, jaka pokrywała podłogę komnaty.

Grayland pokiwała głową.

– Nadashe musi zostać osądzona zgodnie z prawem, musi ukorzyć się przed sprawiedliwością i zostać ukarana – powtórzyła imperoks. – Mimo to, jako dowód

miłości mojego brata względem niej i w uznaniu okazanej przez was lojalności, mogę zaoferować pewną łaskę.

Hrabina podniosła wzrok.

– Wasza wysokość?

– Życie zamiast śmierci – rzekła Grayland. – Jeśli Nadashe zostanie uznana winną którejś ze zbrodni zagrożonych karą śmierci i zostanie na nią skazana, złagodzę wyrok na dożywocie. Karę odbydzie tutaj, na Xi'an, w Cichej Wodzie.

Na te słowa Kiva zamruwała. Cicha Woda była bardziej obozem wakacyjnym, którego nie można było opuścić, niż zakładem penitencjarnym. To właśnie tam trafiali członkowie parlamentu, jeśli okazało się, że brali łapówki, albo księgowi złapani na defraudowaniu pieniędzy. Był to jedyny zakład karny na całym Xi'an, bowiem wychodzono z założenia, że nikt nie chce przetrzymywać zatwardziałych przestępców w tym samym habitacie, w którym przebywa imperoks. Umieszczenie tam Nadashe, w sytuacji gdy bezpośrednio przyczyniła się do zamordowania dziesiątek ludzi, w tym własnego brata, było cholernie ulgowym potraktowaniem. Równie dobrze Grayland mogłaby jej w czasie odbywania kary serwować lody w rożku.

– Czy takie rozwiązanie jest dla pani do przyjęcia, hrabino Nohamapetan? – spytała imperoks.

Kiva przyglądała się, jak przez twarz hrabiny Nohamapetan przemyka kilka emocji, niektóre tak szybko, że nie była pewna, czy na pewno je dostrzegła. Następnie hrabina znów spojrzała prosto na Grayland i ponownie odstawiła ten popieprzony-kurtuazyjny-ukłon-czy-cokolwiek-to-miało-być.

– Oczywiście, wasza wysokość – odparła. – Dziękuję.

Grayland skłoniła się i wstała.

– Wiele dziś osiągnęliśmy. Cieszymy się z tego powodu. Musicie jednak nam wybaczyć, bo mamy kolejne spotkanie, na które wkrótce się spóźnimy. Hrabino Nohamapetan, pani Kivo, panno Fundapellonan.

Imperoks ukłoniła się lekko, a one trzy odpowiedziały jej tym samym i zaczęły, aż Grayland dojdzie do tych samych drzwi za podium, którymi wcześniej weszła.

Drzwi się zamknęły.

– Co ty tu, kurwa, w ogóle robisz? – wydarła się na Fundapellonan hrabina.

Prawniczka otwarła usta, żeby odpowiedzieć, ale głowa rodu Nohamapetan już kroczyła w stronę wyjścia, wyglądając jak najbardziej na świecie wkurwiony paw. Kiva przyglądała się jej odejściu.

– Nie mam pojęcia, o co się tak wścieka – powiedziała do Fundapellonan. – Myślałam, że wszystko poszło dobrze.

Ta spojrzała na Kivę przymrużonymi oczami.

– To miało być rozstawienie pionków – odparła.

– Jaja sobie, kurwa, robisz? Twoja szefowa wpada tu, mając oczywisty plan obrazić Grayland, a kiedy jej dupa zostaje skopana, skamlesz mi tu o rozstawianiu pionków. – Kiwnęła głową w kierunku wyjścia, którym wściekła hrabina opuściła komnatę. – To nie było rozstawienie pionków, tylko masakra, czysta i prosta. Twoja szefowa popełniła błąd, zakładając, że imperoks jest słaba, i dostała w dupę. Dostała tak mocno, że nie miałyście nawet *szansy*, żeby podjąć temat wywalenia mnie z roboty.

– A ty wcale nie rozmawiałaś o tym z imperoks.

– Nie jesteśmy *przyjaciółkami* – odpowiedziała Kiva. – Nie urządzamy sobie jebanych nocnych pogaduszek, podczas których czesemy sobie nawzajem włosy i szczebioczymy o chłopakach. Widzę ją drugi raz w życiu.

– Hmm.

– Nie zrozum mnie źle – zaznaczyła Kiva. – Sposób, w jaki dopiero zmiażdżyła twoją szefową, był po prostu *zajebisty*. Nie miała nawet szansy się ze mną wyklócać. Nie miałyście nawet szansy zacząć waszej rozgrywki z tymi aktami sabotażu. Imperoks wyraźnie dała do zrozumienia, że zamierza bardzo dokładnie przyglądać się temu, co się dzieje ze mną i waszymi lokalnymi interesami. Potem utarła hrabinie nosa, stwierdzając fakt, że jej córka była morderczynią i zdrajczynią, po czym zmusiła ją, aby jej podziękowała, kiedy imperoks poinformowała hrabinę, że jej córka spędzi resztę życia w więzieniu.

Fundapellonan popatrzyła dziwnie na Kivę.

– I myślisz, że to właśnie się stało?

– Byłam przy tym, więc owszem.

Prawniczka potrząsnęła głową.

– Nic nie rozumiesz. Kiedy Grayland powiedziała, że zamieni karę śmierci Nadashe na dożywocie, które spędzi ona na Xi'an, wcale nie okazywała łaski. Nawet nie ucierała hrabinie nosa tym, że jej córka spędzi resztę życia w więzieniu. Mówiła jej, że robi z Nadashe zakładnika, tutaj, na Xi'an, gdzie imperoks będzie mogła się nią zająć, jeśli matka jeszcze kiedyś wystąpi poza szereg. Jak to mogło ująć twojej uwadze, Kiva? Jak mogłaś przegapić, że imperoks zrobiła sobie z hrabiny dozgonnego wroga? Hrabina Nohamapetan nigdy nie zapomni tego, co Grayland jej dzisiaj zrobiła. I nigdy jej tego nie wybaczy.

ROZDZIAŁ 8

Grayland II faktycznie miała spotkanie, na które była spóźniona. Prawdę powiedziawszy, zawsze miała spotkania, na które nieuchronnie się spóźniała. Tym razem jednak spóźniała się na takie, na którym przynajmniej nie musiała być Grayland II. Umówiona była bowiem z Marce'em Claremontem, a to oznaczało, że przez jakieś trzydzieści minut, jakie mieli spędzić ze sobą, mogła pozostać Cardenią Wu-Patrick.

To, że na spotkanie przewidziano trzydzieści minut, samo w sobie stanowiło luksus. Aby w tych dniach spotkać się z imperoksa na pół godziny, trzeba było być ministrem stanu czy arcybiskupem Xi'an, ewentualnie musiałby się palić jakiś duży habitat. Jednakże Marce Claremont otrzymał te trzydzieści minut, bo po pierwsze był kluczem do zrozumienia zmian w Nurcie, które dotyczyły obecnie całej Wspólnoty i żaden z naukowców się nim zajmujących nie był w stanie go doścignąć, jeśli chodzi o posiadaną wiedzę; po drugie zaś Cardenia się w nim podkochiwała i lubiła spędzać czas, patrząc na niego.

– Wszystko w porządku, wasza wysokość? – zapytała Obelees Atek, jej asystentka, która odprowadzała ją na kolejne spotkanie.

– Tak – odparła Cardenia. – A co?

– Wasza wysokość nagle się nieco zaczerwieniła.

Na te słowa Cardenia zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– To nic – odparła. – Myślałam tylko o czymś, co powiedziała mi hrabina Nohamapetan.

– Było aż tak źle, wasza wysokość?

– Mogło być gorzej – powiedziała, choć na tę chwilę nie była pewna, co ma na myśli. Wiedziała, że hrabina wściekła się z powodu przebiegu spotkania. Była pewna, że zmiażdży imperoksa w rozmowie i odzyska kontrolę nad swoimi lokalnymi aktywami.

„Dobra strona bycia niedocenianą” – pomyślała Cardenia.

Nie był to pierwszy raz w ostatnim czasie, kiedy wymanewrowała kogoś, ponieważ ten ktoś sądził, że jest powolna, naiwna albo po prostu zbyt uprzejma, aby traktować ją jako coś innego niż przeszkodę, którą wystarczy ominąć lub obejść. Cardenia pamiętała, że gdy objęła tron imperoksa, czuła się lekko urażona tym, że ludzie sądzili, że wystarczy jej schlebiać albo wyrzucić presję, by uzyskać jakieś stanowisko czy określoną decyzję.

Potem spędziła nieco czasu na rozmowach z duchami przodków w Pokoju Pamięci i dowiedziała się, jak bardzo skuteczne w ciągu minionych wieków były zarówno pochlebstwa, jak i wywieranie nacisku. Nie odniosła pozytywnego wrażenia ani na temat poprzednich imperoksov, ani ludzi, którzy wymuszali na nich ustępstwa. Zauważyła także, jak użyteczne może być pozwalanie ludziom, aby zakładali, że nie jest kompetentna, do chwili aż wyprowadzała ich z błędu. Tak jak właśnie postąpiła z hrabiną Nohamapetan, która już nie powtórzy tej pomyłki.

„A to niekoniecznie dobra rzecz” – zauważyła jakaś część umysłu Cardenii. I była to prawda. Mogłaś zostać niedoceniona raz, ale jak już ktoś dostał po łapach, to na wieki wieków sztuczka stawała się niemożliwa do wykonania po raz drugi.

„Jestem imperoksem – pomyślała Cardenia. – Mam jeszcze inne sztuczki”.

To także była prawda.

„Dość już o hrabinie Nohamapetan. Pora skierować nasze myśli ku Marce’owi” – odezwała się inna część mózgu Cardenii. Ta jego część, jak sobie uświadomiła, mogła należeć do zadurzonej piętnastolatki. No ale cóż... Marce. To dopiero zagadka, czyż nie?

– Nie wiem, co robić – przyznała Cardenia poprzedniej nocy przed duchem swego ojca Attavio VI w pokoju pamięci.

– Uprawiaj z nim seks – poradził ojciec.

– To nie takie proste.

– W zasadzie to jest. Jesteś imperoksem.

– No i? Mam mu kazać się położyć w moim łóżku?

– Już tak robiono.

– Ale nie ja tak robiłam – podkreśliła Cardenia. – Pomijając już wszystko inne, to nie jest w moim stylu.

– No to go zaprosz – zasugerował ojciec. – To mniej problematyczne. Zwykle daje podobne prawdopodobieństwo sukcesu. Przynajmniej biorąc pod uwagę dzieje tematu.

– Jak często ty tak robiłaś?

– Zanim ci odpowiem, przypomnę, że jako symulacja komputerowa twojego ojca nie mam ego, którego musiałbym bronić, dlatego odpowiem całkowicie zgodnie z prawdą – ostrzegł Attavio VI. – Wspominam o tym, bo w kilku poprzednich przypadkach, kiedy odpowiedziałem na pytania, sprawiło to, że stałaś się nieszczęśliwa. Może zadasz je innemu imperoksovi, z którym nie jesteś powiązana emocjonalnie.

– A zatem twierdzisz, że odpowiedź mnie unieszczęśliwi?

– Zasadniczo rzecz biorąc, tak.

- No to teraz już muszę się dowiedzieć – powiedziała Cardenia.
- Robiłem tak za *każdym* razem – odparł Attavio VI. – To była naprawdę dobra strona bycia imperoksem.
- O Boże! – westchnęła Cardenia i ukryła twarz w dłoniach. – Miałeś rację. Nie chciałam tego wiedzieć.
- Podziałało w przypadku twojej matki – mówił dalej Attavio VI.
- *Tego* to już szczególnie nie musiałam wiedzieć.
- Jeśli o nią chodzi, to doprowadziło do czegoś więcej. Musisz jednak wiedzieć, że wszystko zaczęło się dzięki temu, że ją zaprosiłem i jak niemal cała reszta, nie odmówiła.
- Rozumiesz chyba, że to *nie poprawia* sprawy?
- Nigdy nikogo nie zmuszałem. Czasami ktoś odmawiał, ale w takich przypadkach nigdy nie prosiłem ponownie. Nie było takiej potrzeby. Zwłaszcza gdy jest się imperoksem.
- A nie wydaje ci się, że bycie imperoksem było znaczącym czynnikiem powodującym, że ludzie akceptowali zaproszenia? Że mogli odczuwać presję, aby uprawiać z tobą seks, bo mogłeś, powiedzmy, *zrujnować im życie*.
- Takiej potrzeby też nie było – zapewnił Attavio VI. – To tylko seks. To działało również w drugą stronę. Byli ludzie, którzy chcieli uprawiać ze mną seks, bo byłem imperoksem. Chcieli mieć historie do opowiadania swoim wnukom. I chcieli tego bardziej niż ja.
- A ty spełniałeś ich życzenie, bo byłeś bezinteresownym człowiekiem – rzuciła sarkastycznie Cardenia.
- Nie, robiłem to, bo też chciałem uprawiać seks. Tyle że nie aż tak bardzo.
- Przypominaj mi, żebym nigdy więcej nie prosiła cię o radę w sprawach romansów.
- Zapisałem tę prośbę i przypomnę ci o tym, jeśli jeszcze kiedyś pojawi się podobna kwestia.
- Dziękuję.
- Mimo wszystko musisz być świadoma, że nigdy nie przestaniesz być imperoksem
- dodał ojciec. – Zawsze będziesz potężniejsza niż ludzie, którymi się interesujesz. Jeśli nie chcesz być sama ani nie zamierzasz kazać zaspokajać swoich potrzeb seksualnych i emocjonalnych przedstawicielom odpowiedniego zawodu, musisz zaakceptować ten element własnej sytuacji.
- Nie uprawiałam seksu, od kiedy zostałam imperoksem – przyznała Cardenia.
- Nie brzmi to zdrowo.
- Fakt, nie czuję się z tym zbyt dobrze. To jednak jest kolejna część problemu. Nie chcę, żeby Marce myślał, że używam go tylko do spuszczenia ciśnienia.

– Chyba nie mam kwalifikacji, by rozmawiać o podobnych sprawach – powiedział Attavio VI. – Jestem symulacją komputerową twojego ojca, a nie licencjonowanym terapeutą dla par.

– Wątpię, by wymagało to aż poziomu terapii.

– Skoro tak mówisz – stwierdził ojciec, a Cardenii nie spodobało się, że mimika symulacji komputerowej tak perfekcyjnie potrafi wyrazić powątpiewanie. – Może powinnaś tej osobie powiedzieć, że ją lubisz. Najgorsze, co może się zdarzyć, to, że odpowie „nie”.

– Wiem.

– Potem ewentualnie możesz kazać go wygnąć.

– Nie! – wypaliła Cardenia, a potem na chwilę zamilkła. – Czy ty właśnie zażartowałeś?

– Jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej z tym, co przed chwilą powiedziałem, to tak, zażartowałem – odparł ojciec.

Idąc przez pałac imperialny w kierunku swoich prywatnych apartamentów, Cardenia uświadomiła sobie, że jej ojciec, czy też jego symulacja komputerowa, się nie mylił. Ostatecznie zarówno ona, jak i Marce byli dorośli i mogli podejść do tego jak dorośli. Podejrzewała, że on także ją lubi, ale wstydziła się wykonać pierwszy krok, bo był on typem nerda. Z drugiej strony, jak by nie patrzeć, była imperoksem, i chociaż jej ojciec twierdził co innego, przypuszczała, że danie władcy do zrozumienia, że jest się nim zainteresowanym, wymagałoby nerwów ze stali. Marce, co całkowicie rozumiałe, czekał na ten pierwszy ruch z jej strony.

„No dobra, zrobię to – powiedziała Cardenia do siebie. – Minęło już wiele tygodni, odkąd się poznaliśmy. Przyszedł na to czas. Najgorsze, co może się stać, to, że on powie *nie*”. Cardenia weszła do swoich apartamentów, skinęła Atek głową na pożegnanie, po czym jej asystentka wróciła do swojego biura, do czasu aż zostanie wezwana. Następnie weszła do prywatnej jadalni, gdzie miał na nią czekać Marce. I faktycznie czekał. Z inną kobietą.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – palnęła Cardenia, zanim zdołała się powstrzymać.

– Nazywamy to „przelotnością” – wyjaśniał Marce – prądy, które powstają z powodu przesunięć w topografii Nurtu w naszej części przestrzeni kosmicznej. A zatem podczas gdy prądy, które my postrzegaliśmy jako długotrwałe i stabilne, zanikają, co faktycznie się *dzieje*, te inne się pojawiają i łączą systemy gwiazdne na nieokreślony czas.

– Właśnie – potwierdziła Hatide Roynold, kobieta, którą Marce przyprowadził na spotkanie – choć „nieokreślony” nie oznacza, że nie wiemy, jak długo pozostaną one otwarte. Wiemy, z określonym prawdopodobieństwem. Chodzi o to, że pojedyncze prądy mogą pozostawać otwarte przez dzień. Albo kilka tygodni czy lat.

– Mimo wszystko rozpadają się stosunkowo szybko, jeśli jako punkt odniesienia weźmiemy prądy, do jakich przywykliśmy, te, które pozostają otwarte od tysiąca lat – powiedział Marce. – Dlatego właśnie nazywamy to zjawisko przelotnością.

– Teraz je widzimy, a za chwilę nie – dodała Roynold.

Cardenia głupio kiwała głową, słuchając, jak tamta dwójka pospiesznie przedstawiała jej szczegóły swoich ostatnich odkryć, i próbowała zebrać myśli. Wyglubiła się już przy wejściu i wydawało się, że zarówno Marce, jak i Roynold nie do końca wiedzieli, skąd się wzięła jej reakcja. Marce przeprosił za to, że zaskoczył Cardenię, ale dodał, że wyraźnie poinformował sekretarkę impero, że będzie ktoś jeszcze, więc założył, iż wie, że przyprowadzi gościa.

Mogło tak być, bo między kolejnymi spotkaniami Cardenia nie zadawała sobie trudu sprawdzenia na tablecie swojego planu dnia, zakładając, że wie, gdzie ma iść i z kim ma kolejną rozmowę. Obecność Roynold oznaczała, że zasadniczo była dla Cardenii nieszkodliwa. Ochrona nie wpuściłaby jej jako osoby towarzyszącej, gdyby stanowiła jakiegokolwiek zagrożenie. Marce ją przyprowadził, bo ze wszystkich fizyków zajmujących się Nurtem, którzy obecnie przedzierali się przez pracę hrabiego Claremonta, była jedyną osobą będącą w stanie rozwijać te badania. Wcześniej napisała własną pracę na ten temat, która łączyła się z tą Claremontów, ale badania prowadziła dla Nohamapetanów, a ci mieli zamiar wykorzystać ją do próby dokonania przewrotu we Wspólnocie.

Jak się jednak wydawało, nikt nie miał tego Roynold za złe. Gwardia Imperialna na pewno nie, skoro pozwoliła jej wejść do pałacu, ani też Marce, który z ożywieniem z nią dyskutował. Cardenia przyglądała się ich wymianie zdań oraz temu, jak rozmawiali o Nurcie, i była świadoma, że w jej odczucia wkrada się posmak zazdrości. Marce i Roynold mieli wspólne idee, które nasuwały jej skojarzenie z miłością od pierwszego wejrzenia. Ewidentnie byli w sobie zadurzeni, a przynajmniej w swoich mózgach. Roynold była nieco starsza od Marce’a, ale to nie sprawiłoby większej trudności, gdyby wszystko inne się spasowało.

„Może powinnaś się skupić na tym, co do ciebie mówią – odezwał się w jej głowie ten irytujący głos. – Później możesz sobie pomarzyć o chłopaku”. Cardenia zanotowała sobie, żeby potem spróbować znaleźć ten głos i zadusić go, być może przy pomocy alkoholu.

Tak więc Cardenia uniosła dłoń, chcąc ich uciszyć. Marce zauważył to od razu. Roynold trąkotała dalej, dopóki nie położył jej dłoni na ramieniu. Cardenia to zauważyła i poczuła delikatne ukłucie gdzieś w okolicy serca.

– Nie muszę teraz znać szczegółów – stwierdziła. – Nie *zrozumiałabym* ich, nawet gdybyście spróbowali mi o nich opowiedzieć, a za kilka minut muszę być na kolejnym spotkaniu. A zatem sprawdźmy, ile zrozumiałam z tego, co mówiliście do tej pory.

– Dobrze – odparł Marce.

– Po pierwsze, prądy Nurtu dalej się rozpadają.

– Tak – potwierdził.

– Po drugie, raz na jakiś czas pojawi się nowy prąd w miejscu, gdzie wcześniej nie było żadnego.

– Tak.

– Po trzecie, te nowe prądy pojawią się tylko na krótki okres. Nie zastąpią starych.

– Tak.

– Jednak... – odezwała się Roynold.

– Jednak co? – zapytała Cardenia.

– Nasze wstępne wnioski... – zaczęła Roynold.

– Wszystko to jest *bardzo* wstępne – wtrącił się Marce.

– ... pokazują, że ostatecznie nowa sieć prądów Nurtu, o długotrwałej stabilności, prawdopodobnie pojawi się w tej części przestrzeni kosmicznej. Tak jak to przewidziałam wcześniej, dla Nohamapetanów – dokończyła Roynold.

Cardenia, zmieszana, uniosła wzrok na Marce'a.

– To prawda?

– Cóż... – zaczął Marce.

– Bo jeśli to *prawda*, będę miała do pana sporo pytań, panie Marce. Nie wszystkie będą przyjazne. Mnóstwo ryzykowałam, dając wiarę pańskim przewidywaniom.

Marce wyciągnął przed siebie dłoń i powiedział:

– Zapytaj ją, co w tym kontekście znaczy „ostatecznie”.

Cardenia przeniosła wzrok na Roynold.

– A cóż takiego znaczy w tym kontekście „ostatecznie”, doktor Roynold?

– Mniej więcej pięć do ośmiu tysięcy lat, licząc od teraz – odpowiedziała zapytana.

Skonfundowana Cardenia znów spojrzała na Marce.

– Tata i ja mieliśmy rację – zapewnił. – Prądy Nurtu, takie, jakimi je znamy, wkrótce się rozpadną i znikną na bardzo długo. Dostatecznie długo, by skutecznie położyć kres naszej cywilizacji, jeśli nie zaczniemy działać. Ona – ponownie wskazał palcem Roynold – *także* miała rację. Prądy Nurtu prawdopodobnie kiedyś znów

pojawią się w tej części przestrzeni kosmicznej, w innej konfiguracji niż obecnie. Po prostu nie przewidziała skali czasowej.

– Nie było komu sprawdzić moich obliczeń – dodała Roynold.

– *Obojgu nam* umknęło coś jeszcze. Umknęło, do czasu aż mogliśmy porównać swoje prace – mówił dalej Marce. – Mam na myśli przelotność. Nie zmienia to faktu, że prądy Nurtu się rozpadają. Nie zmienia też faktu, że Wspólnota jest w niebezpieczeństwie. Jednak to może nam wszystkim kupić trochę czasu, aby poradzić sobie z problemem.

– Jak to?

– Pytałaś, czy nowe prądy otworzą się tam, gdzie do tej pory nie było żadnych – odparł Marce. – Tak właśnie będzie i kilka się pojawi. Ale jest też jeszcze jedno tego następstwo.

– Te zamknięte otworzą się ponownie – powiedziała Roynold. – Nie we wszystkich przypadkach. I nie na długo.

– Na tyle jednak, żeby wysłać nimi statki – dodał Marce.

– Być może – uzupełniła Roynold. – To zależy.

– I sprowadzić je z powrotem – mówił dalej.

– Ponownie: być może i to zależy – wtrąciła Roynold.

– A to prowadzi nas do kolejnej rzeczy. – Marce pochylił się do przodu. – I jest to wielka rzecz.

– Naprawdę duża – powiedziała Roynold.

– Co? – zapytała Cardenia, przenosząc wzrok to na jedno, to na drugie. – O co chodzi?

– Hatide przewidziała, że na pewno wkrótce otworzy się zamknięty wcześniej prąd Nurtu. Po tym, jak ten prowadzący do Terhathum się zamknął, wysłałem jeden z naszych dronów tam, gdzie powinna się znajdować ta płytka, która wcześniej zniknęła.

– I? – dopytała Cardenia.

– Wleciał – oznajmiła Roynold. – Prąd znów się otworzył. Tak samo ten powrotny. Oba znów działają.

– Nie na długo – ostrzegł Marce.

– Nie – zgodziła się Roynold. – Oba znów się rozpadną. Ten wychodzący za około rok. Ten przychodzący znacznie wcześniej. Powiedzmy za trzy miesiące.

– Skąd ta różnica? – spytała Cardenia.

– Tak jak ci powiedziałem przy pierwszym spotkaniu – odparł Marce – prądy wychodzące i przychodzące nie są ze sobą tak naprawdę powiązane. I jest jeszcze to – kiwnął głową w kierunku Roynold.

– Przychodzący prąd pozostawał otwarty przez niemal pięć lat – stwierdziła.

Na te słowa Cardenia zamrugła.

– Jak to możliwe?

– Nurt nie robi tego, co robi, zgodnie z naszym harmonogramem – odparła Roynold. – Obecne przesunięcie trwa od dekad, może nawet stuleci.

– Nie, nie – powiedziała Cardenia, nieco poirytowana. – Chodzi mi o to, jakim sposobem *my* nie zauważyliśmy, że ta płycizna wisi sobie w przestrzeni kosmicznej koło Hubu?

Roynold wzruszyła ramionami.

– Nie szukaliście jej. Nic z niej nie wylatywało. Wychodząca płycizna zniknęła zaś tak dawno temu, że prawdopodobnie od wieków nikt nawet o niej nie pomyślał.

– Może z wyjątkiem ciebie – powiedział Marce do Cardenii.

A ona wyrzuciła ręce w górę i poirytowana wykrzyknęła:

– Czy moglibyście przestać bawić się w tajemniczość i w końcu mi powiedzieć?

– To prądy prowadzące do i z Dalasýsli – odparł Marce – utraconego systemu Wspólnoty. Oraz powód, dla którego twoja imienniczka została zamordowana.

Na te słowa Cardenię zamurowało.

– Zapytaj ją – poprosiła w końcu Roynold Marce’a.

– Zapytaj o co? – spytała Cardenia, również patrząc na niego.

– Myślę, że powinniśmy polecieć – oświadczył Marce. – Do Dalasýsli.

– Dlaczego?

– Bo to system, który utraciliśmy – wyjaśnił Marce. – To, co stało się tam, może się wydarzyć w każdym z pozostałych systemów Wspólnoty. Musimy się dowiedzieć, co tylko się da, na temat tego, jak się wszystko rozpadło, tak żeby móc uniknąć popełnionych przez nich pomyłek.

– I należałoby to zrobić szybko – dodała Roynold. – Zanim przychodzący strumień znów się rozpadnie.

– Hatide ma rację. Potrzebujemy statku. I to szybko.

– I wy chcielibyście na tym statku polecieć?

– Oczywiście – rzucił Marce i się uśmiechnął. – To najważniejsza ekspedycja naukowa od setek lat. Nie chciałbym jej przegapić. – Zerknął na Roynold. – Żadne z nas by nie chciało.

Była już prawie północ, kiedy Cardenia powiedziała sobie *pieprzyć to* i posłała po Marce’a Claremonta.

– Jakiego rodzaju naukowców będziesz potrzebował do tej ekspedycji? – zapytała, gdy tylko pojawił się w pośpiechu w jej apartamentach.

Jego mieszkanie znajdowało się w skrzydle dla służby, spory kawałek od pokoiów impero. Wiedziała, że Marce ma swoje pieniądze. Ojciec wysłał go na Hub ze znaczną częścią rodzinnego majątku na osobistym koderze, ale on najwyraźniej zadowolony był z kwaterą obejmującą jeden pokój i łazienkę. Z jego mieszkania do jej apartamentów szło się kilka minut, przy czym należało się zatrzymać na kolejnych liniach ochrony. Oboje, czując się nieco niezręcznie, stali w jej salonie w pewnej odległości od siebie.

– Myślę, że wszystkich – ostrożnie odpowiedział Marce. Cardenia widziała, że mężczyzna nie wie, po co go wezwała, zaś teraz zadała pytanie, co do którego nie był pewien, dlaczego wymaga odpowiedzi pięć minut przed północą. – Fizycy Nurtu, to oczywiste, ale sądzę, że będziemy chcieli zabrać biologów, chemików, astrofizyków, zwykłych fizyków, antropologów i archeologów...

– Archeologów?!

– Dalasýsla jest martwa od wieków – odparł Marce. – Potrzebujemy ludzi, którzy będą wiedzieli, jak zbadać historię tego rodzaju. Będziemy potrzebować speców od kryminalistyki i patologów; historyków, szczególnie tych, którzy posiadają wiedzę o Dalasýsli i wczesnych dziejach Wspólnoty. Potrzebni będą inżynierowie oraz ludzie zaznajomieni z komputerami i systemami tamtej ery. To ci, którzy mi przychodzą do głowy po krótkim namyśle. Jeśli chcesz, mogę przygotować dłuższy raport.

– A co, gdybym chciała, żeby ta wyprawa była niewielka? – spytała Cardenia. – Niewielka i przeprowadzona po cichu?

– Dlaczego miałabyś tego chcieć?

– Bo w tym momencie im mniej ludzi wie o tym i o przelotnym pojawianiu się prądów Nurtu, które odkryliście ty i Roynold, tym mniej problemów, z którymi będę musiała się uporać, próbując to wszystko wyjaśnić bez ciebie pod ręką – wyjaśniła i zauważyła, jak na nią patrzy Marce. – Nie mówię, że chcę to utrzymać w tajemnicy na zawsze. Po prostu chciałabym wiedzieć, co odkryła ta ekspedycja, zanim cokolwiek ogłoszę.

– Nad danymi, które udostępnił mi, pracowali też inni fizycy zajmujący się Nurtem – zauważył Marce. – Niektórzy z nich mogli się o tym dowiedzieć tak czy inaczej.

– Pracują na danych twoich i twojego ojca, prawda?

– Prawda.

– Nie na tych od Roynold?

– Nie.

- W takim razie warto zaryzykować.
- Jeśli tak uważasz.
- Wracając do mojego pytania. Mała i cicha wyprawa – ilu naukowców byś na niej potrzebował?
- Należałoby znaleźć ludzi mogących wykonywać zadania z dwóch różnych specjalności – odparł Marce. – My, fizycy zajmujący się Nurtem, jesteśmy w stanie obyć się bez innych specjalistów od tej nauki, bo uczyliśmy się zarówno ogólnej, jak i klasycznej fizyki, więc możemy dokonać analiz, na których będą się mogli oprzeć inni. Patolog zajmujący się też kryminalistyką, który ma także doświadczenie w zakresie szerzej pojętej biologii. Jest mnóstwo archeologów mających doświadczenie w antropologii i na odwrót. Będziemy potrzebowali kogoś zaznajomionego z systemami komputerowymi tamtych czasów. No i osobę znającą się na habitatach budowanych w tamtej epoce. Możliwe, że da się znaleźć jednego specjalistę od obu tych kwestii.
- A zatem, w zależności od tego ostatniego, pięciu lub sześciu ludzi.
- Tak przypuszczam. Oprócz tego sama załoga statku.
- Ile czasu będziecie potrzebować na Dalasýsli?
- Ile tylko zechcesz nam dać.
- Podaj mi horyzont czasowy, Marce.
- Sądzę, że dwa tygodnie to minimum.
- Ile zajmie lot tam i z powrotem?
- W oparciu o posiadane przez nas dane i przekazy historyczne na temat systemu szacujemy, że około ośmiu dni. Jesteśmy pewni, że to prąd Nurtu otwarty ponownie, a nie nowy udający ten używany wcześniej. Mimo to margines wynosi plus minus trzy dni.
- A zatem maksymalnie jedenaście dni w jedną stronę, dwa tygodnie na Dalasýsli i jedenaście dni z powrotem. To ponad miesiąc.
- To już wiesz, dlaczego chcieliśmy, żeby ekspedycja ruszyła najwcześniej jak to możliwe – powiedział Marce.
- Po co wam aż dwójka naukowców zajmujących się Nurtem – zapytała Cardenia – skoro we wszystkich innych przypadkach będziemy szukać ludzi mających po dwie specjalności?
- Marce wyglądał, jakby przez chwilę się wahał, zanim odpowiedział na pytanie.
- Myślę, że to nie kwestia potrzeb.
- A więc o co chodzi?
- To *nasze* odkrycie – wyjaśnił Marce. – Tak moje, jak i Hatide. Oboje chcemy być tego częścią. I sądzę, że oboje na to zasługujemy. Nie mógłbym jej poprosić, żeby

została tutaj. A *ja* zdecydowanie chcę wziąć w tym udział. Może jest to luksus, biorąc pod uwagę zasoby ludzkie. Lecz myślę, że możemy sobie na to pozwolić.

– A co, jeśli poprosiłabym cię, żebyś został?

Marce bardzo lekko się do niej uśmiechnął.

– Poprosiła?

– Poprosiła – odparła. – Nie rozkazała.

– Wasza wysokość, jeśli imperoks prosi o coś podobnego, to tylko głupiec uznałby to za cokolwiek innego niż rozkaz.

Cardenia przez chwilę miała przed oczami swoją rozmowę poprzedniego wieczoru z duchem ojca na temat różnicy między rozkazaniem a poproszeniem, by ktoś poszedł z imperoksem do łóżka.

– Oj, nieważne – stwierdziła i podeszła do barku, żeby zrobić sobie drinka.

– Trochę jestem zagubiony – powiedział po chwili Marce.

– Witaj w klubie – rzuciła Cardenia i dołożyła do szklanki trochę lodu.

– Coś mi umknęło? – zapytał Marce.

Cardenia nałała sobie sporo alkoholu, pociągnęła solidny łyk.

– Naprawdę jestem w tym kiepska.

– Kiepska w czym?

– Słuchaj, ty i Roynold jesteście ze sobą?

– Co?!

– Czy jesteś z Roynold? Czy wy dwoje... No wiesz – Cardenia machała ręką, w której trzymała szklankę, w następstwie czego porozlewała zawarty w niej płyn – Coś między wami jest? Związek? Uczucie?

Cardenia patrzyła, jak Marce (błogosławione jego głupiutkie, nieświadome, ciamajdowate serce) w końcu poskładał to wszystko do kupy.

– Nie – odpowiedział. – Nie jesteśmy w związku. Nie wiąże nas żadne uczucie.

– Jesteś pewien? – naciskała Cardenia. – Widziałam, jak dyskutowaliście dziś po południu. Byliście bardzo *poruszeni* sobą nawzajem.

– To dlatego, że jesteśmy jedynymi ludźmi w całym systemie, którzy wiedzą, o czym mówi to drugie – wyjaśnił Marce. – Przynajmniej jeśli chodzi o Nurt. To tak, jakby znaleźć jedyną osobę w całym wszechświecie, która mówi twoim językiem.

– No widzisz, właśnie to mam *na myśli*. – Cardenia dopiła to, co zostało z drinka, po czym podeszła do barku, żeby ponownie napełnić szklankę.

– Tym językiem jest fizyka Nurtu – powiedział Marce. – Jest specjalistyczny. Bardzo skomplikowany. I ani trochę romantyczny.

– Jesteś pewien, że tak właśnie myśli Roynold?

– Myślisz, że coś do mnie czuje?

- Możliwe.
- Chyba nie jestem w jej typie.
- A myślisz, że jaki jest jej typ?
- W przeważającej części symbole matematyczne. Jeśli spędzisz z nią choć odrobinę czasu, zauważysz, że właściwie to nie za bardzo lubi ludzi.
- Lubi *ciebie*.
- Akceptuje konieczność obcowania z mięsistymi częściami mojego ciała, traktując to jako cenę za możliwość współpracy z moim mózgiem. Tak więc to nie jest do końca to samo.

Cardenia przez chwilę milczała.

- Czyli między wami absolutnie nic nie ma?
- Jeśli cywilizacja przetrwa, możliwe, że przejdziemy do historii jako współodkrywcy Teorii Rozkładu Prądów Nurtu Claremonta-Roynold, do spółki z moim tatą – odparł Marce. – Ale poza tym nic.
- Och, kurwa – powiedziała Cardenia. Popatrzyła w drinka, a potem podniosła wzrok na Marce’a. – Wspominałam już chyba, że jestem w tym naprawdę, naprawdę kiepska?

Marce wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Owszem. – Wskazał na szklankę w dłoni Cardenii, którą ponownie napełniła. – Czy mógłbym cię prosić, żebyś to odłożyła?
- Dlaczego?
- Bo jeśli mamy odbyć rozmowę, którą jak sądzę, mamy przed sobą, to wolałbym nie myśleć, że było to tylko pijackie gadanie.

- Wiesz, że mogłeś odmówić? – odezwała się Cardenia, kiedy już po wszystkim leżeli w łóżku wtuleni w siebie.
 - Dlaczego miałbym to zrobić? Jesteś imperoks. Mogłabyś kazać mnie zastrzelić.
- Cardenia lekko go trąciła.
- O to mi właśnie chodzi. Nie chciałam, żebyś myślał, że to wszystko jest na rozkaz. Że przystawiam się do ciebie, bo nie możesz powiedzieć „nie”.
 - Wierz mi, że po dzisiejszej rozmowie w życiu nie pomyślę, że rozkazujesz mi pójść z tobą do łóżka.
 - Och, Boże – jęknęła Cardenia, kładąc twarz na piersi Marce. – Nie przypominaj mi nawet. Nie wiem, jak to naprawię.
 - Uważam, że to było słodkie.

– Przysięgam, że tak naprawdę nie jestem typem zazdrośnika. To było coś zupełnie innego.

– To znaczy co?

– Coś w stylu: „On lubi kogoś innego i teraz jest mi smutno, więc pójdę i zjem całutkie ciasto”.

– Bardzo konkretny zamiar.

– No wiesz, ciasto jest świetne – Cardenia uniosła głowę i go pocałowała – ale *to* podoba mi się bardziej.

– Bardzo miło mi słyszeć, że jestem lepszy od ciasta – odpowiedział Marce.

– Nie wypowiadaj się, póki nie spróbujesz.

– Nic nie mówię.

– Nadal chcesz lecieć do Dalasýsli, prawda? – zapytała Cardenia minutę później.

– Tak, oczywiście.

– Mogłabym polecieć z tobą.

– Wydaje mi się, że Wspólnota mogłaby zauważyć, gdyby imperoks nagle zginęła.

– To nie jest tak do końca prawda. Samuel III ponoć zniknął na całe miesiące. Nikt zbyttnio za nim nie tęsknił.

– Może przykładasz większą wagę do dobrobytu Wspólnoty, niż Samuel III. Kimkolwiek on tam był.

– Możliwe.

– A zważywszy na poziom kontrowersji, jakie ostatnio wywołałaś, ludzie na pewno zauważą, jeśli znikniesz.

Cardenia znowu podniosła na niego wzrok.

– To szczone nawiązanie do wizji, prawda?

– To ja już się zamknę – powiedział Marce.

– Więc? Co o nich myślisz? Tak naprawdę?

– To ma jakieś znaczenie?

– Tak, dla mnie ma.

– Myślę, że imperoks Grayland II robi co w jej mocy, aby się upewnić, że cywilizacja i wszyscy tworzący ją ludzie przeżyją następne dziesięć lat. A ponieważ myślę to, co myślę, to jeśli ma wizje, a one pomogą ludzkości przeżyć, ja podpisuję się pod nimi obiema rękami.

Cardenia znowu go pocałowała.

– Dziękuję.

– To znaczy, byłbym *szczęśliwszy*, gdybyś choć trochę bardziej opierała się na nauce – dodał Marce.

– Może następnym razem – rzuciła Cardenia, na co Marce prychnął. – Co sądzisz o Imperialnej Marynarce Wojennej? – zapytała.

– Nigdy za dużo o niej nie rozmyślałem – odpowiedział Marce. – A co?

– Bo mam zamiar załatwić ci od niej statek, załogę oraz naukowców, żeby zawieźć cię do Dalasýsli i z powrotem. Marynarka jest w stanie to zrobić szybko i cicho, a nikt nie zadaje pytań, kiedy imperoks ma zadanie dla marynarki. No – przyznała Cardenia – ludzie będą pytać. Ale od oficerów nic nie wyciągną.

– Kiedy będą gotowi?

– Zamierzam nakazać admirałowi Embladowi I, żeby byli gotowi w ciągu tygodnia. Za pięć dni, jeśli to możliwe.

– Szybko.

– Tak, to prawda. – Cardenia wspięła się na Marce'a. – A to dlatego, że musisz wziąć udział w tej wyprawie, a ja chcę, żebyś wrócił tak szybko, jak tylko dasz radę. Bo cokolwiek *to* jest, chcę do tego wrócić tak prędko, jak to możliwe.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 9

Cal Dorick zdołał wydobyć Nadashe Nohamapetan z więzienia na dokładnie osiem godzin.

– Sędzia wreszcie zgodził się na przesłuchanie w sprawie twojego stanu psychicznego – powiadomił ją na jednym z cotygodniowych spotkań. – Staram się dowieść, że czas, jaki tu spędzasz, jest trudny dla twojej już i tak kruchej psychiki i że musisz zostać umieszczona w zabezpieczonej placówce zdrowia psychicznego. Oskarżenie, co oczywiste, stara się temu zapobiec, więc sędzia poprosił, żebyś była obecna przy orzeczeniu, tak aby sam mógł cię ocenić, no bo gdzieżby potrzebował wykształcenia psychiatrycznego, skoro skończył prawo i ma przerośnięte mniemanie o samym sobie.

– A my uważamy, że przebywanie w placówce zdrowia psychicznego będzie lepsze niż siedzenie tutaj? – spytała Nadashe.

– Nie jest to opcja optymalna, ale mimo wszystko lepsza niż miejsce, gdzie ludzie próbują cię zadźgać łyżkami.

– Myślałam, że trzymamy się wersji, że pani z łyżką i pani ze szczoteczką po prostu całkowitym przypadkiem chciały się zadźgać nawzajem, a ja tylko przechodziłam obok.

Nadashe zauważyła, jak dzielnie Dorick usiłował nie przewracać oczami.

– Niech będzie: jest lepsza niż miejsce, gdzie ludzie spontanicznie próbują wbijać sobie różne rzeczy, podczas gdy ty *tylko* przechodzisz obok nich. A swoją drogą, co się stało z tą od szczoteczki?

– Chyba nadal siedzi w izolatce. Najwyraźniej nie pierwszy raz umyła komuś zęby.

– Spotyka pani takich interesujących ludzi, pani Nadashe.

– Właśnie, a muszę tu przesiadywać z kimś takim jak ty.

Dorick uniósł palec, jakby mówiąc: „A to ci dopiero cięta riposta”.

– Wracając do sprawy. Za dwa dni stajemy przed sędzią i znasz procedurę. Przyjdą i cię skują, zabrają do windy, która zawiezie cię na poziom powierzchni, po czym przykują do pojazdu poruszającego się lądem. Narobiłem szumu wokół kwestii twojej ochrony, więc pewnie cię ucieszy, że w tym rydwanie jedziesz sama. Przez „sama” mam na myśli to, że będzie z tobą jedynie trzech uzbrojonych strażników. Będą mieli tylko broń ogłuszającą, ale obiecano mi, że dostaną bardzo bolesne w działaniu pałki ogłuszające i paralizatory. To najwyraźniej na wypadek, gdybyś doznała przyływu adrenaliny i rozerwała łańcuchy albo jakimś sposobem przemyciła do pojazdu wytrych, choć chyba tym, którzy potrafią sobie taki sposób wyobrazić, płacą lepiej niż

mnie. To zaś przypomniało mi, że zostaniesz przeszukana na początku i pod koniec podróży, i to z obu stron twojego ciała. Przykro mi, to nie podlega negocjacom.

Nadashe wzruszyła ramionami.

– Gorzej mnie obmacywali na studiach.

– I co ja mam zrobić z tą informacją? Powiem tak: jeśli chcesz, żeby sędzia na poważnie rozważył teorię, że przebywanie tutaj wpływa szkodliwie na twój wąty stan psychiczny, to pomocne może się okazać, jeśli będziesz wyglądać na, powiedzmy, skrzywdzoną.

– Chcesz powiedzieć, że nie wyglądam na dostatecznie kruchą?

– Chcę powiedzieć, że chociaż uważam, że twoja kamienna twarz doskonale do ciebie pasuje, to dla tej konkretnej publiki, w tym konkretnie czasie, możesz spróbować innej taktyki. Albo i nie, nie ma problemu, bądź sobą.

Nadashe przyjrzała się swojemu prawnikowi.

– Przypomnij mi, dlaczego ja cię wynajęłam?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, pani Nadashe. Jednak ponieważ już mi zapłaciłaś, i to za jakieś czterdzieści lat z góry, za co ci dziękuję (przy okazji, żona uwielbia nowy wystrój jadalni zapewne bardziej niż mnie), w zasadzie głupio byłoby mnie teraz zwolnić.

– Zobaczymy.

– No to idziemy dalej. Zakładając, że przesłuchanie w sprawie twojego stanu psychicznego nie zajmie całego dnia, a nie zajmie, bo twój sędzia rzadko spędza przy czymś więcej niż piętnaście minut, jeśli może tego uniknąć, przygotowałem dla ciebie, wraz z twoją gwardią honorową, możliwość wykorzystania mojej sali konferencyjnej. Zaaranżowałem kilka spotkań, w tym z twoją matką, hrabiną Nohamapetan. – Na te słowa Nadashe się skrzywiła. – Nie jesteś zadowolona? Mogę ją usunąć z harmonogramu. Drzę przed jej słusznym gniewem, jeśli to zrobię, ale to ty jesteś moją klientką, nie ona.

– Nie – odparła Nadashe. – Wolę się z nią spotkać na czymś, co nominalnie jest moim terenem, nie jej.

– Jeśli nie wciągnę jej na listę, w ogóle nie będziesz musiała się z nią spotykać.

– Miło, że wierzysz w takie rzeczy.

– Masz jakieś szczególne prośby na okoliczność spotkania z nią?

– Sprawdźcie ją dokładnie pod kątem łyżek i szczoteczek, zanim wpuścicie do środka.

– W sumie to nie wiem, czy żartujesz, więc po prostu sobie to zanotuję. – Dorick zrobił notatkę.

– Jeśli naprawdę spróbujesz ją przeszukać, prawdopodobnie jej ochroniarz wyrzuci cię przez okno.

– Dobrze wiedzieć. – Dorick wykreślił notatkę.

– A co z tą inną sprawą?

– Jaką inną?

– Tą *inną* sprawą.

Dorick gapił się nieprzytomnie na Nadashe przez kilka sekund, zanim wreszcie uświadomił sobie, o czym mówi.

– Aha, *to*. Cóż, z żalem muszę powiedzieć, że te listy, o które prosiłaś swoich przyjaciół, potwierdzające twój nienaganny charakter, okazały się trudne do zdobycia i wydaje mi się, że kilku ze wspomnianych przyjaciół aktywnie mnie unika. Tak więc nadal nad tym pracuję. Ale zostawiając tę kwestię *na boku*, może cię zainteresować, że pojawiło się kilka źródeł, które dostarczyły bardzo ciekawych informacji o twoim świętej pamięci ukochanym bracie Amicie.

– Doprawdy?

– Tak. Najwyraźniej twój brat rozmawiał z kilkoma znaczącymi osobistościami półświatka na temat wyłudzenia odszkodowania za jeden ze statków należących do waszego rodu. Zdaje się, że sprzeniewierzył nieco należących do rodziny pieniędzy i pilnie musiał je skądś zdobyć, zanim ktoś to zauważy. Nic, czego nie rozwiązałyby stare dobre „zniszczenie statku kosmicznego za parę miliardów marek”.

Nadashe skinęła głową.

– A nie mówiłam?

– Sam ledwo mogę w to uwierzyć.

Na te słowa Nadashe się uśmiechnęła. Mały taniec, jaki Dorick właśnie musiał odstawić, żeby sprawić wrażenie, że nie wie o jej umowie z Deranem Wu, twierdząc, że to wynik działalności kryminalnej, a on siedział w tym po uszy, był smutny i nieco żałosny, ale konieczny.

– Z kim jeszcze, oprócz mojej matki, mam się zobaczyć?

– Pan Teran Assan prosił o spotkanie.

– W jakim celu?

– Powiedział, że chce zasięgnąć twej mądrości na temat niektórych członków komitetu wykonawczego. Najwyraźniej z kilkoma z nich nie jest w stanie dojść do porozumienia.

– To dlatego, że jest dupkiem.

– Też bym tak obstawiał. Niemniej biorąc pod uwagę jego pozycję w Komitecie, myślę, że jest to ktoś, z kim warto utrzymywać poprawne relacje. – Przy ostatnich słowach Dorick uniósł brwi, aby dać Nadashe do zrozumienia, że Teran Assan jest

naprawdę użytecznym narzędziem, więc może warto mu rzucić kość ze stołu. Nadashe jęknęła.

– Postaraj się, żeby to spotkanie było tak krótkie, jak to tylko możliwe.

– Jasne, nie ma sprawy. Również biuro Kivy Lagos dzwoniło i pytało, czy miałabyś dla niej trochę czasu.

– Dobry Boże, a po co?

Dorick zerknął w notatki.

– Najwyraźniej ma kilka pytań w sprawie finansów.

– Finanse rodziny to była działka Amita, nie moja.

– Biuro pani Kivy przewidziało taką obiekcję i mówią, że podejrzewają, iż możesz wiedzieć coś, co jej się przyda.

„Co ta kobieta odstawia?” – zastanawiała się Nadashe. Ona i Kiva nigdy nie były ze sobą blisko na studiach, nawet kiedy spały w tym samym pokoju, a Kiva bzykała się z Ghrenim. Obie instynktownie rozumiały, że droga do ich harmonijnego współistnienia wiedzie przez trzymanie się z dala od spraw tej drugiej. A teraz Kiva wpakowała calutki nos w sprawy Nadashe, której się to ani odrobinę nie podobało.

– Nie umieściłeś tego jeszcze w grafiku?

– Nie, czekałem na twoją zgodę.

– To nie kłopotz się. Cokolwiek ona wyprawia z naszymi finansami, nie chcę być tego częścią ani nawet się do tego zbliżać. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Zrobię co w mojej mocy, aby się upewnić, że wgląd pani Kivy w finanse twojej korporacji nie będzie cię niepokoił – odparł niezwykle uprzejmie Dorick, co oznaczało, że zrozumiał, iż rozkaz dotyczył nie tylko samych spotkań. Następnie spojrzął na zegarek.

– No i nasz czas na dzisiaj minął. Zobaczymy się za dwa dni, pani Nadashe. Do tego czasu unikaj łyżek i szczoteczek. No i pracuj nad smutnym wyrazem twarzy.

– Za dużo się przy tym nie napracuję – zapewniła go Nadashe.

I przynajmniej to było prawdą. Z wisielczym humorem czy bez, z kamiennym wyrazem twarzy czy bez niego, życie w więzieniu zaczynało wywierać na nią wpływ. Perspektywa funkcjonowania w ten sposób dzień po dniu, przez całą dobę, do końca życia, nie była czymś, co by ją pociągało. Jeśli oznaczało to, że będzie musiała udać przed sędzią małe załamanie nerwowe, to miała zamiar spróbować.

Tak czy inaczej była szansa się stąd wydostać.

– Mówię tylko, że to nie smakuje jak ryba – powiedział jeden ze strażników do drugiego, podczas gdy pojazd tłukł się po pozbawionej powietrza powierzchni Hubu.

Obaj przegadali ostatnie pół godziny o jedzeniu. Trzeci osunął się na siedzeniu i chrapał. Temu ostatniemu Nadashe zazdrościła.

– Oczywiście, że smakuje jak ryba – odpowiedział tamtemu drugi strażnik. – Ryba zawsze smakuje jak ryba. Dlatego nazywają ją „rybą”.

– Jasne, ale mówię ci, że ta nie smakuje rybowato, tak jak smakuje większość ryb.

– Czyli nie jest *aż taka* rybowata.

– To właśnie mówię.

– Czyli jednak smakuje rybowato – stwierdził drugi strażnik – tyle że trochę inaczej.

– Nie, nie łapiesz – odpowiedział mu pierwszy, po czym odwrócił się do Nadashe, aby włączyć ją do jakże emocjonującej dyskusji o tym, co sprawia, że ryba smakuje rybowato.

„Nie rób tego ani mi się waż ani mi się kurwa waż” – pomyślała z wściekłością Nadashe, mając nadzieję uciszyć kretyna samymi myślami.

– No to zapytajmy o tę rybę *ciebie* – zaczął strażnik, po czym nastąpił okropny huk, transport podskoczył i twardo wylądował na boku, a jedyne, o czym była w stanie myśleć Nadashe, to wdzięczność, że jej ostatnie słowa nie były częścią idiotycznej dyskusji o akwakulturze.

Kilka sekund później uświadomiła sobie, że wcale nie umiera, ale zwisa z dachu pojazdu, bo to, co teraz było dachem, przedtem stanowiło ścianę, do której przykuto ją łańcuchami. Jej pasy bezpieczeństwa zadziały jak należy, dlatego nie zginęła, i to było dobre, ale cichy, intensywny gwizd, który słyszała, mówił jej, że z przedziału transportowego uchodzi powietrze, co oznaczało, że wkrótce się udusi, a to już nie było takie dobre.

Nadashe spojrzała w dół i dostrzegła trzeciego strażnika, zwiniętego w kłębek, z szyją wygiętą w sposób, który wykluczał przeżycie. „Usnął sobie – pomyślała. – Jak miło”. Pozostali dwaj, oszołomieni, leżeli na podłodze, która wcześniej była drugim bokiem.

– Potrzebuję maski – krzyknęła do nich Nadashe. – Hej! Słyszycie? Potrzebuję maski!

Jeden z tamtych (ten przekonany, że ryba nie była rybowata czy jak to tam, kurwa, szło) zagubionym wzrokiem spojrzał w górę, po czym skinął głową i zaczął przepatrywać ścianę w poszukiwaniu awaryjnych masek tlenowych.

– To nie jest ściana! – krzyknęła Nadashe. – Są pod twoimi stopami.

Nierybowatemu przeprocesowanie jej słów zajęło kilka sekund, po czym, o dziwo, spłynęło na niego oświecenie i znalazł skrzynkę zamontowaną w ścianie, która teraz była skrzynką zamontowaną w podłodze. Nierybowaty założył jedną z nich, drugą

podał Rybowatemu, ocenił, że strażnikowi numer trzy nie będzie potrzebna, po czym podał maskę Nadashe. Założyła ją z pewnymi trudnościami, bo przecież miała skute ręce.

– Zostań tam, gdzie jesteś – powiedział do niej strażnik, a Nadashe popatrzyła na niego z niedowierzaniem, bo co innego mogła zrobić, zwisając w kajdankach. – Spróbujemy wywołać kogoś przez radio.

Nastąpił kolejny potworny wybuch, tylne drzwi przedziału transportowego odskoczyły, a wszyscy strażnicy, żywi i martwi, zostali wyssani na pozbawioną atmosfery powierzchnię Hubu. Nadashe desperacko chwyciła swoją maskę, żeby przypadkiem nie odleciała jej z twarzy. Tuż przed tym, jak obraz rozmazał jej się przed oczami, zobaczyła, jak Rybowaty i Nierybowaty stracili swoje i równocześnie dusili się i zamierzali na śmierć.

Skoro już o tym mowa, zimno natychmiast zaczęło kąsać również skórę Nadashe. Teoretycznie droga prowadząca do Hubfall znajdowała się w umiarkowanej strefie półcienia orbitującej synchronicznie planety, ale „umiarkowana” oznaczało bardzo różne rzeczy, kiedy różnica temperatur wynosiła 500 stopni Celsjusza. Akurat w tym miejscu „umiarkowana” znaczyło „piekielnie zimno”.

Na twarz Nadashe padło światło i podeszło do niej dwóch ludzi w skafandrach kosmicznych, przecinając jej łańcuchy i pasy bezpieczeństwa. Opadła im w ramiona i niezwłocznie założono jej jasny, gruby skafander, który od razu zapewnił jej ciepło i tlen. Przez jakąś sekundę Nadashe stała, rozkoszując się ciepłem, po czym wyciągnięto ją z rozbitego pojazdu. Wychodząc, zobaczyła ciała strażników i wrak. Samochodem kierował człowiek. Biorąc pod uwagę stan pojazdu, kierowcę musiał spotkać podobny los jak strażników, a może nawet gorszy.

Nadashe trochę szła, trochę była ciągnięta w kierunku czegoś, co wyglądało jak kontener ze śluzą powietrzną. Wepchnięto ją do tejże śluzy, a potem zamknięto uszczelniane drzwi. Gdy tylko w śluzie pojawiło się odpowiednie ciśnienie, otworzyły się wewnętrzne drzwi i dwóch innych ludzi wciągnęło ją do środka, a na jej miejsce włożono ciało pozbawione głowy. Znow zamknęli śluzę i proces powtórzył się w odwrotną stronę. Gdy skończyli, znow skupili uwagę na Nadashe: ściągnęli z niej skafander oraz maskę tlenową z twarzy.

Cała akcja, od wydobycia jej z rozbitego pojazdu po wyłuskanie ze skafandra wewnątrz tego czegoś, zajęła niecałe sześćdziesiąt sekund.

– Pani Nadashe – powiedział ktoś. Odwróciła się i zobaczyła, że to Teran Assan, sam zapakowany w skafander. – Jak miło panią widzieć.

– Co ty tu robisz? – spytała Nadashe.

– Właśnie udało mi się panią uratować – odparł Assan. Już otwierała usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale Assan uniósł dłoń. – Proszę się wstrzymać z tymi przemyśleniami – dodał i podszedł do służki, która właśnie znów powtarzała cykl. – Tak przy okazji, pani matka przesyła pozdrowienia.

– Doprawdy?

– Wkrótce się pani z nią zobaczy – Assan beztrąsko zaskłutował, po czym zniknął za drzwiami.

Pan Teran Assan nie miał zamiaru nikogo okłamywać: był absolutnie, kurwa, zachwycony tym, że jego plan ucieczki z więzienia działał tak dobrze.

A to był *jego* plan. To on przedstawił go hrabinie Nohamapetan.

– Proszę spojrzeć – powiedział, prezentując jej wizualizację na ekranie tabletu. – Ten odcinek drogi do Hubfall jest obserwowany w małym stopniu, a nawet temu można łatwo zaradzić. Zajmują się już tym pracujący dla mnie hakerzy. Mogę uzyskać pięciominutowe okienko, podczas którego wszystkie naziemne systemy dozoru zostaną wyłączone.

– No to zostaje jeszcze dron, który będzie leciał razem z samym transportem – zauważyła Tinda Louentintu. Szefowa personelu hrabiny jak zwykle prowadziła w imieniu ich obu cięższą część rozmowy. – Wysłała do zakładu karnego bezpiecznymi łąkami bieżący obraz z kamer.

– Tak, owszem – zgodził się Assan. – Ale nie zmienia to faktu, że obraz ten można zablokować lub podmienić. Potrzeba tylko klucza szyfrującego dla danego drona, który zupełnie przypadkowo posiadam, bo kobieta nadzorująca drony lubi pieniądze bardziej niż bezpieczeństwo.

– No to jeszcze nadzór satelitarny – przypomniała Louentintu.

Assan się uśmiechnął.

– To już był twardszy orzech do zgryzienia. Aby to załatwić, potrzebowałem kogoś, kto mógłby nam zapewnić dostęp do samej satelity. To zaś oznacza wtyczkę w wojsku. Dobra wiadomość jest taka, że mając wybór między Jasinem i Deranem Wu, pani hrabina w swej mądrości wybrała tego pierwszego. W zamian Jasin zgodził się pomóc, traktując to jako część podziękowań za jej łaskawość.

– Ma pan zamiar ukryć przechwycenie transportu przed satelitami wojskowymi – powiedziała Louentintu. – Ale przecież jeśli nie pokaże się na obrazie z satelity, będzie wyglądało to podejrzanie.

– *Pojawi się* na obrazie, to oczywiste – podkreślił Assan. – Nie *ukryjemy* tego, że pojazd eksplodował. Po prostu pokażemy im fałszywy wybuch, sprawiając, że

transport będzie wyglądał, jakby posuwał się wolniej niż w rzeczywistości. W ten sposób, kiedy zobaczą w końcu prawdziwy obraz z satelity, nas już tam dawno nie będzie. Tę samą symulację puścimy na kanałach dronów i kamer bezpieczeństwa. Nikt nie będzie wiedział, że powinni nas szukać, bo nie będą wiedzieli, że w ogóle tam byliśmy. Zobaczą tylko to, co zechcemy, żeby zobaczyli. A my będziemy chcieli, żeby zobaczyli przypadkowy tragiczny wybuch transportu więziennego.

– Zauważą, że nie ma Nadashe.

– Już się tym zająłem.

– Jak?

Assan spojrzał bezpośrednio na hrabinę, zamiast na szefową personelu.

– Przypuszczam, że będziecie panie wołały nie znać szczegółów.

– Ile to zajmie? – spytała Louentintu.

– Z odpowiednimi ludźmi niecałe cztery minuty na miejscu. Oczywiście przed i po więcej, ale to już będzie poza zasięgiem ciekawskich oczu.

– I jest pan pewien, że zdoła to zrobić?

– Z pomocą waszą i Jasina Wu, tak.

– A czego potrzebuje pan od nas?

– Zgody i pieniędzy.

– Ile pieniędzy? – zapytała hrabina.

– Pani hrabino, to trzeba zrobić szybko i dobrze. Opcji taniej nie ma co nawet brać pod uwagę.

Assan uzyskał zgodę, przez kontakty swoje i Jasina Wu uzyskał dostęp do kamer, a także pieniądze w ilości, która pozwalała, aby rzeczy niemożliwe stawały się rzeczywistością tak szybko i płynnie, że wyglądało to wręcz na magię. Assanowi oczywiście nieobce były ogromne sumy. Był dyrektorem zarządzającym aktywami swojej rodziny w systemie Hubu. Przez jego biuro codziennie przechodziły kwoty, jakimi niektóre z ludzkich cywilizacji nie dysponowały w okresie całego swojego istnienia. Była jednak spora różnica między zwykłym obracaniem pieniędzmi w handlu a wydawaniem nieprawdopodobnych kwot na korupcję.

Fakt, że Assan robił to wszystko, będąc dyrektorem z ramienia swego rodu oraz członkiem komitetu wykonawczego, stanowiło tylko wisienkę na torcie, przynajmniej jeśli ktoś by jego zapytał o zdanie. Odwieczne marzenie o „morderstwie doskonałym” nie raz nasuwało mu się na myśl. Miał popełnić morderstwo doskonałe. I zapewnić ucieczkę z więzienia. I równie doskonale popełnić przynajmniej siedem innych przestępstw.

Smak tego wszystkiego był przecudny i Assan nigdy wcześniej nie czuł się bardziej żywy.

Dla Assana jasne było, że musi znajdować się na miejscu w trakcie akcji. Była to misja typu wysokie ryzyko-wysoki zysk, a przynajmniej tak powiedział hrabinie. Czuł się honorowo zobowiązany, by dopilnować, że wszystko zostanie wykonane w ramach cienkich jak żyłki widełek czasu i umiejętności, których wymagało całe przedsięwzięcie. Rozmawiał już z przywódczynią drużyny najemników, którzy mieli wykonać zadanie, a ona zgodziła się, że jego obecność będzie konieczna, podobnie jak nadzór nad kilkoma ostatnimi minutami przechwycenia oraz udział w wykonaniu finalnego przejęcia.

Oczywiście Louentintu miała rację. Jeśli z transportu zniknie ciało Nadashe, nikt nie uwierzy, że był to zwykły wypadek. Wszyscy wiedzieli, że Nohamapetanowie mają pieniądze i władzę oraz przekonanie, że zasady są bardziej wskazówkami, a i to raczej opcjonalnymi. Jeśli zabraknie ciała Nadashe, wszyscy, od komendy policji w Hubfall po imperialne ministerstwo bezpieczeństwa, zaczną węszyć wokół całej sprawy.

Dlatego też Assan dyskretnie, poprzez agentów, którzy nie mogli doprowadzić służb do jego osoby, puścił w obieg informację o tym, kogo szuka: kobiety mającej wzrost, wagę i karnację taką jak Nadashe. Assan dał do zrozumienia, że nie oczekuje morderstwa. To by narobiło bałaganu i przyciągnęło niepotrzebnie uwagę. Gdyby jednak *przypadkiem* gdzieś pojawiło się ciało takiej kobiety, to cóż... Assan chętnie by się o tym dowiedział.

Nie potrwało to wcale długo. Lekarz sądowy, który zgarnął nagrodę, zapewnił agenta Assana, że kobieta nie była ofiarą morderstwa, tylko poślizgnęła się w wannie. Jasne, dlaczego by nie. Była singielką, wagabundą bez prawdziwych przyjaciół czy bliskiej rodziny. Nie było nikogo, kto by za nią tęsknił, wliczając w to rejestry lekarza sądowego, z których, jakże dogodnie, zniknęła.

Kobieta, kimkolwiek była, przestała istnieć, nie licząc przeznaczenia, jakie zaplanował dla niej Assan. Na miejsce przechwycenia przywieziono ją bez głowy i opuszków palców. Jej układ krążenia został wyczyszczony, a krew zastąpiono mocno reagującym z tlenem i niszczącym DNA płynem, utrzymywanym w organizmie przy pomocy wosku, którym pokryto jej szyję i końcówki palców.

Była piękna, a miała wylecieć w powietrze jak fajerwerk. Na miejscu powinni znaleźć zwłoki podobnych rozmiarów i wagi jak Nadashe, ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zostanie po nich niemal wyłącznie popiół. Ale nawet jeśli tak się nie stanie, to, co pozostanie, będzie prawie niemożliwe do zidentyfikowania jako ktokolwiek, a już na pewno nie jako Nadashe Nohamapetan.

Assan w swoim skafandrze kosmicznym przyglądał się, jak jego najemnicy wkładają do wraku pojazdu ciało kobiety, a razem z nim zwłoki strażników. Całość miała zostać ponownie podpalona i spalać się w wysokiej temperaturze, dokładnie tak jak by to

wyglądało, gdyby z przyczyn wewnętrznych wybuchły akumulatory. Te nie potrzebowały tlenu, aby zacząć się palić, co w pozbawionym powietrza świecie było wygodne. Miały własne paliwo i dla pewności należało sprawić, by eksplodowały. Potem już trzeba było tylko niewielkiej pomocy, aby ciała spaliły się jeszcze dokładniej.

Assan poczuł klepnięcie na ramieniu. Dowódczyni najemników dawała mu znać, żeby sprawdził system łączności. Po sprawdzeniu odkrył, że zapomniał go włączyć.

– Przepraszam – rzucił do mikrofonu.

– Przekierowujemy rozmowę na bezpiecznych łączach do pańskiego skafandra – powiedziała. – To hrabina.

Assan skinął głową, a kiedy nawiązał połączenie, rozłączył się z dowódczynią, aby mieć trochę prywatności w rozmowie z hrabiną.

– Tu Assan.

– Panie Teran – odezwała się hrabina – jak tam akcja ratunkowa?

– Dokładnie zgodnie z planem i harmonogramem. Za dwie minuty będziemy w górze i daleko stąd.

– To przykład znakomitego planowania.

– Dziękuję, hrabino. Cieszę się, że mogłem się przydać.

– Przydał się pan – zapewniła go hrabina. – Ale myślę, że nie będzie pan już potrzebny, panie Teran.

Assan już miał zapytać, co chce przez to powiedzieć, kiedy jego uwagę odwrócił nóż wbijający mu się w prawą nerkę i tnący w bok. Powietrze ze skafandra natychmiast zaczęło uciekać w próżnię, podobnie jak jego krew. Assan się odwrócił z nożem nadal tkwiącym w nerce i zobaczył przywódczynię najemników, która trzymała kolejny nóż. Ten wbiła mu w brzuch i również pociągnęła w prawo. Skafander zaczął pompować do hełmu Assana coraz więcej tlenu, kompensując jego utratę gdzie indziej, dzięki czemu mógł nadal słyszeć, co hrabina do niego mówi.

– Odgrywałeś pośrednika między mną a kuzynami Wu – kontynuowała. – Ja zaś zaczęłam się zastanawiać, po co mi w ogóle ktoś taki. Tak więc spotkałam się z nimi oboma. Okazało się, że robiłeś z obu idiotów i żadnemu się to nie spodobało. Doszliśmy do alternatywnego porozumienia, które zadowala wszystkich. Zdecydowaliśmy również, że ten mały plan ucieczki wyjdzie jeszcze lepiej, jeśli będzie wyglądał na nieudany. Tak jakbyś zginął podczas próby jego wykonania. Już zrobiliśmy z prawnika Nadashe twojego współnika. Przygotowaliśmy to bardzo szczegółowo. Musieliśmy też zmodyfikować twoje plany, jeśli chodzi o przekaz wideo. Teraz widać na nim trochę co innego. – Assan padł ciężko na ziemię. – Cóż, przypuszczam, że kończy ci się tlen, panie Teran, dlatego w tym miejscu muszę się

z tobą pożegnać. Dziękuję, że okazał się pan przydatny. Została panu do zrobienia jeszcze jedna, ostatnia rzecz.

Coś cicho zaszeleściło i Assan poczuł, jak ktoś go podnosi, niesie i wrzuca do pojazdu więziennego. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była pozbawiona głowy kobieta, z której był taki dumny. W wyniku zimna zgięły jej się palce. Wyglądało to, jakby pokazywała mu środkowy palec.

Omam się nie roześmiał, ale spłonął, zanim zdążył to zrobić.

ROZDZIAŁ 10

– Jak to Nadashe Nohamapetan nie żyje? – zapytała Grayland II Hiberta Limbara, dowódcę Gwardii Imperialnej. Odłożyła filiżankę z poranną herbatą, na którą przeznaczyła w jednym z prywatnych ogrodów dokładnie pięć minut, zanim będzie musiała pognać na kolejne spotkanie.

– Dzisiaj rano miała miejsce próba ucieczki – wyjaśnił Limbar. – Z nagrań systemów bezpieczeństwa wynika, że poszła bardzo źle. Wszyscy zginęli, wliczając w to osobę, która próbowała uwolnić panią Nadashe. Wasza wysokość, tą osobą, jak się wydaje, był pan Teran Assan.

– Co takiego?!

– Nie pozostało zbyt wiele do zbadania. Akumulatory pojazdu więziennego wypaliły niemal wszystko w środku, ale dowody, jakimi dysponujemy, są raczej jednoznaczne. Pan Teran utrzymywał kontakt z osobistym prawnikiem pani Nadashe. Całkiem niedawno i dość intensywnie. Wysłałem łączników do policji Hubfall, ministerstwa więziennictwa i ministerstwa bezpieczeństwa. Znajdziemy prawnika Nadashe i zobaczymy, czy zechce się wykaraskać z tego bałaganu.

Grayland pokiwała głową.

– Ktoś już poinformował o tym hrabinę Nohamapetan?

– Myślę, że ministerstwo bezpieczeństwa już zajęło się kwestią poinformowania jej, a także uzyskania jej stanowiska w tej sprawie. Jestem skłonny zostawić im ten zaszczyt. – Ton głosu Limbara bardzo subtelnie wskazywał, że zaszczytem nie będzie to ani trochę, za to może przypominać prawdziwy burdel ogarnięty pożarem, z czym Grayland nie zamierzała polemizować.

– Powinnam jej wysłać wiadomość z kondolencjami – powiedziała Grayland. Limbar na te słowa wydał dziwny, cichy dźwięk. – A nie?

– Pani Nadashe była oskarżona o próbę zamordowania waszej wysokości – odparł Limbar. – Wysyłanie kondolencji może zostać odebrane jako obłuda. Hrabina Nohamapetan znana jest z tego, że dostrzega obrazę tam, gdzie jej nie ma, i chowa urazy. Może publiczne oświadczenie na temat śmierci jej córki oraz pana Terana, wraz z wyrażeniem żalu, że w tym wypadku sprawiedliwości nie stało się zadość, będzie w tym przypadku lepszym pomysłem.

– Tak, masz rację.

– Jest jeszcze jedna drobna kwestia, której należałoby poświęcić nieco uwagi, wasza wysokość. Pojawiły się już plotki, że wasza wysokość maczała w tym palce. Że Teran nie działał na własną rękę i z własnych pobudek, lecz to wasza wysokość go wynajęła

jako zabójcę, bo coraz więcej dowodów wskazuje, że inicjatorem próby zamordowania waszej wysokości był Amit Nohamapetan, a nie Nadashe.

– To nonsens. Zwłaszcza ta część o rzekomym planowaniu zabójstwa przez Amita.

– Pojawiły się wieści wskazujące, że prowadził lewe interesy z niektórymi spośród niezbyt szanowanych postaci. Chodziło o pieniądze – mówił Limbar. – Między innymi.

– Byłam przy Amicie dosłownie kilka sekund przed jego śmiercią – odrzekła Grayland. – Nie czytam w umysłach, ale mogę cię zapewnić, że na moment przed tym, jak został zamordowany, nie wyglądał, jakby właśnie ziścił się jego mistrzowski plan zabicia mnie i zniszczenia własnego statku.

– Oczywiście, wasza wysokość.

Na te słowa Grayland lekko zmrużyła oczy.

– Chyba nie wierzysz, że w tych pogłoskach jest ziarno prawdy, co?

– Na pewno wierzę, że ktoś usiłuje zasiać tak wiele wątpliwości, jak to tylko możliwe, jeśli chodzi o winę pani Nadashe związaną z próbą zabójstwa. Przed ostatnimi wydarzeniami prześledziłem te działania i śledztwo doprowadziło do jej obrońców, którzy robili wszystko, co w ich mocy, aby otworzyć dyskusję nad alternatywną teorią na temat całej sprawy i wzmocnić te wątpliwości, które mają logiczne podstawy. Jednak te ostatnie doniesienia sprawiają, że zaczynam się martwić, iż dzieje się coś jeszcze.

– To doszukiwanie się spisku.

– Zgadzam się. Ale nie wszystkie spiski powstają, bo ktoś zapomniał poprawić sobie czapkę z folii aluminiowej¹, wasza wysokość. Czasami są częścią kampanii dezinformacyjnej. I proszę mi wybaczyć te słowa, ale wasza wysokość dała ostatnio paliwo wszelkim kampaniom dezinformacyjnym.

– Mówisz o moich wizjach.

– Tak, między innymi. Nie chcę powiedzieć, że w nie wątpię, wasza wysokość. Chciałbym za to zaznaczyć, że mącą wodę w sposób, który działa zarówno na korzyść waszej wysokości, jak i wręcz przeciwnie. Jeśli jednak mam być szczery, martwi mnie to mniej niż plotki, jakie krążą na temat zbliżającego się przemówienia w parlamencie.

– Ach – domyśliła się Grayland – te twierdzące, że mam zamiar wprowadzić w całej Wspólnocie stan wojenny.

– Właśnie.

– Nasi dziennikarze już zdementowali te plotki.

Grayland bardziej wyczuła niż usłyszała westchnienie dezaprobaty pod adresem tego, co właśnie powiedziała.

– Wasza wysokość, na pewno nikt nie spodziewa się, że wasza wysokość potwierdzi, że zamierza wprowadzić stan wojenny, zanim to faktycznie zrobi.

– Rozumiem, do czego zmierzasz, panie Hibert. Jednak fakt pozostaje faktem: wprowadzenie stanu wojennego nie jest elementem mojego przemówienia w parlamencie. Zarówno ja, jak i ludzie mówiący w moim imieniu bardzo jasno to podkreśliliśmy. Nie wiem, co jeszcze można by dodać na ten temat.

– Takie właśnie jest sedno plotek. Na niczym się nie opierają, więc też niczego nie można przeciwko nim użyć skutecznie. Prawda przed nimi się nie broni, a ludzie je rozsiewający doskonale sobie z tego zdają sprawę.

– Uważasz, że ktoś tym kieruje, działając przeciwko mnie.

– Wasza wysokość jest imperoksem. Zawsze jest ktoś, kto działa przeciwko imperoksovi. To już jest w zakresie obowiązków.

– Jaki jest ich cel?

– Prawdopodobnie jest kilka. Mam ludzi, którzy nad tym pracują. Powiedziałem o tym waszej wysokości nie po to, żeby się wasza wysokość zamartwiała czy popadała w paranoję. Chciałem jedynie poinformować, co się dzieje, i pomóc w odpowiednim dobieraniu słów przy komunikowaniu się ze światem.

– Tak, oczywiście – Grayland uniosła kubek z herbatą i upiła łyk. Kiedy go odłożyła, spojrzała na Limbara. – Uważasz, że pani Nadashe faktycznie nie żyje?

– Na tę chwilę nie ma żadnego powodu, by sądzić, że jest inaczej.

Grayland się uśmiechnęła.

– Widzę, że wypracowałeś sposób, żeby nie odpowiadać bezpośrednio na pytania.

– *Od siebie* dodam, że opcja odwrotna też nie jest definitywnie wykluczona – odparł Limbar. – Wiem doskonale, że ciała na miejscu wypadku spaliły się tak, że niemal nie sposób ich zidentyfikować za pomocą technik kryminalistycznych. Wszystko zmieniło się w popiół i zwęglone kości. A to bardzo wygodne.

– Jak bardzo powinnam popadać w paranoję, jeśli chodzi o tę kwestię, panie Hibert?

– *Wasza wysokość* nie powinna popadać w paranoję w żadnej kwestii. Paranoje to moja działka. Proszę zostawić je mnie. Ja i moi ludzie odkryjemy prawdę, niezależnie od tego, jaka ona jest.

– Dziękuję.

Gdy tylko Limbar się skłonił, przeprosił i wyszedł, natychmiast zastąpiła go Obelees Atek, która miała zaprowadzić ją na kolejne spotkanie, i następne, i następne, i tak na wieki wieków, amen.

Tyle że tym razem Atek nie wyprowadziła jej z pomieszczenia.

– Jest tu arcybiskup Korbijn i chciałaby pomówić z waszą wysokością. Myślę, że chodzi o Terana Assana.

– A co mamy w harmonogramie?

– Kilka następnych punktów to spotkania zapoznawcze i powitalne. Mogę je pousuwać.

Grayland uniosła brwi.

– Nie usuwaj ich, tylko przesun. Mam pół godziny przewidziane na obiad. Wrzuć je tam.

– Wasza wysokość musi jeść.

– Raz na jakiś czas mogę pominąć obiad. Przynies mi batonik proteinowy. Mogę go wsunąć, kiedy będziesz jedną grupę wyprowadzać, a drugą wprowadzać.

Na te słowa Atek się uśmiechnęła.

– Zaraz wprowadzę arcybiskup – powiedziała i wyszła.

Grayland dopiła herbatę i sama do siebie zmarszczyła brwi.

Miała sporo sprzecznych odczuć co do śmierci Nadashe. Po pierwsze, musiała przyznać, że czuje ulgę. Córka Nohamapetanów była irytująca od samego początku jej panowania.

Nie tylko zresztą Nadashe. Nieustannie wisiał nad nią cały ród Nohamapetan, śliski i nieprzyjemny. Nadashe i jej spiski, Amit z jego odpychającą nijakością, a teraz hrabina o najwidoczniej niewyczerpanych pokładach gniewu.

Grayland znów przypomniała sobie spotkanie z hrabiną. Nie mogła zaprzeczyć, że jej celem było przeczołganie głowy rodu Nohamapetan, i właśnie to zrobiła. Jednak wyciągnęła do niej również przysłowiową gałązkę oliwną, oferując Nadashe łaskę i umieszczając ją w placówce, której w całym systemie karnym imperium najbliższej było do czterogwiazdkowego hotelu. Grayland miała nadzieję, że ten drobny gest dobrej woli zostanie doceniony, a tymczasem hrabina ledwo utrzymała gniew na wodzy. Imperoks miała świadomość, że w którymś miejscu coś jej musiało umknąć, ale za nic w świecie nie potrafiła tego dostrzec.

Niezależnie od tego, jakie jeszcze miały być następstwa śmierci Nadashe, ta kwestia została wraz z nią zażegnana. Już nie trzeba się martwić spiskami, które gdzieś tam knuje. Żadnej furii hrabiny z powodu jej córki.

„Na to nie licz” – odezwała się ta irytująca część mózgu Grayland i imperoks musiała przyznać, że irytująca czy nie, miała prawdopodobnie rację. Limbar powiedział, że już krążą plotki, jakoby kazała zamordować Nadashe. Były niedorzeczne. Nie mylił się jednak, mówiąc, że nie ma to znaczenia, zwłaszcza dla kogoś takiego, jak hrabina Nohamapetan. Jeśli rozgniewało ją, że okazała jej córce łaskę, to zapewne teraz, kiedy uważała, że imperoks kazała ją zabić, będzie przypominała wulkan.

Po drugie, Grayland odczuwała smutek z powodu śmierci Nadashe Nohamapetan, co sprawiło, że była zagubiona i trochę zła. Nadashe, co oczywiste, nigdy nie miała o niej zbyt wysokiego mniemania. Grayland, kiedy jeszcze była Cardenią Wu-Patrick, a jej brat Rennered arcyksięciem, spotkała ją raz. Nadashe, która zaczynała umawiać się z jej bratem na randki, przyjrzała się jej, oceniła, jakie jest absolutne minimum grzeczności, którą musi okazać bękarciej siostrze swojego królewskiego chłopaka, i okazywała dokładnie taką jej ilość. Cardenia nie miała jeszcze wtedy dostatecznej inteligencji emocjonalnej, żeby zrozumieć, dlaczego w obecności Nadashe czuje się dziwnie zraniona i nieszczęśliwa.

I może właśnie dlatego odczuwała smutek. Gdyby Nadashe była choć odrobinę bardziej miła albo mądrzejsza, lub chociaż zwyczajnie o ułamek procenta lepsza jako istota ludzka, ona i Cardenia (również Grayland II, która w pełni chwały czekała teraz z pustym kubkiem na kolejne spotkanie) mogły zostać przyjaciółkami, a może nawet kimś więcej. Powierniczkami.

Nawet teraz Nadashe reprezentowała dla niej wiele pozytywnych cech. Była mądra, pewna siebie i piękna, a także posiadała wiele innych przymiotów, które Grayland zawsze trudno było dostrzec u siebie – również teraz. Zyskanie przyjaźni i zaufania takiej osoby znaczyłoby dla niej wiele. Fakt, że się tego nie doczekała, bo Nadashe zwyczajnie jej nie dostrzegła i ewidentnie nie uważała za wartą dostrzeżenia, był dla Grayland niczym prawdziwa tragedia.

„Po prostu tęsknisz do tego, by mieć przyjaciół” – powiedział do Grayland jej mózg. I to w zasadzie była prawda. Pomyślała o swojej kochanej zmarłej Naffie, która była dla niej wszystkim tym, czym mogła być Nadashe, gdyby tylko tego chciała. Serce Grayland pragnęło Naffy. Nie w znaczeniu seksualnym czy romantycznym, lecz tak jak tęsknisz za najdroższym przyjacielem – osobą, która po prostu cię *rozumie*.

„Marce cię rozumie” – odezwała się część jej mózgu należąca do piętnastoletniej dziewczynki. Cóż, może i tak było. Grayland wróciła myślami do ich pierwszej wspólnej nocy i poczuła, jak na to wspomnienie po jej ciele rozplywa się rozleniwiające ciepło. Oboje zachowywali się względem siebie okropnie dziwnie, po czym nagle przestali. To tak, jakby nagle nagłówek: „O mój Boże, co się dzieje? Czy to aby na pewno się uda?”, nagle został zastąpiony przez: „O kurczę, to się *faktycznie* dzieje i jest naprawdę fantastyczne”, a ten z kolei zastąpił brak jakiegokolwiek nagłówka. Pojawiło się jedynie, choć raz dzięki Bogu, zwyczajne szczęście i błogość. Po raz pierwszy od utraty Naffy i w całkowicie inny sposób, który nie był niespodziewany, a jednak mimo wszystko absolutnie nikt go nie przewidział, Grayland znów poczuła się dopełniona.

Robił to dla niej Marce. Wcześniej robiła to Naffa. Grayland czuła, że Nadashe również mogłaby to zrobić, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie jej mocne strony, które uzupełniłyby jej własne.

Jednak Nadashe to... Nadashe. Nie była jedynie sumą swoich umiejętności. Była oprócz tego kimś więcej. Kimś, kto nie chciał niczego, co Grayland miała do zaoferowania, może z wyjątkiem jej pozycji oraz tego, co mogła ona dać rodowi Nohamapetan.

Obelees Atek ponownie weszła do ogrodu, prowadząc za sobą arcybiskup Korbijn, która miała na sobie prosty i konserwatywny strój, zamiast wszystkich ozdób, jakie wiązały się z jej funkcją. Widząc to, Grayland się uśmiechnęła. Korbijn dawała jej do zrozumienia, że dostrzega jej własne stonowane stroje.

Imperoks uśmiechnęła się i wstała, by powitać gościa, równocześnie wyrzucając z głowy Nadashe i cały ród Nohamapetan. Teraz już jej nie było i wszystko, czego pragnęła dla siebie i swojej rodziny, stało się czasem przeszłym, a wszystko, czym była lub mogła być dla Grayland, również odpłynęło w przeszłość. Grayland pozwoliła sobie zarówno na ulgę, jak i smutek, które odczuwała z powodu śmierci Nadashe, a następnie odsunęła je na bok, aby zająć się Korbijn, a wraz z nią swoimi realnymi bieżącymi sprawami.

„Żegnaj, Nadashe – pomyślała Grayland. – Życzę ci, żebyś teraz zaznała spokoju. I mam nadzieję, że pozostaniesz martwa”.

ROZDZIAŁ 11

Po całym dniu ukrywania się i przekradania z najemnikami, co było tak nudne, że trudno to opisać, a nawet w ogóle kiedykolwiek jeszcze o tym myśleć, Nadashe znalazła się na *Możesz winę za to wszystko zrzucić na mnie* – osobistym piątku jej matki.

Uważała, że to niemal niepojęta ekstrawagancja, że hrabina używa piątku, żeby wozić się z jednego systemu gwiazdowego do drugiego, ale z drugiej strony matka w zasadzie nie mieszkała nigdzie indziej. Ten piątek był jej domem, nawet kiedy parkował na orbicie Terhathum. Nigdy nie bywała na planecie ani też w Basantapurze – jej największym mieście.

„Tak, to się nazywa umowa – pomyślała Nadashe. – Tata dostał Terhathum. Mama resztę wszechświata”.

Nadashe umieszczono w jej dość wygodnym prywatnym apartamencie na *Winie*. Matka zawsze trzymała dla niej lokum, bo to był cholernie wielki statek, i jeśli tylko chciała, mogła utrzymywać apartamenty dla kilku setek najbliższych przyjaciół. I rzeczywiście, podróżowała z całą świtą przyjaciół, służących i tak dalej. Była hrabiną i pozostawała głową rodu Nohamapetan, ale miała również narcystyczną naturę, która potrzebowała i pragnęła uwagi. Wszystkie te rzeczy składały się na fakt, że wraz z nią podróżowała cała wioska ludzi. Jednak wieśniaków trzymano po drugiej stronie pierścienia statku, z dala od matki i jej pokoi. Jedynymi pomieszczeniami mieszkalnymi w jej części pierścienia były te należące do niej i jej trójki dzieci.

„Teraz już dwójki” – powiedziała w myślach Nadashe i westchnęła. Nie była gotowa na tę rozmowę z matką.

Na razie nie musiała jej odbywać. Hrabiny nie było na *Winie*. Przebywała w Hubfall, gdzie przekazano jej okropne wieści, że córka – zdrajczyni, morderczyni i zamachowiec, skończyła jako fajerwerk w spartaczonej próbie ucieczki, w której wyniku zginęła ona, trzech strażników, kierowca i pan Teran Assan.

Obecność Assana była smakowitym kąskiem, na który rzuciły się wszystkie media i wałkowały w nieskończoność. Wszystkim bardzo podobał się pomysł, że Assan, omotany przez zdradziecką Nadashe Nohamapetan, planował jej ucieczkę do spółki z głupim prawnikiem, który robił za pośrednika. Ten, całkiem przypadkiem, wyskoczył przez okno i się zabił, w tym samym czasie, gdy jego rodzina oglądała w zoo żyrafy miniaturowe i długowłose wydry.

Na tę myśl Nadashe zacisnęła usta. Niestety, biedny Dorick. Nie miał pojęcia, w co się wpakował, i prawdopodobnie ani na moment się nie domyślił, nawet gdy któryś

z ochroniarzy hrabiny wypchnął go przez to okno. Przynajmniej jego rodzina będzie się miała dobrze, o ile Dorick powiedział żonie, gdzie ukrył pieniądze. No i oczywiście, o ile nie znaleźli ich policjanci.

Jak dotąd wydawało się, że nikt nie zasugerował, że Nadashe może nadal żyć. Na miejscu próby ucieczki znaleziono ciała wszystkich, którzy byli w pojeździe, i jedno dodatkowe. To, co z nich pozostało, trudno byłoby zidentyfikować. W przypadku Assana udało się to dzięki tytanowemu sygnetowi, z którego jak powszechnie wiadomo, był bardzo dumny. Niemal wszystko inne stopiło się lub spłonęło, zmieniając w popiół. Jedynymi osobami, które wiedziały, że Nadashe żyje, byli najemnicy, którzy ją przechwycili i którzy, Nadashe była tego pewna, w niedalekiej przyszłości znajdą się po niewłaściwej stronie jakiejś śmiercionośnej broni. Oprócz nich załoga *Winy*. Spośród jej członków nikt nie miał zamiaru mówić komukolwiek o jej obecności, bo od tego zależały ich praca i życie.

No i jej *matka*, która bez wątplenia w tej chwili zanosi się w Hubfall od płaczu. Już sobie wyobrażała, jak zgrzyta zębami i rozdziera ubrania, a wszystko to na użytek różnych miejscowych i imperialnych śledczych, którzy będą szukać czegoś, czegokolwiek, co by wskazywało, że ta próba ucieczki była czymś innym niż fatalną porażką.

„Niech szukają” – pomyślała Nadashe. Tymczasem była bezpieczna i na ile to miejsce można by tak nazwać, była w domu. Łóżka były nieopisanie miękkie, pościel ciepła i delikatna, jedzenie znakomite, woda w prysznicach gorąca tak długo, jak miało się ochotę, a ubrania nie były ciągle w tym samym pieprzonym odcieniu pomarańczy. Nadashe świętowała, jedząc nedorzecznie wielką kanapkę, biorąc czterdziestominutowy prysznic, a wreszcie zasypiając pod stertą koców na większość dnia.

Obudziła się i zobaczyła matkę siedzącą na krześle obok łóżka. Hrabina przyglądała się Nadashe, kiedy ta spała. Córka zastanawiała się, od jak dawna matka tu siedziała, a także, na próżno, w którym momencie matczyne ciepło w jej oczach zmieniło się w coś całkowicie innego i nie do końca miłego.

Nadashe uniosła się na łokciach i uśmiechnęła.

– Cześć, mamo.

Hrabina mocno uderzyła ją otwartą dłonią w twarz.

– To za zabicie brata – wyjaśniła, po czym uderzyła ją ponownie.

– A to za co?

– Za to, że cię złapali.

Nadashe potarła policzek.

– Myślałam, że będziesz bardziej wściekła o Amita.

– Jestem absolutnie wściekła z tego powodu – odparła hrabina. – Był moim ulubieńcem.

– Wiem. Ghreni też wie.

– Nigdy nie robiłam z tego tajemnicy.

– Mogłabyś. Inni rodzice robią.

– Kochałam twojego brata. I byłby świetnym małżonkiem dla obecnej imperoksi. A potem Nohamapetan zasiadłby na tronie.

– Mamo, muszę ci powiedzieć, że nigdy by do tego nie doszło.

– Dałoby się odpowiednio pokierować sprawami.

Nadashe uśmiechnęła się żałośnie.

– Spotkałaś się już z nową imperoksi? Nią nie da się *kierować*.

– Już się przekonałam.

– Podobnie jak ja – odparła Nadashe. – Dość wcześnie. I kiedy stało się dla mnie jasne, że nie zamierza poślubić Amita, nadszedł czas, by spróbować ponownie. Ma wielu kuzynów w rodzie Wu. To mogłoby się udać.

– Nie musiałaś zabijać *Amita*, żeby ją dopaść.

– Pojawiły się inne komplikacje.

– Twój cholernie głupi plan przejęcia Kresu. Tak, wiem o tym – dodała hrabina, widząc wyraz twarzy Nadashe. – Ty, Amit i Ghreni... Nie byliście tak sprytni, jak wam się wydawało, przy zacieraniu śladów, kiedy malwersowaliście pieniądze, żeby opłacić swoje małe przygody. Ta Kiva Lagos wertuje nasze finanse z ostatniej dekady. Naraziliście cały ród.

– To w większości wina Amita – stwierdziła Nadashe. – On zajmował się kreatywną księgowością.

– Ale to ty kazałaś mu to robić – odparowała hrabina. – To ty jesteś tą *sprytną*, Nadashe. Zawsze taka byłaś.

– Jestem taka, jaką mnie uczyniłaś, mamo.

– Nie dość jednak sprytna, żeby zatrzymać Rennereda Wu.

Nadashe jęknęła i opadła na łóżko, kładąc sobie poduszkę na głowę.

– Nie będę tego słuchać ponownie.

Hrabina zerwała ją i powiedziała:

– Miałaś jedno zadanie: zostać małżonką imperoksa. Chciałam tego. *Imperoksi* tego chciał. Całe lata zajęło nam pokierowanie sprawami tak, aby się udało. A ty pozwoliłaś, żeby okazja przeszła ci koło nosa.

– Matko, powiem to ostatni cholerny raz: nie *pozwoiliam*, żeby okazja przeszła mi koło nosa. Rennered zdecydował, że lubi urozmaicenie, jeśli chodzi o pieprzenie się, i nie miał zamiaru ograniczyć swojego entuzjazmu w tym temacie.

– Mogłaś sobie z tym jakoś poradzić.

– *Poradziłam*. On i ja odbyliśmy tę rozmowę. Powiedziałam mu, że może moczyć kutasa gdzie tylko chce, o ile dzieci będzie miał tylko ze mną. Myślałam, że o to mu właśnie chodzi. Małżeństwo polityczne z dodatkowymi korzyściami. Okazało się jednak, że chciał, żebym była zazdrosna. Czy *coś* w tym guście. Chciał monogamii i prawdziwej miłości *i* chciał seksu z dosłownie wszystkim, co się rusza. No i poczuł się obrażony, że zaoferowałam mu seks, który miał zamiar uprawiać tak czy inaczej, zamiast monogamii, której i tak nie miał zamiaru praktykować. To była świnia.

– Mimo to mogłaś go przekonać.

– Mamo, jeśli naprawdę w to wierzysz, nie trzeba było kazać go zabić.

Hrabina wzruszyła ramionami.

– Zranił cię. Byłam wściekła. No i masz rację. Okno dla was się zamykało i nie mogliśmy ryzykować, że poślubi kogoś innego.

Nadashe gapiła się w niedowierzaniu na matkę.

– Właśnie powiedziałaś, że mogłabym go przekonać!

– Zgodziłam się z tobą – odparła hrabina. – Myślałam, że się ucieszysz.

Nadashe zamknęła oczy.

– Boże, mamo, jesteś taka *męcząca*. Zmieńmy temat, proszę.

– Małżeństwo.

– To ten sam temat.

– Temat ten sam, ale gracze inni.

– O czym ty mówisz?

– Jasin Wu.

– Co z nim?

– Powinnaś rozważyć poślubienie go.

– Ale on już jest żonaty.

– Drobny szczegół. Ma też dzieci, co jest użyteczne.

– Użyteczne do czego?

– Zrobimy z niego imperoksa.

Na te słowa Nadashe aż usiadła.

– Jest poza linią sukcesji.

– Jest z rodu Wu. Gdy zabraknie Grayland, „linia sukcesji”, jaka by ona nie była, stanie się mało ważna. Potem nastąpią negocjacje.

– Znajdą się inni Wu, którzy zechcą zostać imperoksami.

– Tak naprawdę jest tylko jeden rywal, Deran Wu. I już się tym zajęliśmy.

– Jak?

– Deran popiera dążenie Jasina do zostania imperoksem i pilnuje, aby to samo zrobili jego stronnicy. W zamian, gdy Jasin zasiądzie na tronie, przekaze Deranowi wyłączną kontrolę nad sprawami rodu Wu. Koniec z tym nonsensem „rady dyrektorów”, który sprawiał, że rodzina była decyzyjnie sparaliżowana.

– I co? Inni kuzyni tak po prostu się temu podporządkują?

– Kiedy już wszystko będzie gotowe, znajdą się w sytuacji, która będzie wykluczać spieranie się. Wkrótce spotkasz się zarówno z Jasinem, jak i Deranem. Będziesz mogła ocenić, jak poważnie podchodzą do tego planu.

– I jak Jasin widzi mnie w roli małżonki.

– Już się na to zgodził.

– W więzieniu kazał podjąć próbę zamordowania mnie.

– Wtedy jeszcze nie znał cię osobiście.

– Mamy jeszcze ten drobny szczegół, że powinnam być martwa.

– Naprostujemy to. Już to naprostowujemy. Ty już to zaczęłaś naprostowywać. Wiem, że starałaś się zrzucić winę za wszystko na Amita. Deran Wu naświetlił mi sprawę. Powiedziałam mu, żeby kontynuował to zadanie.

Nadashe poczuła się totalnie zszokowana.

– Dopiero powiedziałaś, że Amit był twoim ulubionym dzieckiem.

– Bo jest. Zawsze będzie. Ale jest też obecnie martwy, a ciebie potrzebujemy żywej i niezamieszanej w to wszystko. Jasin oferuje ci tron.

– W zamian za co?

– Oczywiście w zamian za pomoc w pozbyciu się Grayland.

– „Pozbyć się” to takie dwuznaczne słowo, mamo.

– Nie musimy jej *zabijać* – powiedziała hrabina. – Odizolowanie i wygnanie sprawdzi się równie dobrze.

– A jak masz zamiar to zrobić?

– Sama już to robi, głosząc te brednie o wizjach. Zraża do siebie Kościół i wkrótce to samo zrobi z parlamentem. Niektóre spośród arystokratycznych rodów już się zwracają przeciwko niej. To tylko kwestia czasu. Trzeba też się pozbyć kilku jej kluczowych sojuszników, zaczynając od Kivy Lagos, która i tak zaczyna sprawiać kłopoty.

– Jak planujesz ją usunąć?

– Pozwól, że ja się tym będę martwić, Nadashe.

– W sumie Lagosowie nie są tak blisko Grayland – zauważyła Nadashe. – Pozbycie się jej przysłuży się nam bardziej, niż zabolą imperoksi.

– Mam coś jeszcze, co ją zabolą.

– Co?

Hrabina milczała przez chwilę.

– Wiedziałaś, że Grayland miała zamiar zrobić z ciebie zakładnika?

– A jak niby chciała to zrobić?

– Powiedziała mi, że zamierza złagodzić ciężące na tobie wyroki śmierci i zamienić je na dożywocie na Xi'an. Gdzieś, gdzie stale znajdowałabyś się w jej zasięgu. To był jej sposób, aby dać mi do zrozumienia, że jeśli kiedyś wychylę się z szeregu, twoje życie dobiegnie końca.

To wywołało na twarzy Nadashe grymas przypominający uśmiech.

– Nie zna cię zbyt dobrze. Ani naszej rodziny.

– Nie w tym rzecz – podkreśliła hrabina. – Rzecz w tym, że myślała, że będzie mogła mnie dopaść dzięki komuś, kogo, jak sądziła, Kocham. *Kontrolować* mnie dzięki komuś, kogo, jak sądziła, Kocham.

Nadashe zauważyła, jak zbudowane były zdania wypowiedziane przez matkę, ale nie odezwała się ani słowem.

– A zatem, co zamierzasz zrobić?

– Chcę sprawić, żeby Grayland poczuła to, co chciała, abym czuła ja. Zamierzam dać jej do zrozumienia, że potrafię dosięgnąć ludzi, na których jej zależy najbardziej.

– A na kim jej zależy? – zapytała Nadashe. – I to na tyle, żeby zrobić z niego przykład?

ROZDZIAŁ 12

Marce Claremont przyglądał się, jak *Oliveer Bransid* włącza reflektory i oświetla zewnętrzną powłokę struktury, obok której się unosił.

– Chciał pan zobaczyć Dalasýslę – powiedziała do niego kapitan Kinta Laure i wskazała na ekran mostka. – Oto i ona.

– Oto i ona – zgodził się Marce.

Bransid oświetlał jedynie drobną część powłoki Dalasýsli. Główna struktura habitatu ciągnęła się całymi kilometrami – długi cylinder, który niegdyś wypełniali ludzie i ich życie. Za Dalasýslą, przesłonięta przez strukturę, kryła się gigantyczna planeta Dalasýsla Jeden, mająca rozmiar mniej więcej Neptuna z systemu, z którego pochodziła ludzkość.

– To zadziwiające, że nadal tu jest – dodała kapitan Laure.

– Znajdowała się na stabilnej orbicie, kiedy prąd Nurtu się rozpadł – odparł Marce.

– To było osiemset lat temu. To długi okres dla orbity każdego obiektu, który nie jest naturalny. Pozostałe księżycy mogły ją grawitacyjnie zakłócić. To samo mogła zrobić przelatująca kometa. Uderzenie meteoru albo gaz uchodzący w wyniku uszkodzenia mogły ją wytrącić z orbity. Prawdopodobnie tak właśnie się stało, bo Klupper – tu Laure wskazała na jednego z członków obsady mostka – mówi mi, że teraz Dalasýsla nie znajduje się już na stabilnej orbicie. Zaczyna opadać spiralnie na planetę.

Marce uniósł brwi.

– Czy to będzie miało na nas jakiś wpływ?

– Nie, chyba że zamierzamy tu zostać około stu lat – odpowiedziała Laure. – Więc postarajmy się zostać krócej.

Marce skinął głową i odwrócił się z powrotem do ekranu. Z zewnątrz Dalasýsla nie wyglądała w żaden sposób inaczej niż wszystkie inne duże habitaty ludzi, zawieszane w kosmosie. Ludzie mieszkali na sześciu czy siedmiu bazowych wielkich habitatach, które można było systematycznie zwiększać i zapewnić pewną namiastkę standardowej grawitacji, nadając im ruch rotacyjny. Dalasýsla była zmodyfikowanym cylindrem O’Neilla – modelu, który nie zmienił się w poważniejszy sposób w ciągu stuleci. Był efektywny, stosunkowo prosty i zwyczajnie działał.

To znaczy dopóki miałeś ludzi i zasoby, żeby działał. Gdy zaczynało brakować jednego bądź drugiego, pojawiały się problemy.

– Jest martwa? – zapytał Marce.

– Martwa – odparła Laure. – I to od dawna. Lecąc tu, zmierzaliśmy temperaturę. Żadnych poważniejszych różnic w stosunku do temperatury otoczenia. Równie zimna od środka, co z zewnątrz. Aby się tam poruszać, pańska ekipa będzie musiała nosić skafandry.

Marce ponownie skinął głową. Jego mała drużyna naukowców i tak by je włożyła. Osiemset lat to długo. Nikt nie chciał niczego zanieczyścić. Ani zostać zanieczyszczonym.

– Więc nie mamy się co kłopotać zabieraniem ze sobą oddziału marines? – zażartował.

– Oddział idzie z wami – powiedziała Laure. – Sam fakt, iż to miejsce jest martwe, nie oznacza jeszcze, że nie może was zabić.

– Jasne.

– To pana pierwszy wyjazd na misję, prawda? – spytała Laure, obserwując Marce'a.

– Prawda.

– I nigdy nie wykonywał pan żadnej pracy w terenie.

– W zasadzie to nie. Jestem fizykiem Nurtu. To wyższa matematyka. Nie trzeba wychodzić w teren, aby się tym zajmować.

Laure skinęła głową.

– To pana przedstawienie, panie Marce. Tak mówią nasze rozkazy. Powinien pan jednak wiedzieć, że ma pan do dyspozycji drużynę naukowców Imperialnej Marynarki Wojennej. Wszyscy oni działali w polu. Ma pan też do dyspozycji marines. Oni zajmują się wyłącznie działaniami w polu. Jest pan otwarty na radę?

– Jasne, oczywiście.

– Zatem oto i ona. To pana przedstawienie. Jednak jeśli jest pan mądry, będzie się pan przysłuchiwał rozmowom swojej drużyny. Będzie pan słuchał sierżant Sherrill i jej ludzi, kiedy powie panu, żeby pan gdzieś poszedł albo żeby pan nie szedł. Będzie pan słuchał i zachowywał się rozsądnie. Wszyscy jesteśmy daleko od domu, panie Marce. I wszyscy chcemy do naszych domów wrócić.

– Dziękuję, pani kapitan. Pewnie ucieszy panią wiadomość, że taki właśnie miałem plan.

– Dobrze – pochwaliła Laure. – Nie zauważyłam, żeby wykazał się pan jakąś szczególną głupotą, ale nigdy nie wiadomo.

Na te słowa Marce wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kapitan wskazała głową na ekran.

– Wizualna ocena struktury zajmie nam kilka godzin, a później wchodzi pana drużyna. Ponieważ Dalasýsla jest martwa, prawdopodobnie będziecie musieli przejść przez włązy dostępowe na powierzchni.

Marce pokiwał głową.

– Zastanawiamy się, jak to zrobić. Mamy plany struktury z imperialnych archiwów. Wiemy, w którym miejscu chcielibyśmy wejść. Jeśli ten włącz jest możliwy do wykorzystania, znajdziemy się rzut beretem od pomieszczenia sterującego sieci komputerowej.

– Nadal uważa pan, że będziecie w stanie uruchomić ich systemy?

– Nie, w zasadzie to nie – odrzekł Marce. – Osiemset lat to długo. Ale mimo wszystko warto spróbować. Na pewno zaoszczędziłoby nam to masę czasu. No i prawdopodobnie dało odpowiedź na mnóstwo pytań.

– Słyszałam nagrania z ostatnich dni tego miejsca – dodała Laure. – Będę zaskoczona, jeśli wszystko nie okaże się ruiną.

– Fakt.

Marce czytał transkrypcje i słyszał nagrania z ostatnich transmisji, jakie nadeszły z Dalasýsli kilka lat po tym, jak prąd Nurtu się rozpadł. Najkrócej można to ująć tak: śmierć, choroby, tyrania i zniszczenie. Wersja dłuższa kazała mu się nieustannie zastanawiać, co do ciężkiej cholery było z ludźmi nie tak.

Odpowiedź była prawdopodobnie dość prosta: kiedy ludzie wiedzą, że są zgubieni, niezależnie od tego, co robią, ich zdolność do podejmowania decyzji długoterminowych ulatuje jak przez służę. Marce nie mógł ich winić, ale biorąc pod uwagę, że cała Wspólnota ma w perspektywie ten sam los co Dalasýsla, miał nadzieję, że są inne opcje.

Laure położyła mu dłoń na ramieniu.

– Niech pan idzie przygotować swoich ludzi. I... panie Marce?

– Tak?

– Mam nadzieję, że znajdziecie tam coś dobrego. Coś, co pomoże uratować nas wszystkich.

Dalasýsla była martwa, co oznaczało, że wszelkie mechanizmy otwierające służy powietrzne prowadzące na powierzchnię habitatu również były martwe. Otwarcie ich wymagało czyjegoś czasu i wysiłku, a tym kimś prawdopodobnie miał zostać starszy szeregowy Gamis, będący specjalistą-mechanikiem w oddziale marines. *Bransid* dysponował w tym celu odpowiednimi narzędziami. Wiedzieli, że będą ich potrzebować, więc zabrali je ze sobą. Wtedy jednak ludzie Laure odkryli otwartą służę techniczną, niezbyt oddaloną od miejsca, gdzie i tak zamierzali się dostać. Nagle Marce'owi i jego ekipie odpadła jedna rzecz, o którą trzeba się było martwić.

– Proszę się zbytnio nie ekscytować – oznajmiła sierżant Sherrill, kiedy ona i Marce, razem z resztą grupy zadaniowej, ubierali się w skafandry. – To oznacza tylko tyle, że dalej, wewnątrz, będziemy musieli uporać się z grodzią. Niezależnie, od której strony się tam dostaniemy, do pomieszczenia kontrolnego sieci trzeba się będzie przebić.

Skafandry przeznaczone na misję stanowiły ostatnie osiągnięcie myśli technicznej, były lekkie i elastyczne, odporne na przekłucia i rozdarcia w próżni, samouszczelniające (do pewnego poziomu, po którego przekroczeniu zapewne miało się przesrane), wyposażone w magnesy na stopach, a także rebreather², efektywny na tyle, by zbiornik na tlen, z którym produkowano jego ostatnią wersję, wystarczał na średnio piętnaście godzin. Można sobie było w nich ulżyć, ale także do pewnego poziomu. Marce miał nadzieję, że nie będą na zewnątrz tak długo, żeby musiał sprawdzać ten element. Hełmy miały też układ rejestrujący wszystko. Cokolwiek zobaczą lub usłyszą, miało zostać nagrane.

Na potrzeby tego zadania zespół był mały: Marce i Gennety Hanton, specjalista marynarki od komputerów i historyk specjalizujący się w dawnych systemach komputerowych, takich jak te używane na Dalasýsli, a także sierżant Sherrill oraz starsi szeregowi Gamis i Lyton. Nikt nie spodziewał się, że w wyniku tego wypadu dotrą do pomieszczenia kontrolującego sieć. Chodziło głównie o to, żeby zrobić do niego dojskie, przebijając się przez tak wiele zablokowanych grodzi, przez ile się da.

Tyle że w ciągu ostatnich ośmiuset lat ktoś odwalił za nich większość roboty.

– Spójrzcie tylko na to – powiedział Gamis.

Drużyna rozpoznawcza, wszyscy w skafandrach, stłoczyła się wokół monitora, przed którym rozsiadł się szeregowy. Korzystając z niego, Gamis skierował dron przez kolejne śluzy do pomieszczeń za nimi. Widok z kamery drona pokazywał, że przegroda po drugiej stronie, a także te dalej w głębi habitatu zostały wyważone, odgięte w górę albo na bok, a czasami całkowicie zniszczone.

– Ktoś naprawdę chciał się tam dostać – zauważył Hanton.

– Albo wydostać – dodała Lyton.

– Jak daleko możesz dotrzeć? – zapytała Gamisa sierżant Sherrill.

Gamis czekał chwilę, wywołał trójwymiarową mapę sekcji Dalasýsli, w której znajdował się dron, i zgrał widok z tym, co widziała kamera.

– Ptaszynka jest tutaj. – Gamis wskazał korytarz na mapie. – A my chcemy się dostać tutaj, czyli jakieś półtora kilometra stąd. – Szeregowy wrócił do kierowania dronem i ruszył nim do przodu, robiąc zbliżenie na to, co znajdowało się wzdłuż korytarza. – Jeśli mam być szczery, pani sierżant, to oceniając po kilku pierwszych

przegrodach, wygląda mi to na prosty strzał. Nie wydaje mi się, by ta część Dalasysli została odcięta z powodu utraty ciśnienia.

– Co oznacza, że habitat stracił zasilanie, zanim z tej konkretnej części uszło całe powietrze – powiedział Hanton.

– Możliwe – rzucił Gamis, nadal pilotując drona. Widok z kamery stanowił połączenie kilku długości fal świetlnych (zarówno poniżej, jak i powyżej tych normalnie widzialnych dla człowieka) i był wyświetlany jako obraz monochromatyczny. – Albo wystąpiła jakaś awaria. Albo stało się milion innych rzeczy. Łuuups. – Gamis ominął unoszący się w powietrzu kawałek czegoś. – Powiniennem włączyć automatyczne ostrzeżenie o obiektach na drodze.

– Brak grawitacji – wtrącił Marce.

– Tak. Nie spodziewaliśmy się jej, prawda? – powiedział Gamis. – Habitat już nie wiruje.

– Nie, teraz to bardziej przypomina obrót synchroniczny.

– Jasne, w porządku, jeśli chce pan to ująć *technicznie*.

– Nie ma ciał – zauważyła Sherrill.

– Co, pani sierżant? – Gamis odwrócił się do przełożonej.

Sherrill wskazała palcem na monitor.

– Wleciałeś kilometr w głąb struktury, a jeszcze nie zobaczyliśmy żadnych ciał.

– Nadal jesteśmy w pomieszczeniach technicznych, pani sierżant – odparł Gamis. – Ludzie przychodzili tu, tylko jeśli mieli do wykonania jakąś pracę przy samej strukturze. Sądzę, że jeśli są jakieś ciała, to znajdują się we właściwym habitacie.

– To mimo wszystko dziwne.

– Ja tam się czuję dobrze z tym, że nie muszę oglądać osiemsetletnich, zamrożonych mumii, zanim będzie to konieczne. – Gamis przeleciał dronem jeszcze kawałek, po czym zatrzymał się przed drzwiami. – Oto i ono – oświadczył. – Wasze pomieszczenie sterujące siecią na Dalasysli. No, w każdym razie jedno z nich. A wszystko, co musimy zrobić, to podejść tam powoli w naszych magnetycznych butach.

– Czyli przytargaliśmy cały ten sprzęt do przebijania się przez przegrody na darmo – podsumowała Sherrill.

– Nie powiedziałbym, że na darmo – zaprzeczył Gamis. – To tylko jedna mała sekcja habitatu. Inne rejony zapewne są odcięte. Będzie trzeba sprawdzić. Przynajmniej tutaj mieliśmy szczęście.

– No to powodzenia – rzucił Hanton. – Jak już tam wejdziemy, będę musiał zobaczyć, czy dam radę uruchomić jakikolwiek element tego centrum sieci komputerowej. Możliwe, że właśnie wykorzystaliśmy nasz limit szczęścia.

Marce stwierdził, że nie lubi skafandrów. Nos zaczął go swędzieć niemal dokładnie w momencie, gdy włożył hełm, i nieświadomie próbował się w niego podrapać już trzy razy, za każdym uderzając palcami o wizjer hełmu. Za trzecim razem wydał z siebie pełne frustracji mruknięcie, które Hanton usłyszał w komunikatorze.

– W końcu pan do tego przywyknie – pocieszył go.

– Mam *nadzieję* – odparł Marce zirytowanym głosem.

Przejście do pomieszczenia kontroli sieci było powolne, tak jak uprzedzał Gamis. Magnetyczne buty skafandrów pozwalały zespołowi trzymać się podłoża, ale tak czy inaczej byli ze sobą połączeni liną, tak na wszelki wypadek, gdyby któreś z nich straciło grunt pod nogami i zaczęło odlatywać. Marce stwierdził, że wymagające świadomego stawiania kroków chodzenie w magnetycznych butach jest wyczerpujące, a do tego dochodziło jeszcze to, że poruszali się w kompletnej czerni, jedynie punktowo rozświetlanej przez lampy na ich hełmach. Gdy wreszcie dotarli do pomieszczenia sterowania, czuł się jakby przebiegł maraton.

– Widzicie, jednak było to potrzebne – powiedział Gamis, wyjmując urządzenie do rozwierania drzwi ze skrzynki ze sprzętem, którą ze sobą zabrali.

Brak grawitacji sprawiał, że Gamis i Lyton bez problemu ją dźwigali, ale z trudem nią manewrowali. Bezwładność miała inne plany co do tego, gdzie należy zabrać skrzynię.

Dwójka szeregowych rozstawiła rozwieracz do drzwi. Ten zrobił swoje czary, otwierając uszczelniony właz. Marce był zaskoczony, że słyszy odgłosy oporu drzwi, po czym uświadomił sobie, że odbiera je stopami. Odgłosy przenosiły się podłożem, a następnie do jego skafandra. Kiedy wchodzili do pomieszczenia kontrolnego, Marce zauważył znaki na drzwiach i wskazał je starszemu szeregowemu Gamisowi, który skinął głową.

– Nie my pierwsi to robimy – stwierdził.

– Potrafi pan powiedzieć, jak dawno te ślady powstały? – spytał Marce.

– Nie bardzo. To mogło być równie dobrze pięćset lat temu, jak i w zeszłym tygodniu. Obstawiałbym jednak, że w zeszłym tygodniu to raczej nie.

Wewnątrz centrum kontrolnego wszyscy odczepili się od wspólnej liny. Lyton rzuciła coś w kierunku sufitu i nagle całe pomieszczenie zalało światło. Cienie wskazywały na pojedyncze źródło.

– Niechaj się stanie światłość – powiedziała i spojrzała na Hantona. – Masz jakieś sześć godzin.

– Więcej niż wystarczająco – odrzekł Hanton.

Podszedł do skrzynki ze sprzętem i wyciągnął mały moduł komputerowy, przenośną klawiaturę oraz małą kostkę stanowiącą źródło zasilania. Zaniósł je wszystkie do stacji roboczej.

– A masz do tego kabel zasilający? – zażartował Gamis.

– Nie potrzebuję – odparł Hanton i włączył kostkę. Światelko na monitorze zamigało trzy razy na czerwono, a w końcu ciągłym światłem na niebiesko. – Sprawdziłem archiwa. Te stacje robocze miały płyty indukcyjne. Musisz tylko zapewnić im źródło zasilania i same się włączą.

– Jeśli to tylko terminal, niewiele ci to daje – zauważyła Lyton.

Hanton potrząsnął głową.

– Zasadniczo służyło to za terminal, ale ma też zamontowaną pamięć podręczną. Jest całkiem spora, bo habitaty wierzyły w redundantność. Gdyby główny system komputerowy kiedykolwiek uległ awarii, podstawowe systemy operacyjne nadal zachowałyby bazową funkcjonalność i dostarczałyby informacji poprzez te terminale. A przynajmniej do czasu, aż zostanie przywrócone działanie komputera głównego.

– Założmy, że uda ci się uzyskać dostęp – powiedział Gamis.

Hanton tapnął moduł komputera, który przyniósł.

– Jeśli w ogóle się włączy, to zabrałem ze sobą kilka fajnych zabawek. Osiemsetletnie zabezpieczenia zmierzają się z współczesnymi urządzeniami do łamania takich rzeczy. To powinno być dość intrygujące doświadczenie.

– A jeśli nie zadziała? – spytał Marce.

– To mamy tu dziesiątki innych stacji roboczych.

Marce skinął głową i rozejrzał się po pomieszczeniu. Było wielkie i okrągłe, a w świetle dającym cienie o ostrych krawędziach wyglądało trochę przerażająco. Wzdłuż jednego z łuków ciągnęło się okno i drzwi do kolejnego pomieszczenia, w którym znajdowały się milczące rzędy czarnych metalowych skrzyń. Prawdziwe serce przetwarzania danych habitatu, albo przynajmniej jedno z nich. Pomijając stacje robocze, habitat tych rozmiarów mógł mieć kilka pomieszczeń takich jak to, rozlokowanych w całej konstrukcji. Systemy redundantne ratują życie.

Przynajmniej na jakiś czas. Komputery w tych czarnych pudłach prawdopodobnie już dawno miały za sobą przewidywany czas eksploatacji. Tak samo zresztą jak inne w habitacie. Włączenie ich będzie wymagało czegoś więcej niż kostka zasilająca, którą zabrał ze sobą Hanton.

Marce zastanawiał się, jak to wszystko wyglądało na Dalasysli, kiedy systemy zasilające przestały działać. Habitatowi energię dostarczała kombinacja reaktorów atomowych i paneli solarnych. Te źródła były podatne na te same usterki mechaniczne, co każdy inny system, podobnie jak sieć dostarczająca energię we

wszystkie miejsca. Sprawy mogły potoczyć się źle na wiele różnych sposobów. Marce przypuszczał, że systemy wysiadły, zanim zniknęła wiedza konieczna do ich utrzymania, ale trudno to było stwierdzić z całą pewnością. Kiedy świat się wali w gruzy, naukowcy często stają się kozłami ofiarnymi.

– Ooo, dzieńdoberek – powiedział Hanton. – Ktoś tu się obudził.

Marce odwrócił się w jego kierunku i zobaczył, że stacja robocza ożyła i ładuje się program diagnostyczny.

– Niewiarygodne – stwierdził Gamis.

– Te systemy polegają w znacznej mierze na półprzewodnikach – mówił Hanton, przedzierając się przez kolejne menu. – Wykonane są w większości ze stabilnych materiałów. Klasa przemysłowa, nie konsumencka. Kiedy budujesz habitat, budujesz na lata, a nie do kolejnego sezonu wyprzedażowego.

– No dobra – powiedział Gamis – ale osiemset lat?

– No, mamy szczęście jak jasna cholera – zgodził się Hanton. – Jednak trochę tego szczęścia opiera się na solidnym projekcie. Dobra, tu. – Wcisnął ikonkę i pojawiło się drzewko struktury danych zapisanych w pamięci podręcznej. – Wszystkie lokalne pliki. Przerzucam je teraz na mój własny komputer i będę je mógł otworzyć w środowisku wirtualnym.

– I co tam jest? – zapytała sierżant Sherrill.

– Mnóstwo rzeczy. Czego sobie pani sierżant życzy?

Sherrill spojrzała na Marce'a.

– To pana przedstawienie, panie Marce.

Ten zastanawiał się przez chwilę.

– Chciałbym wiedzieć, kiedy Dalasýsla przestała funkcjonować – odezwał się wreszcie. – To da nam pewien pogląd na temat tego, czego należy się spodziewać w innych habitatach w podobnej sytuacji.

Hanton kiwnął głową.

– Mam tu plik z logami.

– Tylko dla tej stacji roboczej?

– Tak, tutaj jest tylko z tej. Jest tu jeszcze jeden, który chyba stanowi zbiór z całego tego centrum kierowania. To musiała być stacja robocza administratora.

– I w tym pliku będzie wszystko?

– Tak, jasne, do momentu, kiedy stacja miała zasilanie.

– Odpalaj go.

Hanton otworzył plik.

– Ha – mruknął minutę później.

– Co się stało? – zapytał Marce.

– Chyba mi nie uwierzycie, jak wam powiem.

– Przekonajmy się.

– Dajcie mi chwilę, żebym to poukładał, to będzie bardziej zrozumiałe.

Hanton przez jakąś minutę klepał w klawiaturę, a potem machnięciem ręki przywołał Marce'a do swojego ekranu.

– Wrzuciłem te dane w arkusz kalkulacyjny. Zestawił logowania według lat. Tutaj mamy rok przed rozpadem prądu Nurtu. Dobra, kilka tysięcy logowań, bo ludzie logują się i wylogowują codziennie. W roku rozpadu sytuacja wygląda tak samo, podobnie rok później. Jak przewiniemy kolejne dwadzieścia lat, logowania stają się coraz rzadsze i rzadsze, bo niezależnie, co tu się odpierdalało, rzecz była poważna. Dwadzieścia trzy lata po rozpadzie wszystko nagle ustaje. Jeśli się pan zastanawiał, kiedy zaczęło się robić naprawdę źle, to właśnie wtedy.

– Dwadzieścia trzy lata to nie tak długo – powiedziała Sherrill.

– Owszem, niedługo – odparł Hanton i przewinął dalej. – Czyli to tyle, tak? Właśnie że nie, bo zobaczcie, co się stało kolejne piętnaście lat później. – Tu wskazał palcem następne nagromadzenie logowań.

– Ktoś nadal żył – rzucił Marce.

– Wygląda na to, że sporo ktosiów. A teraz zobaczcie. – Hanton przewijał dalej. – Co kilka lat pojawiają się logowania, aż do chwili przed trzystu laty. A wreszcie *to*. – Pojawiły się kolejne liczne logowania w ciągu następnych dwudziestu lat. – Ktoś znów odpalił Dalasysłę. A przynajmniej jej część.

– Czasowo – zauważył Marce.

– Dwadzieścia lat to całkiem długie „czasowo” – odrzekł Hanton. – A później, po tych dwudziestu latach, dzieje się to samo. Logowań jest coraz mniej, aż w końcu następuje silny spadek, tym razem po siedmiu latach.

Marce znowu zaczął wpatrywać się w ekran.

– Ale nie całkiem.

– Nie – zgodził się Hanton. – To się powtarza co kilka lat przez niemal trzy stulecia. – Ponownie przewinął widok. – Tutaj. Tutaj. Tutaj. I dalej.

– Do kiedy? – spytał Gamis.

– Do czasu sprzed trzydziestu lat – odpowiedział Hanton. – Wtedy miało miejsce ostatnie logowanie. Trzydzieści lat temu ktoś korzystał z tego pomieszczenia.

– No dobra, ale jak to możliwe? – zapytała Lyton. – To miejsce jest, kurwa, martwe jak skała.

– Nie mam pojęcia, jak to możliwe. Przekazuję wam tylko, co mówi plik. Ale to tłumaczy, dlaczego system komputera nie padł całkowicie. Za każdym razem, gdy się

ładował, uruchamiał się program diagnostyczny i naprawiał drobne usterki, jakie się z czasem pojawiły. – Wskazał na stację. – To właśnie teraz robi.

– A więc Dalasýsla żyje – powiedział Marce.

– Dalasýsla nie – sprostował Hanton. – Lyton ma rację. To miejsce jest martwe. Ktokolwiek się tu pojawiał, zapewne używał habitatu do pozyskania zasobów i używał systemów komputerowych, aby mu w tym pomogły. Ktoś jednak żyje w tej części kosmosu. A przynajmniej żył jeszcze trzydzieści lat temu.

Marce usłyszał jakiś inny głos. To była Roynold, znajdująca się na *Bransidzie*.

– Marce, jesteś tam?

Marce odszedł od Hantona i stacji roboczej, a następnie podniósł rękę, żeby włożyć palec do ucha i lepiej słyszeć Roynold, ale znów się zirytował, gdy natrafił na hełm.

– Tak, jestem. Sprawy na Dalasýsli przedstawiają się bardzo ciekawie, Hat.

– Znaleźliście dowody na to, że ktoś nadal żyje w tym systemie?

– Taa, owszem. Skąd wiesz?

– Bo kapitan Laure kazała swojej załodze poszukać w okolicy innych, mniejszych habitatów.

– I co? Znalazła jakieś?

– Mnóstwo. Trzy tuziny.

– No i?

– Wszystkie równie martwe jak Dalasýsla. Zimne jak Dalasýsla. Wszystkie mają temperaturę otoczenia.

– No dobra – powiedział Marce zdezorientowany.

– Ale potem znaleźli coś jeszcze. Nie jest to tak do końca habitat. Bardziej przypomina dziesiątak.

– Statek kosmiczny.

– Tak. I właśnie o niego chodzi, Marce. Jest *ciepły*.

ROZDZIAŁ 13

– To na zgodę – powiedziała Senia Fundapellonan, wchodząc do biura Kivy Lagos na spotkanie. Wyciągnęła rękę ponad biurkiem i coś jej podała. Kiva wzięła od niej przedmiot. Była to filigranowa bransoletka z oksydowanego srebra ze złotobrazowymi topazami.

– Sama zgadnę – odezwała się Kiva. – Poszłaś do wesołego miasteczka i ustrzeliłaś wszystkie puszki. Miałaś do wyboru: to albo pluszowy słoń.

– Nie musiałam wybierać. Słonia zatrzymałam dla siebie.

– No dobra, ale dlaczego mi to dajesz? – spytała Kiva, odkładając bransoletkę na biurko. – Nie jestem zła, że nie odwiedzałaś mnie od czasu naszego małego spotkania u imperoks. Nie *chodzimy* ze sobą.

– W zasadzie to nie jest ode mnie – powiedziała Fundapellonan. – To prezent od hrabiny. Terhathum słynie z topazów. Większość tego nie wie, bo monopol Nohamapetanów obejmuje ryż i kukurydzę, a ród Hoak nie informuje ludzi, skąd pochodzą kamienie, które sprzedaje.

– A tak dokładnie, to z jakiego powodu dostaję prezent od hrabiny? Plotki mówią, że nienawidzi mnie jak sam skurwysyn.

– Hrabina uważa, że może źle zaczęłyście. Ma świeżo w pamięci śmierć córki i chyba uważa, że to może być dobry moment na nowy początek. – Fundapellonan wskazała bransoletkę. – To dowód przyjaźni. Muszę ci powiedzieć, że wartość pieniężna jest praktycznie żadna, może dostałabyś za nią z tysiąc marek, jednak należała do Nadashe, gdy dorastała. Hrabina ma nadzieję, że to cię przekona, że jej chęć nowego startu między wami jest szczerą.

– Aaaaha – skomentowała Kiva. Ponownie wzięła do ręki bransoletkę, która mówiąc całkiem uczciwie, była cudna, i się jej przyjrzała. – Sama jej to zasugerowałaś, prawda?

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo nie wiem, czy zdarzyło ci się spotkać hrabinę Nohamapetan, ale jest mniej więcej tak sentymentalna jak pierdolony aligator. Nie ma jebanej opcji, żeby siedziała zgnębiona z powodu swojej córki i nagle wzięła to do ręki, po czym wysłała cię tutaj, żeby, kurwa, pomóc swojej duszy odbyć uzdrawiającą podróż.

– Myślę, że zbyt nisko oceniasz hrabinę.

– Wątpię.

– Jesteś sceptykiem, jeśli chodzi o doskonalenie ludzkiej duszy.

– Myślę, że aby doskonalić duszę, trzeba najpierw jakąś mieć.

– Oto słowa Kivy Lagos – powiedziała Fundapellonan. Kiva wzruszyła ramionami. – Mam powiedzieć hrabinie, że odrzucasz jej dar?

– Jasne, muszę jej dać jeszcze jeden powód, żeby mnie nienawidziła. Dzięki. Fundapellonan się uśmiechnęła.

– To powiem jej po prostu, że wyraziłaś swój zachwyt i pokorne podziękowania.

– O właśnie! Brzmi dokładnie tak, jakbyś mi to wyjęła z ust.

– To tak jak w przypadku hrabiny dającej bransoletki.

– A zatem *faktycznie* jej to podsunęłaś.

– Może powiedziałam jej, że bransoletki do ciebie pasują.

– Nie bardzo wiem dlaczego. Nie noszę zbyt wiele biżuterii.

– Może dlatego, że pomyślałam, że chciałabym ją na tobie zobaczyć.

Kiva ją włożyła.

– I jak?

– Całkiem nieźle – odparła Fundapellonan po minucie.

– No to w porządku. – Kiva zdjęła bransoletkę i odłożyła ją na biurko. – Dobra, to skoro mamy tę ckliwą chwilę przyglądania się i dawania prezentów za sobą, to zrób, co masz zrobić, ja będę mogła powiedzieć „nie” i wrócimy do swojego życia.

– Hrabina proponuje ci ponowne zastanowienie się nad zarządkiem interesami rodu Nohamapetan tutaj, w systemie Hubu.

– W porządku.

– Poważnie?

– Pewnie – odpowiedziała Kiva i odczekała sekundę. – Teraz skończyłam. I moja odpowiedź dla hrabiny brzmi: pierdol się. Już raz jej powiedziałam „nie”. Już raz, kurwa, pobiegła ze sprawą do imperoks i dostała odmowę. Grayland nie tylko powiedziała „nie”, ale i wyraźnie dodała, że mam zostać na swoim stanowisku, a ród Nohamapetan ma ze mną w pełni współpracować podczas prowadzonego w systemie śledztwa. Tak przy okazji współpracy tej nadal się nie doczekałam i zaczyna mnie to powoli wkurwiać.

– Przekażę to hrabinie.

– Przekaż. Nie zapomnij też o tej części, w której mówię: „pierdol się”. Tylko na pewno użyj dokładnie tych słów. I jak już będziesz przy tym temacie, daj jej do zrozumienia, że jeśli ty albo ktokolwiek inny pokaże się tu, w tym biurze, aby mi sugerować, że powinnam przestać zajmować się tą jebaną robotą, którą poleciła mi wykonać cholerna władczyni całego znanego zamieszkanego wszechświata, to naprawdę się zdenerwuję.

Na te słowa Fundapellonan zamrugwała.

– To jeszcze nie jesteś zdenerwowana?

- Jeszcze nie widziałaś mnie zdenerwowanej.
- Muszę o tym pamiętać.
- Hrabina też mnie takiej nie widziała. A jak mnie zdenerwuje, to żadna liczba jebanych bransoletek przyjaźni jej nie pomoże.
- I nie ma nic, co by sprawiło, że ponownie rozważysz swoje stanowisko?
Kiva przechyliła głowę.
- Znowu oferta łapówki.
Fundapellonan rozłożyła ręce.
- Jak wrócę, muszę z czystym sumieniem powiedzieć, że przerobiłam całą listę.
- A co jeszcze na niej jest?
- To tyle.
- Na pewno? Nie padły żadne zawołowane groźby?
- Zawołowanych groźb brak.
- No to hrabina musi się nie czuć na siłach.
- Cóż, próbuje sobie poradzić ze śmiercią dziecka. Już drugi raz w tym roku.
- Ano właśnie – powiedziała Kiva i ponownie spojrzała na bransoletkę, a następnie znów na Fundapellonan. – Co robisz potem?
- Jestem zajęta.
- A co jak już przestaniesz być zajęta?
- Zawsze jestem zajęta.
- Jestem pewna, że nie jesteś zajęta *aż tak*.
- O czym mówisz?
- O tym, że powinnaś wpaść.
- Może cię unikam.
- No to wychodzi ci strasznie chujowo, bo właśnie stoisz u mnie w biurze.
- Jestem tu z poleceniem służbowym.
- Przynosząc prezenty.
- Od kogoś innego.
- Które sama wybrałaś.
- Wybrałam.
- Wpadnij później, to ją dla ciebie założę. I niewiele oprócz niej.
- Umowa stoi.

- No więc dlaczego pracujesz dla złych jebańców? – zapytała Kiva, kiedy z Fundapellonan leżały w łóżku po zażyciu odrobiny nieco lepszego niż średni seksu.
Prawniczka spojrzała na Kivę rozdrażnionym wzrokiem.

- Rodzina Nohamapetan nie jest zła.
- Chyba ktoś potrzebuje odświeżenia pamięci w kwestii ostatnich wydarzeń.
- No dobra – przyznała Fundapellonan – może niektórzy członkowie rodu są źli.
- Bratobójstwo. Morderstwo. Usiłowanie skrytobójstwa. Defraudacja. Wątpliwy gust w odniesieniu do mężczyzn. A to tylko jedno z tych lachociągów.
- Są źli. Cóż, *byli* źli.
- Dalej są źli, tylko że martwi.
- Ale ja nawet dla niej nie pracowałam.
- Pracujesz dla jej mamusi. Myślisz, że gdzie ona się tego nauczyła?
- Tak ściśle rzecz biorąc, to nawet i dla niej nie pracuję. Zatrudnia mnie ród.
- Którym rządzi hrabina, twój szef, i jej rodzinka. Całkiem nieźle ci tu idzie dzielenie jebanego włosa na czworo.
- Jestem prawniczką. Taką mam w sumie pracę. Słuchaj, Kiva, nie twierdzę, że poszczególni członkowie rodziny Nohamapetan są śnieżnobiałymi aniołami ani nawet przyzwoitymi ludźmi. Ale pracuję dla rodu. A tak na co dzień ród Nohamapetan jest całkiem przyzwoity.

– Skoro tak mówisz.

Fundapellonan podparła się na łokciu.

– A co z rodem Lagos, hmmm? Pewnie nie będziesz zbyt zaskoczona, jak ci powiem, że zanim cię spotkałam, zrobiłam mały, powiedzmy, research, na temat twojej rodziny. Chcesz krótki raport o kwestiach pracowniczych oraz różnych innych, związanych z BHP, których naruszanie endemicznie wiąże się z rodziną Lagos? Ile razy, tylko w ciągu ostatnich dwóch lat, ród musiał tłumaczyć się przed gildiami z powodu złych praktyk? Ile marek w rocznym budżecie rodu Logos ma pozycja przeznaczona na „rozwiązywanie spraw konfliktowych”? Macie przecież pozycję przeznaczoną na pokrycie odszkodowań i nie podejmujecie żadnych działań, chyba że ta kwota zostanie przekoczona w trzech kolejnych latach. Co, tak przy okazji, najpewniej wkrótce się stanie.

– Mogłabym zrobić taki sam research na temat rodu Nohamapetan i wyskoczyć ci z podobną listą.

– No i do tego właśnie zmierzam – podkreśliła Fundapellonan. – Ród prowadzi interesy. Potrzebuje przedstawiciela. Nie jest doskonały, ale też i nie całkowicie zły.

– Twoja szefowa jest.

– Mówi to kobieta, która kasowała uchodźców na miliony marek, żeby mogli wejść na jej statek i uciec przed zniszczeniami, jakie niosła ze sobą wojna domowa.

Kiva spojrzała na nią.

– Wow. Naprawdę wykonałaś research.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Potrzebowałam pieniędzy.

Na te słowa Fundapellonan wyszczerzyła zęby w uśmiechu i wtoczyła się na Kivę.

– Widzisz, to jest prawdziwe jebane zło, Kivo Lagos.

– A jednak nadal tu ze mną jesteś.

Fundapellonan usiadła prosto, mając wciąż Kivę pod sobą.

– Może po prostu lubię złych ludzi.

Złapała Kivę za nadgarstek i przesunęła srebrną bransoletkę z topazami z jej ręki na swoją. Uniosła dłoń w górę i przyjrzała się biżuterii.

– Ładnie na tobie wygląda – powiedziała Kiva.

– Pasuje do mojego odcienia skóry – zgodziła się Fundapellonan, po czym odleciała z łóżka.

– Hej – powiedziała kilka godzin później Kiva do Fundapellonan, kiedy ta próbowała coś wyskrzeczć. Kiva poruszyła ręką. – Daj spokój. Masz rurkę w gardle. Cały twój układ oddechowy jest obecnie nieco zjebany. Podobnie jak, nawiasem mówiąc, reszta ciebie. Zostałaś zestrzelona. Wprost z mojego pierdolonego łóżka.

Oczy Fundapellonan się rozszerzyły i rozejrzała się dziko dookoła.

– Spokojnie, spokojnie. Hej, spokojnie – mówiła Kiva. – Już w porządku. Jesteś bezpieczna. No dobra, nie jest w *porządku*. Kilka razy omal nie umarłaś. Ale teraz już nie umrzesz. Jesteś bezpieczna tak, że już bardziej się nie da. Poprosiłam o przysługę.

– Kiva zatoczyła dłonią krąg. – Witamy w prywatnym gabinecie medycznym imperoksov w pałacu Brighton. – Oczy Fundapellonan wyglądały teraz jak spodki. – Nie martw się, ja płacę. – Te słowa sprawiły, że oczy prawniczki nieco się zwęziły. – Dobra, to pozwól, że opowiem ci, co się stało – zaproponowała Kiva. – Zostałaś postrzelona w klatkę piersiową. Kula nadleciała od strony rozsuwanych szklanych drzwi. Zajmuję pięprzone siedemnaste piętro, więc przypadek jest raczej mało prawdopodobny. Najsensowniejsza rzecz, jaka mi teraz przychodzi do głowy, jest taka, że ktoś chciał zastrzelić mnie, a strzelił do ciebie. Tak bym obstawiała, bo bez urazy, ale więcej ludzi chce mojej śmierci niż twojej, wliczając w to twoją w dupę jebaną szefową. Brzmi to dla ciebie sensownie?

Fundapellonan bardzo, bardzo delikatnie skinęła głową.

– Mówiłaś komuś z rodziny Nohamapetan, że wybierasz się do mnie dziś w nocy? – Prawniczka nie odpowiadała. Wciąż patrzyła na Kivę. – Senia, nie jestem na ciebie zła. Nie myślę, że mnie wystawiłaś. Muszę jednak wiedzieć, czy powiedziałaś komuś z Nohamapetanów, że idziesz się ze mną zobaczyć.

Skinięcie.

– Powiedziałaś im, że mam zamiar założyć tę bransoletkę dla ciebie?

Skinięcie.

Kiva się uśmiechnęła.

– Stąd właśnie wiem, że mnie nie wystawiłaś. Gdyby tak było, za skurwysyna byś jej sama nie założyła. A ja bym była martwa. Dziś w nocy ocaliłaś mi życie, Senia. Dostałaś kulę przeznaczoną dla mnie.

Fundapellonan zmrużyła oczy.

– Tak, wiem. Gdyby to od ciebie zależało, wolałabyś, żeby jednak było inaczej. Doceniam to mimo wszystko. Dzięki też, że na mnie nie umarłaś. Nie mówię tego, dlatego że cię *lubię* czy coś. Po prostu jeśli kogoś zamordują w twoim domu, nie wpływa to za dobrze na cenę rynkową nieruchomości.

Oczy prawniczki znów się zwęziły.

– Za wcześnie. Jasne, w porządku, już przestaję. No to co powiesz na to. Po pierwsze, ewidentnie powinnaś rzucić robotę, bo twoja szefowa, która jest *złą kurwą*, prawdopodobnie właśnie omal cię nie zastrzeliła. I tak, wiem, że celowała we mnie, ale sam fakt, że chciała strzelić do mnie, kiedy ty byłaś w pobliżu, oznacza, że niezbyt jej przeszkadzałaś jako ewentualna przypadkowa ofiara, podobnie jak to, że mój mózg rozprysnie się na twoich oczach. Po drugie, jeśli rzucisz robotę dla rodu Nohamapetan, to dostaniesz pracę u rodu Lagos. Tak, mamy śliskie praktyki na płaszczyźnie BHP. Może pomożesz nam to naprostować. Po trzecie, niezależnie od tego, co zrobisz, pamiętaj, że zasługujesz, kurwa, na coś lepszego niż to. No a po czwarte, pamiętasz, jak ci powiedziałam, że jeszcze nie widziałas mnie zdenerwowanej?

Fundapellonan pokiwała głową.

– No to, kurwa, patrz.

Kiva połaskotała w nos Tindę Louentintu, szefową personelu hrabiny Nohamapetan. Louentintu chrapnęła przez sen, klepnęła się, jakby chciała zabić owada, po czym przewróciła się na bok.

Kiva przyglądała się jeszcze przez kilka minut, jak ta pierdolona kupa gówna cicho pochrapuje, a następnie poszła do łazienki pokoju hotelowego Louentintu, odłożyła uniwersalny klucz hotelowy, za który właśnie zapłaciła gigantyczną sumę pieniędzy jednemu z mniej etycznie podchodzących do swoich obowiązków asystentów kierownika. Odwinęła jedną z higienicznie zapakowanych szklanek stojących na

umywalce, znalazła do niej wody, wróciła do łóżka i wylała ją na ucho i twarz Louentintu. Ta poderwała się, prychnając.

– O, obudziłaś się – powiedziała Kiva. – Cześć, jestem Kiva Lagos.

Po tych słowach walnęła Louentintu prościutko w twarz. Chrupnęło i z nosa tamtej buchnęła krew. Zachłysnęła się, chwyciła za twarz, po czym spojrzała na swoje okrwawione palce. Popatrzyła na Kivę i zapytała:

– Za co?

Krzyknęła, kiedy Kiva znów przywaliła jej prosto w ten jebany nos.

– Przepraszam, czyżbyś o coś pytała?

Kiva potrząsnęła ręką, krzywiąc się z bólu. Była cholernie pewna, że właśnie złamała sobie palec na nosie tej pieprzonej pizdy, ale nie miała zamiaru dać jej satysfakcji, więc cofnęła rękę ponownie, gotowa uderzyć raz jeszcze.

– No, proszę, zadaj kolejne jebane pytanie, ty śmierdząca kupo gówna.

Louentintu się zamknęła. I wtedy Kiva walnęła ją jeszcze raz. Asystentka hrabiny padła na poduszki, wszędzie brocząc krwią i wydając cholernie paskudny dźwięk, ilekroć próbowała zaczerpnąć oddech przez złamany nos.

– Dobra, to skoro czynności wstępne mamy za sobą, pozwól, że ci wyjaśnię, po co tu jestem – zaczęła Kiva. – Dziś w nocy do mojej przyjaciółki, a równocześnie pracownicy twojej szefowej, ty jebany rysztołu, strzelano na moich oczach. W jednej chwili była na mnie, pokazując mi całkiem ładną biżuterię, a zaraz potem znalazła się dwa metry dalej, na podłodze, z dziurą w piersi. Cholernym cudem przeżyła.

– Nie wiem, o czym ty mówisz – wykrztusiła Louentintu pomiędzy kolejnymi prychnięciami.

– Ani się, kurwa, waż – powiedziała Kiva. – Zedrę cię z tego jebanego łóżka i wywalę prosto przez ten kurewski balkon, za chuja się nie przejmując, co się potem ze mną stanie. Tak więc, jeśli chcesz się, kurwa, przekonać, czy potrafisz *latać*, droga pani, to jeszcze raz mi powiedz, że nie wiesz, o czym, kurwa, mówię. – Louentintu milczała. – Dobra, obie wiemy, dla kogo ta kula była przeznaczona – mówiła dalej Kiva. – Zamiast tego przeszła przez pierś Senii Fundapellonan. Cóż, trudno. To okładanie po mordzie, które właśnie ci zafundowałam, przeznaczone było dla hrabiny Nohamapetan. Chyba celuję równie kiepsko jak ona. Jedyna różnica polega na tym, że Senia nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Ty to zupełnie inna sprawa. Wiem, że kiedy hrabina się wysra, ty podcierasz jej dupę.

I teraz słuchaj, co zrobisz. Zabierzesz tę swoją świeżo przemodelowaną facjatę sześć pięter wyżej, tam, gdzie śpi twoja szefowa, i ją obudzisz. Powiesz jej, że *spierdoliła sprawę*. Powiesz jej też, że jutro, wcześniej rano, wybieram się do pierdolonego Domu Gildii, wchodzę do *mojego* biura, siadam sobie wygodnie w moim jebanym fotelu, za

moim ślicznym, pieprzonym biurkiem, z pyszną, kurwa, herbatką, po czym zabieram się do rozpierdalania *jej* interesów w drobny mak.

Poświęcę każdą minutę mojego życia, aby zrobić jej rodowi to, co właśnie zrobiłam twojemu gównianemu, umoczonemu w lewe sprawki nosowi. *Już* mam dość haków na chciwą, skurwysyńską rodzinę hrabiny, aby sprawić, że gildie na poważnie rozważą pozbawienie jej wszelkich przywilejów i wpakowanie was wszystkich, co do jednego, do więzienia. A do tej pory tylko sobie sennie popierdywałam. Wyobraźcie sobie, co zrobię teraz, kiedy jestem *kurewsko zmotywowana*.

– Albo... – powiedziała Louentintu.

– Co?

– Powiedziałam „albo”. – Nos Louentintu przestał krwawić, więc wytarła twarz w prześcieradło, przez co jedno i drugie całe były umazane krwią. – Kiedy ktoś przychodzi i grozi, zawsze jest jakieś „albo”. „Daj mi to, czego chcę, albo spalę ci dom”. *Już* pani wyartykułowała swoją groźbę, pani Kivo. Czekam na to, co nastąpi po „albo”.

– Jak tam twój nos? – spytała Kiva.

– Bywało lepiej.

Kiva skinęła głową i znów przyłożyła Louentintu, która padła, opierając się o zagłówek.

– To było „albo” – stwierdziła Kiva. – Upewnij się, że hrabina to zrozumie. I powiedz jej, żeby zabierała swoje dupsko z Hubfall. Ma *kurewsko* wielki statek. Od teraz może sobie tam spać.

ROZDZIAŁ 14

Statek kosmiczny był wielki jak dziesiątka i tak jak dziesiątka miał pierścień. W przeciwieństwie jednak do dziesiątek pierścień ten nie rotował, co by zapewniało siłę utrzymującą ludzi i przedmioty wewnątrz jego ścian. Na całej długości statku co jakiś czas włączały się i gasły światła. Gdyby Marce miał zgadywać, powiedziała by, że zasilanie na statku jest w najlepszym razie niestabilne, podobnie jak wszystkie jego systemy. Statek faktycznie był „ciepły”, ale tylko względnie, jeśli porównać go z otaczającą przestrzenią kosmiczną. Z wyjątkiem jednego z łuków pierścienia przyrządy wskazywały temperaturę kilku stopni Celsjusza powyżej zera.

Jednak najbardziej interesujący nie był sam statek, a rój obiektów dookoła niego. Dziesiątki małych, cylindrycznych rzeczy, z których każda miała nie więcej niż trzydzieści metrów długości. Każda była połączona kablami z jedną lub kilkoma innymi. Rotowały dookoła centralnego punktu, który z kolei podłączono do większego statku. Marce przyjrzał się jednemu z monitorów w jego pokoju gotowości załogi na *Bransidzie* i zobaczył, że coś się po nim porusza – mały pojemnik przymocowany do mechanizmu krążkowego. Kiedy mu się przyglądał, pojemnik przysunął się do jednego z cylindrów, który zassał go do środka.

– Czy my naprawdę to widzimy? – zapytała Jill Seve, patrząc, jak pojemnik znika.

Była lingwistką marynarki, ale miała też tytuł naukowy z antropologii, co admirał Emblad uznał za dostatecznie spokrewnione z profilem tej misji.

– Oj tak, widzimy – powiedział Plenn Gitsen, biolog marynarki. – Właściwe pytanie jednak brzmi, czy w to wierzymy.

– To znaczy, jak do kurwy nędzy ludzie mogliby tutaj żyć? – zapytała Seve. – Ile minęło od rozpadu prądu Nurtu?

– Osiemset lat – odparła Roynold. Stała u boku Marce’a, obserwując monitor.

– Jak ludzie mogliby przeżyć w ten sposób – Seve wskazała na monitor – przez osiemset cholernych lat?

– Prawdopodobnie nie żyli w *ten* sposób przez osiemset lat – powiedział Gennety Hanton. – Mamy dowody na to, że trzydzieści lat temu na Dalasysli byli ludzie. Jeśli będziemy mieć czas na przebadanie innych habitatów w okolicznej przestrzeni kosmicznej, to prawdopodobnie odkryjemy, że niektóre z nich były niedawno zamieszkane albo przynajmniej odwiedzane. No, przynajmniej stosunkowo niedawno.

– A zatem twierdzi pan, że ludzie żyli w taki sposób przez co najmniej trzydzieści lat – powiedziała Seve.

– Na to wygląda – odparł Hanton.

- Dobra, to jak do ciężkiej cholery dałby pan radę żyć w *taki* sposób?
- No i tu mnie pani ma.
- Żyją tak, bo nie mają innego *wyboru* – odezwała się poirytowana Roynold. – To oczywiste. Naszym zadaniem jest się dowiedzieć dlaczego. I jak.
- Czyli wybieramy się tam? – zwrócił się Hanton do Marce’a. On z kolei zapytał Gitsena, biologa:
 - Wybieramy się?
 - Kimkolwiek oni są, przebywali tu, w systemie Dalasýsli, odizolowani przez niemal millenium – odpowiedział zapytany. – Liczebność grupy, w jakiej przeżyli całe swoje życie, nie może wynosić więcej niż kilka setek. To niezbyt dużo.
 - Martwi się pan, że jeśli zaczniemy przy nich oddychać, poumierają od naszych chorób – domyśliła się Roynold.
 - Albo odwrotnie – mówił Gitsen. – Nie mamy pojęcia, jak w tym bardzo ograniczonym środowisku mutowały i ewoluowały wirusy oraz bakterie. Na pewno nie ma możliwości, żebyśmy tam po prostu weszli i się z nimi uściskali. Moglibyśmy się w ten sposób nawzajem pozabijać.
 - Czyli głosuje pan na „nie” – podsumował Marce.
 - Tego nie powiedziałem. Myślę, że musimy się tam wybrać. Kimkolwiek są ci ludzie, stanowią cud nauki. Jakimś sposobem zdołali przetrwać osiemset lat po załamaniu ich cywilizacji. Musimy z nimi porozmawiać. Lecz musimy też być ostrożni.
 - No to pakujemy się z powrotem w skafandry – powiedział Hanton.
 - *Pan* nie musi iść – orzekła Seve. – Nie ma tam żadnych systemów komputerowych do hakowania.
 - O których by pani wiedziała – odparował Hanton.
- Roynold spojrzała na Marce’a.
 - Kto musi iść? – zapytała.
 - Na pewno Seve i Gitsen – odparł Marce. – Chyba powinniśmy też poprosić Mertę Ells. – Mówił o pokładowym lekarzu *Bransida*. – No i wiadomo, że kapitan Laure będzie chciała posłać z nami co najmniej kilku marines. Ty też możesz lecieć, Hat.
 - A dlaczego sądzisz, że będę chciała?
 - Ja poleciałem na poprzednią misję.
 - No i właśnie na nią powinnam lecieć ja – powiedziała Roynold. – Wiesz, że nie za bardzo lubię ludzi.
 - Wybacz.
 - W porządku – odrzekła Roynold i ponownie skupiła się na statku. – Ale *jak* zamierzacie to zrobić? Podejdziecie do frontowych drzwi i zapukacie?

– Hej – rzucił Hanton, wskazując palcem na ekran. – Widzieliście to?

– To znaczy co? – spytał Marce.

– Jedno ze świateł na pierścieniu zaczęło mrugać.

Marce spojrział na statek i ledwo zdołał zauważyć to, o czym była mowa.

– Możesz jeszcze na to dać zbliżenie?

– Już – odparł Hanton.

– Nie miga przypadkowo ani cyklicznie – odezwała się Seve po minucie. – Są krótkie mrugnięcia i długie. To kod.

Hanton przez chwilę się temu przyglądał, po czym wyciągnął tablet i włączył funkcję wyszukiwania.

– Wiem, co to jest. Imperialna Marynarka Wojenna ma kod opracowany na potrzeby statków znajdujących się w trudnej sytuacji, którego mogą użyć, jeśli nie działają inne systemy komunikacji.

– I wykorzystuje on światła statku? – zapytała z niedowierzaniem Roynold. – Jeśli wziąć pod uwagę średnią odległość między statkami, to *optymistyczne* podejście.

– Nie twierdzę, że ma to *sens* – odparł poirytowany Hanton. – Po prostu mówię, że go mamy. Tak czy owak nie jest on przeznaczony tylko dla statków kosmicznych. Mogą go używać również pojazdy lądowe i wodne.

– I ten system przekazywania wiadomości nie zmienił się przez osiemset lat? – dopytał Marce.

– Jasne, że tak – powiedział Hanton. Obrócił tablet, żeby pokazać Marce'owi ekran.

– Ale w bazie informacyjnej naszej misji mam klucz do jego wersji sprzed ośmiu wieków.

– Dobry ruch – pochwalił go Marce.

– To był tylko element większej paczki danych, jaką wgrywa się na wszystkich statkach, ale i tak dzięki za uznanie – odrzekł Hanton. – A teraz dajcie mi minutę, żebym mógł się na tym skupić. – Po kilku minutach dodał: – To są trzy osobne wiadomości. Pierwsza oznacza: „Komunikacja nie działa”.

– Tyle już wiemy – stwierdziła Roynold.

Hanton uniósł dłoń.

– Druga mówi: „Systemy w stanie krytycznym”.

– A trzecia? – spytał Marce.

– „Pomocy”.

Dalasýslanie byli równocześnie niscy i podłużni, co jak przypuszczał Marce, stanowiło następstwo kiepskiego odżywiania się i niskiej grawitacji. Widział, że stojąca obok

niego doktor Ells ewidentnie chciałaby zabrać jednego z nich do części medycznej i przebadać. Nie mógł jej za to winić. Na jej miejscu pewnie myślałby o tym samym.

Jednak w tej chwili Marce chciał przede wszystkim ich zrozumieć.

Kapitan Laure odmówiła prośbie Marce'a, aby go wysłano bez ochrony. Nie chciała też ryzykować życiem całej grupy naukowej. Ostatecznie skafandry włożyli Marce, Ells, Seve i starsza szeregowka Lyton. Wsiedli następnie na prom i po dokowaniu zaczęli przy śluzie, aż jeden z Dalasýslan otworzył ją ręcznie z drugiej strony. Tamten nosił źle dopasowany skafander, który wyglądał na prądawny i połatany, bo też w zasadzie taki był.

Kiedy cała czwórka weszła do środka, Dalasýslanin zamknął śluzę i zaczął, aż z powrotem napłynęło do niej powietrze. Wtedy otworzył wewnętrzne drzwi, zrzucił skafander i wyszedł ze śluzy. Był zasadniczo nagi, o trudnej do określenia płci i jak się wydawało, czekał, aż zespół z *Bransida* również ściągnie skafandry. Gdy tak się nie stało, Dalasýslanin zrobił coś, co wyglądało jak wzruszenie ramionami, po czym odbił się w mikrograwitacji i machnął ręką, aby cała czwórka ruszyła za nim. Tak też zrobili, stukając głośno swoimi magnetycznymi butami o pokład.

Wnętrze się rozpadało albo, jeśli ktoś woli, wyglądało świetnie jak na statek mający co najmniej osiemset lat. Marce zauważył, że każda jego część była naprawiana i łatana. Ten statek był jak potwór Frankensteina, odnawiany elementami z innych statków i habitatów. Jego mieszkańcy byli śmieciarzami, którymi musieli się stać, jeśli chcieli przetrwać tak długo, jak im się to udało.

Grupa z *Bransida* została zabrana do czegoś, co wyglądało jak jadalnia, a raczej byłoby nią, gdyby statek choć trochę przypominał normalną jednostkę kosmiczną. W środku znajdowało się kilkudziesięciu Dalasýslan, a wszyscy wyglądali bardzo podobnie do tego, który ich przyprowadził.

Niewątpliwie byli to ludzie, ale tacy, jakich Marce jeszcze nigdy nie widział. Byli stworzeniami kosmosu i statków kosmicznych, tak jak żaden inny człowiek we Wspólnocie. Oczywiście, miliardy jej obywateli żyły w przestrzeni kosmicznej, lecz mieszkali w habitatach, przy pełnej grawitacji i ciśnieniu atmosferycznym, dysponując wszelkimi dobrami podstawowymi i większością zbytkowych. Żyli w *kosmosie*. Nie byli ludźmi *kosmosu*, tak jak teraz Dalasýslanie.

„Taka czeka nas przyszłość” – pomyślał Marce i miał nadzieję, że mimowolny dreszcz, jaki przeszedł jego ciało, dzięki skafandrowi nie był widoczny.

Dalasýslanin, który ich przyprowadził, wykonał szereg manewrów, aby dołączyć do swoich ziomków, zaś inny wychynął, zwrócił się ku zespołowi i zaczął coś mówić. Marce nie był w stanie zrozumieć ani słowa.

– Jill? – zwrócił się do lingwistki, gdy tylko Dalasýslanin przestał mówić.

– To standardowy język wspólnotowy – odpowiedziała. – A raczej był nim. Chyba nastąpiła jakaś przesuwka samogłoskowa.

– Potrafisz go zrozumieć?

– Do pewnego stopnia. – Seve wysunęła się naprzód, w kierunku stojącego Dalasýslanina i wskazała na siebie. – Człowiek. – Następnie wskazała na Marce'a i powtórzyła: – Człowiek. – Tak samo zrobiła w przypadku Ells i Lyton.

Dalasýslanin od razu załapał, o co chodzi, i powtórzył słowo, które mogło brzmieć jak „człowiek”, tyle że tak jakby je nagrać, puścić w spak na jakimś urządzeniu, wymówić to co powstało, odwrócić proces znowu mówiąc w spak, a potem powtórzyć to jeszcze kilkadziesiąt razy. Seve powtórzyła całą tę słowną zabawę z kilkoma różnymi przedmiotami w pomieszczeniu, poznając ich Dalasýslańską wersję. Wreszcie powiedziała coś do tamtego w sposób, który w uszach Marce'a w ogóle nie przypominał języka.

Dalasýslanin skinął głową i czekał.

– Czekaj, co właśnie powiedziałaś? – zapytał Marce.

– *Myślę*, że powiedziałam: „Mówcie powoli, wasze słowa są dla nas trudne”. Pewnie zaraz się przekonamy, czy coś z tego wyjdzie.

Dalasýslanin zaczął jeszcze raz, znacznie wolniej, i tym razem Marce niemal był w stanie rozróżnić pojedyncze elementy, które może nawet brzmiały, jakby były słowami, które mógłby znać.

– To jest Chuch i jest on (zakładam, że to „on”) ich przywódcą, a to jest to, co pozostało z Dalasýsli – powiedziała Seve i skinęła głową Chuchowi, żeby kontynuował. – Mówi, że statek stanowił dom dla ocalałych z Dalasýsli przez ostatnie sto lat. – Znowu rozmowa. – Było ich więcej, ale inne statki i habitaty zaczęły się z czasem psuć. Mówi, że przetrwali, przemieszczając statek od habitatu do habitatu, od statku do statku, i zabierając to, czego potrzebowali. – Kolejna wymiana zdań. – Ale teraz już nie są w stanie tego robić.

– Dlaczego nie?

Znowu chwila słuchania.

– Chyba nawaliły ich systemy napędowe – mówiła Seve. – Są w stanie poruszyć statek, ale nie mogą nim manewrować. – Chwila przerwy. – Mają dość mocy, by podtrzymać działanie systemów statku, ale nie potrafią dotrzeć do żadnego z habitatów, jakie plądrowali, żeby zdobyć części zamienne. Jednostka rozpada się wokół nich, a wreszcie przestanie działać całkowicie.

– Od jak dawna?

Seve przekazała pytanie. Chuch spojrział na innego Dalasýslanina, który odpowiedział.

– Minęło osiemnaście miesięcy, odkąd systemy napędowe przestały działać – przekazała Seve. – Ta osoba to główny inżynier. Szacuje, że minie rok do dwóch lat, zanim przestanie działać zbyt wiele kluczowych systemów.

– Mają *głównego inżyniera*? – zdziwiła się Lyton.

– Podtrzymywali działanie statku tak długo... – stwierdził Marce. – Oczywiście, że mają. Nie zakładaj, że ci ludzie są głupi, Lyton.

– Przepraszam.

Chuch zapytał o coś Seve, a ona odpowiedziała.

– Pytał, o czym rozmawiamy.

– Powiedziałaś mu?

– Tak. – Chuch mówił coś, a Seve słuchała. – Zgadza się co do tego, że nie są głupi, tylko zdesperowani. Prosi nas o pomoc.

– Jakiego rodzaju? – spytał Marce.

– Na początek z systemami napędowymi. Pomoc techniczna w innych sprawach. Żywność – a nie, przepraszam, produkty żywnościowe. Coś, co mogliby sadzić i uprawiać. Medykamenty. Informacje. Nowe technologie. – Chuch spojrzał na Marce'a i wypowiedział jakieś słowo.

Marce zerknął na Seve.

– Czy on właśnie powiedział „wszystko”?

– Aha, tak myślę.

– Cóż, nie mogę go o to winić – westchnął Marce, po czym przez chwilę milczał.

– O co chodzi? – zapytała Seve.

– Nie wydają się zaskoczeni, że nas widzą – odparł Marce.

– Co masz na myśli?

Marce wykonał gest, jakby chciał pokazać wszystko dookoła, a na koniec wskazał zebranych Dalasýslan.

– *Żyli na tym statku przez co najmniej sto lat, utrzymując swoją egzystencję w oparciu o jeden z habitatów. Prąd Nurtu prowadzący tutaj rozpadł się osiemset lat temu. Jak byś zareagowała, gdyby po całych stuleciach izolacji nagle ktoś cię odkrył?*

– Doprawdy, nie wiem – odrzekła Seve.

– Ja bym się pewnie posrała – wtrąciła Lyton, a Seve posłała jej dziwne spojrzenie.

– Chodzi ci o to, że powinni nas traktować jak bogów czy coś w tym guście? – zapytała doktor Ells.

– Nie – odpowiedział Marce. – Nie sądzę też jednak, że ja zareagowałbym w taki właśnie sposób. – Zwrócił się do Seve. – Zapytaj go.

– Ale o co?

– Zapytaj, dlaczego wydaje się, jakby wcale nie byli zaskoczeni na nasz widok.

Seve spełniła jego prośbę, a kiedy usłyszała odpowiedź, zamrugała.

– Co powiedział? – zapytał Marce.

– Że nie był zaskoczony, bo na ostatnim statku, który przyleciał, ciągle mówiono, że przybędą kolejne.

– Co?

Chuch znów zaczął mówić.

– Twierdzi, że ostatni statek przybył tu trzysta lat temu, a jego załoga tu została. Mówi, że każdy z jego ludzi, w tym on sam, ma w żyłach domieszkę ich krwi. Mówi też, że kapitan tamtego statku zawsze powtarzał, że kiedyś przybędą kolejne. Tak więc nie byli zaskoczeni, kiedy zjawiliśmy się my. Spodziewali się nas. Czekali na nas. A my wybraliśmy dobry moment na przybycie, za co nam dziękują.

ROZDZIAŁ 15

Arcybiskup Gunda Korbijn znów myślała o sztuce.

Konkretnie zaś kontemplowała pomnik *Rachela na zgromadzeniu* dłuta Pritofa Wspaniałego (Wspaniały nie było prawdziwym nazwiskiem Pritofa, tylko jakiś czas po jego śmierci pewien szczególnie cwany marszand, mający na składzie mnóstwo jego rzeźb, odwalił kawał dobrej roboty jeśli chodzi o PR). Rzeźba była wzorowana na obrazie o tym samym tytule namalowanym przez Hippolytę Moulton, który wisiał w Imperialnym Instytucie Sztuki, niedaleko od katedry w Xi'an.

Na obrazie Rachela objaśnia swoje idee zgromadzeniu wybitnych osobistości polityki i biznesu, które zostają tak poruszone jej słowami, że natychmiast zapominają o swoich małostkowych podziałach i tworzą Wspólnotę. Wyobraźnia podsunęła Moulton moment, w którym piękna Rachela ma twarz spokojną i ikonicznie pozbawioną wyrazu. Najwyraźniej politycy i ludzie biznesu byli tak oczarowani jej słowami, że nie przeszkadzał im fakt, iż przemawia do nich manekin.

Posąg Pritofa uchwycił tę chwilę inaczej. Rzeźbiarz ustawił Rachelę w pozie dokładnie takiej samej, jak Moulton na swym obrazie, ale wyraz jej twarzy był całkowicie inny. Zamiast spokoju i braku emocji wyrażała ona spryt, świadomość celu i jak niektórzy argumentowali (niezmordowanie, przez całe stulecia, w różnych akademickich periodykach), miał w sobie coś sardonicznego. Rachela pędzła Moulton była religijną ikoną, zaś ta Pritofa – kobietą z przesłaniem.

Spośród tych dwóch Rachela z obrazu Moulton była słynniejsza i właśnie dlatego znajdował się on w Imperialnym Instytucie Sztuki, a rzeźbę Pritofa umieszczono, można by powiedzieć, na relatywnym wygnaniu, w katedrze Kościoła Wspólnoty w Šumadija – rodzinnym habitacie artysty. Korbijn nie dbała o to. Arcybiskup i faktyczną głowę Kościoła, za jaką się uważała, pozbawiona wyrazu twarz przyprawiała o dreszcz niepokoju. Depersonalizowała Rachelę, sprawiając, że była mniej ludzka, a jej przepowiednie bardziej nieuchronne. Choć wizerunek ten odpowiadał Kościołowi Wspólnoty, gdyż tworzył wokół niego atmosferę nieuchronności (w zasadzie odpowiadał wszystkim kościołom, w takim samym celu), Korbijn, która z racji zawodu, a także z zainteresowania była badaczką historii, wiedziała, że nie było w tym nic nieuchronnego.

Oba dzieła sztuki nie odzwierciedlały prawdziwego słynnego zgromadzenia. Na przykład: politycy i potentaci przemysłowi nie gapili się na Rachelę w zachwycie. Śmiali się i kpili z jej głupoty. Na pewno nie było tak, że wyszli z sali i ustawili się w kolejce, żeby stworzyć Wspólnotę. Jej utworzenie wymagało wielu lat

i niezliczonych zawieranych po cichu umów, które wywołałyby raczej zgorszenie niż egzaltację. Obraz Moulton był propagandą, przygotowaną post factum, którą zresztą zatwierdził jeden z dawno nieżyjących poprzedników Korbijn na stanowisku arcybiskupa Xi'an. Prawdziwe wydarzenia oczywiście nie zniknęły z annałów historii, ale ludziom bardziej podobała się wersja Moulton. O ile w ogóle kontemplowano *Rachelę na zgromadzeniu*, w ogromnej większości wyobrażano ją sobie tak jak przedstawiła to Moulton.

I właśnie dlatego Korbijn wołała rzeźbę. Podejrzewała, że tak naprawdę wyraz twarzy Racheli był bez porównania bliższy temu, co przedstawił Pritof, niż wersji namalowanej przez Moulton. Nie po raz pierwszy Korbijn chciała, aby Rachelę faktycznie była kimś bardziej boskim niż człowiekiem, bo wtedy przynajmniej mogłaby ją przyzwać i zapytać, co sobie myślała, kiedy zdecydowała się przemówić do tych wszystkich polityków i ludzi biznesu – czym naprawdę były jej „proroctwa” i w jakim stopniu miały być światłem przewodnim dla Kościoła, któremu Korbijn poświęciła już prawie czterdzieści lat swojego życia.

Oprócz tego chciałyby pobyc imperoksem przynajmniej jeden dzień. Tajemnicą poliszynela był fakt, że imperoksowie dysponowali technologią, do której nie miał dostępu żaden z ich poddanych. Dzięki niej każda z ich myśli była rejestrowana, a po śmierci odtwarzana, by służyć radą następcom. W imperialnym pałacu znajdowało się poświęcone temu pomieszczenie. Korbijn nie wiedziała, czy ta praktyka nagrywania sięgała czasów Racheli, ale jeśli tak było, arcybiskup miałaby kilka bardzo konkretnych pytań do jej wirtualnego ducha.

„Jeśli wspomnienia Racheli tam są, to Grayland na pewno zadała jej te same pytania, które zadałabym i ja” – pomyślała Korbijn.

I właśnie dlatego Korbijn myślała przede wszystkim o rzeźbie Pritofa. Tak jak Rachelę, Grayland miała przemówić przed zgromadzeniem.

Teoretycznie mowa miała być skierowana do Parlamentu Wspólnoty, czyli ciała, którego ona jako imperoks oficjalnie była zwykłym, acz jedynym reprezentantem habitatu Xi'an, niemniej zgodnie z tradycją nie uczęszczała na posiedzenia ani nie głosowała.

Jednak publiczność miało stanowić nie tylko zgromadzenie. Miejsce na galerii parlamentu stało się najbardziej pożądane w Xi'an i członkowie wielkich rodów Wspólnoty rywalizowali między sobą o każde siedzenie. W przypadku Korbijn nie było takiej potrzeby. Została zaproszona, aby przed przemową imperoks udzielić formalnego błogosławieństwa, i przyjęła to zaproszenie. Lecz inni biskupi i oficjele Kościoła znajdowali się w tej samej sytuacji, co członkowie wielkich rodów. Koniec

końców na miejscu mieli się znaleźć przedstawiciele wszystkich głównych sił Wspólnoty: politycznych, gospodarczych i kościelnych.

„Niezależnie od tego, kiedy to wreszcie nastąpi” – przyznała w myślach Korbijn. Powszechnie było wiadomo, że imperoks wygłosi przemówienie, ale jak dotąd nie określiła daty. Jej rzecznik prasowy powtarzał tylko: „wkrótce”. Grayland na coś czekała, ale na co konkretnie, stanowiło to przedmiot intensywnej spekulacji.

W przeciwieństwie do Racheli, kiedy Grayland II przemówi do zgromadzenia, będzie już imperoksem i przynajmniej nominalnie najpotężniejszym człowiekiem w całym znanym wszechświecie. Korbijn wcale nie była przekonana, czy istotnie była to taka zaleta, na jaką wyglądała. Rachelą mogła być postrzegana jako charyzmatyczny wariat przemawiający do sceptyków. Grayland oceniano jako zagrożenie. Arcybiskup miała pełną świadomość plotek mówiących, że imperoks ma zamiar wprowadzić stan wojenny, uzasadniając go tym, że zamykanie się prądów Nurtu będzie wymagać wyższego poziomu porządku publicznego. Później, korzystając z przepisów stanu wojennego, Grayland wyeliminuje swoich przeciwników, tak jak to zrobiła z Nadashe Nohamapetan.

Korbijn przewróciła oczami, gdy ktoś jej powiedział o tej części pogłosek, ale przestała nimi przewracać, kiedy przyjęła Tindę Louentintu na pospiesznie zorganizowanym spotkaniu. Szefowa personelu hrabiny Nohamapetan zaskoczyła ją już w chwili przybycia, bo wyglądała, jakby dostała sztangą w twarz. Gdy Korbijn spytała, czy wszystko w porządku, Louentintu podała jakieś wytłumaczenie, mówiąc o próbie przejścia przez szybę drzwi balkonowych, co jak Korbijn natychmiast rozpoznała, było totalną bzdurą, ale jej rozmówczyni jasno dała do zrozumienia, że nie chce się w to wgłębiać, częściowo poprzez zasugerowanie, że Korbijn rozważa schizmę w Kościele Wspólnoty.

– A dlaczego miałabym to zrobić? – spytała Korbijn, zamiast od razu oskarżyć Louentintu o bluźnierstwo, co było jej prawem jako członka hierarchii kościelnej, ale bardzo rzadko się do tego uciekano i w tym wypadku niepotrzebnie skomplikowałyby sprawę, niezależnie od tego, o co właściwie chodziło.

– Aby zapewnić ciągłość Kościołowi, rzecz jasna – odpowiedziała Louentintu. – Hrabina wie, że niedawno zwołała pani zebranie swoich biskupów, aby porozmawiać o imperoks i jej wizjach oraz o tym, co one oznaczają dla waszej kontroli nad Kościołem Wspólnoty. Wie również, że co najmniej kilku spośród zgromadzonych postulowało schizmę celem zachowania integralności Kościoła.

Korbijn przypomniała sobie trwającą wiele godzin debatę, albo jak kto woli pyskówkę, o której mówiła Louentintu, i poczuła irytację, że jeden z jej biskupów zdecydował się puścić parę na jej temat. Kimkolwiek był, zajmie się nim później.

– Zdaje się, że kilku owszem – odparła Korbijn. – Muszę jednak zaznaczyć, że spotkanie to było swobodną wymianą myśli. Nie miało na celu formułowania polityki, ani też żadna nie została na nim sformułowana.

– Oczywiście, że nie. Ale mogłaby zostać.

– Pani Louentintu, proszę przejść do sedna.

– Próbuję pani powiedzieć, że gdyby dążyła pani do schizmy, odkryłaby pani, że ma sojuszników.

– Z całym należnym szacunkiem dla hrabiny Nohamapetan, nie ma potrzeby, aby ludzie widzieli, że Kościół ma sojuszników takich jako ona.

– Jakkolwiek mało fortunne jest to, co pani właśnie powiedziała, rozumiem, dlaczego pani to uczyniła. Dlatego też zapewne z zadowoleniem przyjmie pani wiadomość, że ludzie nie muszą was widzieć z nami. U waszego boku stanęliby inni, bardziej znaczący sprzymierzeńcy.

– A mówiąc „stanęliby u waszego boku”, kogo dokładnie ma pani na myśli?

– Wyobrażałabym ich sobie jako wsparcie materialne i finansowe dla nowego Kościoła, aby umożliwić utrzymanie nieruchomości po poprzednim Kościele. Na początek.

– A zatem nie do końca schizma. Po prostu przewrót.

– To nie musi nawet być coś w tym rodzaju. Jednak bardzo wielu ludzi w parlamencie, w ważnych rodach i tak, również w kościele, zaczyna dostrzegać konieczność zdjęcia obecnie panującej imperoks z tronu.

– „Zdjęcia” – powtórzyła Korbijn. – Cóż za uprzejme słowo.

– Nie musi dojść do użycia przemocy – wyjaśniła Louentintu. – Hrabina Nohamapetan lepiej niż ktokolwiek inny rozumie daremność stosowania gwałtu względem imperoks. Mocniej niż wszyscy, włączając w to samą imperoks, odczuła jego koszty: dwoje martwych dzieci, a trzecie na Kresie, gdzie i tak nigdy więcej go nie zobaczy. Ale przemocy da się uniknąć, jeśli użyć odpowiedniego poziomu nacisku. We właściwym czasie. I we właściwym miejscu.

Nagle na Korbijn spłynęło zrozumienie.

– Przemówienie imperoks w parlamencie... Coś planujecie.

– My tego nie planujemy – odparła Louentintu. – Coś jednak jest planowane.

– Wiele pani ryzykuje, mówiąc mi o tym – stwierdziła arcybiskup. – Zasiadam w Komitecie Wykonawczym. Jestem też blisko imperoks.

– Tak, jest pani blisko niej. I owszem, to ryzyko. Jednak kilka minut temu mogła mnie pani kazać aresztować za bluźnierstwo. Dysponuje też pani władzą wiążącą się z zajmowanym stanowiskiem, pani arcybiskup. Pani Kościół niewiele zawdzięcza obecnej imperoks. A gdy na tronie zasiądzie nowy, ona lub on może zdecydować się

na formalne oddzielenie urzędu imperoksa od Kościoła i podniesienie obecnego arcybiskupa Xi'an do nowej godności: kardynała Xi'an i Hubu.

– Aż tak daleko zaszły wasze plany?

– Powtórzę jeszcze raz, nie są to plany rodu Nohamapetan. Wiemy jednak, że plany istnieją.

– Niemniej to *pani* przychodzi i wodzi mnie na pokuszenie, *pani* Louentintu.

– Nie jestem tu, by kusić, *pani* arcybiskup. Staram się jedynie ukazać *pani* pewne możliwości. I przemówić do lepszej strony *pani* natury. Żyjemy w niespokojnych czasach i wraz z rozpadem prądów Nurtu wszystko stanie się jeszcze bardziej niepewne. Zmierzamy – wszyscy i niezawodnie – ku mrocznemu okresowi. Imperoks ma dobre intencje, ale to nie ona poprowadzi nas przez to, co przyszłość niesie Wspólnocie. Będzie to musiał zrobić ktoś inny. I dla wszystkich będzie lepiej, jeśli zdecydujemy się na to raczej wcześniej niż później.

Korbijn się uśmiechnęła.

– Zabawne. Mówi *pani* prawie to samo, co jeden z moich znajomych, który niedawno przyszedł się ze mną zobaczyć w tej samej sprawie.

– Proszę z nim porozmawiać jeszcze raz. Może powie *pani* to samo co ja.

– Nie mogę. Właśnie mu się zmarło.

Louentintu mniej więcej minutę zajęło, zanim zrozumiała.

– A to nieszczęście.

– Dla niego z całą pewnością.

– Proszę pomyśleć nad tym, o czym *pani* powiedziałam, *pani* arcybiskup – skonkludowała Louentintu. – Wiele ma się wydarzyć. Kościół ma w tych wydarzeniach rolę do odegrania. Lecz jaka będzie to rola i jaka przyszłość czeka Kościół, zależy od *pani*. Imperoks wkrótce wygłosi swoje przemówienie. A kiedy to zrobi, czas dobiegnie końca.

Cóż – pomyślała Korbijn, gdy Louentintu wyszła. – Jest dokładnie tak jak przewidziała Grayland.

– Wie *pani*, że wkrótce zaczną do *pani* przychodzić – powiedziała imperoks, kiedy Korbijn się z nią spotkała, aby porozmawiać o tym, co spotkało Terana Assana.

Pokrótkie omówiły los byłego członka komitetu wykonawczego oraz zastanowiły się, co to będzie oznaczało dla jego funkcjonowania. Poza tym arcybiskup zrelacjonowała rozmowę, jaką odbyła z Assanem na temat zbliżającego się przemówienia w parlamencie, oraz wyjaśniła, jak tamta konwersacja skłoniła ją do zwołania biskupów. Właśnie wtedy imperoks pokiwała głową i wypowiedziała to tajemnicze zdanie.

– Oni? – spytała Korbijn.

– Nie chcę zabrzmieć konspiracyjnie. Z drugiej strony pan Teran właśnie zginął, ratując Nadashe Nohamapetan. Oczywiście nie spodziewam się, by hrabina Nohamapetan przyznała, że miała z tym coś wspólnego. Albo jej ród w ogóle. Jednak pan Teran, niezależnie od swoich talentów, nie był kimś, kto robi coś sam z siebie.

– Wasza wysokość myśli, że to element czegoś większego?

– Myślę, że mówiąc o wizjach, wystraszyłam wiele sił politycznych – powiedziała Grayland. – To żadna niespodzianka. Wizje są niepokojące i naruszają porządek, a nikt, kto jest u władzy, nie ma ochoty na dezorganizację porządku. Nie rozumieją, że ona nadciąga, chcą tego czy nie. Moje wizje naruszają porządek teraz, aby uniknąć późniejszego chaosu. Ale oni nie widzą w tym pożytku dla siebie. Dlatego coś planują, aby zachować porządek takim, jakim go znają.

– A cóż takiego planują?

Grayland uśmiechnęła się do arcybiskup.

– Och, wydaje mi się, że doskonale pani wie.

– Przewrót.

Grayland znów pokiwała głową.

– Albo coś bardzo podobnego do przewrotu. Nie jakąś niezdarną próbę zabójstwa, jak Nadashe. Coś na szeroką skalę, eleganckiego i niemożliwego do powstrzymania. To oczywiste, że będą do tego potrzebować pani. I Kościoła. Tak więc będą przychodzić, chcąc wysondować, czy będzie pani skłonna do ugody.

– I wasza wysokość chce, żebym jej powiedziała, kto to taki, kiedy już się u mnie zjawią – zasugerowała Korbijn.

Ku jej osłupieniu Grayland wzruszyła ramionami.

– Poda mi pani imię osoby, która do pani przyjdzie, i co potem? Mam ich śledzić, czy może aresztować? Zapewniam panią, że Hibert Limbar *już* śledzi wszystkich i wszystko, wliczając w to panią i mnie, bo taką ma pracę. Jeśli kogoś aresztuje, będzie to tylko jedna osoba. Pozostali się od niej odetną i spalą wszelkie ślady, które by do nich prowadziły, tak jak to zrobiono z panem Teranem. A tymczasem pozostali będą nadal robili to, co robią, tyle że w ukryciu. Tak więc nie, pani arcybiskup, nie ma potrzeby, żeby mi pani mówiła, kto do pani przychodzi. Albo i tak się dowiem, albo nie będzie to miało znaczenia.

– Czego zatem wasza wysokość ode mnie oczekuje?

Grayland znów się uśmiechnęła.

– Chciałabym, aby odpowiedziała sobie pani na pytanie, jakim kościołem ma być Kościół Wspólnoty? Jakim chciałaby pani, aby był?

– Nie rozumiem.

– Myślę, że jednak pani rozumie. A w każdym razie zrozumie pani, kiedy się pani nad tym zastanowi.

– No dobrze – odpowiedziała Korbijn z powątpiewaniem.

Grayland się roześmiała.

– Nie próbuję tu być tajemnicza! Po prostu mówię, że żaden z pani poprzedników zajmujących to stanowisko w ciągu tysiąca lat nie znalazł się w takim położeniu, jak pani teraz z powodu moich wizji. Skoro jednak już je miałam, musi się pani zdecydować, czy Kościół mimo wszystko będzie w stanie dostosować się do kogoś takiego jak ja.

– Do prorokini.

– Och, nie wiem, czy posunęłabym się do takiego stwierdzenia – odparła Grayland.

– Ale tak. – Teraz to Korbijn się uśmiechnęła. – Jeśli zdoła się dostosować, będzie pani wiedziała co robić, gdy zostanie pani poproszona o lojalność. A jeśli nie, to przypuszczam, że również będzie pani wiedziała, co robić. Tak czy inaczej przepraszam.

– Za co?

– Za bycie dla pani prawdziwym wrzodem na tyłku – odparła Grayland. – Wszystko wyglądałoby dla pani o wiele prościej, gdybym po prostu trzymała się scenariusza. Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte – odparła Korbijn, po czym wypaliła: – Przyszliby po waszą wysokość tak czy inaczej.

Imperoks ponownie się uśmiechnęła i wspominając to, Korbijn już wiedziała, dlaczego w ogóle pomyślała o rzeźbie Pritofa – w tamtej chwili Grayland uśmiechała się identycznie jak Rachel.

ROZDZIAŁ 16

- Jakiego rodzaju statku mam szukać? – zapytała kapitan Laure.
- Takiego jak ten – odparł Marce – tyle że większego.
- To zawęź listę – powiedziała Laure.
- Dalasýslanie mówili, że statek nie miał pierścienia – dodał Marce. – Czyli nie jest jak piątak czy dziesiątak. Prawdopodobnie jak *Bransid* miał technologię pól dociskowych mających naśladować grawitację. Był jednak większy od naszego statku. Legenda mówi, że jego załogę stanowiło dwieście do dwustu pięćdziesięciu osób.
- Dobra, podsumujmy. Szukamy mitycznego statku, który pojawił się tu trzysta lat temu, niemającego pierścienia, dostatecznie dużego, aby pomieścić załogę złożoną z dwustu ludzi.
- To nie mit.
- *Brzmi* jak mit.
- Doktor Gitsen sprawdził genotyp niektórych Dalasýslan – powiedział Marce. – Wie pani, co znalazł?
- Endogamię?
- Nie. Hmm, tak. Ale nie tak daleko posuniętą, jak należałoby oczekiwać.
- Co za ulga – skomentowała Laure.
- Gitsen znalazł element genetyczny, który nie zgadza się z historycznym składem genomu Dalasýslan i niezbyt pasuje również do DNA ludzi ze Wspólnoty.
- A co to znaczy?
- To znaczy, że po ponad tysiącu lat ludzie żyjący w ramach Wspólnoty na tyle różnią się od tych z Ziemi, aby dało się wykryć różnicę. Jesteśmy całkiem dobrzy w określaniu bliskich przodków poszczególnych ludzi i możemy stwierdzić, że znaczna część poprzedników tych ludzi nie pochodziła stąd. Ani też z żadnego innego miejsca we Wspólnocie.
- Nie to żebym chciała być okrutna, ale widział pan tych ludzi? – zapytała kapitan.
- Spędzili ostatnie stulecie, co najmniej stulecie, na statku, który nie daje poważniejszej ochrony przed promieniowaniem kosmicznym. W ich DNA prawdopodobnie jest większy bałagan, niż u większości ludzi.
- Gitsen również to wziął pod uwagę. Mimo wszystko jest w ich materiale genetycznym coś jeszcze.
- Brzmi złowieszczo.
- To nic złowieszczego, ale to coś ważnego. Ktoś *inny* tutaj przybył, pani kapitan. Długo po tym, jak strumień Nurtu prowadzący z systemów należących do Wspólnoty

się rozpadł. I na długo przed tym, jak *my* się tu zjawiliśmy. Dalasýslanie twierdzą, że ten statek nadal gdzieś tu jest.

– Do tej pory pewnie już go rozłożyli na części.

Marce potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że pozyskiwanie z niego części zamiennych jest niedogodne. Ale nawet gdyby było inaczej, mówią, że i tak nic, co się na nim znajduje, nie byłoby kompatybilne z ich statkami czy habitatami. *To* też nam coś mówi.

Teraz to Laure potrząsnęła głową.

– Mimo wszystko uważam, że każe mi pan ścigać ducha.

– Przecież i tak katalogujecie wszystkie obiekty w okolicy wykonane ludzką ręką – przekonywał Marce. – Proszę tylko o to, aby powiedziała mi pani, jeśli znajdziecie coś, co choćby w przybliżeniu przypomina statek, o którym mówili Dalasýslanie. Tysiąc lat minęło, odkąd mieliśmy jakąkolwiek styczność z cywilizacją ludzką spoza Wspólnoty. Myślę, że warto to sprawdzić.

Laure skinęła głową.

– Zajmiemy się tym. Proszę nie oczekiwać cudów. I nie dopytywać się o to co chwilę.

– Niech będzie – odparł Marce.

– A z całkiem innej beczki... Wiem, że przyprowadziliście jednego z Dalasýslan, aby oprowadzić go po statku.

– Tak, ich przywódcę, Chucha. Dziękuję za pozwolenie.

– Myślałam, że niepokoi nas możliwość zarażenia ich naszymi drobnoustrojami.

– Był ubrany we własny skafander i został wysterylizowany przed wejściem na pokład.

– Ten skafander kosmiczny ma osiemset lat.

– W zasadzie on utrzymuje, że pochodzi z tej nowszej dostawy.

– A tak jest?

– Nie – odrzekł Marce. – To standardowy wytwór przemysłu Wspólnoty z czasów tuż przed rozpadem prądu Nurtu.

– A jak mu się podobała wycieczka?

– Zmęczył się, bo nie przywykł do pełnej grawitacji. Siedział w fotelu przez sporą część wizyty. Powiedział, że to ciekawe doświadczenie, zobaczyć statek, który ma wszystkie części wewnętrzne na swoich miejscach. Nieustannie pytałby o coś pani inżynierów, gdybyśmy mu nie przypomnieli, że wkrótce skończy mu się tlen.

– I był w ogóle w stanie zrozumieć, co do niego mówią?

– Tak, pani kapitan. Większość. Zapewne więcej, niż ja. Są naprawdę wyjątkowo inteligentni. Musieli być, skoro przetrwali w tym miejscu tak długo.

– Wszyscy mi to nieustannie mówią – podkreśliła Laure. – Dla mnie i tak wyglądają jak małe gobliny.

– Nie myli się – powiedziała Roynold do Marce’a jakiś czas później w czasie posiłku. – Na pewno cholernie mnie przerażają.

– Przecież tak czy inaczej nie lubisz ludzi – przypomniał jej Marce. – Sama mówiłaś.

– Tak, ale to coś więcej.

– To uprzedzenie.

– Mam tego świadomość – przyznała Roynold. – Dlatego nie mam nic przeciwko wyświadczeniu im przysługi i trzymaniu się z daleka.

– A co z drugą sprawą, o której rozmawialiśmy? – zapytał Marce.

– Masz na myśli pomysł, że otworzył się tu inny prąd Nurtu, prowadzący skądinąd? – Roynold wzruszyła ramionami. – To całkiem możliwe. Wspólnota korzysta z liczby prądów Nurtu, która jest o rząd wielkości większa niż gdziekolwiek indziej w lokalnej przestrzeni kosmicznej z powodu anomalii w wielowymiarowej topografii, ale nie ma nic, co by wskazywało, że podobne zjawiska ograniczają się do naszej czasoprzestrzeni, albo że w rejonie kosmosu należącym do Wspólnoty nie mogą się pojawić prądy Nurtu prowadzące z innych miejsc. Pierwotnie to właśnie tak ludzie się tutaj dostali.

– Pytam, czy udało ci się dostrzec jakieś świadczące o tym przesłanki.

– Na razie nie, ale to się może zmienić. Mam sondę, którą wysłaliśmy, żeby zbadała miejscową topografię, i wprowadzam jej dane do naszych najświeższych modeli. Ale oprócz dotychczasowych prądów nic nie udało mi się jeszcze dostrzec. Im więcej zdobędę danych, tym więcej się dowiemy. Właśnie tym się zajmuję, kiedy ty się szlajasz po okolicy.

– Nie szlajam się – zaproponował Marce.

– Nazywaj to jak chcesz. Mówię tylko, że w niewielkim stopniu zajmujesz się badaniami nad fizyką Nurtu. Na razie robię to tylko ja. Będę chciała to zaznaczyć, kiedy przyjdzie do publikowania wyników naszych badań. To tak przy okazji.

– To chyba uczciwe.

– Właśnie po tym widać, że już nie bierzesz udziału w życiu akademickim. Gdybyś nadal wykładał, pazurami byś się dobijał, żeby być głównym autorem.

– Ile jeszcze danych potrzebujemy, zanim potencjalnie będziemy w stanie dostrzec przesłanki świadczące o istnieniu innych prądów prowadzących do tego miejsca?

– Trudno powiedzieć i wiele będzie zależało od tego, jak bardzo wiekowe są prądy prowadzące tutaj i stąd. To akurat nie jest w żadnym razie zaskakujące. Nasz model nie za dobrze przewiduje zachowanie poszczególnych prądów dalej niż około dwóch dekad po dowolnej stronie linii czasu. Nawet to potężne przesunięcie prądów przewidujemy z marginesem błędu sięgającym tysięcy lat z obu stron linii czasu.

– To nadal mnie martwi – przyznał Marce.

– I tak nas wtedy nie będzie, więc nie spędza mi to snu z powiek.

– To ciekawa filozofia życiowa.

– Niezbyt – stwierdziła Roynold. – Słuchaj, jeśli znajdziecie ten statek, zobacz, czy uda ci się określić, skąd dokładnie tu przybył i kiedy dokładnie zjawił się w lokalnej czasoprzestrzeni. Jeśli będziemy dysponować tymi danymi, możemy prześledzić proces wstecz i być może stworzyć model.

– Jeśli się dowiemy, skąd przybył, to nie będziemy musieli budować modelu – zauważył Marce.

– Jeśli będziemy dysponować modelem, to zdołamy przewidzieć, czy prąd Nurtu pojawi się w bliskiej przyszłości.

– A ma to jakieś znaczenie? – spytał Marce. – Prąd prowadzący stąd rozpadnie się za dwa miesiące. Nic nam to nie da.

– Nam nie, głuptasie – odparła Roynold. – Tym tam, goblinom.

– Dalasýslanom?

– Tak, im. Może chcieliby się wyrwać z życia sprowadzającego się do nieustannego desperackiego płądowania. No chyba że sądzisz, że zdołasz zabrać ich statek i uciec, zanim prąd prowadzący z powrotem do Wspólnoty się rozpadnie.

– Sprawdziliśmy ich system napędowy – powiedział komandor Vyno Junn, główny inżynier na *Bransidzie*, kiedy Marce odwiedził go, żeby uzyskać najświeższe informacje. – Jest kompletnie zużyty i nie da się go naprawić. Nie przy pomocy tego, co mam pod ręką, ani tego, co pod ręką mają oni, na dodatek w czasie, jakim dysponujemy, zanim trzeba będzie stąd odlecieć.

– A nie możemy zajrzeć do niektórych z pobliskich habitatów? – spytał Marce.

– W jakim celu? Proszę sprawdzić schematy. Habitaty nie mają systemów napędowych ani nawigacyjnych, które chociaż odrobinę przypominałyby te na statkach. Ich silniki mają utrzymać prędkość rotacji i pozycję na orbicie, a nie pozwalać przemieszczać się między planetami czy płyciznami Nurtu. Aha, i zanim pan zapyta, sprawdziliśmy kadłuby statków znajdujących się w okolicy. Tamci już się do nich dobrali.

– A zatem mają przewalone – podsumował Marce.

– Przewalone to mieli, już gdy tu przybyliśmy – odparł Junn. – Kupujemy im co najwyżej trochę czasu. Pomagamy tym ludziom nieco przerobić niektóre z ich systemów zasilających i podtrzymujących życie. Trochę taka prowizorka, ale to i tak lepsze, niż to, co mają teraz. I jestem niemal pewien, że zanim wyruszymy, uda nam się ponownie wprawić w ruch ten ich pierścień, co polepszy ich możliwości agrokulturowe. Wiem też, że kroimy właściwie wszystkie świeże owoce, jakie mamy na statku, żeby oddać im nasiona. Do tego należy doliczyć worki ziemniaków, rzepy i innych warzyw z jadalnymi korzeniami.

– Łamiemy przy tym prawo Wspólnoty – powiedział Marce.

Pomyślał o swojej przyjaciółce i byłej kochance Kivie Lagos, która zapewne obdarłaby żywcem ze skóry kogoś, kto oddał nasiona cytrusów bez odpowiedniej prowizji dla jej rodu.

– Ja to widzę tak, że jeśli ktoś ma z tym problem, niech tu przyleci i spróbuje odebrać, co jego – odrzekł Junn. – Ale niech lepiej się pospieszy.

– A co z zabraniami ich stąd? – spytał Marce kapitan Laure po wizycie u Junna.

– Dalasýslan? – upewniła się Laure.

– Oczywiście.

– Gdzie mielibyśmy ich umieścić, panie Marce?

– Możemy się ścisnąć.

– Problem w tym, że nie możemy – wyjaśniła Laure. – Załogę tego statku stanowi pięćdziesiąt osób, a dodatkowo mamy tu tuzin marines i pana zespół naukowy. Sam pan wie, że pańska koja ma rozmiar schowka. Z żalem muszę powiedzieć, że moja jest niewiele większa. Każdy centymetr kwadratowy, który nie został przeznaczony na zakwaterowanie, już teraz pełni jakąś inną funkcję. Ilu jest w tej chwili Dalasýslan?

– Prawie dwie setki.

– No więc pytam raz jeszcze: gdzie my ich umieścimy? Dosłownie nie mamy dla nich przestrzeni na statku.

– Mamy ładownie.

– Tak – przyznała Laure. – I sprawdziłyby się całkiem nieźle, pod warunkiem że w ciągu całej podróży Dalasýslanie nie będą chcieli usiąść. A za tym kryje się kolejna kwestia, panie Marce. Oni nigdy, w ciągu całego swojego życia, nie spotkali się z pełną grawitacją. Przywykli do jakiej części G? Jednej trzeciej?

– Tak, tyle zapewniają ich kwatery mieszkalne.

– A więc wystawimy ich na oddziaływanie siły trzykrotnie większej niż ta, do której przyzwyczajone są ich ciała.

– Możemy zredukować nasze własne pola dociskowe.

– Powinno zadziałać do chwili, kiedy dotrą do Wspólnoty. Ale nie znam habitatu, który by stale funkcjonował przy jednej trzeciej G. Dla nich funkcjonowanie na Hubie będzie jak dla nas życie na gazowym gigancie. Wreszcie, nawet *jeśli* upchnęłabym ich w ładowniach i leciała do domu przy polach dociskowych ustawionych na jedną trzecią G, to jak by pan widział ich odizolowanie, tak żeby nie złapali chorób, na które nie są uodpornieni i odwrotnie? System wentylacji chłodni jest połączony z resztą statku. Zamykamy go tylko na czas odciągania powietrza w celu sterylizacji. Wyruszylibyśmy z dwoma setkami uchodźców, ale jak sądzę, znacznie mniej dotarłoby na miejsce, panie Marce.

– Umrą, jeśli zostaną tutaj.

– Nie. Umarliby, gdyby tu zostali, mając wyłącznie ten swój zepsuty statek. Może w tej kwestii uda nam się pomóc.

– Nie rozumiem.

Laure się uśmiechnęła.

– Może pana zainteresować, że przeczuwając, iż na jakimś etapie przyjdzie mi odbyć z panem tę rozmowę, panie Marce, oraz przewidując pańskie obiekcje, wysłałam drona pocztowego do admirała Emblada z poufną wiadomością, w której przedstawiam problemy, z jakimi mierzą się Dalasýslanie. Imperialna Marynarka Wojenna ma kilka okrętów, które niedawno wyszły ze służby, w tym przynajmniej jeden piątak. Wszystko jest z nimi w porządku, oprócz tego, że są stare. Żaden oczywiście nie jest tak wiekowy jak to, w czym mieszkają kapitan Chuch i jego załoga. Możliwe, że marynarka będzie zainteresowana oszczędzeniem sobie wydatku na złomowanie piątaka, zwłaszcza jeśli pan, panie Marce, zechce wysłać podobną wskazówkę swojej dobrej przyjaciółce w osobie imperoksa.

– To znakomity pomysł – powiedział Marce, ale po chwili przeliczył kilka kwestii w pamięci. – Czasu nie będzie zbyt wiele, jeśli ktoś będzie chciał wrócić.

– Kapitanowie nie lubią o tym mówić, ale istnieje możliwość, by nawigować statkiem na trasie do i z płycizny Nurtu wyłącznie przy pomocy komputera, zwłaszcza jeśli nie ma załogi, którą trzeba by się zajmować.

– Rozumiem.

– Proszę nikomu nie mówić o tym, co pan właśnie usłyszał, bo będę musiała wyrzucić pana przez śluzę.

– Pani tajemnica jest bezpieczna.

– Miło mi to słyszeć. A ponieważ jest pan w tej chwili taki ugodowy, pozwolę sobie powiedzieć, panie Marce, że to dobrze, że przyszedł pan tutaj w poszukiwaniu mnie, bo to zaoszczędziło mi szukania pana. Mam dla pana wieści.

– Jakie wieści?

– W sprawie tego pańskiego statku. Sądzimy, że go znaleźliśmy. Cholernie daleko stąd.

– Kolejny statek, kolejna śluza – powiedział szeregowy Gamis i otworzył rozwieraczem wejście prowadzące do tajemniczego statku.

Marce, Gennety Hanton i sierżant Sherrill podryfowali do środka, a Gamis zamknął za nimi zewnętrzne drzwi śluzy. Następnie otworzył wewnętrzne i poczuł zaskoczenie, podobnie zresztą jak pozostali, bo okazało się, że do środka wsączyło się powietrze.

– Nadal ma atmosferę – zauważyła Sherrill.

– Życzy sobie pani zdjąć hełm, pani sierżant? – zapytał Gamis.

– Nie radziłbym – wtrącił Hanton. – No chyba że lubicie oddychać powietrzem mającym dwieście siedemdziesiąt stopni poniżej zera.

– Wchodzimy – rzucił Marce i wyprowadził zespół ze śluzy, poruszając się męczącym chodem w magnetycznych butach.

– Dziwne – powiedziała Sherrill, kiedy szli wzdłuż statku. – Wszystkie grodzie są otwarte. Nic nie zostało zabezpieczone.

– I nikogo tu nie ma – stwierdził Gamis. – Nawet jednego zamrożonego ciała.

– Kapitan Chuch mówił, że załoga statku dołączyła do ocalałych z Dalasýsli – przypomniał Marce. – Tego statku nie spotkał żaden gwałtowny koniec. Prawdopodobnie go tu tylko zaparkowano.

– Cholernie daleko od Dalasýsli – podkreślił Hanton.

Statek został ustawiony w punkcie Lagrange'a na orbicie wokół Dalvika – największego księżycy Dalasýsli Jeden. Załoga *Bransida* dostrzegła statek zaledwie kilka godzin po tym, jak Dalvik wychynął z za planety. Sama Dalasýsla orbitowała znacznie dalej niż Dalvik, aby uniknąć dużej grawitacji księżycy, a także potężnego pola magnetycznego Dalasýsli Jeden. Prom leciał tam sześć godzin. Zespół miał niewiele więcej czasu, zanim statek znów miał schować się za planetą.

– Może właśnie o to chodziło – powiedział Marce.

– Chyba ukryli mostek równie dobrze jak sam statek – marudził Gamis. – Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli plan pokładu.

– Znalazłam – odezwała się Sherrill idąca przed nimi, a Gamis coś mruknął.

Mostek był mały, niemal kameralny, i ciemny, z jedną jedyną świecą lampką znajdującą się w miejscu, które wyglądało na panel nawigatora.

– Świeci się – rzucił Hanton, wskazując je palcem. – Statek nadal ma zasilanie. Po tylu latach...

– Znajdźmy ogrzewacz – zasugerował Gamis.

Marce podszedł do stacji roboczej i przyjrzał się dokładnie małemu światełku, które było w nią wmontowane.

Lampka zaświeciła mu w oczy. Prychnął i cofnął się o krok.

Światła na mostku nagle się zapaliły.

– Co do cholery? – zaniepokoiła się Sherrill, rozglądając się dookoła.

– Co pan zrobił? – dołączył do pytań Hanton.

– Spojrzałem na światełko.

– Aha, to proszę już tego nie robić.

– Chyba już trochę na to za późno.

Gdzieś na statku rozległo się dudnienie – odgłosy budzenia się do życia. Marce poczuł nacisk na ramiona. Załączyło się pole dociskowe albo coś bardzo do niego podobnego, po czym zaczęło symulować mniej więcej pełne G.

– No dobra, oficjalnie mówię, że bardzo mi się to nie podoba – ogłosił Gamis i obrócił się, by zejść z mostka.

Ktoś stał w drzwiach.

Szeregowy krzyknął ostrzegawczo i uniósł broń. Sherrill zrobiła to samo.

Osoba stojąca w przejściu uniosła dłoń, jakby mówiąc: „Nie róbcie tego, proszę”.

– Czekaście! – nakazał Marce.

Gamis i Sherrill zatrzymali się w miejscu. Nie cofnęli się i nie poruszyli. Marce podszedł do osoby w drzwiach, która przyglądała mu się z nadal uniesioną ręką.

Marce stanął przed postacią i wyciągnął ku jej dłoni palec, który przeszedł przez nią, jakby jej tam wcale nie było.

Bo faktycznie jej tam nie było.

– Gamis, gdybyś do niego strzelił, zrobiłbyś dziury w ścianie – powiedział Marce.

– To projekcja? – spytał szeregowy.

– Tak, albo duch.

– Świetnie – skomentowała Sherrill. – A kogo?

Marce ponownie przyjrzał się postaci w drzwiach i powiedział:

– To faktycznie dobre pytanie.

– Twój akcent i gramatyka są dla mnie dość dziwne, ale chyba teraz już za nimi nadażam – odezwała się zjawa. Jej akcent był dla Marce’a równie dziwny, ale rozumiał ją bez problemu. – Mówisz jak Dalasýslanie, ale nie *do końca*.

– Mówię w języku standardowym – odparł Marce.

– Standardowy... Tak. – Powiedziała zjawa i lekko przechyliła głowę. – Jesteście ze Wspólnoty? Oprócz Dalasýslan nie spotkałem nikogo pochodzącego stamtąd. Byłbym zachwycony, mogąc to zmienić.

– Pochodzę ze Wspólnoty – potwierdził Marce. – Tak jak my wszyscy.

– To wspaniale.

– Jestem pan Marce Claremont z Kresu.

– Prawdziwy pan. Co za niespodzianka – mówiła zjawa. – A tych dwoje nadal mierzących we mnie z broni, choć to nic im nie da?

– Sierżant Sherrill i starszy szeregowy Gamis – odparł Marce, dając znak marines, aby opuścili broń. Oboje niechętnie posłuchali. – Tam zaś stoi Gennety Hanton, specjalista od komputerów.

– A przynajmniej za takiego się miałem – stwierdził Hanton. – Patrząc na pana, być może zmienię zdanie.

– Myśli pan, że jestem projekcją komputerową, a *nie* duchem, panie Hanton?

– Doktorze Hanton.

– Doktorze Hanton. Uprzejmie przepraszam.

– A jest pan?

– Aby być precyzyjnym, należałoby powiedzieć, że jestem po trochu jednym i drugim – odrzekła zjawa.

– A zatem kim pan jest? – zapytał Marce.

– Nazywam się Tomas. Tomas Reynauld Chenevert. A przynajmniej nim byłem, zanim zmarłem, co jak się właśnie dowiedziałem, nastąpiło ponad trzysta lat temu. Dobry Boże! Byłem właścicielem *Auvergne*, czyli statku, na którego pokładzie właśnie się znajdujecie. Teraz mogę powiedzieć, że *jestem Auvergne*. To, jak stałem się statkiem, wcześniej będąc człowiekiem, to już długa historia, którą może lepiej zostawić na kiedy indziej. Mimo wszystko nadal wolę, aby mówić do mnie Tomas, jeśli nie robi wam to różnicy. Ewentualnie monsieur Chenevert, jeśli wolicie.

– Witam, monsieur Chenevert – powiedział Marce.

– Witam, panie Marce. A może panie Claremont?

– Panie Marce. Hrabia Claremont to mój ojciec.

– W rzeczy samej hrabia.

– To *bardzo* dziwne – stwierdził Hanton.

– Istotnie – przyznał Chenevert. – Ułożyłem się do snu, spodziewając się, że niemal na pewno już się nigdy w pełni nie obudzę. Z wyjątkiem absolutnie minimalnej konserwacji statek drzemał przez trzy stulecia. A teraz się obudziłem i mam gości. Czy moglibyście mi powiedzieć, co tutaj robicie?

- Byłem ciekawy, co to za statek – odparł Marce.
- A co takiego pana w nim zaciekało?
- Zaczniemy od tego, skąd pochodzi.
- Na to odpowiedź jest dość prosta: z Ponthieu.
- Gdzie to jest? Na Ziemi?

Na te słowa Chenevert się uśmiechnął.

- O nie, panie Marce. Nic już nie jest z *Ziemi*, czyż nie?

Zanim Marce miał okazję odpowiedzieć, usłyszał w uchu brzęk – nadeszła wiadomość od kapitan Laure, nagrana, ponieważ *Bransid* znajdował się o kilka sekund świetlnych od nich.

– Mamy problem – brzmiał przekaz. – Z płycizny Nurtu wyleciał kolejny statek. Zlokalizował nas i zmierza w naszym kierunku. Próby kontaktu nie przyniosły rezultatu. Zakładamy, że ma wrogie zamiary.

- Słyszycie to? – zapytał Gamis.

Wiadomość została rozesłana do całego zespołu. Sherrill machnęła ręką, uciszając go.

– Nie wracajcie na *Bransida* – mówiła dalej Laure. – Jeśli statek okaże się wrogi, wszystkie promy będą łatwym celem. Ciśniemy silniki i próbujemy oddalić się od statku Dalasýslan, żeby odciągnąć tamten od nich. Doktor Seve i Lyton są nadal z Dalasýslanami. Jeśli zajdzie taka konieczność i będzie to możliwe, *Bransid* spróbuje dotrzeć do płycizny prowadzącej do Hubu. Gdyby tak się stało, schrońcie się na statku Dalasýslan. Zorganizujemy pomoc. Nie odpowiadać. Cisza radiowa do odwołania. Powodzenia.

Na tym wiadomość się kończyła.

- Czy *Bransid* jest w stanie się bronić? – zapytał Marce sierżant Sherrill.

– Dawniej był ścigaczem Marynarki Wojennej – odparła. – Teraz jednak wykonuje zadania kurierskie. Nie jest uzbrojony do walki. Ma systemy defensywne, nic poza tym.

– Czyli jeśli ten drugi okręt jest wrogi, *Bransid* stanowi łatwy cel – stwierdził Hanton.

- Kapitan Laure rozważnie podejdzie do walki – zapewniła Sherrill.

– Ale ja nie o to pytałem.

– Wasz statek jest atakowany? – spytał Chenevert, zwracając się do Marce'a. Dotąd przysłuchiwał się rozmowie.

- Jeszcze nie – odrzekł Marce. – Ale wkrótce może zostać zaatakowany.

– Ale to nie Dalasýslanie?

– Nie.

Marce domyślił się, że Chenevert, który przespał trzysta lat, może się słabo orientować w bieżących wydarzeniach.

– Więc kto?

– Tego jeszcze nie wiemy.

– Z żalem muszę powiedzieć, że nie mam możliwości zaoferowania poważniejszej pomocy – mówił Chenevert. – Używam akumulatora, aby zapewnić zasilanie systemów grawitacyjnych i podtrzymujących życie. Niedługo statek będzie dostatecznie ciepły. Lecz przywrócenie działania silników zajmie kilka godzin.

– Czy możemy w jakiś sposób pomóc?

– Dziękuję, ale nie. Maszynownia tego statku jest w pełni zautomatyzowana i taka była, jeszcze zanim się nim stałem. Tylko wchodzilibyście w drogę.

– Statek niedługo schowa się za Dalasýslę Jeden – zwrócił uwagę Hanton. – Tak czy owak będziemy odcięci od komunikacji z *Bransidem*.

– Jeśli cokolwiek przydarzy się *Bransidowi*, mamy przesrane – zaznaczył Gamis.

– Nie mam nic przeciwko temu, byście tu zostali – powiedział Chenevert.

– O, to super – odparł sarkastycznie Gamis. – Masz może kanapki?

– Cisza, szeregowy – rozkazała Sherrill. Gamis się zamknął. Sierżant spojrzała na Marce'a: – Co nie zmienia faktu, że ma rację.

Marce skinął głową.

– Jakie zapasy mamy na promie?

– Dość batoników proteinowych na mniej więcej pięć dni dla każdego z nas. Wody prawdopodobnie na trzy.

– Mam wodę – odezwał się Chenevert.

– Ale nie jedzenie – powiedział Marce.

– Przykro mi, ale nie. Nawet gdybym miał, po trzech stuleciach pewnie byście go nie chcieli.

– A zatem tyle wody, ile będziemy potrzebować, ale jedzenia zaledwie na pięć dni – podsumowała Sherrill.

– Dalasýslanie by nas nakarmili – zauważył Marce.

– Ledwie mogą wykarmić siebie, panie Marce. Nie wspominając już o tym, że nie możemy ściągnąć skafandrów, nie ryzykując, że ich czymś zarazimy.

– Co się stało z Dalasýslanami? – spytał Chenevert.

Marce zastanawiał się, co mu właściwie powiedzieć. I jak to zrobić.

– To skomplikowane – odezwał się wreszcie – ale ostatnie trzysta lat nie było dla nich najlepszym okresem.

– Ach – skomentował Chenevert. – Ojej.

– Jest pan pewien, że silniki zaczną działać? – zapytał Marce.

– Powinny – odparł Chenevert. – Ja spałem, ale *Auvergne* robiła regularne przeglądy systemów i procesów. Mogę zapewnić, że wszystkie systemy na statku działają.

– A co z bronią? – spytała Sherrill.

– To nie jest okręt wojenny. Nie ma rakiet ani innych pocisków. Po upływie trzystu lat ich użyteczność i tak byłaby wątpliwa. Jednak, jak się czasem zdarza, zanim opuściłem Ponthieu, miałem swoje powody, by zainstalować działa wiązkowe.

– A jakie to były powody? – spytał Gamis.

– Powiedzmy po prostu, że przewidziałem, że gdy będę musiał opuścić Ponthieu, nastąpi to gwałtownie i mogę być ścigany. Z kolei ścigający, nie mogąc mnie złapać, mogą stwierdzić, że należy mnie rozbić na bardzo małe kawałeczki.

– Kim ty jesteś? Jakimś kryminalistą?

– To pewnie by zależało od tego, kogo by pan zapytał, szeregowy Gamis – odpowiedział Chenevert. – Przy czym każdy, do kogo raczyłby pan zwrócić się z tym pytaniem, obecnie nie żyje.

– Te działa wiązkowe... Czy one działają? – zapytała Sherrill.

– Powinny, jak tylko napęd zaskoczy. Oczywiście ich działanie nie opiera się na silnikach, ale czerpią z nich energię.

– Myśli pani o ruszeniu za tamtym statkiem – powiedział Marce do Sherrill.

– Gdyby to był mój statek, tak bym zrobiła. Ten jednak nie jest mój.

Wszyscy obrócili się w kierunku Cheneverta.

– Hm, wszystko to dzieje się bardzo nagle – stwierdziła zjawa. – Śpię sobie trzysta lat, budzę się i znajduję na swoim statku czterech nieznajomych, po czym niecały kwadrans później proszą mnie, żebym ruszył w ich imieniu do walki. To coś z nieco innej kategorii niż tymczasowa gościna.

– Czy to znaczy „nie”? – dopytała Sherrill.

– To znaczy: „zastanawiam się”. – Chenevert odwrócił się do Marce’a. – Mamy jeszcze sześć godzin, zanim silniki będą gotowe, panie Marce. Sugeruję, byśmy spędzili je na przyspieszonym wprowadzaniu mnie w bieżące wydarzenia.

– Sporo tego – odparł Marce.

Chenevert pokiwał głową.

– Ostatnie trzysta lat powinno wystarczyć.

ROZDZIAŁ 17

Nadashe od lat nie widziała matki w takim stanie. Częściowo przyczyną tego był fakt, że Kiva Lagos zrobiła sobie z Tindy Louentintu worek treningowy, choć tu w mniejszym stopniu chodziło o samopoczucie biednej szefowej personelu, co o wysłanie hrabinie przez pannę Lagos wyraźnej wiadomości, by wypierdalała z jej planety. Hrabina wypierdoliła z planety i wściekła wróciła na *Winę*.

To była jednak ta mniejsza część. W znacznie większym stopniu za nastrój hrabiny odpowiadało to, że na *Winę* z tajną wizytą przybywali Jasin i Deran Wu. Mieli spotkać się z Nadashe i przedstawić hrabinie wszelkie szczegóły tego ekscytującego spisku, który właśnie się rysował. W tym miejscu mózg Nadashe sarkastycznie podkreślił słowo „ekscytujący”, bo jak do tej pory „ekscytujący” było ostatnim słowem, którym ona sama by określiła swoją rolę w konspiracji mającej na celu pozbawienie Grayland II tronu. Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, sprowadzała się ona do zamążpójścia.

To zaś drażniło Nadashe. Nie miała problemu z tym, że wydawano ją za męża, o ile w pełni uczestniczyła w planach. Tak się właśnie sprawy miały w przypadku arcyksięcia Rennereda Wu. Nadashe zgodziła się na tamto małżeństwo całkowicie świadomie i mając wpływ na wydarzenia. Uwodziła Rennereda, ale pozwalała mu myśleć, że to on ją uwodzi. Oczarowała go, uczyniła szczęśliwym, zaciągnęła do łóżka i skomplementowała jego umiejętności, a przy tym zrobiła to tak zręcznie, że następca tronu zaczął uważać, że to będzie coś więcej niż czysto pragmatyczna unia polityczna.

Oznaczała ona, że Nadashe będzie musiała nosić maskę przez resztę swego życia (cóż, a przynajmniej resztę życia Rennereda) – taką, którą można by uznać za miłość do mężczyzny. Była skłonna to robić w zamian za wszystko, co by na tym zyskała ona sama i ród Nohamapetan. No i przede wszystkim nie *nienawidziła* Rennereda. Był płytki i w najlepszym wypadku miał równie płytką inteligencję. Właśnie dlatego Amit tak bardzo go lubił. Byli ulepieni z tej samej miękkiej gliny. Arcyksięciem również w dostatecznym stopniu kierował jego kutas, aby Nadashe wiedziała, że właśnie tą jego częścią będzie musiała nauczyć się zarządzać, bo zdawała sobie sprawę, że nie zdoła go okiełznać całkowicie. On zaś nie był potworem ani okrutnikiem. Potrafił okazać szacunek i uczucie. Wiedział też, kiedy jest czas na jedno i drugie. No i był potulny. Nadashe bez problemu by sobie z nim poradziła.

Ale pewnego dnia nagle przestał być potulny i czuły, a także zamierzał odwołać ogłoszenie ich zaręczyn. Pomijając już nawet utratę twarzy, którą Nadashe musiałaby znieść, co nie było jej obojętne, ale jakoś by z tym żyła, poważnie ucierpiałby status

rodziny Nohamapetan. Wszystkie rody robiły z nimi interesy, doskonale rozumiejąc, że w następnym pokoleniu potomek ich rodu zasiądzie na tronie – oczywiście nosząc nazwisko Wu, ale nikt nie miał wątpliwości, że gdy tylko Nadashe zostanie małżonką imperoksa, Nohamapetanowie będą rozdawać karty. Tak więc wszyscy układali swoje plany zgodnie z tą wiedzą.

Gdyby jednak Nadashe została odrzucona, wszystkie te kalkulacje by zniknęły, a zaraz potem inne rody zaczęłyby wściekłą rywalizację o koronę. Małżeństwa imperoksów zawsze stanowiły unię polityczną – w ten czy inny sposób.

A jeśli zakradła się w to jakaś cząstka miłości, to też nie było problemu. Attavio VI na przykład znany był z przesadnego okazywania czułości swojej małżonce Glennie Costu, którą poślubił, ponieważ ród Costu wsparł w trudnej sytuacji jego matkę, niesławną Zetian III, pomagając jej wypłatać się z katastrofalnych osobistych inwestycji, które przyniosłyby bankructwo prywatnej własności imperoksów. W imperium tak zachłannie dynastycznym jedynym sposobem, by wspiąć się wyżej, było wżenie się w ród Wu. Każde małżeństwo było polityczne. A gdyby Nadashe została odrzucona, to samo na arenie politycznej stałoby się z rodem Nohamapetan.

Ostatecznie problem rozwiązał się sam, kiedy podczas wyścigu Rennered rąbnął samochodem w bandę, i to zanim mógł formalnie ogłosić, że nie będzie kolejnego kroku, jeśli chodzi o zaręczyny jego i Nadashe. Był martwy, a imperoksem miał zostać ktoś inny. Biorąc pod uwagę to, co wiedziano o tej szarej myszce – całkowicie biernym stworzeniu, jakim była Cardenia Wu-Patrick – niezwykle mało prawdopodobne wydawało się, że Nadashe poślubi nową imperoks. Co nie zmieniało faktu, że ród Nohamapetan nadal był pierwszy w kolejce do wżnięcia się w rodzinę imperialną.

Nadashe od początku była pod wrażeniem tego, jak doskonale jej matka zaaranżowała zabójstwo. Zostało przeprowadzone bezbłędnie – tak dobrze, że nawet ci podejrzliwi, czyli Gwardia Imperialna i ministerstwo bezpieczeństwa, nie zdołali znaleźć we wraku nic podejrzanego. Hrabina nie powiedziała Nadashe, co ani jak ma zamiar zrobić, a tym bardziej kiedy to nastąpi. Nawet nie była wtedy w systemie.

Kiedy Rennered zginął, Nadashe była przerażona i w równie wielkim szoku jak wszyscy inni – przez jakieś pięć minut. Potem przemyślała przebieg wydarzeń. Była wystarczająco sprytna, by nie mówić matce, że wie, kto to zrobił. Powiedziała jej to dopiero kilka dni temu. Jedynym powodem, dla którego Nadashe w ogóle ją o tym poinformowała, był fakt, że ona sama miała być martwa. Teraz nie miało to znaczenia.

A reakcja jej matki ograniczyła się do: „Jasne, że to zrobiłam. Należało to zrobić”.

Sednem całego problemu było to, że od chwili gdy Nadashe obrała Rennereda Wu za cel, do momentu gdy wpakował się w bandę toru wyścigowego, cały czas w pełni

uczestniczyła w wydarzeniach. Celem było zostanie jego żoną, jednak ciągle to *ona* celowała.

Tym razem miała po prostu zostać wydana za męża.

– Wyprostuj się – powiedziała hrabina do córki, kiedy stały, czekając na gości.

– Jestem wyprostowana.

– A wyglądasz, jakbyś się garbiła.

– Ma to jakieś znaczenie, matko? Przecież zostałam już sprzedana i kupiona, czyż nie?

– Tak, owszem – odparła hrabina – ale jeszcze nie zabrano cię do domu. Nadal mogą cię zwrócić. Już się tak zdarzało. Tak więc wyprostuj się.

Nadashe westchnęła i ledwo zdołała jeszcze bardziej wypchnąć plecy do przodu. Usatysfakcjonowana hrabina ponownie skoncentrowała uwagę na drzwiach.

Jasina i Derana Wu dzieliło jakieś pięć lat, ale patrząc na nich, Nadashe obstawiałaby raczej dekadę albo i więcej. Jasin, starszy od Nadashe o ponad dziesięć lat, był krępy i nijaki, o twarzy przypominającej ciasto, z fryzurą, o której dało się powiedzieć tylko jedno: ordynarna. Na jego obliczu malowała się inteligencja, ale nie ciekawość. Nadashe od razu zrozumiała, że był to konserwatywny mężczyzna, ale nie w tym użytecznym znaczeniu bycia ostrożnym, acz praktycznym i rozważnym. Po prostu chciał, aby wszystko robiono tak jak on sobie tego życzy, czyli tak jak robiono od zawsze. Nadashe przypuszczała, że w łóżku będzie jak ciepła klucha.

Deran miał świetną fryzurę, zadbaną, ale nie wymuskaną. Jego garnitur był dobrze dopasowany, a i on pasował do niego. Z jego twarzy biła inteligencja, ale też i zaangażowanie. Nadashe przyglądała się, jak jego oczy objęły wzrokiem zarówno całe pomieszczenie, jak i jego elementy, nie pomijając jej oraz matki. W jego krokach czuć było energię. On także był konserwatystą, to jasne, ale w tej jego postawie była metoda i etos wykraczający poza: „po prostu tak się to robi”. Nadashe była pewna, że Deran z radością zachowałby elastyczność w kwestii metod, gdyby rezultat był taki sam i zgodny z tym, czego chce, to znaczy *status quo* z nim na samym szczycie. Nadashe sądziła, że w łóżku Deran najpierw sprawiłby, że ona dojdzie, a potem on sam, ale zawsze się upewni, że dostanie to, czego chce.

„A ja oczywiście musiałam trafić na kluchę” – pomyślała Nadashe.

Hrabina przywitała obu mężczyzn i zaprosiła do środka: Derana ciepło, lecz zdawkowo, a Jasina bardziej wylewnie. Dla wszystkich oglądających tę scenę jasne było, którego z nich hrabina uznawała za ważniejszego. Deran ze swej strony wydawał się tym rozbawiony.

– Jasinie, to oczywiście moja córka Nadashe – powiedziała hrabina, na co Nadashe zrobiła krok do przodu i wyciągnęła dłoń. Jasin uściśnął ją tak jak się to robi na

spotkaniu biznesowym.

– Pani Nadashe, jestem zachwycony.

– Cudownie jest pana spotkać, panie Jasinie – odparła Nadashe.

– Chciałem, hm, przeprosić, pani Nadashe – dodał Jasin.

– Za cóż, drogi panie?

– Gdy byłeś w więzieniu, jedna z moich współpracownic...

– A tak, prawda. Morderczyni z łyżką.

– Kiedy myślę o tym teraz, nie była to najlepsza decyzja, jaką podjąłem.

– Panie Jasinie, postąpiłeś tak w przekonaniu, że działasz w najlepiej pojętym interesie swego rodu – stwierdziła Nadashe. – Tak samo jest teraz. Rozumiem pana pobudki, choć muszę powiedzieć, że jestem wdzięczna losowi, że pańska pracowniczka nie okazała się tak kompetentna, jak miał pan nadzieję.

– Mimo wszystko proszę przyjąć moje przeprosiny.

– Mój drogi Jasinie – powiedziała Nadashe, darując sobie pana, by sprawić pozory rodzinnej poufałości. – Jeśli ty i ja mamy zostać imperoksem i jego małżonką, to pierwszymi rzeczami, których musimy się wyzbyć, są trywialne wydarzenia z przeszłości. Nie ma za co przeproszać. Jest tylko to, co możemy osiągnąć, idąc naprzód.

– Cóż, dobrze zatem – powiedział Jasin, uśmiechnął się i znów obrócił do hrabiny Nohamapetan.

Nadashe, która uważała swoje słowa za ciepłe, a nawet niepozabawione nutki intymności, poczuła się lekko zakłopotana. Cały ten wysiłek na nic. Spojrzała na Derana, który miał na twarzy delikatny uśmiezek. Przynajmniej on załapał, co chciała uzyskać, choć bez odzewu ze strony adresata.

W rzeczy samej, gdy cała czwórka usiadła i zaczęła omawiać sprawy związane ze spiskiem, stało się aż nadto jasne, że Jasin jest całkowicie pochłonięty robieniem interesów, a interes ten to realizacja planu hrabiny Nohamapetan, który wyłożyła ze szczegółami. Jasin słuchał i od czasu do czasu wtrącał jakąś sensowną, ale nie nadzwyczaj istotną uwagę czy szczegół. Po około dziesięciu minutach stało się oczywiste, że zarówno celem przygotowania planu, jak i organizacji jego wykonania Nadashe i Deran są raczej zbędni. Uwidaczniało się to za każdym razem, gdy jedno albo drugie próbowało dodać jakiś komentarz czy pomysł. Komentarz czy pomysł zostawał zauważony przez hrabinę i Jasina, po czym oboje kontynuowali swoje snucie planów. Po półgodzinie tego wszystkiego Nadashe poczuła, że musi się napić.

Deran podszedł z nią do barku.

– Przypuszczam, że czujesz się teraz równie użyteczna jak i ja.

– „Użyteczny” to ciekawe określenie w tych okolicznościach – odparła, nalewając sobie whiskey.

– Hm, nie wiem – powiedział Deran i spojrzał na hrabinę i Jasina. Oboje byli mocno skupieni na sobie nawzajem. – Myślę, że to miło, że rewolucja nastąpi, a jedyne, co będziemy musieli zrobić, by zebrać jej owoce, to się pokazywać.

– Przynajmniej dopóki będzie trwać – zauważyła Nadashe. Wyciągnęła drugą szklankę, naalała do niej whiskey i podała Deranowi.

– Dziękuję – powiedział, a potem uniósł drinka w toaście. – A więc „dopóki będzie trwać”.

– Amen. – Nadashe spojrzała na niego, upiła nieco ze szklanki i nagle podjęła decyzję.

Odwróciła się do matki i powiedziała:

– Deran chciałby zobaczyć statek. Oprowadzę go.

– Tak, oczywiście – rzuciła hrabina i wróciła do rozmowy z Jasinem.

Deran spojrzał na Nadashe.

– Naprawdę chcę zobaczyć statek?

– Tak, owszem – odparła. – Niektóre jego części bardziej niż inne.

– Tak przy okazji, dziękuję – odezwała się Nadashe, kiedy zeszło z niej ciśnienie, a Deran też spuścił z kręgosłupa.

– Nie ma za co – odpowiedział Deran. – Ja też dziękuję.

– Nie za to – wyjaśniła Nadashe.

– Oj. Aż tak źle?

– Nie, zdecydowanie nie było źle – zapewniła go Nadashe. – Tyle że miałam na myśli upewnienie się, że w więzieniu nie dostanę łyżki pod żebra.

– A, o to chodzi – powiedział Deran. – To nic takiego. Twoja wybawczyni to dawna członkini oddziału ochrony w naszym rodzie. Rozwiodła się, brała trochę ciężkiego towaru, żeby zapomnieć, dość paskudnie spała sobie przy tym życie. Pobyt w więzieniu pomógł jej odstawić tamto paskudztwo i wrócić do formy. Serio, najlepsza rzecz, jaka mogła jej się przytrafić. Z radością przyjęła ode mnie robotę. W ten sposób ma poczucie, jakby znów była w pracy.

– Na pewno wyszczotkowała tę drugą babę jak cholera. Jestem równie pewna, że dodali jej za to kilka lat gościny w tym pensjonacie.

– Nie, nic jej nie dodali. Okaże się, że to była samoobrona.

– A ona tak po prostu nosiła naostrzony przyrząd, który normalnie służy do czyszczenia zębów.

- To więzienie. Każdy tak robi.
- Ja nie robiłam.
- No i omal ktoś nie dźgnął cię łyżką.
- I tu mnie masz. Więc dlaczego wtedy mi pomogłeś?
- Bo wiedziałem, że Jasin planuje cię zabić, a ja uważałem, że pogarszanie relacji z twoim rodem nie jest zbyt dobrym pomysłem dla naszego rodu.
- I tyle?
- I ponieważ sądziłem, że wyświadczenie ci przysługi lepiej przyda się naszej rodzinie.
- Jeszcze coś?
- Myślałem też, że możemy wkrótce potrzebować nowego imperoksa, a on z kolei będzie potrzebował małżonki. Z takiego rodu, który będzie nieskończenie wdzięczny za danie mu drugiej szansy. No a oprócz tego byłabyś już sprawdzona.
- Teraz to na pewno mnie sprawdziłeś.
- Myślę, że było dokładnie na odwrót, ale tak.
- Wybacz, siedziałam w więzieniu. Nie robiłam tego przez jakiś czas.
- Wierz mi, nie ma czego wybaczać.
- Teraz jednak już nie jesteś kandydatem na imperoksa. Zadowoliliś się czymś mniejszym.
- Po pierwsze, szanse na to, że zostanę imperoksem, nie były zbyt wielkie. Jasin może i jest mało rozgarnięty i powolny, ale ma sporą siłę przebicia. Znajduje się też nieco wyżej w łańcuchu pokarmowym niż ja. Przeanalizowaliśmy to i wyszło nam, że znalazłbym się blisko, ale to on ma główną nagrodę w zasięgu ręki. Po drugie, „zadowolenie się” całkowitą kontrolą nad rodem Wu to nie jest mało. To dość przyzwoita nagroda pocieszenia.
- Szkoda – powiedziała Nadashe. – Mogłabym się do tego przyzwyczaić.
- Deran wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Wiesz, że nie musisz z tego rezygnować.
- Przykro mi, ale tak to nie działa. Mogę mieć swoje zabawki, a Jasin, jeśli oczywiście zechce, swoje. Tym, czego nie możemy mieć, są ludzie stanowiący faktyczne zagrożenie.
- Myślisz, że byłbym zagrożeniem?
- Ja *wiem*, że byś był. Dlatego właśnie otrzymujesz ród Wu. Będziesz tak zajęty zarządzaniem nim i obroną przed rozwścieczonymi kuzynami, których pozbawiłeś władzy, że przez następne trzydzieści lat nie będziesz w stanie podnieść wzroku nad biurka.
- Patrząc na to z tej strony, nie wygląda już tak świetnie.

– Bo świetne nie jest. A przynajmniej jeśli porównać to z tym, co mogłeś mieć, a mogłeś mieć wszystko.

Deran milczał przez chwilę, po czym usiadł na łóżku.

– Nie wiem, dlaczego cię to obchodzi – odezwał się wreszcie. – Jasin jest dla ciebie doskonały. Ma ambicje, ale brak mu wyobraźni. Możesz skierować go tam, gdzie tylko zechcesz, a on tam pójdzie i rozwali wszystko na swojej drodze. Czy nie takiego właśnie imperoksa pragnie ród Nohamapetan?

– Nie takiego chce ród – odparła Nadashe. – Takiego chce moja *matka*. Zauważ, jak patrzy na Jasina. Widzi w nim dobre, łatwe do kierowania narzędzie.

– A ty tego nie chcesz?

Nadashe też się podniosła, usiadła Deranowi na biodrach i objęła nogami. Położyła mu ręce na szyi i zaczęła bawić się jego zadbanymi, ale nie wymuskanymi włosami.

– Może ja chcę kogoś, komu nie musiałabym pokazywać, w jakim ma iść kierunku. Może chciałabym kogoś, kto doceni to, co mam do zaoferowania, a nie po prostu zgodzi się wykorzystać mnie do własnych planów i korzyści. Może chcę kogoś, kto da mi takie dzieci, żebym nie musiała się martwić, że będą przygnębiająco nudne. Może chcę kogoś, kto wie, jak mnie zerznąć i sprawić mi przy tym radość.

Deran znów wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Nadashe poczuła, jak znowu się pod nią poruszył, a to oznaczało, że ma dosyć krótki okres powrotu do pełnej gotowości, co była skłonna docenić, choć może akurat nie w momencie, kiedy jeszcze nie skończyła mówić.

– Może, Deranie Wu, chcę kogoś, kto naprawdę będzie imperoksem, a nie tylko narzędziem w rękach moich czy mojej rodziny. Grayland myli się w wielu sprawach, ale nie myli się w tym, że wszystko się zmienia. Potrzebujemy kogoś, kto to ogarnie. Grayland nie ogarnia. A spójrz tylko na Jasina. Mogę się założyć, że on nawet nie potrafi stawić czoła faktom mówiącym, że w ciągu nadchodzącej dekady sytuacja się zmieni, a świat wypełni chaos i niebezpieczeństwa. Mogę go pchnąć czy szturchnąć, ale ma swoje ograniczenia w kwestii tego, jak szybko i daleko będzie umiał się posunąć. Rozwali wszystko na swojej drodze, ale nigdy nie zdoła dotrzeć tam, gdzie potrzebujemy, aby się znalazł. Tak więc może chcę kogoś, kto tam dojdzie, a ja będę mu pomagać, nie go popychać.

– „Nie popychać” słabo mi się składa z Nohamapetanami – zauważył Deran.

– Jestem skłonna nad tym popracować – odparła Nadashe.

Deran się do niej uśmiechnął i było w tym uśmiechu coś autentycznie ludzkiego, jakby drobna cząstka niepewności.

– Tak naprawdę wcale mnie nie znasz – odezwał się. – A ja tak naprawdę nie znam ciebie. Prosisz o wiele kogoś, kto jest ci całkowicie obcy.

– Mam poślubić twojego kuzyna, którego znam jeszcze mniej. A poza tym, Deran, powiedzmy sobie szczerze, co mamy na stole. To unia polityczna. Zwyczajna i prosta. Znamy siebie przynajmniej na tyle, żeby rozumieć chociaż to.

– A więc „zadarłaś kieckę”, aby skłonić mnie do zawarcia umowy?

– Nie, zrobiłam to, bo musiałam się z kimś bzyknąć. Ale nie zamierzam cię okłamywać, Deran. Podczas naszej wycieczki spisałeś się dostatecznie dobrze, by zaoferowanie ci umowy politycznej stało się bardziej interesujące.

– Uznaję to za komplement.

– I słusznie. Teraz jednak musisz mi powiedzieć, czy przyjmujesz moją ofertę. Jeśli nie, dzięki za przerwanie mojej łózkowej posuchy. Jeśli tak, to musimy brać się do roboty.

– Czyli do kopania dołków pod twoją matką i moim kuzynem.

– Och, nie – odpowiedziała Nadashe. – Jeśli o mnie chodzi, niech robią wszystko to, co do tej pory.

ROZDZIAŁ 18

Tuż przed tym, jak *Auvergne* schowała się za Dalasýslę Jeden, Marce otrzymał zakodowaną wiadomość tekstową od Hatide Roynold:

Zbliżający się do nas statek zdecydowanie nie jest przyjazny. Wysłaliśmy drona w kierunku płycizny. Został zniszczony. Załoga pozostaje na stanowiskach, a reszta z nas dostała zakaz opuszczania kajut. Wygląda na to, że mamy zamiar uciekać, jednocześnie się odgryzając. Jestem raczej pewna, że kapitan Laure uważa naszą sytuację za nienajlepszą. Kimkolwiek są, ktoś musiał ich tu wysłać.

Laure pozwoliła mi napisać tę wiadomość do Ciebie. Mówi, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót, zrzuci wszystkie dane, jakie mamy na temat misji, na wyłączzonego drona i przyczepi do niego transponder, żebyś mógł go znaleźć. Będzie też na nim trochę moich nowych badań, które mogą cię zainteresować. Mówi, że prośba o statek dla Dalasýslan została już wysłana. Jeśli tak, to jakoś będziecie musieli wytrzymać te parę tygodni zanim dotrze. Oddychajcie, tylko jeśli musicie.

Nie będę Cię okłamywać. Żałuję, że nie zostałam w domu. Albo przynajmniej nie wybrałam się na tę ostatnią misję razem z Tobą. Tu zawiodło mnie życie introwertyka. Mimo wszystko dziękuję. Nie musiałeś mnie wysłuchać, kiedy do Ciebie przyszłam. Ale wysłuchałeś. Uwierzyłeś mi i uczyniłeś mnie swoją przyjaciółką. Spodobało mi się to w Tobie.

– H.

W chwili gdy *Auvergne* wychynęła zza planety, *Bransid* był już tylko rozchodzącą się we wszystkich kierunkach chmurą szczątków.

– A oto i nasz statek – powiedział Hanton i wskazał kropkę na ekranie dowodzenia *Auvergne*, zmierzającą ku płyciznie Nurtu prowadzącej do Hubu.

– Na pewno to on? – zapytała Sherrill.

– Na pewno. To jedyna rzecz w tej części systemu, która porusza się tak szybko i nie orbituje dookoła Dalasýsli Jeden. – Wskazał na inną kropkę na ekranie. – A to płycizna prowadząca z powrotem do Hubu. Przy obecnej prędkości wleci w nią za dwadzieścia godzin. Obecnie nie przyspiesza, co jest dość ciekawe.

– A to dlaczego? – spytał Marce.

– Bo to oznacza, że nie używają w tej chwili silników – odparła Sherrill. – Stałe użycie silników oznacza stałe przyspieszenie. A oni tylko dryfują, wykorzystując swój pęd.

– Może ich silniki zostały uszkodzone – zauważył Marce.

– Może.

– Albo po prostu im się *nie spieszy* – dodał Gamis.

– Możliwe – powiedziała Sherrill. – Jednak my, lecąc ku prowadzącej tutaj płyciźnie, przyspieszaliśmy. Wiem też, że taki plan miała kapitan na drogę powrotną. W tych płyciżnach tykają zegarki – tu spojrzała na Marce’a – a pańskie przewidywania na temat tego, jak długo pozostaną otwarte, mogą być błędne. Bez urazy.

– Żadnej urazy – odrzekł Marce.

– Kapitan Laure nie chciała tu zostać ani minuty dłużej niż to będzie konieczne. Przyspieszalibyśmy przez całą drogę powrotną tak szybko, jak tylko by się dało. – Sherrill wskazała kropkę reprezentującą statek. – Jeśli ci ludzie nie są głupi, zrobiliby to samo. A więc jest powód, dla którego tego nie robią.

– Wiele tu domysłów – wtrącił Gamis.

– Tak, ale nie jest to próżne gdybanie – podkreślił Marce. – Jeśli mają uszkodzone silniki, to *Bransid* musiał zaliczyć kilka trafień. A oni kuśtykają do domu.

– Nadal jednak *planują* dostać się do domu – stwierdził Hanton. – A to oznacza, że ich generatory pola ciągle działają.

– Dopóki ich silniki nie wysiądą całkowicie – uzupełniła Sherrill. – W takim przypadku nie będą mieli dość mocy, żeby zasilić generatory.

– Monsieur Chenevert – odezwał się Marce do ducha, który się uśmiechnął.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy pan sobie przypomni, że tu jestem, panie Marce.

– Damy radę doścignąć ten statek?

– Kurs prowadzi ich za Dalasýslę Jeden. Jeśli zostaniemy tu, gdzie jesteśmy, znajdziemy się po drugiej jej stronie, gdy to nastąpi. Jednak oczywiście nie ma żadnego powodu, byśmy tu teraz zostawali. Silniki i systemy napędowe *Auvergne* są już w pełni sprawne. – Chenevert kiwnął głową w kierunku ekranu dowodzenia, który nagle zgasł, zaskakując Hantona, a następnie pojawił się znowu, wyświetlając nowy obraz, na którym wyznaczono kurs przechwytyjący. – Jeżeli nie będą przyspieszać, możemy ich przechwycić za dziesięć godzin – dodał. – Jeśli jednak tak, to nieco zmienia postać rzeczy, ale o ile ich parametry są podobne do tych, które podaliście mi w odniesieniu do *Bransida*, to w najgorszym wypadku przechwycimy ich za osiemnaście godzin. Na długo zanim dotrą do płycizny.

– A wtedy ich rozjebimy w drobny mak – uzupełnił Gamis. – Zrobimy z nimi to, co oni zrobili *Bransidowi*.

Chenevert spojrział na Marce'a.

– Taki ma pan zamiar, panie Marce?

– Nie.

– Co?! – rzucił wzburzony tymi słowami Gamis. – Ci skurwiele właśnie zabili naszą załogę. Odplacenie im tym samym wydaje się co najmniej *właściwe*.

Marce potrząsnął głową.

– Śmierć nie jest użyteczna.

– Nie rozumiem.

Marce zerknął na Cheneverta.

– Ale pan mam nadzieję tak.

– Tak sądzę, panie Marce – odparł duch.

– Da się to zrobić?

– To zależy, w jakim stanie jest ich statek i czego zdołam się o nim dowiedzieć na podstawie moich skanów i wizualizacji. Muszę jednak pana ostrzec, że to oznacza, że będziemy musieli podejść naprawdę blisko.

– Proszę określić, co znaczy „blisko”.

– Jeśli to zrobię, nie będzie pan zadowolony.

– Chyba już się połapali, że tu jesteśmy – powiedział Hanton, kiedy statek wystrzelił z tysiąca kilometrów parę pocisków w kierunku *Auvergne*.

Sherrill spojrzała na zbliżające się pociski, zwizualizowane w oparciu o dane z sensorów *Auvergne*.

– Wyglądają na pociski wielogłowicowe – zameldowała. – Mają ich po kilka i wypuszczają je tuż przed uderzeniem.

– To nieuprzejme z ich strony – uznał Chenevert i zaczekał, aż pociski zbliżą się na odległość stu kilometrów, po czym wystrzelił do nich z dział wiązkowych. Zniknęły bezgłośnie w próżni.

– Wiązki z pańskiej broni mają maksymalną siłę rażenia na stu kilometrach – powiedział Hanton.

– Owszem, mam nadzieję, że tak właśnie myśli teraz tamten kapitan – odparł Chenevert. – Nie sądzę, by nasi przyjaciele, którzy nim lecą, wystrzelili pociski w przekonaniu, że nas dosięgną. Chcieli wiedzieć, czy i w jaki sposób na nie zareagujemy. A teraz myślą, że się dowiedzieli.

– Już pan to kiedyś robił.

- Mówiłem wam, że mam doświadczenie w byciu ściganym.
- A na jakim dystansie są faktycznie skuteczne? – zapytał Marce.
- Nie takim – odparł Chenevert.

Wyświetlił na ekranie dowodzenia wizualizację statku, który ścigali. Z odległości prawie tysiąca kilometrów był on w zasadzie niewyraźnym trójkątem. *Auvergne* nadlatywała ku niemu od góry, patrząc względem płaszczyzny ekliptyki systemu Dalasýsli.

„Śmierć z przestworzy”, pomyślał Marce.

- Jakies postrzeżenia, jeśli chodzi o ten statek? – zapytał Chenevert.
- Wygląda na okręt typu *Talar* – powiedziała Sherrill po około minucie.
- To mi nic nie mówi – odrzekł Chenevert.
- To statek przechwytyjący – wyjaśniła sierżant. – Niewielka załoga, szybki, stosunkowo silnie uzbrojony. Projektuje się je do radzenia sobie z jednostkami piratów i przemytników. Mówiąc „radzenie” mam na myśli niszczenie.
- A więc niewątpliwie po to właśnie tu przyleciał – powiedział Marce.
- W tej sprawie chyba mamy już jasność. Co zabawne, kiedy tego rodzaju statki są wycofywane ze służby, wiele z nich kupują piraci. Zdaje się, że wychodzą z założenia, że dzięki nim będą w stanie uciec albo podjąć walkę z okrętami marynarki, które się za nimi wysyła.

- I co? To podejście działa? – spytał Chenevert.
- Marynarka po prostu wysyła większe okręty.
- Więcej pocisków – odezwał się Hanton.

Tym razem pociski wcześniej wypuściły główce i jeden z mniejszych pocisków doleciał na dziesięć kilometrów od *Auvergne*, zanim Chenevert go zniszczył.

- Nadal się pan z nimi bawi, prawda? – zapytał Gamis.
- Jeśli uspokoi pana, jeśli powiem, że tak, to tak – odparł Chenevert.
- Skoro tak pan to ujmuje, wcale nie.
- Przykro mi.

Gdy *Auvergne* podeszła na dwieście kilometrów, tamten statek wystrzelił do nich ze swojej broni wiązkowej. Biły po *Auvergne* przez całą dziesiątą część sekundy zanim zniknęły, a ze strzelającego nimi statku poleciały małe kłębki szczątków.

- O, ładnie – powiedział Gamis.
- Co się przed chwilą stało? – zapytał Marce Cheneverta.
- Czekałem, aż ich statek otworzy ogień, żeby się przekonać, które jego elementy to broń wiązkowa. Gdy tylko się dowiedziałem, zlikwidowałem je. A zaraz potem również wszystko inne na widocznej stronie statku, co choćby przypominało broń wiązkową. Tak na wszelki wypadek.

– Kolejne pociski – ostrzegł Hanton, wskazując na ekran dowodzenia.

– Przypomnienie, że to wcale nie znaczy, że nie mają już nic na swoją obronę – powiedział Chenevert. – Przepraszam na chwilę.

W odległości pięćdziesięciu kilometrów Marce i reszta załogi mogli już dostrzec na ekranie dowodzenia małe elementy statku.

– Jesteśmy już dość blisko? – spytał Marce.

– Prawie – odpowiedział Chenevert.

Czterdzieści kilometrów.

– Już? – dopytywał się Marce.

– Prawie.

Trzydzieści kilometrów, statek rósł na ekranie w oczach.

– Trochę się denerwuję – wyznał Marce.

– Jeszcze chwila – odrzekł Chenevert.

– Pociski – rzucił Hanton.

– To było denerwujące – stwierdził sekundę później Chenevert.

Szczałki jednego z pocisków zadzwoniły o kadłub *Auvergne*.

Dziesięć kilometrów.

– Teraz – powiedział Chenevert i wystrzelił własne wiązki, nie w sam silnik, ale w niewielki rejon znajdujący się w kadłubie powyżej i na prawo od nich. Wiązka wybiła dziurę w kadłubie i przebiła się do środka. Na zewnątrz wyleciało powietrze, para i niewielka ilość szczątków. Marce usłyszał pobrzękiwanie we wnętrzu *Auvergne*, co oznaczało, że dokonuje lekkich poprawek, aby pozostać w bezruchu względem drugiego statku, zamiast się w niego wbić, w następstwie czego oba zostałyby zniszczone.

– I już? – zapytał Gamis.

– Wystarczy – odparł Chenevert i zwrócił się do Marce'a. – Musiałem podejść wystarczająco blisko, żeby mieć pogląd na to, jak w statku krąży energia. Zakładaliśmy, że silniki są już uszkodzone, więc nie chciałem ryzykować, że będzie jeszcze gorzej. Posłałem wiązkę w to, co wyglądało na centralny węzeł, przez który przechodzi energia. Obstawiam, że silniki przestały działać i do czasu naprawy wyłączono je oraz systemy zasilania, żeby uniknąć eksplozji.

– Ile zajmie naprawa? – pytał Marce.

– Cóż, zniszczyłem je, więc naprawa nie wchodzi w rachubę. W tej chwili zakładam, że systemy ich statku korzystają z zasilania awaryjnego.

– To wystarczy, żeby utrzymać ich na razie przy życiu, ale nie pozwoli im zasilić generatorów pola – stwierdziła Sherrill. – Jeśli wlecą w płyciznę bez bąbla czasoprzestrzennego, mają przesrane.

- Nadal dryfują w jej kierunku – zauważył Hanton. – Wlecą w nią za dziewięć godzin i piętnaście minut.
- To co teraz robimy? – zapytał Gamis.
- Zjemy batonik proteinowy i zaczekamy, aż się odezwą – odparł Marce.

Odezwali się cztery godziny przed wejściem w płyciznę.

– Do niezidentyfikowanego statku, tu *Księżniczka jest w innym zamku* – powiedział głos przez radio. Hanton podał Chenevertowi częstotliwości, których zwykle używano w komunikacji, a ten kazał *Auvergne* sprawdzać je po kolei, póki coś nie zaskoczy. – Mówi kapitan Cav Ponsood. Proszę o odzew.

– Witamy, *Księżniczko*. Tu *Auvergne*. Mówi pan Marce Claremont.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Marce Claremont?

– Zgadza się.

Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej.

– Co do cholery? – odezwał się Gamis.

– Panie Marce, uszkodził pan nasz statek i znajdujemy się w dryfie – powiedział wreszcie Ponsood. – Zostaliśmy pozbawieni głównego źródła mocy, a zasilanie awaryjne się wyczerpuje.

– Zrozumiałem – odparł Marce. – Oprócz tego wasz obecny kurs sprawia, że wlecicie prosto w płyciznę Nurtu za – spojrzał na ekran dowodzenia, na którym Chenevert usłużnie wyświetlił zegar – trzy godziny i pięćdziesiąt dwie minuty. Pozwolę sobie zauważyć, że kiedy tam wlecicie, wobec braku generatorów pola natychmiast zmienicie się w nicość.

– Uhhh, tak – przyznał Ponsood. – Mamy tego świadomość, choć dziękujemy za informację.

– Nie ma sprawy.

– Panie Marce, nie umknęło naszej uwadze, że mimo uszkodzenia naszego statku nie zdecydował się pan nas zniszczyć.

– Zgadza się, kapitanie Ponsood.

– Zastanawiamy się właśnie, jakie w zaistniałej sytuacji są pana zamiary, panie Marce.

– Cóż, kapitanie, odpowiedź na to pytanie w całej rozciągłości zależy od was.

– Prosiłbym o jaśniejsze ujęcie sprawy.

– Dlaczego zniszczyliście *Oliveera Bransida*?

– Bo nas do tego wynajęto.

– Kto was wynajął?

– Nie wiem. Wynajęli nas pośrednicy, którzy nie chcieli wyjawić tożsamości właściwego zleceniodawcy. Pracuję, hm, jak by to ująć, w bardzo wyspecjalizowanej branży zleceniobiorców. Nie zawsze wiem, kto mnie wynajmuje.

– Dziękuję, kapitanie Ponsood. Miłego rozplływania się w nicość – powiedział Marce, po czym zerknął na Cheneverta, który skinął głową.

– Łącze jest wyciszone po naszej stronie – potwierdził.

– Myśli pan, że on kłamie na temat tego, kto go wynajął – stwierdziła Sherrill.

Marce kiwnął potwierdzająco.

– Wkrótce się przekonamy.

Pięć minut później Ponsood znów pojawił się na łączach, prosząc o rozmowę z Marce'em, który dał znak Chenevertowi, by włączył głos.

– Tak?

– Panie Marce, wynajął nas pośrednik. Reprezentował rodzinę Wu.

Marce uniósł brwi w zdumieniu.

– Wynajął was ród rządzący imperium?

– Nie, nie rodzina panująca, tylko ci Wu, którzy prowadzą zwyczajne interesy. Kuzyni imperoks.

– A komu za pośredników służyli Wu?

– Zapytałem o to ich przedstawiciela. Już wcześniej robiłem interesy z Wu. Właśnie dlatego skontaktowali się ze mną w pierwszej kolejności. Ale oni nigdy nie byli pośrednikami, tylko zawsze właściwym klientem. Przedstawiciel nie chciał mi powiedzieć, ale wyjaśniłem mu, że nie ma mowy, bym wziął tę robotę, nie wiedząc takich rzeczy. Zadanie trzeba było wykonać pilnie i Wu nie mieli za bardzo innej opcji. Wymogli na mnie, żebym przysiągł zachować tajemnicę i powiedzieli, że to hrabina Nohamapetan.

– Ale jak Nohamapetanowie w ogóle dowiedzieli się o *Bransidzie*?

– Od Wu. Ci dostali tę wiadomość od admirała. Tak przynajmniej mi powiedziano. Marynarka z oczywistych względów jest blisko powiązana z Wu. Od nich otrzymują wszystkie okręty i broń.

– Ale to nie ma sensu. Wu nie trzymają z Nohamapetanami.

– Nie wiem, jakie są relacje pomiędzy wielkimi rodami, panie Marce. Nie mam czasu śledzić plotek na bieżąco. Pytał pan, kto mnie wynajął, więc panu mówię.

– No dobrze, ale dlaczego hrabina chciała zaatakować *Bransida*?

– Wcale nie chciała – odpowiedział Ponsood, a poirytowany Marce już miał znowu wyciszyć łącze, ale kapitan kontynuował. – Statek w ogóle jej nie obchodził. Jego zniszczenie było tylko środkiem do wyeliminowania prawdziwego celu.

– Ale kto lub co nim było?

Nastąpiła chwila ciszy na łączu, po czym kapitan się odezwał:

– To był pan, panie Marce. Hrabina chciała pańskiej śmierci wystarczająco mocno, żeby wysłać nas celem zaatakowania *Bransida*. – Marce stał nieruchomo, nie mogąc w to uwierzyć. Rozejrzał się po mostku *Auvergne* i zobaczył, że wszyscy inni wpatrują się w niego. – Halo?

Marce milczał jeszcze przez niemal minutę.

– *Dlaczego?* – spytał wreszcie.

– Tego mi nie powiedziano. Zaznaczono tylko, że mam się upewnić, że jest pan martwy. Zapytałem, czy to oznacza, że mogę pozostawić załogę *Bransida* przy życiu, jeśli odda pana w moje ręce. Otrzymałem odpowiedź, że statek nie może wrócić do Hubu, i pozostawiono mi wybór między zniszczeniem go całego albo jego generatorów pola. To by oznaczało pozostawienie tutaj załogi na powolną śmierć z głodu lub braku powietrza. Zdecydowałem się na szybszą opcję. Wydała mi się bardziej humanitarna. Powinien pan wiedzieć, panie Marce, że *Bransid* walczył jak cholera. Nie przechwycilibyście nas, gdyby nie uszkodzenia, jakie spowodowali.

– A Dalasýslanie?

– Kto, panie Marce?

– Ludzie zamieszkujący ten system, kapitanie.

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi. Skupiłem się na *Bransidzie*, który dostarczył mi dość zajęcia. Chce pan powiedzieć, że nadal są tu ludzie? Żywi? Po ośmiuset latach?

– Tak.

– To dobrze, że o nich nie wiedziałem. Mieliśmy nie zostawiać nikogo, kto mógłby zaświadczyć o tym, co tu robiliśmy.

– I nie zostawiliście. Z wyjątkiem tego, kogo mieliście zabić.

– Ironia tego faktu nie uszła mojej uwadze, panie Marce. Mówię panu o tym wszystkim, bo nie mam innego wyboru. Ani ja, ani moja załoga nie chcemy tu umrzeć. Ani tutaj, ani w ten sposób.

– Prosi mnie pan o to, czego nie mieliście zamiaru dać załodze *Bransida*.

– Panie Marce, gdybym nie sądził, że rozważy pan taką opcję, nie puściłbym pary z ust.

– Proszę zaczekać – powiedział Marce i spojrzał na Cheneverta, który skinął głową i wyciszył połączenie.

Marce usiadł ciężko w fotelu, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

– To... – zaczął Hanton, ale Marce wyciągnął rękę.

Hanton zamilkł i wyglądało na to, że czuje się niezręcznie. Tak samo jak wszyscy pozostali w pomieszczeniu. Po około minucie Marce skinął na Cheneverta, który ponownie umożliwił rozmowę.

– Złoży pan odpowiednie zeznania na ten temat, kapitanie Ponsood.

– Jeśli w wyniku tego cała moja załoga przeżyje, panie Marce, to powtórzę wszystko przed dowolnym sędzią, jakiego pan wybierze.

– Nie powie pan tego sędziemu, kapitanie. Opowie pan o tym imperoks. We własnej osobie. A ja będę przy tym obecny.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Zrozumiałem, panie Marce – powiedział wreszcie Ponsood. – Tym samym oficjalnie poddaję panu *Księżniczkę*. Teraz pan tu dowodzi.

Marce skinął głową, po czym uświadomił sobie, że kapitan i tak tego nie zobaczy na łączu głosowym.

– Dziękuję, kapitanie. Mój współpracownik, pan Chenevert, omówi wkrótce z panem wszelkie szczegóły związane z przeniesieniem was na *Auvergne*. Przygotujcie się.

– Tak zrobimy. Im szybciej, tym lepiej.

– Zrozumiałem. – Marce znów skinął Chenevertowi. – Da pan sobie z tym radę?

– Już rozmawiam w tej sprawie z kapitanem Ponsoodem.

Przez chwilę Marce był zdezorientowany, aż uświadomił sobie, że Chenevert jest istotą wirtualną. Przypuszczał, że wirtualne byty mogą przywołać tyle egzemplarzy samego siebie, ile tylko zapragną. Skinął głową, że rozumiał.

– Jest coś, co chcemy zabrać z *Księżniczki*? – zapytał Chenevert. – Oprócz załogi, która jak mnie poinformowano, liczy siedem osób.

– Niewielka ta załoga – stwierdziła Sherrill.

– Nasza jest mniejsza.

– Chcę dostać tak dużą część rejestrów ich statku, jak to tylko możliwe – nakazał Marce. – A oprócz tego wszelkie dowody na kontrakt z Wu, jakie ma Ponsood.

– Domyślam się, że rozliczali się w gotówce – zauważył Gamis.

– Pewnie tak, ale mimo wszystko chcę otrzymać najwięcej dowodów, ile się da.

– Potrzebujemy tyle jedzenia, ile tylko będą mogli przenieść – powiedział Gamis do Cheneverta. – Wszystko, co mają. Już szlag mnie trafia na batoniki proteinowe.

– Damy radę jakoś odratować statek? – zapytał Marce. – Dalasýslanie zapewne chętnie by wyciągnęli z niego, co tylko się da.

– Kapitan Ponsood mówi mi właśnie, że *Księżniczka* ma niewielki prom, którego użyją do przetransportowania siebie i żywności – wyjaśnił Chenevert. – W zależności od tego, ile czasu zajmie nam przeniesienie wszystkiego na pokład oraz czy da się go

zdalnie pilotować, chyba zdołałbym wytrącić *Księżniczkę* z toru prowadzącego w płyciznę. Tylko że to prawdopodobnie uszkodzi i prom, i okręt.

– Lepsze to niż nic.

– W tym przypadku dosyć dosłownie rozumiane – zgodził się Chenevert. – Jeśli potem prom nie będzie zbyt uszkodzony, sprawdzę, czy zdołam go zaprogramować tak, aby przepchnął *Księżniczkę* do Dalasýslan. Wtedy oni będą mogli przejąć obie jednostki.

– Chciałbym zostawić im również prom z *Bransida* – dodał Marce. – Tutaj i tak nie ma dla niego miejsca. Nie chcę zostawiać go zaparkowanego przy Dalasýsli Jeden.

– Musimy wrócić i zabrać Seve oraz Lyton – powiedziała Sherrill. – Nie możemy ich tu zostawić.

– Mogę zaprogramować nasz prom, żeby sam poleciał do statku Dalasýslan – zasugerował Hanton. – Potem by zabrał Seve i Lyton, razem z danymi z *Bransida*, a następnie wrócilibyśmy do Hubu.

– Jeśli Wu wiedzieli, gdzie poleciał *Bransid*, to mogą też wpaść na to, że istnieje możliwość, że wróci – zaznaczyła Sherrill. – Mógł przecież odeprzeć atak *Księżniczki*.

– A więc uważa pani, że będą na nas czekać po drugiej stronie płycizny? – upewnił się Marce.

– Na ich miejscu tak bym postąpiła.

– Ale my nie przylecimy na *Bransidzie* – zauważył Gamis.

– Nie, ale wylecimy z płycizny Nurtu prowadzącej z Dalasýsli – podkreśliła Sherrill.

– Na ich miejscu rozwaliałabym wszystko, co się z niej wyłoni, w tym *Księżniczkę*. Im mniej świadków, tym lepiej.

Marce krótko się nad tym zastanowił, po czym zwrócił się do Cheneverta:

– Proszę zapytać kapitana Ponsooda, czy ma jakieś drony pocztowe.

– Owszem – odparł Chenevert chwilę później. – Mówi, że planowali wysłać jeden po zniszczeniu *Bransida*, ale zapomnieli, bo byli za bardzo zajęci, próbując dostać się statkiem do płycizny Nurtu, a potem walką z nami.

– Powiedz mu, żeby wysłał jeden z potwierdzeniem mojej śmierci i zniszczenia *Bransida*, a potem niech napisze, że planują zostać tu jeszcze miesiąc, żeby sprawdzić habitaty. Niech poda konkretną datę, kiedy planują opuścić tutejszą przestrzeń kosmiczną. – Marce spojrzał na Sherrill. – Jeśli Wu planują wysłać kogoś, żeby ich zniszczył, to zmienią terminy.

– Sprytnie – pochwaliła Sherrill.

– Jakoś mi się nie uśmiecha wracać do domu w kawałkach. – Marce znów zwrócił się do Cheneverta. – A pan wreszcie będzie mógł odwiedzić Wspólnotę.

– Chwila, chce pan użyć tego statku, żeby wrócić do Wspólnoty? – spytał Chenevert. – To niemożliwe. Nie mam generatora pola. – Wszyscy nagle zwrócili na niego oczy. – Żartowałem. Jasne, że mam.

– Musimy poważnie porozmawiać o pańskim poczuciu humoru – powiedział Marce, kiedy on i pozostali w pomieszczeniu pozbierali się po lekkim zawale serca. – Zdaje się, że bycie na wpół umarłym ma na mnie zły wpływ.

– Wcześniej też takie było – odrzekł Chenevert. – Myśli pan, że jak zginąłem?

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 19

Niedługo przed tym, jak *Bransid* miał wrócić w przestrzeń Wspólnoty, co niestety miało się nie udać ani samemu statkowi, ani jego załodze, zniknęły dwa kolejne prądy Nurtu.

Pierwszym z nich był ten prowadzący z systemu Marlowe do Kealakekua. Jeden i drugi miały niewielu mieszkańców, a bezpośredni handel między nimi był mało intensywny, bo podróż prądem łączącym je bezpośrednio zajmowała miesiąc, zaś trasa prowadząca przez Beylagan skracala ją o dziesięć dni. Przypominało to tylko o fakcie, że czas, jaki trzeba było spędzić w Nurcie, przemieszczając się określonym prądem, niekoniecznie miał jakiś związek z czasoprzestrzenną odległością między systemami, a zawiłości funkcjonowania Nurtu w jakimkolwiek stopniu rozumiało zaledwie kilkoro ludzi.

W efekcie prąd łączący Marlowe z Kealakekua był używany jedynie z rzadka, a przynajmniej jeśli chodzi o ruch zgodny z prawem. Upodobali go sobie za to przemytnicy, piraci i inni, którym nie przeszkadzała nieco dłuższa podróż, jeżeli oznaczało to uniknięcie okrętów przechwytyjących marynarki i miejscowych władz celnych. Gdy zniknął prąd Nurtu, żaden z legalnych przewozów handlowych i pasażerskich nie został uznany za zaginiony. Osiem statków i tysięcy osób, które zaginęły, należały do przewozów prywatnych, nierejestrowanych albo nielegalnych. Nie istniały żadne dokumenty na temat ich tras i miejsc przeznaczenia, rachunków za fracht ani rejestracji przylotów i odlotów. Zwyczajnie było i nie ma. Kupujący, klienci i rodziny nigdy nie mieli się dowiedzieć, co się z nimi stało, bo nie zawsze ktoś wiedział, że w ogóle obrali tę trasę.

W przypadku drugiego prądu było to nieco bardziej namacalne. Łączył on systemy Gwelf i Segedyn. Oba uważano za część ekonomicznego i populacyjnego „rdzenia” Wspólnoty. Ze względu na naturę Nurtu harmonogram w pracy hrabiego Claremonta, zgodnie z którym miały się rozpadać poszczególne prądy, nie przewidywał jeszcze zaniku tego do Gwelfu, więc ruch pasażerski i towarowy między oboma systemami kwitł w najlepsze, kiedy prąd się rozpadł. Nastąpiło to w sposób niezapowiedziany, toteż nikt na Gwelfie nie był na to przygotowany.

Następstwa były tragiczne. Zniknęły dziesiątki tysięcy ludzi, w tym dwa statki pasażerskie, *Zew gwiazd* i *Oaza gwiazd*, z których każdy przewoził dziesięć tysięcy osób. Wyparowały towary warte ponad miliard marek. Podróż z Gwelfu do Segedynu, poprzednio zajmująca siedem dni i osiem godzin, teraz, alternatywnymi trasami, miała trwać ponad miesiąc.

Droga powrotna z Segedynu do Gwelfu pozostawała otwarta, ale pierwszy z systemów zaprzestał wszelkiego ruchu wychodzącego z obawy, że może nastąpić podobny rozpad. Gwelf wstrzymał cały handel wychodzący przez trzy pozostałe swoje płycizny do czasu wyjaśnienia. Wyjaśnienie nadeszło z Hubu ponad miesiąc i miliard straconych marek później. Była to rana na kulturalnej duszy Gwelfian, która miała nigdy się w pełni nie zaleczyć.

Wraz ze zniknięciem obu prądów Nurtu wystąpiło zjawisko przelotności, które Marce i Roynold wyjaśnili Grayland. Otworzył się prąd pomiędzy Oecusse a Artibonite i pozostał tam niezauważony przez tydzień, po czym zniknął tak samo po cichu, jak się pojawił. Dobrze się w zasadzie stało, bo tym samym żaden przedsiębiorczy statek nie próbował wlecieć w płyciznę, a podróż między oboma systemami trwałaby pięć tygodni, czyli znacznie dłużej niż istniał prąd.

Jeszcze krócej egzystował prąd między Kresem a Neunkirchen. Pojawił się na piętnaście minut. Odpowiadający mu prąd powrotny otworzył się siedem minut później i zniknął po dwudziestu. Podobnie jak ten łączący Oecusse z Artibonite, pozostał niezauważony po obu stronach. Mimo to Kres, tradycyjnie najbardziej izolowany system we Wspólnocie, a ostatnio nawet jeszcze bardziej niż zwykle, miał na krótko dodatkowe przejście prowadzące z i do niego. To, że nikt o nim nie wiedział ani nie mógł go użyć, nie zmieniało faktu, że tam był.

W Pokoju Pamięci Cardenia wezwała Rachelę, pierwszą prorokinię-imperoks, która stała teraz przed nią w milczeniu, czekając, aż ją o coś zapyta.

– Czy kiedykolwiek miałaś wątpliwości?

– Co do czego? – odpowiedziała Rachelę pytaniem na pytanie.

Cardenia się roześmiała, bo ze wszystkich możliwych odpowiedzi ta oczywiście najbardziej pasowała do Racheli. W ostatnim czasie Cardenia wielokrotnie przyzywała pierwszą imperoks, aby omówić z nią naturę wizji, to, jak je sprzedać i sprawić, by się zakorzeniły, jeśli nie u arystokracji, to przynajmniej wśród mas, do których zresztą były w pierwszej kolejności kierowane. Spośród wszystkich praprapraprzodów, z jakimi Cardenia rozmawiała, Rachelę nigdy nie emanowała (dosłownie i w przenośni, bo jej obraz był sprytną projekcją światła z sufitu Pokoju Pamięci) niczym poza pełną spokoju pewnością siebie.

Częściowo wynikało to zapewne z faktu, że stojąca przed Cardenią Rachelę nie była prawdziwą Rachelę, a jedynie zbiorem wspomnień i emocji ożywianych przez zaprogramowaną heurystycznie sztuczną inteligencję, która mogła zaprezentować, co Rachelę czuła w danym momencie, ale nie była w stanie poczuć samej emocji. Ani też

żadnej innej emocji żadnego z osiemdziesięciu siedmiu poprzednich imperoksów, w tym jej ojca. Cardenia miała świadomość, że żaden z tych imperoksów, technicznie rzecz biorąc, nie istniał, a ona po prostu rozmawiała z Jiyi – awatarem Pokoju Pamięci, który przyjmował postać dawnych imperoksów, tak jakby wkładał nowe ubranie. Co nie zmieniało faktu, że kiedy Racheli I czy Attavio VI stali przed tobą, łatwo było zapomnieć, że nie rozmawia się z prawdziwą osobą.

A jednak symulacja komputerowa czy nie, brak faktycznych emocji czy nie, przynajmniej jakaś część osobowości każdego z imperoksów pojawiała się w rozmowie. Jeśli któryś z nich był nerwowy, rozmawiało się z nim jak z kimś nerwowym. Ci przenikliwi i głupi udzielali odpowiednio przenikliwych i głupich odpowiedzi. Przerażających, a było kilku takich, brak wyrazistych emocji czynił jeszcze bardziej przerażającymi.

Racheli I nie odbierało się jako przerażającą, przenikliwą czy neurotyczną. Była po prostu... Rachelą. Pewną siebie. Był to poziom pewności siebie, do jakiej Grayland zaczynała w ogóle aspirować, a nad wewnętrznym jej poczuciem dopiero pracowała.

Grayland przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem Racheli.

– No dobrze, czy miałaś wątpliwości co do *czegokolwiek*?

– Oczywiście. Tylko socjopaci nie mają wątpliwości, a ja socjopatką nie byłam. Kiedy jeszcze żyłam.

– A teraz jesteś?

– Gdybyś przyprowadziła tutaj psychiatrę i kazała mu to ocenić, to prawdopodobnie okazałabym się socjopatką. Obecnie brakuje mi empatii, choć *potrafię* stwarzać jej pozory. To zaś można traktować jako podręcznikowy przejaw socjopatii. Teraz na pewno nie mam żadnych wątpliwości.

– Ale miałaś je, kiedy żyłaś.

– Tak, wiele. Od bardzo małych i trywialnych, na temat ludzi, spraw, wydarzeń, po większe, egzystencjalne, na przykład czy uda się uciągnąć ciężar stworzenia Wspólnoty.

– Dlaczego miałaś wątpliwości?

– Pomijając ułomności mojej osobowości, sensownie było je mieć. Sensownie było martwić się, że nasze plany nie są kompletne i pojawiają się sytuacje, o których nawet nie pomyśleliśmy, o których ja nie pomyślałam i które pojawią się ponownie oraz wpłyną na to, jak potoczą się wydarzenia.

– I wpłynęły? Twoje wątpliwości się ziściły?

– Czasami tak.

– Jak sobie z nimi radziłaś?

– Na ile się dało, opracowywaliśmy nowe plany i wprowadzaliśmy je w życie.

– Improvizowaliście.

– Tak. Wśród przewag, jakie mieliśmy, a to ja byłam osobą, która to wniosła do całego przedsięwzięcia, było zrozumienie, że plan to nie cel. Cel to cel i mieliśmy zamiar dążyć do osiągnięcia go tak jak tylko potrafiliśmy. Jeśli oznaczało to zmianę naszych planów, czasami w samym środku ich wykonywania, to tak właśnie robiliśmy.

– Wydajesz się z tego dumna – zauważyła Cardenia.

– Bo byłam.

– Mam na myśli to, że wydajesz się z tego dumna teraz. Ty, jako symulacja.

– Nie jestem, ale Rachelą była. I sensowne wydaje się odzwierciedlenie tej dumy na twoje potrzeby. Właśnie dlatego zostałam imperoksem. Zawsze miałam nią być. Dla jasności: ród Wu zawsze wiedział, że potrzebuje twarzy przedsięwzięcia, która będzie mogła w równym stopniu odgrywać rolę państwową i kościelną. Użyteczny figurant na potrzeby obu tych funkcji. Ja byłam jednak kimś więcej niż figurantem, bo to ja nieustannie przypominałam innym, że plan nie stanowi celu. Właśnie dlatego nam się powiodło.

– Miałaś wątpliwości, że twoje proroctwa się sprawdzą?

– Czasami. Coś, co wypracowaliśmy we własnym gronie, mogło zderzyć się ze światem zewnętrznym i nie wypalić, a ja bym musiała to połatać, a niekiedy porzucić całkowicie. Wspominałam ci już, że te proroctwa to były bardziej życzenia niż przewidywania. Dopiero gdy doprowadziliśmy do tego, że się spełniły, można było odnieść wrażenie ich nieuchronności. A pracowaliśmy nad tym bardzo ciężko.

– Tworzenie przepowiedni, a potem radzenie sobie z ich następstwami, to znacznie cięższa praca niż się spodziewałam – przyznała Cardenia.

– Bardzo ciężka – zgodziła się Rachelą. – Odłożyłam je na półkę tak szybko, jak to tylko było wykonalne z praktycznego punktu widzenia. Wiem, że żaden z imperoksów przed tobą nie kłopotał się takimi rzeczami, bo używanie wizji i proroctw nie mało dla nich sensu. Byli już przecież imperoksami i większość pracy potrzebnej do stabilnego objęcia rządów została wykonana wcześniej. Jedyne, co musieli zrobić, to je utrzymać. A my urządziliśmy wszystko tak, aby zrobienie tego za pomocą mechanizmów państwowych było łatwe.

– Czyli próbujesz mi powiedzieć, że nie powinnam się kłopotać proroctwami.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Bo tak naprawdę nie jesteś człowiekiem i nie interesuje cię to, chyba że akurat o tym rozmawiamy.

– No właśnie. Poza tym twoje panowanie jest inne niż któregokolwiek z poprzedników, mnie nie wyłączając. Ciężko pracowałam, by stworzyć Wspólnotę, ale wtedy nie byłam imperoksem. Gdy nim zostałam, mój kryzys, to znaczy jej

formowanie, pod większością względów się zakończył. Ród Wu odniósł sukces. Twój kryzys to rozkład Wspólnoty. Musisz przygotować należące do niej systemy, aby funkcjonowały w osamotnieniu. Dysponujesz w tym celu narzędziami państwa, ale niemal na pewno one same nie wystarczą. Tak więc będziesz musiała wykorzystać również narzędzia, jakimi dysponuje Kościół. I właśnie dlatego zostały one tam dla ciebie przygotowane. To ja je tam zostawiłam, żebyś mogła ich użyć. To znaczy nie ty konkretnie, tylko imperoks, który znajdzie się w twojej sytuacji.

Cardenia zmrużyła oczy.

– Przewidziałas rozpad Nurtu.

– Nie – odparła Rachelę I. – Tak naprawdę nigdy do końca go nie rozumiałam. Zawsze wyglądał mi na coś, do czego zrozumienia trzeba dużo matematyki, i od tego miałam ludzi. Przewidziałam jednak, że może nastać czas, że imperoks będzie potrzebował więcej kart do zagrania niż tylko te, które znajdują się w jego dłoni. Że będzie musiał przywdziać także szaty proroka. Jesteś drugim prorokiem-imperoksem.

Cardenia się cofnęła.

– Och, nie nazywaj mnie tak.

– Nie widzę powodu, by tego nie robić.

– To trochę... aroganckie. Poza tym nie sądzę, żeby to był tytuł, który mogę sobie nadać. Wydaje mi się, że najpierw muszą go użyć inni.

– Z marketingowego punktu widzenia mogę ci powiedzieć, że nie masz racji. Jeśli chcesz, aby ludzie używali tego tytułu, powinnaś zacząć używać go sama. A przynajmniej musisz zacząć zaszczepiać go poprzez swoich ludzi od propagandy.

– Teraz nazywamy ich rzecznikami prasowymi.

– Mniejsza o to. Każ im rozpowszechniać to słowo. Pomoże bardziej niż ci się wydaje.

– Mam wątpliwości – odparła Cardenia.

– Zajmowałam się marketingiem. Wiem, co mówię.

– Nie – powiedziała Cardenia – nie w tej kwestii. Mam na myśli szersze wątpliwości. Co do wszystkiego.

– Oczywiście, że masz. Jesteś człowiekiem.

– Miło, że zauważyłaś.

– Domyślałam się, że masz nadzieję usłyszeć ode mnie teraz coś mądrego.

– Tak tylko dla twojej wiadomości, ujmując to w ten sposób, trochę psujesz efekt.

– Będę pamiętała, żeby następnym razem podejść do tego bardziej organicznie.

– Dziękuję.

– Chciałabyś mimo wszystko usłyszeć coś mądrego?

– Tak – odpowiedziała Cardenia. – Tak, chciałabym.

– A więc słuchaj: w pewności siebie nie chodzi o to, żeby wiedzieć, kiedy robisz coś właściwie. W pewności siebie chodzi o to, by wiedzieć, że właściwie zrobić to co potrafisz. Masz wątpliwości, dlatego że mają one sens. Tak jak i moje wątpliwości były sensowne. Pamiętaj jednak, że plan to nie cel. A jaki ty masz cel?

– Uratować tak wielu ludzi, jak to możliwe, przy pomocy wszelkich dostępnych środków.

– Bądź pewna, że tak się stanie, a wtedy wszystko zacznie się układać.

– Dziękuję – odezwała się Cardenia po minucie. – To, co powiedziałaś o pewności siebie, wydaje mi się sensowne.

– Proszę bardzo – odparła Rachel I. – Kiedyś przeczytałam to w jakiejś książce.

Cardenia wyłoniła się z Pokoju Pamięci i zobaczyła, że czeka na nią Obelees Atek, a na jej twarzy maluje się pewne napięcie. Częściowo wynikało ono z tego, że zawsze czuła się nieswojo, wchodząc do prywatnych apartamentów imperoksa, co wydawało jej się naruszeniem przestrzeni osobistej, zaś częściowo z faktu, że nie wiedziała, czym jest Pokój Pamięci, i to ją niepokoiło. Cardenia wyjaśniła jej, że jest to swego rodzaju pomieszczenie relaksacyjne, co okazjonalnie bywało prawdą, ale nie wydawało jej się, by to w jakikolwiek sposób złagodziło obawy Atek.

Cardenia uśmiechnęła się do asystentki, westchnęła głęboko i znów stała się Grayland II.

– Następne spotkanie mam tutaj?

– Tak, ona już tu jest, wasza wysokość. Czeka w biurze. – Atek gestem dała znak imperoksa, aby szła przodem.

W biurze czekała pani Kiva Lagos, która odchyliła się w fotelu i przyglądała się sufitowi, równocześnie machając od niechcenia jedną stopą. Grayland ubawił ten widok. Większość gości, którzy tu przychodzili, była przytłoczona biurem i gromadzonymi tu przez stulecia bezcennymi rupieciami, ale Kiva całą swoją postawą mówiła: „Taaa, no masz tu mnóstwo tego gówna, i co, kurwa, z tego?”. Grayland zdecydowanie sympatyzowała z takim podejściem.

Atek odkaszlnęła dyskretnie. Grayland zobaczyła, jak Kiva odwraca ku nim głowę, dostrzega sygnał asystentki mówiący „wstań do cholery” i zrywa się z fotela, aby się uklonić.

– Dobrze znów cię widzieć, pani Kivo – powiedziała Grayland, po czym odprawiła Atek z pomieszczenia. – Usiądź, proszę.

– Właśnie przyglądałam się sufitowi waszej wysokości – odparła Kiva, siadając z powrotem. – Chyba w życiu nie widziałam takiej ilości złotej folii w jednym miejscu.

- Tak, sporo jej tutaj.
- Jedna z lepszych stron bycia imperoksem.
- Przypuszczam, że tak. Jeśli mam być szczerą, nie myślę o tym zbyt wiele. Ostatnio rzadko spoglądam na sufit.
- Proszę czasami spróbować, wasza wysokość. Robi niemałe wrażenie.
- Jak się czuje pani przyjaciółka? Przepraszam, jej nazwisko wyleciało mi z głowy.
- Senia Fundapellonan.
- Trudno wypowiedzieć jednym tchem.
- To samo jej powiedziałam, kiedy spotkałam ją po raz pierwszy. Już znacznie z nią lepiej, dziękuję, wasza wysokość. I ponownie dziękuję za udzielenie jej schronienia w Brighton. To sprawia, że czuje się o wiele bezpieczniejsza.
- Oczywiście. A jak się pani czuje? Wiem, że ranna została pani przyjaciółka, ale kula przeszła przez pani okno.
- Wstawiłam nowe okno, ze znacznie bardziej kuloodpornego materiału – odparła Kiva. – Ale poza tym zostałam u siebie. Jeśli ktoś będzie chciał mnie znaleźć, będzie wiedział, gdzie szukać.
- Nie jestem pewna, czy nazwać to odwagą, czy też głupotą, pani Kivo.
- Zdecydowanie głupotą, wasza wysokość. Jednak jeżeli ktoś zadaje sobie tyle trudu, to niewiele zmienia fakt, gdzie śpię. Równie dobrze mogę spać u siebie. Poza tym doskonale wiem, kto to zrobił. Już wyraziłam swoje niezadowolenie.
- Słyszałam plotki, że tej samej nocy, kiedy kula trafiła pani przyjaciółkę, szefowa personelu hrabiny Nohamapetan została napadnięta w swoim łóżku.
- Nic mi o tym nie wiadomo, wasza wysokość.
- Tak też myślałam – powiedziała Grayland i wskazała podbródkiem na zabandażowaną rękę Kivy. – A cóż się stało z pani ręką, pani Kivo?
- To? – Kiva uniosła dłoń. – Złamałam, waląc w coś głupiego.
- Warto było?
- Zdecydowanie, wasza wysokość.
- Cóż, dobrze. Tak trzymać.
- W całej rozciągłości mam taki zamiar. A skoro już o tym mowa... – Kiva sięgnęła ręką, wyciągnęła stertę dokumentów znajdującą się obok jej fotela i rzuciła je na biurko imperoks. – Pomówmy o tym, co znalazłam na jebanych Nohamapetanów. – Na te słowa Grayland uniosła brwi. – O kurwa, właśnie zakląłam na głos, prawda? – Grayland się roześmiała. – Przepraszam. Staralam się zachowywać jak najlepiej, wasza wysokość.
- Wolę, kiedy ty to ty, pani Kivo.
- Miejmy nadzieję, że wasza wysokość nie pożałuje, że to powiedziała.

– Jestem całkiem pewna, że nie pożałuję. Zwłaszcza gdy pokaże mi pani to, co tam ma.

– Jeśli mogę zapytać... Co wasza wysokość ma zamiar z tym zrobić?

– Z informacjami? Na razie nic. – Grayland dostrzegła wyraz twarzy Kivy. – Obiecuję jednak, że żadna część pani pracy nie pójdzie na marne. Zrobię z niej użytek. Skuteczny użytek.

– Więc bierzmy się za to – rzuciła Kiva, po czym wyciągnęła kartkę. – Zaczniemy od tego.

– Co tu mamy?

– Poufne konta bankowe należące do Nadashe Nohamapetan. A ponieważ są tajne, nie spodziewała się, że ktokolwiek kiedykolwiek je znajdzie. Dlatego też są bardzo interesujące.

– To znaczy?

– To znaczy, wasza wysokość, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin ktoś na nich próbował dokonywać transakcji.

ROZDZIAŁ 20

– Jesteśmy na to przygotowani? – zapytał Gennety Hanton, rozglądając się po mostku *Auvergne*.

Statek miał wyjść z płycizny Nurtu przy Hubie. Jeśli czekała na nich jakaś zasadzka, atak z pewnością nastąpi w chwili wchodzenia w normalną czasoprzestrzeń. W momencie opuszczania Nurtu statki nie miały żadnej prędkości. *Auvergne* stałaby w przestrzeni, stanowiąc nieruchomy cel dla wszelkich pocisków, broni wiązkowych czy rzucanego mięcha. Plan Marce'a, żeby wysłać drona zawierającego fałszywe informacje, został wykonany, ale czy spełnił swoje zadanie, to już zupełnie inna sprawa. Przypadkowo zmontowana załoga *Auvergne* wkrótce miała się przekonać, jak wygląda sytuacja.

– Moje systemy broni wiązkowych są włączone i gotowe do ostrzelania wszystkiego, co się rusza – zapewnił Chenevert.

Hanton kiwnął głową.

– Będę się rozglądał, czy nie szykują się jakieś kłopoty.

– Dziękuję, doktorze Hanton – odparł Chenevert. – Proszę zwrócić szczególną uwagę na nadlatujące pociski.

Marce pomyślał, że to miło ze strony Cheneverta. Był on przecież komputerem i zasadniczo rzecz biorąc, samym statkiem. Potrzebował człowieka, by ten informował go o nadlatujących obiektach mniej więcej w takim samym stopniu, jak pracujący przy czymś rodzic potrzebuje dziecka, żeby podawało mu narzędzia. Ale Chenevert rozumiał, że Hanton potrzebuje w tej chwili jakiegoś pożytecznego zajęcia, i chętnie mu je wyznaczył.

To kazało Marce'owi po raz kolejny się zastanowić, kim i czym był Chenevert, zanim został komputerem i istotą odbierającą wrażenia zmysłowe ze statku. Podczas rozmów z Chenevertem, prowadzonych w trakcie ośmiodniowej podróży powrotnej, cyfrowy człowiek mówił na ten temat bardzo oględnie i wolał kierować konwersacje na tory związane ze Wspólnotą. Temat ten okazał się dla Cheneverta niezwykle fascynujący, a ponieważ uczciwie rzecz ujmując, Marce i jego sklecona naprędce drużyna pchnęli *Auvergne* wraz z jej kapitanem w kłopoty, uważał on, że trzeba postąpić fair i w trybie przyspieszonym wprowadzić ich cyfrowego przyjaciela w sytuację.

Jeśli chodzi o szczegóły na temat Cheneverta, Marce zdołał wyciągnąć od niego, że był on bardzo bogaty, choć czy majątek zdobył własnymi siłami, czy otrzymał od rodziny, pozostało tajemnicą. Pewnego dnia on i kilkuset jego najbliższych przyjaciół

zdecydowali się odbyć dla przyjemności rejs na *Auvergne*, zabierając ze sobą znaczną część osobistych pieniędzy i ruchomości. Tego samego dnia okazało się, że będą musieli opuścić rodzinny świat Cheneverta w niejakiem pośpiechu, poprzez Nurt, i w ten sposób znaleźli się ostatecznie w przestrzeni kosmicznej wokół Dalasýsli. Bez możliwości powrotu.

– A więc byliście uchodźcami – zasugerował Marce.

– Woleliśmy myśleć o sobie jak o chwilowych wygnańcach. Mieliśmy mocny zamiar pewnego dnia powrócić, ale fizyka musiała wtrącić swoje trzy grosze.

– Prąd Nurtu, którego użyliście, aby dostać się do Dalasýsli, się rozpadł.

– Tak. – Chenevert zmarszczył przy tym czoło i Marce znów sobie uświadomił, jak dobra była symulacja jego ludzkiej postaci. – Byłby pan u nas wtedy bardzo pożyteczny, panie Marce. Zdaje się, że rozumie pan to wszystko lepiej niż ktokolwiek inny, kogo znam.

– Był ktoś, kto wiedział o tym równie dużo jak ja – stwierdził Marce.

– Oczywiście. Niezmiernie mi przykro z powodu pańskiej przyjaciółki, doktor Roynold. Wiem, że bardzo pan boleje z powodu jej straty. Podobnie zresztą jak z powodu śmierci całej załogi *Bransida*.

Marce skinął głową.

– A pan, monsieur Chenevert? Tęskni pan za ludźmi, którzy wybrali się z panem w tę podróż, o której pan mówił?

– Tak, oczywiście, choć było to bardzo dawno temu.

– Dla pana nie tak znowu dawno. Mówił pan, że przespał ostatnie trzysta lat.

– Tak, w głównej mierze. Drobną część mojego mózgu budziła się co jakiś czas i sprawdzała, jak się miewa statek oraz utrzymywała go w sprawności. W przypadku cyfrowej *świadomości* to odpowiednik obudzenia się na chwilę, aby podrapać się po nosie, kiedy czuje się swędzenie, by zaraz potem znowu usnąć.

– Mimo wszystko.

– Tak. Cóż, rzecz w tym, panie Marce, że kiedy opuszczałem swoich kolegów ze statku, oni mnie porzucili. W najlepszym tego słowa znaczeniu, bo znaleźli sposób, aby przywrócić Dalasýslę do życia, i zaprosili kilku nadal żyjących miejscowych, żeby zamieszkali razem z nimi. Zostawili mnie, bo znaleźli lepsze miejsce do życia, stąd z radością patrzyłem, jak odchodzą.

– Jak im się udało to zrobić? To znaczy sprawić, aby Dalasýsła znów zaczęła funkcjonować? Od stuleci była martwa.

Chenevert potrząsnął głową.

– Nie martwa, panie Marce. Uśpiona. Cokolwiek się wydarzyło w habitacie, problemem nie były jego instalacje fizyczne. Oczywiście, został on uszkodzony i kiedy

my tam dotarliśmy, był złupiony. Aby zrozumieć, co mam na myśli, mówiąc, że moi towarzysze ponownie uruchomili Dalasýslę, powinien pan wiedzieć, że chodzi mi o uruchomienie ograniczone, przynajmniej w stosunku do tego, czym była ona przedtem. Udało się to jednak na tyle, że bez problemu mogła stać się domem dla mojej załogi i około tysiąca Dalasýsłan, którzy nadal tam żyli, rozproszeni po mniejszych habitatach i statkach.

– To niesamowite, że w ogóle znaleźliście jakichkolwiek ludzi. Że przeżyli oni w izolacji tak długo.

– Tak, to nadzwyczajne. Ale zarazem przygnębiające, prawda, panie Marce? Dawniej system Dalasýsli zamieszkiwały miliony ludzi, prowadząc wygodne i dostatnie życie. Liczba ta stopniała o kilka rzędów wielkości, a reszta trzymała się życia przysłowiowymi pazurami. I to nie dlatego, że zostali odcięci od reszty kosmosu, ale ponieważ w pierwszych kluczowych latach po ustaniu komunikacji utracili zmysł wspólnoty. Ewentualnie wystarczająco wielu zaczęło postępować w taki sposób, że pozostali musieli strawić cenny czas, aby się z nimi uporać, zamiast myśleć o radzeniu sobie z całokształtem sytuacji.

– Ludzie mogą być problemem – przyznał Marce. – Lecz pańscy towarzysze, jak się wydaje, nie musieli sobie radzić z niczym podobnym.

– Przynajmniej nie na początku. Jednak powiedział mi pan, że Dalasýsła funkcjonowała potem jeszcze przez zaledwie kilka krótkich dziesięcioleci. Jakikolwiek chaos dotknął pierwotnych Dalasýsłan, musiał stać się również udziałem ich potomków.

– Wtedy już pan spał?

– Tak. Zachowałem jednak świadomość dostatecznie długo, żeby widzieć, jak odbudowują habitat i przywracają jego działanie. Wtedy zapadłem w sen.

– Kiedy dokonał pan – Marce wskazał na Cheneverta – przemiany?

– Prawie natychmiast po naszym przybyciu – odparł Chenevert. – Ja umierałem już wtedy, gdy wyruszaliśmy, panie Marce. Lubiłem żartować, że jestem jak Mojżesz. Wyprowadziłem swój lud z Egiptu i pokazałem im Ziemię Obiecaną, ale sam nie mogłem tam wejść. Powiedziano mi, że zachowuję się melodramatycznie, co absolutnie odpowiadało prawdzie. Lubię trochę melodramatu i wtedy również to lubiłem. Nie martwiłem się tym też zanadto. Wiedziałem, kiedy umarło moje ciało. Właściwie nie mogłem się tego doczekać. To sprawiło, że moja śmierć nie była zbyt traumatyczna.

– To niesamowite.

– To bardzo stara technologia – powiedział Chenevert. – Wprowadzono w niej kilka udoskonaleń, ale zasadniczo ma już kilka stuleci. Zważywszy na pańską reakcję,

zakładam, że nie jest ona zbyt powszechna we Wspólnocie.

– Ani trochę.

– Cóż, jest bardzo kosztowna i kapryśna. Trzeba tego naprawdę chcieć. Ja chciałem i zabrałem ją ze sobą. I wmontowałem w statek.

– Lubi pan być statkiem?

– W przeważającej mierze jest to bardzo przyjemne. Brakuje mi kilku rzeczy związanych z postacią fizyczną, takich jak jedzenie i seks. Czasami dyskutuję sam ze sobą o tym, czego brakuje mi bardziej. Akurat w tej chwili jedzenie stoi wyżej. Niemniej ze wszystkich rzeczy najbardziej podoba mi się to, że żyję.

– A mimo to wprowadził się pan w sen.

– To była praktyczna decyzja. Postąpiłem tak przy założeniu, że pewnego dnia prądy Nurtu, które nas uwięziły w systemie Dalasýsli, mogą znów się otworzyć i jeśli ktoś z mojej załogi pozostanie przy życiu, może będzie chciał wrócić i zobaczyć, czy czasem sytuacja się nie poprawiła. Albo też zjawią się inni ludzie i jeżeli z jakiegoś powodu nie będą nastawieni przyjaźnie, to użyteczne może się okazać dysponowanie statkiem i bronią. Sądziłem, że czeka mnie dwudziesto- lub trzydziestoletnia przerwa, a nie że to potrwa trzy wieki.

– Mógł pan się wybudzić.

– Spanie mi się podobało. Nigdy nie miałem go dosyć, kiedy byłem człowiekiem. Wydaje mi się, że teraz prawie się wyspałem.

– Dalasýsłanie, to znaczy ci żyjący obecnie, pamiętają, że pan i pańska załoga mówiliście im, że zjawią się inni. To dlatego nie wydawali się zaskoczeni, kiedy my przybyliśmy. Dla nich to było wręcz jak przepowiednia.

– Nie wydaje mi się, byśmy chcieli, aby tak to zabrzmiało – odparł Chenevert. – Chyba mieliśmy zamiar po prostu powiedzieć, że jeśli prąd Nurtu jeszcze kiedyś się otworzy, mogą zjawić się kolejni ludzie. Czas ma zabawną właściwość zniekształcania słów, panie Marce. Z drugiej jednak strony przybyliście dokładnie wtedy, kiedy was potrzebowali. I swoimi podarunkami kupiliście im naprawdę sporo czasu.

– We wraku statku i dwóch promach wkrótce wyczerpie się energia – zauważył Marce.

– A może jednak się nie wyczerpie, a to dlatego, że Dalasýsłanie są nadprzeciętnie sprytni. Nikt nie potrafi plądrować i robić użytku z łupów tak dobrze jak właśnie oni. Na pewno tak było za moich czasów i wydaje mi się, że teraz jest tak samo. I chociaż wasze przybycie może nie nastąpiło w wyniku boskiej interwencji, fakt, że trafiliście tam akurat w takim momencie i udostępniście im tak wiele narzędzi umożliwiających przeżycie, musiał dla nich wyglądać jako coś nadprzyrodzonego. A w

takim wypadku dla nich „przepowiednia” się spełniła. A przynajmniej spełniła tak jak tego oczekiwali. Moim zdaniem tak właśnie działają przepowiednie.

– Miał pan dużo doświadczeń z przepowiedniami? – zapytał Marce.

– Wystarczająco. A skoro już o tym mowa, proszę mi opowiedzieć więcej o waszym Kościele Wspólnoty.

Następnie rozmawiali dalej, poruszając wszelkie tematy z wyjątkiem zagłębiania się w życie Cheneverta.

Gdy odliczali sekundy przed wleceniem w przestrzeń kosmiczną Hubu, Marce ostatecznie doszedł do wniosku, że kimkolwiek ich gospodarz był w poprzednim życiu, w tym wydawał się całkiem przyzwoitym facetem.

– No iiiiii... – Hanton wpatrywał się w monitor – jesteśmy. Znaleźliśmy się w przestrzeni kosmicznej systemu Hub.

– Nie widzę nic, co by leciało w naszym kierunku z jakimś morderczym zamiarem – powiedział po kilku sekundach Chenevert do Hantona. – A pan?

– Nic nie leci w naszą stronę – zgodził się Hanton. – Widzę trzy małe obiekty unoszące się w bezruchu przy płyciźnie Nurtu.

– Również je widzę – odrzekł Chenevert.

Na ekranie dowodzenia pojawił się jeden z tych obiektów, a kamery *Auvergne* zrobiły na niego zbliżenie.

– To urządzenie dozorujące – wyjaśniła sierżant Sherrill. – Znajdują się przy niemal każdej płyciźnie wylotowej. Rejestrują statki oraz czas ich przybycia, po czym porównują z harmonogramem.

– Jestem w stanie zagwarantować, że nikt nie spodziewał się przylotu tego statku – powiedział Marce. – A z tej płycizny ani tego, ani żadnego innego.

– Te urządzenia należą do Wspólnoty czy do rodu Wu? – zapytał szeregowy Gamis.

– I tak wszystkie są produkowane przez Wu – odparł Hanton. – Budowa wszelakich jednostek kosmicznych to ich specjalność.

– Niezależnie od tego, do kogo należą, zostaliśmy dostrzeżeni – podkreśliła Sherrill. – Co ma pan zamiar zrobić?

– Myślę, że powinniśmy ruszyć prosto przed siebie – odpowiedział Marce.

– To znaczy?

– Wyślijcie wiadomość do kontroli ruchu na Xi’an, informującą imperoks, że jej statek szpiegujący *Samuel III* powrócił z tajnej misji i jest gotowy do dokowania oraz złożenia raportu – kontynuował Marce. – I puśćcie to w eter otwartym tekstem.

– Bo tak właśnie postępują statki szpiegowskie – rzucił Gamis.

– Tak, statki szpiegowskie, które nie chcą ryzykować trafienia przez dalekodystansowe pociski rodu Wu na drodze stąd do Xi’an.

- A ten *Samuel III*? – dopytał Chenevert.
- To taki żarcik zrozumiały dla mnie i imperoks – odpowiedział Marce. – Wyjaśnię później.
- Jestem pod wrażeniem faktu, że zna pan się z imperoks dostatecznie dobrze, abyście mieli żarty zrozumiałe tylko dla was.
- Cóż, jak by to ująć – tłumaczył Marce niezręcznie – jest dosyć przystępną osobą.
- W rzeczy samej – wymruczał Chenevert, ewidentnie dokonując ponownej oceny Marce’a, który czuł się mocno zakłopotany tym faktem.
- Zechciałby pan łaskawie wysłać tę wiadomość – powiedział, żeby zmienić temat.
- Zrobione, bo już mamy powitanie ze strony kontroli ruchu na Xi’an – odparł Chenevert.
- Jest pan pewien, że to z Xi’an? – zapytał go Gamis. – Jest pan tu nowy.
- Monitoruję inną rozmowę z tym samym źródłem. Jeśli wasi przyjaciele z rodu Wu planują nas wciągnąć w pułapkę, robią to w bardzo wyszukany sposób.
- Nigdy nie wiadomo – odrzekł Gamis obronnym tonem.
- Fakt, nigdy – zgodził się Chenevert – chociaż w tym przypadku wydaje się to mało prawdopodobne, ponieważ zostaliśmy skierowani do prywatnego doku imperialnego. Powiedziano mi, że została wysłana eskadra, która będzie nas eskortować. – Tu spojrzął na Marce’a. – Musi mnie pan nauczyć waszych wewnętrznych żartów.

W prywatnych dokach *Auvergne* przywitał prom pełen imperialnych gwardzistów, którzy sprawdzili statek od dziobu do rufy, zabierając z pokładu załogę *Księżniczki*, którą w trakcie przeszukiwania trzymano w trzech kabinach w dosyć komfortowych warunkach. Gdy zabrano ich promem, a na pokładzie pozostał niewielki oddział gwardzistów, przybył kolejny prom, wiozący następnych gwardzistów razem z imperoks.

– Panie Marce – powiedziała Grayland, wysiadając z promu. – Wielce jesteśmy radzi, mogąc znów pana zobaczyć.

– Wasza wysokość – odparł Marce.

Miał pełną świadomość, że Grayland używa władczego „my” na użytek Gwardii Imperialnej, nie zaś jako taktykę dystansującą. Akurat w tym bardzo formalnym momencie mózg wyświetlił mu przed oczami chwilę, gdy razem z Cardenią leżeli nadzy w jej łóżku – ponieważ mózgi tak właśnie działają. Serdecznie nie znosił swojego mózgu za takie numery.

– To odwzajemniona radość, wasza wysokość – dodał.

Grayland rozejrzała się i znów spojrzała na Marce.

– *Samuel III*, tak?

– Tak naprawdę Auvergne, wasza wysokość.

– Panie Marce, to nie jest statek, na którym pan wyruszył.

– Nie, wasza wysokość.

– Wprawdzie bardzo nas raduje fakt, iż posiadamy statek szpiegowski tak tajny, że nawet *my* o nim nie wiedzieliśmy, ale martwimy się, gdzie jest *Oliveer Bransid* oraz jego załoga.

– *Bransid* został zaatakowany, a załoga zginęła, z wyjątkiem mnie i pięciu innych osób.

– Kto był napastnikiem?

– Z przestrzeni Hubu naszym śladem poleciał statek, wasza wysokość. Pochwyciliśmy jego załogę i przywieźliśmy ze sobą. Zabrali ich gwardziści waszej wysokości, żeby umieścić ich w miejscu bezpieczniejszym niż to.

– A co z pana przyjaciółką, doktor Roynold? – Marce spuścił wzrok i pokręcił głową, nic nie mówiąc. – Bardzo panu współczujemy, panie Marce – powiedziała na to Grayland.

– Dziękuję, wasza wysokość.

– Jest wiele spraw, które chcemy z panem omówić, ale dok promowy to chyba nie najlepsze do tego miejsce. Zechcesz udać się z nami do pałacu, aby tam o tym wszystkim pomówić?

– Tak, wasza wysokość. Jednak przedtem chciałbym prosić, by wasza wysokość udała się na chwilę ze mną.

– W jakim celu, panie Marce?

– Na statku jest ktoś, kogo, jak sądzę, powinna wasza wysokość poznać.

– Może nam towarzyszyć w drodze do pałacu, panie Marce. Podobnie jak pozostała część załogi.

– Dziękuję, wasza wysokość. Problem w tym, że to nie jest takie proste.

Kilka minut później i po krótkim przedstawieniu reszty załogi Grayland i Marce weszli na mostek. Razem z nimi udał się tam gwardzista, ale Grayland odprawiła go skinieniem głowy. Strażnik spochmurniał, ale wyszedł.

– Marce, naprawdę przykro mi z powodu Roynold – powiedziała cicho Grayland. – Wiem, że była dla ciebie ważna.

– Dziękuję... – Marce zatrzymał się i uśmiechnął. – Omal nie nazwałem cię publicznie Cardenią.

– Nie rób tego. Ale nie przeszkadza mi, że omal tego nie zrobiłeś. Lubię to. Po prostu... tak... No, nie rób tego.

– Będę pamiętał.

Grayland rozejrzała się wokół.

– Czy my nie mieliśmy się tu z kimś spotkać?

– Tak – odparł Marce. – Monsieur Chenevert, może się pan już zjawić.

Chenevert ukazał się, lekko się mieniąc, co Marce odebrał jako bardzo efekciarskie. Oczy Grayland się rozszerzyły. Chenevert podszedł do niej i skłonił się w wyszukany sposób.

– Wasza wysokość – odezwał się.

Grayland najpierw się w niego wpatrywała, następnie uśmiechnęła, a wreszcie zrobiła coś, czego Marce się nie spodziewał. Skłoniła się w sposób równie wyszukany.

– Wasza wysokość – powiedziała do Cheneverta. A ten był *zachwycony*.

– Zostałem odnaleziony! – wykrzyknął. – I to tak prędko. A pan Marce nic nie podejrzewał.

– Nie wie tego, co wiem ja – zauważyła Grayland.

– Już rozumiem, dlaczego ją lubisz – powiedział Chenevert do Marce’a. – Ja polubiłem ją od razu.

– Eeee... Co? – wyjąkał Marce, zwracając się do obojga.

– Twój obecny tu przyjaciel... – Grayland spojrzała na Cheneverta. – Proszę wybaczyć, ale nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

– Tomas Reynauld Chenevert.

– Twój przyjaciel, Tomas Reynauld Chenevert, to monarcha. Król? Cesarz? Wielki książę?

– Po prostu król, wasza wysokość.

– I *tyle*? – Grayland trochę się drażniła.

– Nie jestem cesarzem, jak niektórzy. Ale tutaj nie mówicie cesarz ani imperator, prawda?

– Imperoks. Rodzaj nijaki.

Chenevert wskazał na Marce’a.

– A mimo to mamy tu pana, a jego ojciec jest hrabią.

– Oczekuje pan logiki w tytułach szlacheckich?

– *Święta racja*.

– Jest pan *królem*? – spytał Marce Cheneverta.

– Tak, cóż – zapytany machnął ręką. – *Byłem* królem. Teraz jestem martwy, a władza wykonawcza związana z zasiadaniem na tronie tradycyjnie ustaje wraz ze zgonem. Zostałem też z tronu zrzucony. Tak więc pewnie niektórzy sprzeczałiby się, czy nadal jestem królem, nawet gdy jeszcze żyłem. A zatem „tak, ale...”.

– Jest tu trochę ludzi, którzy bardzo by chcieli zrobić ze mną to samo – stwierdziła Grayland. – To znaczy zrzucić mnie z tronu.

– Doradzałbym się temu sprzeciwić – zauważył Chenevert.

– Nienajlepszy punkt w karierze?

– No cóż, trochę się człowiekowi luzuje w kalendarzu, co jeśli mam być szczery, jest fantastyczne. Z drugiej jednak strony ci, którzy usuwają cię z tronu, zwykle chcą cię też zabić. A to już jest pewna *niedogodność*. Były już jakieś próby zabójstwa?

– Kilka.

– Ech. Widać, że dopiero raczkujecie w tych tematach.

– Jeśli mogę się w tym miejscu wtrącić... – powiedział Marce i zwrócił się do Grayland. – *Skąd* wiedziałaś, że on jest królem? Czy też nim był.

Grayland machnęła w kierunku Cheneverta.

– Bo jest *tym*.

– A co to ma wspólnego z byciem królem?

– Też macie coś podobnego – stwierdził, nie zapytał Chenevert. – Równie imponujące, równie kosztowne. Równie inwazyjne.

Grayland skinęła głową.

– Mam coś, co nazywamy Pokojem Pamięci. Są tam wszyscy poprzedni imperokowie. A przynajmniej są ich wspomnienia. Ale pan jest inny. Oni mają wspomnienia i mogą powiedzieć, co w danym momencie imperoks myślał bądź czuł. Nie posiadają jednak emocji sami z siebie. Pan zdaje się być obecny w całości.

– Bo jestem obecny w całości. A przynajmniej takie się ma wrażenie od środka. Moja rodzina z czasem dokonywała ulepszeń w oprogramowaniu. Możliwe, że macie bardzo wczesną wersję.

– Zawsze zakładałam, że opracowanie tego zleciła Rachel. Pierwsza z naszych imperoksów.

Chenevert potrząsnął głową.

– Jeśli to ta sama technologia, którą my mamy, to pochodzi z czasów znacznie wcześniejszych. Pierwotnie opracowano ją na Ziemi. Zarówno moi, jak i wasi ludzie zdobyli ją tuż przed Zerwaniem.

– Czym?

– Zerwaniem. Tak nazywamy wydarzenie, w wyniku którego zostaliśmy odizolowani od Ziemi i jej sieci prądów Nurtu, no i od was. – Spojrzał na Marce'a i Grayland, którzy patrzyli na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. – Co? A wy jak to nazywacie?

– *My* nie nazywamy wcale – odparł Marce. – Wiemy, że utraciliśmy kontakt z Ziemią około piętnastu stuleci temu, ale nie wiedzieliśmy, że miała ona własną sieć

prądów Nurtu.

– Ani też że istniała inna, całkowicie osobna grupa systemów, z własnymi prądami – dodała Grayland.

Chenevert przyjrzał im się z rysującym się na twarzy uśmiechem.

– A to *ciekawe* – rzekł wreszcie. – Nastąpiły u was autentyczne wieki ciemne. Utraciliście o tym wszelką pamięć. O Zerwaniu. I o nas. No i o Ziemi, wraz z jej systemami.

– Wiedział pan o nas? – zapytał Marce.

– Oczywiście, że wiedziałem. Właśnie tak dostałem się w waszą przestrzeń kosmiczną. Ściśle rzecz biorąc, fakt, że w ogóle tu jestem, stanowi pogwałcenie traktatu, ale ponieważ opcja powrotu do domu równała się powieszeniu, byłem skłonny zaryzykować. Zakładam, że skoro nie pamiętacie, że macie z nami podpisany traktat, tak samo jak z Ziemią, to niepotrzebnie się martwię jego naruszeniem.

– Mamy z wami traktat?

– Tak. Cóż, nie ze mną konkretnie, to oczywiste, tylko ze Zgromadzeniem, którego część stanowi Ponthieu, czyli moja planeta. Całość liczy dwadzieścia systemów gwiazdnych. No i jest imperium Ziemi, złożone z kolejnych piętnastu systemów. Wasz zbiór systemów gwiazdnych, który obecnie nazywacie Wspólnotą, to były Wolne Systemy. Było tam więcej systemów, ale mniej ludzi niż w Zgromadzeniu i imperium ziemskim. To dlatego, że większość naszych systemów miała planety zdolne do zamieszkania, a większość waszych... nie.

Marce i Grayland ponownie spojrzeli po sobie w osłupieniu.

– A więc naprawdę nic o tym *nie wiecie*? – upewnił się Chenevert.

– Wszystko, co pan mówi, jest dla mnie całkowitą nowością – powiedziała Grayland. Marce potwierdził skinieniem głowy.

– Jest w tym ironia, wiecie? – stwierdził Chenevert. – Choć w sumie, to nie wiecie.

– To na czym polega ta ironia?

– To Wolne Systemy naciskały na traktat, który podzielił wszystkich na trzy części. I w końcu wywołały Zerwanie, kiedy izolacja nie była wystarczająca.

– Wywołały Zerwanie? – upewnił się Marce. – Wywołaliśmy rozpad prądu Nurtu?

– Owszem. A w każdym razie zrobili to wasi przodkowie.

– To nie jest fizycznie możliwe.

– Niemniej tak właśnie się stało.

– Wiecie, jak zrobić coś takiego? – zapytała Grayland Cheneverta.

– Ja na pewno nie. A naukowcy z Ponthieu czy Zgromadzenia? Te kilkaset lat temu nie znałem nikogo takiego. To było coś, czym wy dysponowaliście i nie podzieliliście się tą technologią. Jak podejrzewam, dlatego że nie chcieliście. Po prostu chcieliście

się od *nas* odciąć. A teraz wychodzi na to, że utraciliście również tę wiedzę. Nie mogę powiedzieć, bym widział w tym coś złego, panie Marce, wasza wysokość.

– Jest pan w stanie jakoś to potwierdzić? – spytał Marce. – Tę historię, którą pan nam tu opowiedział.

– Można ją znaleźć w naszych książkach historycznych.

– A ma pan je ze sobą? – spytała Grayland.

Chenevert się uśmiechnął.

– Wasza wysokość, kiedy opuszczałem Ponthieu, opuszczałem je na zawsze. Zapewniam was, że zabrałem ze sobą *wszystko*.

ROZDZIAŁ 21

– Co wiesz na temat Wolnych Systemów? – zapytała Cardenia Rachelę w Pokoju Pamięci.

– Stanowiły część poprzedników Wspólnoty. Choć kiedy ją tworzyliśmy, nikt ich już tak nie nazywał.

– Dlaczego?

– Ten luźny sojusz systemów rozpadł się wiele stuleci wcześniej.

– A to dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego rozpadło się wiele wcześniejszych: sprzeczne interesy, brak entuzjazmu w gospodarce, głupi lub sprzedajni władcy, a także zwykłe zaniedbania tudzież jakaś kombinacja wszystkich wymienionych.

– Jestem imperoksem Wspólnoty – powiedziała Cardenia. – Moja matka była historykiem. Jak to możliwe, że nic nie wiem o Wolnych Systemach?

– Wiedziałaś o nich, ale nie o tej konkretnie nazwie. Pedagogika zmienia się z czasem. Możliwe, że kiedy dorastałaś, nie uważano tego za istotne.

– Dla mnie brzmi to jak unikanie odpowiedzi – stwierdziła Cardenia.

– Wyczuwam pewną wrogość w twoim głosie – odparła Rachelę. – Nie unikam w żaden sposób odpowiedzi. Pamiętaj, że nie mam ego, które można by zranić, ani też potrzeby, aby usprawiedliwiać działania swoje czy innych. Jeśli moje odpowiedzi wydają ci się wymijające, możliwe, że swoje pytania formułujesz tak, że w twoim obecnym stanie emocjonalnym brzmią one wymijająco.

– Problem nie tkwi w tobie, tylko we mnie. To właśnie chcesz powiedzieć? – upewniła się Cardenia.

– Zasadniczo tak.

– Wiesz co, spotkałam dzisiaj symulację komputerową człowieka, która, jeśli chciała, potrafiła udzielać wymijających odpowiedzi.

– W porządku – odpowiedziała Rachelę I. – Ja tego nie potrafię.

Cardenia zaczerpnęła tchu i spróbowała się skoncentrować, bo niech to szlag, Rachelę miała rację. Miała w tym momencie nieco wrogie nastawienie, co z kolei sprawiało, że faktycznie zadawała niewłaściwe pytania. Po minucie, podczas której obraz Rachelę stał, czekając w milczeniu, dokładnie tak jak postąpiłaby symulacja komputerowa, spróbowała ponownie.

– Czy posiadasz wiedzę o jakiegokolwiek próbie, podjętej za twoich czasów, zaprzestania uczenia o okresie, gdy istniały Wolne Systemy?

– Nie. Nic takiego nie rozważałam ani ja, ani ktokolwiek z mi współczesnych.

– Czy kiedykolwiek próbowałaś cenzurować lub w ogóle zmieniać historię?

– Kiedy już zostałam imperoksem, moi specjaliści od propagandy pracowali nad tym, żeby sprzedać historię na temat utworzenia Wspólnoty w takiej postaci, jaką chcieliśmy, by rozpowszechniła się w przyszłości, szczególnie jeśli chodzi o prorocтва, o czym już kilka razy rozmawialiśmy. Gdy umierałam, nasz pogląd na tę sprawę, albo coś bardzo do niego zbliżonego, stanowił powszechnie przyjętą wersję. Rzecz jasna były też inne, ale pozostawały one raczej poza głównym nurtem, a ich autorów nie zatrudniano w najlepszych szkołach. Oprócz tego stworzyliśmy prawa na temat bluźnierstwa, do których sięgaliśmy z rzadka, ale spełniały swoją rolę i dodatkowo umacniały oficjalną historię.

– Ale nie działaliście aktywnie, aby zmienić lub zmodyfikować historię z czasów przed nastaniem Wspólnoty?

– Nie. Chyba że dotyczyło to czasów bezpośrednio przed jej nastaniem, to znaczy w okresie, gdy usiłowaliśmy ją stworzyć.

– Czy kiedykolwiek słyszałaś o Zgromadzeniu?

– To bardzo niejasne pytanie. „Zgromadzenie” to może być dowolna liczba elementów.

Cardenia ugryzła się w język, żeby nie warknąć na Rachelę, której by to w żaden sposób nie ruszyło, a to z kolei sprawiłoby, że ona sama zirytowałaby się jeszcze bardziej.

– Czy wiesz o bycie politycznym zwanym Zgromadzeniem, złożonym z państw istniejących w systemach gwiazdnych, które nie są i nigdy nie były częścią tego, co obecnie nazywa się Wspólnotą? – zapytała, bardzo precyzyjnie dobierając słowa.

– Nie.

– Czy słyszałaś kiedyś o Traktacie Trójdzielny? – Cardenia mówiła tu o konkretnej nazwie, jakiej użył Chenevert, określając tę umowę.

– Nie.

– Czy słyszałaś kiedyś o wydarzeniu zwanym Zerwaniem, w wyniku którego Wolne Systemy zostały odcięte od innych państw człowieka?

– Nie.

– Jak więc Ziemia stała się niedostępna dla systemów zrzeszonych obecnie w ramach Wspólnoty?

– Nastąpił rozpad prądów Nurtu prowadzących zarówno do Ziemi, jak i stamtąd.

– Jak doszło do tego rozpadu?

– To było zjawisko naturalne.

– Okłamujesz mnie teraz?

– Nie okłamuję cię w sposób zamierzony. Możliwe jednak, że podaję ci informacje, które uważasz za błędne lub wiesz, że takie są, lecz jeśli tak jest, to dzieje się tak, ponieważ moje własne, osobiste doświadczenia są niepoprawne, a nie dlatego że jestem fałszywa.

– Zastanawiałaś się, czy istnieją inne systemy zamieszkałe przez człowieka? Oprócz Ziemi.

– Okazyjnie i niezobowiązująco. Zważywszy na to, co wiedziałam o prądach Nurtu, kiedy jeszcze żyłam, wydawało się możliwe, że otworzą się nowe i przylecą nimi ludzie z Ziemi. Jedną z najpopularniejszych rozrywek w czasach mojego panowania było rozważanie tego wątku. Nazywano to *Czarnoksiężnikiem z krainy Oz*. Ja sama jednak nigdy zbyt nie nad tym nie zastanawiałam. Byliśmy wtedy naprawdę zajęci.

Cardenia myślała przez chwilę.

– Czy w Pokoju Pamięci ty jesteś najwcześniej żyjącą osobą? To znaczy czy znajdują się tutaj wspomnienia i myśli kogoś jeszcze, oprócz imperoksov?

– Nie – odparła Rachel. – Pokój Pamięci został zaprojektowany specjalnie z myślą o imperoksovach. Technologia, której użyto w celu jego zbudowania, została przeze mnie zakazana i nie mógł jej używać nikt, kto nie jest imperoksem. Nie tylko tego konkretnego jej zastosowania, ale jakiegokolwiek użycia w urządzeniach, które by miały taki sam cel lub efekt.

– Ale technologia istniała, zanim jej użyłaś.

– Tak. To bardzo stara technologia, opracowana jeszcze na Ziemi. Szukałam możliwości opracowania czegoś w tym celu i jednemu z badaczy przeszukującemu rozmaite archiwa udało się ją odnaleźć. Nie używano jej, bo na ile da się to stwierdzić, koszt jej zastosowania wykluczał wykorzystanie jej przez kogokolwiek, kto nie dysponuje środkami takimi jak państwo.

– Ile kosztuje działanie tego pomieszczenia?

– Teraz już bardzo niewiele, bo większość wydatków została poniesiona w przeszłości. Moc i infrastruktura z nim związane stanowią część kosztów funkcjonowania habitatu Xi'an ogólnie, a on został stworzony wyłącznie na potrzeby imperoksov. Jeśli trzeba ponieść dodatkowe wydatki na konserwację lub ulepszenia, skarb imperialny zwyczajnie tworzy odpowiednią kwotę, zwiększając podaż pieniądza.

– To nie może być legalne.

– To jest legalne, bo ja powiedziałam, że jest legalne – odparła Rachel. – I w ogólniejszym rozrachunku rządy zawsze dodrukowują pieniądze na własne potrzeby. To jedna z nich.

– A więc nigdzie indziej nie wykorzystywano tej technologii, zanim użyto jej w tym pomieszczeniu.

- Nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.
- Czy nie niepokoi cię fakt, że tak duża część naszej przeszłości pozostaje nieznana? – spytała Cardenia.
- Nie jest nieznana. Możliwe jednak, że rozległe obszary naszej historii zostały utracone.
- Jak do tego doszło? Od samego początku byliśmy cywilizacją wysoko rozwiniętą technologicznie, eksplorującą przestrzeń kosmiczną. Wspólnota nie była jak Ziemia, gdzie ludzie musieli wynaleźć ogień, koła i wreszcie rakiety.
- Wszystko to są technologie – odparła Rachel. – Historia to nie technologia.
- I mówisz to w *Pokoju Pamięci* – powiedziała Cardenia z niedowierzaniem.
- Pokój Pamięci to nie pamięć – podkreśliła Rachel. – Stanowi tylko środek do jej zachowania. Biblioteka to nie informacja. Jest tylko środkiem do zachowania informacji. Zawsze w przeszłości, kiedy można było zbierać i przechowywać informacje, ktoś musiał zdecydować, które będą przechowywane, a które nie. Ktoś musiał zdecydować. Ktoś musiał tym zarządzać.
- Nikt tu nie zarządzał twoimi myślami – zauważyła Cardenia. – Są tu wszystkie wspomnienia, myśli i emocje, jakie miałaś ty i każdy z twoich następców. Tak to działa.
- Tak. Wszystkie wspomnienia, myśli i emocje zaledwie osiemdziesięciu siedmiu ludzi, w sumie na przestrzeni tysiąca lat, w którym to czasie żyły niezliczone miliardy, a każdy z nich miał własne wspomnienia, myśli i emocje, które nie zachowały się nigdzie w żaden sposób. Przepadły. A my jesteśmy tutaj. Ktoś tak zarządził.
- Czyli ktoś *zarządził*, że zapomnieniu ulegnie cała epoka w naszej historii.
- Niekoniecznie ktoś to zrobił umyślnie albo w złej wierze. Jak już wspomniałam, kiedy rozmawiałyśmy o nauczaniu, różne epoki mają różne priorytety. Wybierają sprawy, które staną się drugorzędne. Gdy ulegną zapomnieniu, każdy, kto będzie żył później, może nawet nie wiedzieć, jak je odnaleźć i przywrócić o nich pamięć.
- Albo ktoś mógł to zrobić w sposób zamierzony.
- Owszem – odpowiedziała Rachel. – Choć ukrywanie przeszłości nigdy nie działa tak dobrze, jak zwykle jej pomijanie.
- Co masz na myśli?
- Kiedy usiłujesz coś ukryć, zawsze znajdą się ludzie, którzy będą się temu sprzeciwiać i znajdą własne sposoby, aby zgromadzić i przechowywać to, co zostało ukryte, tak aby ktoś mógł to później znaleźć, albo celowo szukając, albo po prostu wpadając na to przypadkiem. Dlatego właśnie nigdy nie próbowałam ukryć alternatywnych ujęć historii, bo to tylko sprawia, że przyszli historycy postrzegają je

jako jeszcze bardziej atrakcyjne. Zamiast tego przysypałam je kilkoma warstwami historii oficjalnej.

- Nie ukrywaj, tylko zakop – zażartowała Cardenia.
- W moim przypadku podziałało.

Cardenia skinęła głową i pożegnała się ze swoją poprzedniczką, która mignęła i zniknęła. Siedziała teraz sama w pomieszczeniu, które było surowe i pozbawione mebli, tak jak wcześniej. Usiłowała pomyśleć o tym, gdzie i jak może dotrzeć do prawdziwej historii z czasów przed nastaniem Wspólnoty. Czasów, gdy „Wolne Systemy” poprzez ewidentną głupotę i upór skazały swoich potomków na powolne stoczenie się w chaos. Cardenia musiała przyznać, że jeśli ludzie ci byliby jej bezpośrednimi przodkami, też zapewne chciałyby zakopać gdzieś ich historię.

Ona jednak musiała wiedzieć. Nie chodzi o to, że nie ufała Chenevertowi, swego czasu Tomasowi XII, królowi Ponthieu, albo też jego informacjom. Nie miał żadnego powodu, aby okłamywać ją czy Marce’a. Mimo wszystko jeśli ktoś twierdzi coś niezwykłego, trzeba to również w niezwykły sposób potwierdzić, a to, co mówił Chenevert, było najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką Cardenia kiedykolwiek słyszała. Należało to potwierdzić.

Cóż, jasne, ale jak? Biblioteka Imperialna w Hubfall miała największe zbiory zgromadzone w jednym miejscu w całej Wspólnocie, a mianowicie pięćset milionów rozmaitych prac, zarówno w formie drukowanej, jak i elektronicznej, sięgających czasów Racheli. Biblioteka Imperialna na Xi’an, zasadniczo rzecz biorąc, osobiste zbiory Cardenii jako imperoksa, chociaż dostęp do nich mieli także goście i badacze, obejmowała dwadzieścia milionów pozycji, z których wiele skupiało się wokół życia i rządów poprzednich imperoksów. Przekopanie się nawet przez mniejszą z tych dwóch bibliotek, i to choćby przez niewielką jej część, dotyczącą danego obszaru studiów, zajęłoby więcej czasu niż Cardenia miała do dyspozycji, a prawdopodobnie wymagałoby go więcej niż miała cała Wspólnota, zanim wszystko się rozpadnie. Oprócz tego istniały jeszcze dosłownie miliardy innych książek i dokumentów czy prac dyplomowych w całej Wspólnocie.

„Nie ukrywaj, tylko zakop” – przypomniała sobie Cardenia. Pomyślała o tym, kto mógłby próbować odnaleźć część historii, która została ukryta. I wtedy nasza ją kolejna myśl.

„Przecież jestem w Pokoju Pamięci”.

– Jiyi – odezwała się, przyzywając domyślnego awatara Pokoju Pamięci, postać pozbawioną wyraźnego wieku i płci. Jiyi pojawiło się i stanęło przed Cardenią w oczekiwaniu. – To pomieszczenie gromadzi wspomnienia i myśli wszystkich poprzednich imperoksów.

- Zgadza się – odparło Jiyi.
- Co jeszcze gromadzi?
- Bardzo by się przydało, gdybyś zechciała być bardziej konkretna.
- Co masz na temat Zerwania?
- Masz na myśli znakomity zespół muzyczny z trzeciego wieku, film z 877 roku czy też wydarzenie poprzedzające Wspólnotę, w wyniku którego Wolne Systemy zerwały połączenia z Ziemią i Zgromadzeniem? – zapytało Jiyi.

- A więc to prawda – powiedział Marce do Cardenii, kiedy leżeli w łóżku tej samej nocy.
 - Nie zwykła prawda, ale *ukryta*. Jiyi powiedziało, że w ciągu pięćdziesięciu lat od Zerwania panowała już powszechna zgoda, by przyjąć politykę mówienia o tym jako o zdarzeniu naturalnym, a nie inspirowanym przez Wolne Systemy. Nikt się do tego nie przyznawał.
 - Bo to okropne wykorzystanie technologii?
 - Bo Wolne Systemy niemal wyginęły z głodu. Były zależne od innych systemów w Zgromadzeniu i konfederacji ziemskiej, tak jak my teraz jesteśmy zależni od siebie nawzajem. Jiyi twierdzi, że w tamtym czasie wielu ludzi wskazywało na ten problem, ale dominowała wola polityczna, aby odwrócić się plecami do pozostałych dwóch unii. Jak tylko zdążyli już sobie wzajemnie pogratulować, wybuchły bunty na tle niedoborów żywności i zasobów. Zmarły setki tysięcy ludzi, a Wolne Systemy zaczęły najeżdżać siebie nawzajem, zanim wszystko się ułożyło.
 - Dostrzegli szaleństwo w swoim postępowaniu.
 - Nie. Stara gwardia powymierała, a kolejne pokolenie zdecydowało więcej o tym nie mówić. I tak się stało. Przynajmniej w przeważającej mierze.
 - A jak dowiedziało się o tym Jiyi?
 - Nie spodoba ci się odpowiedź.
 - Wiesz, dowiedziałem się dziś, że istnieje coś takiego jak Jiyi i że żyje sobie w tajemnym pokoju, gdzie odbywasz rozmowy z przodkami, którzy są martwi od lat, a nawet stuleci, więc nie przychodzi mi do głowy nic, co zaniepokoiłoby mnie bardziej niż to.
 - Jiyi sprawdza ludzi.
 - No dobra, masz rację, nie spodobało mi się to – przyznał Marce. – Ale jak to w ogóle może działać?
 - Jiyi ma tysiąc lat i jego zadaniem jest pamiętać. W tym czasie znalazło sposób, żeby mieć wtyczki zapewniające mu dostęp do każdej sieci we Wspólnotcie, tak że

mogło wynajdywać wszystkie zakamarki, gdzie ludzie gromadzą i odczytują informacje. Jednak nie wszystkie, tylko takie, które ktoś aktywnie próbuje ukryć. Wysyła swoje małe programiki, które znajdują je i przynoszą do Jiyi. A to je gromadzi. Na zawsze.

– Ale dlaczego ukrywane informacje?

– Bo te nieukrywane są i tak dostępne. Program sterujący Jiyi nie widzi potrzeby ich wyszukiwania. Gromadzi tylko te ukryte. Tak zaprogramowała go Rachel. Czy raczej tak go kazała zaprogramować, bo nie sądzę, by znała się na takich rzeczach. Dziś ją o to pytałam. Powiedziała: „Kiedy usiłujesz coś ukryć, zawsze znajdą się ludzie, którzy będą się temu sprzeciwiać”. Ona chyba była pierwsza.

– Dlaczego po prostu nie powiedziała ci, że Jiyi robi to od tysiąca lat?

– Bo ona nie jest osobą. Jest programem i odpowiada tylko na te pytania, które jej zadasz. Nie pytałam jej o to, czy Jiyi ma te informacje.

– Dla mnie to brzmi wymijająco.

– Dla mnie też.

– A zatem Jiyi wie wszystko.

– Nie, Jiyi wie wszystko, co jest *ukryte*. Jeśli ukryte nie jest, Jiyi tego nie zapisuje, bo nie widzi takiej potrzeby. Po prostu może uzyskać dostęp do takiej informacji, tak jak ty i ja. Jeśli jednak coś zostało ukryte, może zniknąć. A Jiyi tego nie chce. Nie oznacza to, że *natychmiast* dowiaduje się wszystkiego, co zostało ukryte. To nie magia. Ono jest tu, a jego wysłannicy są wszędzie, więc powrót do niego zajmuje im nieco czasu. Jednak Jiyi jest cierpliwe jak nic innego we Wszechświecie. Prędzej czy później znajdzie wszystko, do czego znajdywania zostało zaprogramowane. Może to potrwać dziesięciolecia albo nawet dłużej, ale w końcu to znajdzie.

– Mam w związku z tym mnóstwo pytań – powiedział Marce – i nie wiem, czy chcę usłyszeć odpowiedzi.

– Mnie też się to nie podoba – przyznała Cardenia. – A jednak gdyby nie to, nie poznałabym prawdy o naszej przeszłości.

– To nie do końca prawda. Informacja gdzieś była. Jiyi ją znalazło. Ostatecznie *ty* również mogłabyś do niej dotrzeć.

Cardenia potrząsnęła głową.

– Informacja owszem, istniała, ale kiedyś, nie wiadomo kiedy. Kto wie, czy teraz jest gdzieś oprócz Jiyi.

– To przerażające, Cardenio.

– To prawda. A wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Na ile się orientuję, żaden z pozostałych imperoksów nie wiedział, że Jiyi to robi. Po prostu używali go do rozmawiania z poprzednimi imperoksami.

– Tak jak ty, aż do dzisiaj – zauważył Marce. – A to dlatego, że powiedziano ci, że do tego służy Pokój Pamięci. No i dlatego, że tak się nazywa, a nie Pokój Ukrytych Informacji.

– Ciekawi mnie, jak by się wszystko zmieniło, gdyby inni imperokrowie o tym wiedzieli.

– To by było straszne – powiedział Marce. – To forma wiedzy absolutnej, oddana do dyspozycji absolutnej władzy, którą już posiadasz.

– Nie mam władzy absolutnej – zaprotestowała Cardenia.

– Oczywiście, że nie. Dlatego właśnie nikt się nie zmartwił, gdy zaczęłaś rozgłaszać, że masz mistyczne wizje na temat przyszłości Wspólnoty, ani też faktem, że masz zamiar wprowadzić stan wojenny, kiedy przemówisz w parlamencie, co możesz zrobić, gdy tylko zechcesz, jak każda inna osoba niemająca władzy absolutnej.

– Nie mam *poczucia*, że posiadam władzę absolutną – poprawiła się Cardenia.

– Po prostu obiecaj mi, że nigdy nie powiesz swoim dzieciom, że Jiyi potrafi coś podobnego. Omal nie poślubiłaś Nohamapetana. Słabo mi się robi na myśl, co mogłoby się wydarzyć, gdyby któreś z nich dowiedziało się o tym, co potrafi Jiyi.

– Mam dla ciebie jeszcze kilka złych wiadomości.

– Dobry Boże...

Cardenia wskazała na swój kark.

– W moim ciele zainstalowano sieć – powiedziała. – Wszystko, co myślę, czuję, mówię i robię, jest rejestrowane. Kiedy umrę, wszystko to znajdzie się w Pokoju Pamięci. Tak więc nawet jeśli nigdy nie powiem o tym moim dzieciom, nie oznacza to, że się tego ode mnie nie dowiedzą. Tyle że po mojej śmierci.

– To musi być dla ciebie niepokojące – odezwał się Marce po chwili zastanowienia.

Cardenia wzruszyła ramionami i się do niego przytuliła.

– Trochę. Ale ma to swoje plusy. Nie spędzałam zbyt wiele czasu z ojcem, kiedy dorastałam. Kochałam go, a on kochał mnie, ale nie znaliśmy się nawzajem ani odrobinę. A teraz w Pokoju Pamięci rozmawiam z nim każdego dnia, jeśli chcę. To tak jakbym go odzyskiwała. A to błogosławieństwo.

– Tak, owszem – zgodził się Marce.

– O ile oczywiście lubisz swoich rodziców – dodała Cardenia. – Nie widziałam, żeby tata zbyt często rozmawiał ze swoją matką. Była dla niego okropna, podobnie zresztą jak dla całej reszty Wszechświata, jeśli prawdą jest to, co słyszałam.

– Rozmawiałaś z nią kiedykolwiek?

– Przywołałam ją raz, żeby zadać konkretne pytanie na temat polityki, jaką wprowadziła. Po pięciu minutach rozmowy stwierdziłam, że prawdopodobnie nigdy więcej nie będę tego potrzebowała.

Oboje milczeli przez chwilę.

– Czyli... teraz nagrywasz? – zapytał Marce.

– Cały czas nagrywam – wymruczała Cardenia.

– Więc, hmmm...

– Nie nagrywam jak uprawiamy seks. Znaczący... to *coś* nagrywa – uściśliła Cardenia i przyglądała się, jak na twarz Marce wkrada się delikatna panika. – Ale nie nagrywa tego w ten sposób. Rejestruje tylko, jak się przy tym czułam, jak czułam się z tobą i jak odbierałam tę chwilę.

– A co powie twój duch temu, kto zapyta?

– Że wszystko, co wymieniłam, było po prostu świetne.

– Tylko, no wiesz, nie wchodź za bardzo w szczegóły.

– To może być też twoje dziecko – powiedziała Cardenia, a po chwili nie mogła uwierzyć, że faktycznie to wyszło z jej ust. Ale było już za późno i, *jasna cholera*, musiała teraz pociągnąć ten temat.

– Nie możesz za mnie wyjść – rzucił swobodnie Marce. – Jestem spoooro poniżej ciebie w drabinie społecznej. Ledwo kwalifikuję się jako szlachcic. Mój tytuł arystokratyczny jest w zasadzie czysto teoretyczny.

Cardenia pacnęła go lekko w pierś w udawanym gniewie.

– Nie mów nam, co mamy robić, panie Marce! Jesteśmy imperoksem! I mamy władzę absolutną! Jeśli zechcemy, to cię poślubimy.

– Tak, wasza wysokość – odpowiedział Marce. – Proszę o wybaczenie, wasza wysokość. Melduję się do wykonania obowiązków małżeńskich.

– Jeszcze nie. Nadal cię wypróbujemy.

– Wypróbuj mnie, jak tylko chcesz. Proszę cię jednak, przestań używać tego monarszego „my”. To dla mnie trochę zbyt perwersyjne.

Cardenia się roześmiała, po czym wspięła się na Marce’a i zaczęła go całować. Szybko zatraciła się całkowicie we wszystkim, co nastąpiło potem, z wyjątkiem tej jednej, jedynej, praktycznej części jej mózgu, która mówiła: „Wiesz, że *naprawdę* masz teraz władzę absolutną i absolutną wiedzę. Może pora ich użyć”.

„Tak, dobrze – powiedziała w myślach Cardenia. – Tylko zamknij się teraz na chwilę. Jestem zajęta”.

Mózg Cardenii się zamknął.

Jednak kilka godzin później odezwał się do niej ponownie. Słuchała, a po pewnym czasie pogłaskała włosy Marce’a i go obudziła.

– Chyba jestem gotowa.

– To dobrze – odparł zaspany Marce. – Gotowa na co?

– Pchnąć sprawy naprzód – uzupełniła. – Pomożesz mi?

– Tak, ale czy to musi być *teraz*? Chciałbym jeszcze trochę pospać.

Cardenia pozwoliła mu spać, ale sama wstała, skierowała się do Pokoju Pamięci i weszła do środka.

ROZDZIAŁ 22

Czas na realizację planów kończył się powoli wszystkim.

Arcybiskup Gunda Korbijn siedziała na małym dziedzińcu kompleksu katedry w Xi'an i piła poranną herbatę, kiedy nadeszło powiadomienie, że o szóstej po południu imperoks przemówi do parlamentu. Korbijn przeczytała wiadomość, skinęła głową, dokończyła herbatę i poinstruowała Ubesa Ici, aby zadzwonił do Tindy Louentintu, szefowej personelu hrabiny Nohamapetan, i dołączył ją do rozmowy, gdy tylko tamta odbierze.

Tinda Louentintu odebrała, rozmawiała z arcybiskupem bardzo krótko, wymienili zaledwie kilka słów, a po pożegnalnych uprzejmościach rozłączyła się i zadzwoniła z kolei do hrabiny, z konieczności pozostającej na swoim statku, *Winie*. Głos Louentintu brzmiał triumfalnie.

Z pokładu statku hrabina również wyraziła radość i podała szefowej personelu wytyczne, z kim się skontaktować i w jakiej kolejności. Niektórzy z tych ludzi mieli się skontaktować z następnymi ludźmi, więc należało z nimi porozmawiać w pierwszej kolejności, a potem z innymi ważnymi osobami, wreszcie z tymi, którzy nie byli może tak istotni, ale zapewniali bezpieczną przewagę liczebną i kworum. Po załatwieniu tej sprawy hrabina skontaktowała się z Jasinem Wu.

Ten zaś otrzymał już wiadomość o przemówieniu w parlamencie i zgodnie ze swoją listą sam miał zacząć rozsyłać szyfrowane wiadomości i obdzwaniać ludzi. Wtedy właśnie zadzwoniła hrabina i przypomniała mu o wszystkim, co i tak wiedział, jakby był jej przydupasem, a nie faktycznym Dyrektorem Zarządzającym Faktycznie Największym i Najważniejszym Rodem Wspólnoty, Dziękuję za Uwagę. Jasin nie okazał swojego poirytowania, bo rozumiał znaczenie długotrwałych sojuszy i planowania. Gdy zakończył rozmowę, zaczął obdzwaniać wspomnianą już własną listę, na której znajdował się między innymi admirał Emblad z Imperialnej Marynarki Wojennej, a następnie kazał swemu asystentowi zadzwonić do Derana Wu i zaprosić kuzyna do biura na rozmowę.

Ten z kolei, również powiadomiony już o przemówieniu, poszedł do biura kuzyna i jak tylko asystenci wyszli, a drzwi się zamknęły, obaj przeszli do własnych planów i kontaktów – odmiennych, ale powiązanych z planami i kontaktami, o których wiedziała hrabina Nohamapetan. Ród Wu może i zawarł wygodny dla siebie sojusz z jej rodziną, ale kluczową sprawą było należyte objaśnienie, po cichu, ale zdecydowanie, że nie jest to sojusz równych sobie i że ród Wu, zarówno w swoim

wcieleniu jako rodzina arystokratyczna, jak i w przyszłym zmodyfikowanym charakterze rodziny panującej, był i zawsze będzie ważniejszym partnerem.

Po wyjściu z biura kuzyna Deran Wu sam wykonał telefony i rozesał wiadomości zgodnie z własną listą. Poinformował też swojego asystenta, że ma pilne i nieplanowane spotkanie po drugiej stronie miasta, więc trzeba będzie modyfikować harmonogram innych spotkań w ciągu dnia, a następnie, kiedy winda zjechała do jego samochodu, wysłał szyfrowaną wiadomość do Nadashe Nohamapetan, informując, że wykonuje ich plan. Potem w sposób, jaki uważał za tyleż dowcipny, co seksowny, wyraził swoje podniecenie, przewidując, jak oboje będą świętować nadchodzący sukces. A wtedy udał się na spotkanie z kimś, kto nie wiedział, że przybędzie.

Nadashe Nohamapetan odczytała drugą wiadomość od Derana Wu z lekkim obrzydzeniem, po czym na jakiś czas wyrzuciła z głowy pomniejszego z kuzynów Wu, bo miała inne, pilniejsze zmartwienia, mianowicie przelanie prawie stu milionów marek ze swojego tajnego konta na bezpieczny i kompaktowy koder, który miała ze sobą na *Winie*. Nadashe dostała lekkiego ataku paniki, gdy okazało się, że kilka z jej mniejszych sekretnych kont zostało przejętych i zamrożonych, po czym zdecydowała, że to doskonała chwila, aby zyskać płynność finansową.

Sto milionów marek było niczym w porównaniu z całością jej udziałów w korporacji rodu Nohamapetan, ale ponieważ pojawiała się niedogodność w postaci przejściowego bycia martwą, jej możliwość uzyskania dostępu do legalnych kont została mocno ograniczona. Matka Nadashe miała przenieść te udziały z powrotem na swoje konta, ale jeszcze tego nie zrobiła. Tak więc na tym etapie sto milionów marek płynnej gotówki było lepsze niż nic.

Oczywiście jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Nadashe wkrótce powstanie z martwych, tak na dobry początek. Ale wiele tu zależało od Derana i to dlatego Nadashe na razie tolerowała ohydne wiadomości, jakie od niego dostawała. Reszta zależała zaś od kogoś całkiem innego – admirała Emblada z Imperialnej Marynarki Wojennej. Nadashe zdecydowała, że najwyższy czas do niego zadzwonić.

Admirał Lonsen Emblad był wstrząśnięty, gdy dostał wiadomości od martwej kobiety. Kiedy jednak jej identyfikator okazał się poprawny i Emblad zyskał pewność, że nie jest to żaden dowcipniś ani agent czy to wywiadu marynarki, czy ministerstwa bezpieczeństwa, oboje z Nadashe odbyli długą i owocną rozmowę, w której ustalono szczegóły rozmaitych obietnic, przekazywania pieniędzy i od dawna realizowanych planów, a także przyspieszenia ich wykonania. Gdy Nadashe się rozłączyła, Emblad zastanowił się nad wiadomościami od nieboszczki oraz nad tym, na czyją kartę chce postawić: rodu Wu czy Nohamapetan. Na decyzję miał kilka godzin. Admirał Emblad

uznał, że nad niektórymi z tych kwestii może pomyśleć w kantynie oficerskiej, przy drinku.

Kiva Lagos (a to właśnie ona dobrała się do pomniejszych kont Nadashe, głównie po to, aby sprawdzić, co z tym robi ten ktoś, kto wycofuje pieniądze, kimkolwiek jest) otrzymała wiadomość o przemówieniu w parlamencie, kiedy odwiedzała Senię Fundapellonan, która właśnie świętowała usunięcie jej z gardła pieprzonej rurki do oddychania. Otrzymałszy ją, Kiva się uśmiechnęła, bo miała pełną świadomość, że oto plany zostały wprowadzone w ruch i że absolutnie kurewsko cudnie będzie przyglądać się, jak rozwinie się sytuacja.

Tymczasem pokrótce wprowadziła Fundapellonan w wydarzenia tego dnia, bo w prawnicze nie zostało już ani grama miłości do Nohamapetanów i słuchanie o ich mękach sprawiło jej radość. Poza tym Kiva lubiła do niej mówić. Zastanawiała się, czy czasem nie robi tego wszystkiego dla Fundapellonan, co z jednej strony bardzo by do niej nie pasowało, ale z drugiej, kogo to, kurwa, obchodziło, czy to do niej pasuje, czy nie. Przecież nie była jakąś pieprzoną fikcyjną postacią, stworzoną przez niedojebanego pisarzynę, który będzie jej mówił, co ma robić.

Fundapellonan uśmiechnęła się do Kivy, bo też ją trochę lubiła.

Marce'a Claremonta nikt nie musiał informować o przemówieniu, bo był przy podjęciu tej decyzji, który to fakt nadal go oszałamiał i zadziwiał. Nie chodziło o sam fakt, że był przy podjęciu decyzji, a raczej o to, gdzie ją podjęto (w łóżku imperoks), oraz co robił, kiedy została ona podjęta. Leżał mianowicie nagi po naprawdę przyjemnym porannym seksie. Na tym etapie Marce miał już świadomość, że zakochuje się w Cardenii bardziej niż trochę, i to nie dlatego, że była imperoks (akurat to przerażało go jak jasna cholera), ale ponieważ byli dziwni, każde na własny, uzupełniający się nawzajem sposób.

Choć teraz cieszył się z tej odrobiny miłości, jakiej doświadczał z Cardenią, gdzieś z tyłu głowy zaczynała się w emocjach Marce melancholia, bo wiedział, że ten związek jest skazany na niepowodzenie, nie dlatego, że do siebie nie pasowali, ale ponieważ on naprawdę był sporo szczebli niżej w drabinie społecznej. Imperoksowie nie wstępowali w związki małżeńskie z miłości, a także nie poślubiali ludzi, którzy mieli tytuły szlacheckie, tylko z grzeczności. Nadchodziły trudne czasy i Cardenia będzie zmuszona dokonać wielu trudnych wyborów. Marce w cichy, niemal podświadomy sposób przygotowywał się na chwilę, kiedy jeden z tych trudnych wyborów będzie dotyczył jego.

Na razie jednak robił to, o co go prosiła: pracował z danymi, które zgromadzili on i Roynold („Daj spokój, właściwie *wszystkie* zgromadziła Roynold”, mówił jego mózg) w systemie Dalasýsli, dodając je do tych, którymi już dysponowali. Następnie

uzupełniał to wszystko o wręcz zadziwiającą ilość informacji historycznych na temat Nurtu, jakimi dysponował Chenevert, pochodzących ze Zgromadzenia i Ziemi, a nawet Wolnych Systemów. Wszystkie one miały co najmniej trzysta, a czasami nawet półtora tysiąca lat. To jednak oznaczało, że Marce przynajmniej potroił swoje zrozumienie ogólnej topografii Nurtu. Dysponując tymi informacjami, miał szersze, świeższe i miał nadzieję, lepsze rozeznanie w tym, jak poruszał się Nurt w ich części przestrzeni kosmicznej. Gdyby tylko Chenevert był kimś więcej niż cyfrowym bytem, Marce by go uściskał.

Tomas Reynauld Chenevert, dawniej król Tomas XII, który chcąc być szczery, przyznał, że zrzuceno go z tronu nie tak do końca niesłusznie, wiedział o przemówieniu, ale nie przejmował się nim zanadto, bo nie dostrzegał powodu, dla którego miałoby go ono w poważniejszym stopniu interesować. Obecnie bardziej zajmował go mały program-agent, który odizolował w wirtualnej piaskownicy. Agent usiłował uzyskać dostęp do *Auvergne*, ale zgłupiał przy jej zupełnie odmiennym (a w tej części kosmosu *unikalnym*) środowisku przetwarzania danych. Chenevert złapał go, chwilowo rozebrał na czynniki pierwsze, żeby zrozumieć jego kod oraz sposób, w jaki go zaprogramowano, i odkrył, że jest to agent półautomatycznej sztucznej inteligencji, o której wspominała imperoks Grayland II.

Chenevert zastanawiał się nad wszystkim, co można by zrobić z agentem, i postanowił, że na tym etapie najlepsza będzie polityka małych kroków, po czym wysłał go do jego szefa z zaproszeniem na spotkanie.

Jiyi, które jeszcze nie otrzymało zaproszenia, wiedziało o przemówieniu w parlamencie, bo imperoks Grayland II spędziła sporą część wczesnych godzin porannych na rozmowie z awatarami poprzedników w Pokoju Pamięci, ze szczególnym uwzględnieniem Racheli I oraz Attavio VI, jak również z samym Jiyi, uzyskując informacje, jakie posiadało, oprócz wiedzy samych imperoksów. Nie mając własnych emocji ani odczuć, z wyjątkiem czerpania ich z myśli i emocji imperoksów, tak aby ich awatary mogły odtwarzać je przed obecnym imperoksem, Jiyi samo z siebie nic nie myślało, w taki czy inny sposób, o przemówieniu w parlamencie. Gdyby je poproszono o zastanowienie się nad tym, prawdopodobnie by odpowiedziało, że musi poczekać, aż obecnie panująca imperoks Grayland II umrze, a jej następcą o to zapyta.

Zaś obecnie panująca imperoks, która wciąż jeszcze żyła, nie musiała się dowiadywać o przemówieniu, bo to właśnie ona miała je wygłosić w parlamencie i to ona informowała wszystkich, kiedy ma ono nastąpić. Gdy minęło dość czasu, aby wiadomość o tym rozeszła się po świecie, Grayland II wydała jeszcze jeden rozkaz, mianowicie rozesłania zaproszeń na specjalne przyjęcie poprzedzające przemówienie,

które to przyjęcie miało się zacząć o godzinie czwartej po południu w sali balowej pałacu imperialnego. Przyjęcie miało być krótkie, aby wszystkim zebrany, nie wyłączając samej imperoks, dać możliwość przeniesienia się z pałacu do parlamentu, który znajdował się po drugiej stronie habitatu Xi'an. Zaproszenia zapewniały, że choć krótkie, przyjęcie będzie niezapomniane.

Każde z zaproszeń wysłano z krótką, drukowaną notką od samej imperoks, w której pisała, że dana osoba otrzymuje je w uznaniu jej osiągnięć i służby dla Wspólnoty. Nikt nie miał prawa odmówić przybycia. Obecność była wymagana rozkazem imperialnym. Przybyć należało nie później niż o 16.10.

Tak naprawdę Grayland nie martwiła się o frekwencję. Była pewna, że nikt z zaproszonych nie będzie chciał ominąć przyjęcia.

Kiva zjawiła się tak jak nakazywało zaproszenie, czyli punkt czwarta. Miała na sobie cholernie śmieszne spodnium, które jednak utrzymywało się w kanonach mody, więc na takim wydarzeniu było do przyjęcia, czymkolwiek do cholery ono faktycznie było. Asystentka Grayland swobodnie podchodziła do szczegółów, ale podkreślała, że sama imperoks nalegała, by Kiva była obecna. No dobra, nie ma problemu. Wyglądało na to, że skończą dzień, czesząc sobie nawzajem włosy i plotkując o chłopakach.

Ta myśl skłoniła Kivę do rozejrzenia się za Marce'em Claremontem, z którym, była tego niemal pewna, imperoks się teraz bzykała, i punkt dla niej. Kiva lubiła Marce'a, który był kochankiem solidnym, nawet jeśli nie obdarzonym jakąś wybitną wyobraźnią. Był też jednak porządnym człowiekiem i to w świecie, który nie wynagradzał za taką postawę. To zapewne sprawiało, że pasowali do siebie z imperoks, która także wydawała się z gruntu porządną osobą i też prawdopodobnie solidnym, choć niezbyt dzikim partnerem w łóżku. Cóż, nie każdy może być w łóżku dziką bestią. Nie każdy również tego potrzebuje.

Zostawiając tę kwestię na boku, Kiva nie potrafiła dostrzec Marce'a nigdzie na sali. Widziała za to wszędzie śmietankę polityki i gospodarki Wspólnoty: ważnych członków parlamentu, głowy i dyrektorów rodów arystokratycznych, tego i owego członka admiralicji i generalicji, nawet kilkoro biskupów, w tym arcybiskup Korbijn. Wszyscy obecni na przyjęciu, którzy nie serwowali drinków i przekąsek, przewyższali Kivę rangą, i to znacznie, co potwierdzało jej teorię, że znalazła się tutaj, ponieważ ona i Grayland były teraz kumpelami, czy coś w tym guście.

Coś nagle uderzyło Kivę po oczach. Obróciła się w tamtym kierunku i zobaczyła jebaną hrabinę Nohamapetan, która w ożywiony sposób nawijała coś do Jasina Wu i admirała Emblada, przy czym obaj zachowywali się uprzejmie, acz ewidentnie mieli

głęboko w dupie to, o czym im napieprzała. Kiva zaczęła kalkulować, ile narobi sobie kłopotów, jeśli przypierdoli hrabinie na samym środku sali balowej. Wyliczenia nie rysowały się dla niej zbyt korzystnie. Kiva zdecydowała się strzelić sobie drinka i zobaczyć, czy dzięki temu nastąpi jakaś modyfikacja zmiennych tego równania.

Zanim zdążyła zatrzymać jakiegoś kelnera, otworzyły się jedne z bocznych drzwi do sali i zapowiedziano przybycie imperoks. Kiedy weszła Grayland II, wszyscy wstali i zaczęli bić brawo. Imperoks przyjęła oklaski i podeszła do ozdobnej mównicy znajdującej się z przodu sali balowej. Najwyraźniej miała zamiar wygłosić kilka uwag i może rozdać trochę bezsensownych nagród. Kiva jęknęła w duchu. Gdyby wiedziała, że to będzie wydarzenie tego rodzaju, to by je sobie darowała. Rozejrzała się po sali, rozpoznając kilkuset naprawdę ważnych ludzi, którzy zdawali się myśleć z grubsza to samo, co ona.

– No dalej – wymruczała pod nosem. – Chodźmy już na przemówienie i zgniećmy kilka pierdolonych czaszek.

Czekając, aż oklaski ucichną, Grayland pozdrowiła kilkoro ludzi, machając do nich, uśmiechając się lub wskazując ich palcem. Imperoks znalazła wreszcie w tłumie Kivę i się uśmiechnęła, ale kiedy już jej oczy zaczęły przesuwac się dalej, zrobiła coś jeszcze.

„Czekaj, czy ty, kurwa, właśnie do mnie *mrugnęłaś*?” – pomyślała Kiva, po czym rozejrzała się ponownie po pomieszczeniu, żeby sprawdzić, czy jest oprócz niej ktoś, do kogo to mrugnięcie mogło być skierowane. Nie było koło niej nikogo, do kogo Grayland mogłaby puścić to oczko. Tak więc tak, zdecydowanie było ono zaadresowane do niej.

Kiva żałowała, że wcześniej nie łyknęła tego drinka. Coś jej podpowiadało, że wkrótce może go potrzebować.

– Witajcie, drodzy przyjaciele – odezwała się Grayland, gdy tylko oklaski ucichły. – Tak wielu was się tu dziś zgromadziło. Wspaniale was widzieć, was, którzy reprezentujecie to, co tylko najlepszego Wspólnota może zaoferować, zarówno jeśli chodzi o przewodzenie, jak i oddanie naszej unii. Wiem, że wszyscy nie możecie się doczekać, by się przekonać, jak się wygłupię przed parlamentem. – Tu rozległy się obowiązkowe chichoty. – Ale zanim to nastąpi, mam do rozdania kilka nagród. Zechciejcie mi wybaczyć. Po pierwsze, czy zechce do mównicy podejść pani Kiva Lagos?

„Co, kurwa?” – pomyślała Kiva, równocześnie zmierzając tam, gdzie ją poproszono, przy akompaniamencie bardzo uprzejmych oklasków.

– Pani Kivo, w bardzo krótkim czasie okazałaś się niezwykle inteligentna i kompetentna w prowadzeniu interesów – mówiła Grayland. – Gdy powierzyłam pani

zarząd interesów rodu Nohamapetan, nikt się nie spodziewał, że zrobisz tak wiele, by oczyścić finanse tej rodziny i przywrócić zgodność ksiąg rachunkowych. Doprawdy, reprezentujesz sobą wszystko to, co rody szlacheckie mają do zaoferowania. Wobec tego mianuję cię na wakujące miejsce w Komitecie Wykonawczym Wspólnoty. Gratulacje, pani Kivo.

Na te słowa rozległy się oklaski, a potem do Kivy podeszła obca kobieta i wręczyła jej jakieś pieprzone kryształowe coś, które wzięła sztywno do jednej dłoni, podczas gdy druga wyciągnęła się w kierunku Grayland, a ta odeszła o krok od mównicy, by uścisnąć jej dłoń. Kiva nachyliła się bliżej.

– Wasza wysokość, ja nie chcę tej cholernej roboty – powiedziała cicho prosto do ucha Grayland.

– Wiem – odparła imperoks. – Mimo to jesteś mi tam potrzebna. Przykro mi. – Kiva uśmiechnęła się głupio i już się odwracała, żeby ponownie wmieszać się w tłum, ale Grayland złapała ją za łokieć. – Nie. Stój tutaj, zaraz za mównicą.

– Tak, wasza wysokość.

– Na pewno nie chcesz, żeby cię to ominęło – dodała imperoks, po czym znów wstąpiła na mównicę i wywołała arcybiskup Korbijn.

Ta podeszła, ubrana w ozdobne szaty przysługujące jej stanowisku, a przynajmniej tak przypuszczała Kiva, bo w zasadzie nie bywała w kościele zbyt regularnie, aczkolwiek zdarzyło jej się uprawiać seks w katedrze, co mogłoby być świetne, o ile ktoś lubi zimno i echo, a Kiva przekonała się, że akurat ona niezbyt.

– Wasza eminencja powiedziała mi, że będzie chciała wygłosić dzisiaj przy mnie kilka słów – powiedziała do niej Grayland. – Teraz ma pani swoją szansę, pani arcybiskup.

Kiva przyglądała się, jak Korbijn wchodzi na mównicę i wtedy dostrzegła wyraz kilku twarzy w tłumie: niepewność i dezorientację. Ten i ów mówił coś do kogoś innego. Sporo osób wyglądało po prostu na nieszczęśliwych.

– Wasza wysokość, w ciągu ostatniego miesiąca poważnie troskano się o przywództwo waszej wysokości – zaczęła arcybiskup. – O wizje na temat przyszłości Wspólnoty, które choć przynosiły pociechę wielu naszym wiernym, to jednocześnie wywołały uprawnione obawy wśród możnych, zarówno w naszym Kościele, jak i poza nim, co do stanu umysłu waszej wysokości, jak również, trzeba to powiedzieć, poczytalności. – Pomruki nagle stały się głośniejsze. – Mając to na uwadze, chciałabym wyrazić się absolutnie jasno w kwestii stanowiska Kościoła Wspólnoty w tej materii. – Tu, równie nagle, zapadła cisza, która trwała kilka sekund.

„Noż kurwa mać, nie przeciągaj tego – pomyślała Kiva. – Powiedz wreszcie, co masz do powiedzenia”.

– Kościół Wspólnoty potwierdza i uświęca naturę oraz rodzaj wizji waszej wysokości jako całkowicie zgodny z naszą doktryną i wiarą oraz w pełni opowiada się za mocą i majestatem zsyłanego przez nie objawienia – dokończyła arcybiskup, a pomruki rozległy się ponownie. – Potwierdzam też, że jesteś i pozostajesz głową naszego Kościoła. Podążymy za twym przywództwem.

Po tych słowach arcybiskup odeszła od mównicy, uklękła przed Grayland II i ucałowała jej prawą dłoń.

W sali zawrzało.

Grayland II kazała arcybiskup powstać i wskazała jej miejsce obok Kivy. Ta zerknęła na Korbijn, która nie odwzajemniła spojrzenia. Kiva zauważyła, że obficie się poci.

„Naprawdę żałuję, że wcześniej nie walnęłam tego drinka” – pomyślała Kiva. I wtedy zauważyła, że cała obsługa przyjęcia zniknęła, włącznie z tą kobietą, kimkolwiek była, która dała jej tę pieprzoną rzecz z kryształu, która z kolei dalej trzęsła się w jej lewej dłoni. Kiva zdecydowała, że odłoży ją na bok.

Grayland z powrotem podeszła do mównicy i uniosła dłonie, by uciszyć ludzi w pomieszczeniu. Wreszcie udało jej się przemówić.

– Wiem, że ostatnia część była dla wielu z was niespodzianką. Podobnie będzie z kolejną. Każdemu, kto został tu dzisiaj zaproszony, powiedziano, że jego usługi dla Wspólnoty spotkają się z odpowiednim uznaniem. I tak się właśnie teraz stanie. Drodzy przyjaciele, wyrażę się wprost. Jeśli teraz, w tym pomieszczeniu, stoicie przede mną, zostajecie aresztowani za zdradę.

Rozległ się huk, kiedy wszystkie drzwi prowadzące do sali balowej stanęły otworem i do środka wdarli się uzbrojeni imperialni gwardziści, którzy ustawili się dookoła pomieszczenia, a także uformowali kordon bezpośrednio przed mównicą, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś okazał się na tyle głupi, by rzucić się na imperoksa. Nikt się nie okazał. Po kilku początkowych wrzaskach i okrzykach tłum złożony z bardzo imponujących zdrajców w oszołomieniu zamilkł jak głąz.

– A teraz... Wiem, co sobie myślicie. Jak śmiem was oskarżać? Jednak to nie ja was oskarżam, moi przyjaciele. – Tu Grayland skinęła w kierunku bocznych drzwi, które się otwarły i wychynął z nich Deran Wu. Rozległy się krzyki, a tłum zaczął napierać w jego stronę, ale natychmiast przestał, kiedy gwardziści wymierzili weń broń. Sam Deran stał nieporuszony.

– Deran był tak dobry, że przedstawił nam szczegóły całego spisku – kontynuowała Grayland – i muszę powiedzieć, że byłam pod wrażeniem, jak bardzo teatralny się okazał. Żeby arcybiskup Korbijn potępiła mnie przed parlamentem w czasie błogosławieństwa i ogłosiła schizmę w Kościele. Żeby hrabina Nohamapetan powstała i oskarżyła mnie o zaaranżowanie zamordowania jej córki Nadashe.

– Zrobiłaś to! – wrzasnęła hrabina. – Przez ciebie zginęła.

– Żyła, kiedy dziś rano wysłałem jej wiadomość – odezwał się Deran Wu, a wokół rozległy się westchnienia. – Teraz znajduje się na twoim statku.

– Admirale Emblad – mówiła dalej Grayland – pan miał wstać i powiedzieć mi, że Imperialna Marynarka Wojenna nie podlega już moim rozkazom, i wreszcie ostateczny cios. Tu Grayland przeniosła wzrok na człowieka stojącego obok admirała.

– Ty, Jasinie Wu, miałeś wstać i oświadczyć, że mój własny ród nie może już mnie popierać jako imperoksa oraz że jesteście w tym względzie zaledwie jednym z dziesiątek innych rodów. Rody te, jak widzisz, wszystkie mają tu i teraz swoich przedstawicieli.

„Jasna cholera, to zadziwiające” – pomyślała Kiva. Pomieszczenie wręcz rozbrzmiewało pełną osłupienia ciszą.

– To mi zaś przypomina o... – powiedziała Grayland i ponownie skinęła głową w kierunku bocznych drzwi.

– O Boże, co znowu – westchnęła arcybiskup Korbijn.

Wszedł przez nie mężczyzna o doskonałej prezencji, ubrany na czarno, i stanął tak, aby tłum mógł go zobaczyć.

– Kuzynie, może pamiętasz kapitana Cava Ponsooda. Wynająłeś jego statek na rzecz hrabiny Nohamapetan, żeby udał się w pościg za jednostką przewożącą pana Marce’a Claremonta z Kresu. Zrobiłeś to, bo hrabina była przekonana, że pan Marce jest dla mnie kimś ważnym, i zabijając go, zrani mnie.

Kiva spojrzała na głowę rodu Nohamapetan, która mimo wszelkich wysiłków, by się opanować, uśmiechała się na myśl, że Marce Claremont mógł zostać rozerwany na kawałki w kosmosie.

„Jebać to – pomyślała Kiva. – Skopię jej dupsko”.

Bocznymi drzwiami wszedł kolejny mężczyzna. Był to Marce Claremont. Spojrzał na hrabinę.

– Chybiłaś – stwierdził – ale zabiłaś prawie wszystkich pozostałych członków mojej załogi. To krew na twoich rękach, hrabino.

Cofnął się i stanął za plecami Grayland. Kiva zauważyła, jak na nią patrzył. Oooo tak. Tu zdecydowanie iskrzyło.

– A teraz – powiedziała Grayland II z mównicy – wiem, po co ja tu dzisiaj jestem. Pomówmy o tym, dlaczego wy się tu znaleźliście. A znaleźliście się tutaj z powodu tego, co o mnie myślicie. Że jestem słaba. Że jestem naiwna jak dziecko. Że moja troska o to, co stanie się po rozpadzie prądów Nurtu, staje na drodze waszym interesom i planom zdobycia władzy. Że ponieważ ogłosiłam, że mam wizje, to albo nie myślę o tym, co mówię, albo oszalałam, albo jestem cyniczna. Że ponieważ

zostałam imperoksem przez przypadek, to nie powinnam nim być w ogóle. Takie myśli chodzą wam po głowach, niektóre z nich lub wręcz wszystkie razem. A ponieważ tak myślicie, zaczęliście spiskować, aby odsunąć mnie od władzy i na moje miejsce osadzić na tronie mojego kuzyna Jasina. Dzięki temu mieliście nadzieję na utrzymanie status quo tak długo, jak na to pozwolą prądy Nurtu, zostawiając komu innemu martwienie się o to, co będzie potem.

Cóż, przyjaciele, ostatniej nocy miałam wizję. Nową wizję. W tej wizji dostrzegłam plany was wszystkich. Schematy waszych projektów. Zobaczyłam wasze matactwa, oszustwa, działania, które chcieliście ukryć, i tajne konta bankowe. Wszystkich was zobaczyłam takimi, jakimi jesteście naprawdę, a nie jakimi chcecie się prezentować. I w tej wizji zobaczyłam was tutaj, przede mną. Upokorzonych. Tak jak teraz.

Powiedzcie mi, wy, którzy mogliście być tym, co najlepszego Wspólnota ma do zaoferowania, a jednak wybraliście inaczej: Kto jest teraz słaby? Kto był naiwny? Kto cyniczny? I kto tu jest imperoksem?

Wątpiliście we mnie. Nie wątpcie ani chwili dłużej. Przybyliście mnie zniszczyć. Nie zostałam zniszczona. Przybyliście mnie spalić. To ja jestem nieokiełznanym płomieniem. Na własnej skórze poczujecie, jak potrafię palić.

Taka była moja wizja i moja przepowiednia. Teraz macie w niej swój udział.

Grayland pozwoliła, by napięcie tego pieprzonego majstersztyku, jakim było całe to kazanie, unosiło się w powietrzu, aż Kiva poczuła na rękach gęsią skórę.

I wtedy nagle imperoks klasnęła.

– No dobrze, a teraz mam do wygłoszenia przemówienie przed parlamentem, więc...

– To ja go zabiłam! – krzyknęła hrabina Nohamapetan w stronę Grayland.

– Co proszę? – zapytała imperoks.

– Twojego brata! Rennereda! Kazałam uszkodzić jego samochód! – hrabina wyszła przed tłum i podeszła do Grayland, która się nie poruszyła. – To ja spowodowałam, że wjechał w ścianę. Ja go zabiłam. To *ja* sprawiłam, że w ogóle zostałam imperoksem! Mnie to zawdzięczasz!

Grayland zastanawiała się nad tym, oddalając się od mównicy. Gdy podeszła do hrabiny, spojrzała jej w oczy.

– Droga pani, gównu ci zawdzięczam.

Po tych słowach imperoks wyszła z sali balowej.

– Ja pierdolę, impreza *wszechczasów* – powiedziała Kiva do Marce'a.

Epilog

– A więc wygrałaś – powiedział Attavio VI do córki w Pokoju Pamięci. Wielkie rody są w rozsypce, bo wiele z nich przystało do zdradzieckiego spisku. Kościół znajduje się w pełni pod twoją kontrolą. Wojsko pozbywa się wszelkich mętów. A ty wprowadziłaś stan wojenny.

– *Nie* wprowadziłam stanu wojennego – odparła Cardenia. – Powiedziałam parlamentowi, że ma sześć miesięcy na wypracowanie planu, który przygotowuje Wspólnotę na rozpad prądów Nurtu. Jeśli nie zdoła tego zrobić, wówczas ja się tym zajmę. W ciągu sześciu miesięcy zaniknie kolejnych dwadzieścia prądów. A później będzie już tylko gorzej.

– Wspominałaś, że twój przyjaciel pan Marce uważa, że możesz wykorzystać prądy pojawiające się przelotnie, aby kupić poszczególnym systemom więcej czasu.

– Pan Marce może być dość optymistyczny w swoich przemyśleniach. Ja nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę być gotowa na najgorszy scenariusz. A najgorszy jest taki, że Wspólnota nie będzie przygotowana, bo parlament nie ogarnie sytuacji, a jedyna planeta, jaką dysponujemy, mogąca utrzymać życie na swojej powierzchni, pozostaje zablokowana przez kolejnego z Nohamapetanów.

– Ale do systemu Kresu został wysłany tylko jeden okręt wojenny – przypomniał Attavio.

– To był *wielki* okręt, tato. *Proroctwa Racheli* miały na swoim pokładzie dziesięć tysięcy marines oraz dość siły ognia, żeby rozwalić w drobne kawałki wszystko, co nie powinno wylecieć z płycizny Nurtu.

– Mimo wszystko to tylko jeden okręt.

Cardenia potrząsnęła głową.

– Nie tylko. Po aresztowaniu admirała Emblada w płyciznę wleciało kilka mniejszych statków marynarki. Ich załogi wiedziały, że jeśli zostaną na miejscu, zostaną aresztowane. W sumie były to cztery statki. Ghreni Nohamapetan właśnie dostał na Kresie posiłki. A kto wie, może Nadashe też już tam jest.

Nadashe, która uciekła z *Możesz winę za to wszystko zrzucić na mnie* zanim zdołano ją złapać, wzięła ze sobą sto milionów marek na koderze. Zostawiła po sobie tylko jedną wiadomość: „Pierdol się, Deranie Wu”. Najwyraźniej Nadashe była zaskoczona tym, że Deran ujawnił, że nadal żyje.

Deran zaś postanowił się z tego wszystkiego wyplątać i poszedł do ministerstwa informacji z koderem wypełnionym szczegółami na temat spisku, po czym poprosił o zawarcie ugody, zaś ministerstwo na nią przystało, zanim Cardenia się o tym dowiedziała. Zirytowała się tym faktem, bo wcale nie potrzebowała informacji, jakich dostarczył. Wszystko, co miał do zaoferowania, ona i tak znalazła u Jiyi. Wolała raczej, by trafił do tej samej celi co jego kuzyn, bo wiedziała, że brał udział w wynajęciu statku, który zniszczył *Oliveera Bransida* i omal nie zabił Marce'a. Mimo wszystko stwierdziła, że lepiej będzie, jeśli dowody w procesie nie pojawią się w sposób magiczny. Sposób zbierania informacji przez Jiyi nie był tak do końca legalny. Dlatego to, co przyniósł ze sobą Deran, miało pomóc w sądzie.

Tak czy inaczej Deran był teraz bohaterem, a za tym jego bohaterstwem stała historia, według której brał on udział w zbieraniu informacji celem zdemaskowania szerszego spisku przeciwko imperoks. To była głównie prawda, ale taka historyjka miała mu zapewnić podstawę do objęcia stanowiska głównego dyrektora rodu Wu. Deran miał zająć biuro, w którym niegdyś zasiadał Jasin. I wydawało się, że Deran niczego innego nigdy nie pragnął.

„Przynajmniej wiesz, gdzie jest” – powiedział do Cardenii jej mózg. W przeciwieństwie do Nadashe, która nadal pozostawała na wolności. Nie miała już dostępu do funduszy rodu Nohamapetan. Po przegranej hrabiny i przyznaniu się przez nią do zamordowania Rennereda Cardenia nakazała zamrozić i przejrzeć wszystkie konta należące do rodu. Mimo to Nadashe miała wspomniane sto milionów marek, za pomocą których nadal mogła wyrządzić sporo szkód.

„Mam nadzieję, że poleciałaś na Kres – pomyślała Cardenia. – Wtedy na pewien czas miałabym cię z głowy”.

– Chyba gdzieś mi uciekłaś – odezwał się Attavio VI.

– Przepraszam, rozmyślałam o problemach.

– Czekanie mi nie przeszkadza.

– W zasadzie to nic ci nie przeszkadza – zauważyła Cardenia, a następnie się uśmiechnęła. – Mimo wszystko lubię z tobą rozmawiać. Żałuję, że nie rozmawialiśmy tak jak teraz częściej, kiedy jeszcze żyłeś. Ale to też jest dobre.

– Dziękuję – odparł ojciec. – Na ile mogę cokolwiek lubić, też mi się to podoba.

Cardenia wyszła z Pokoju Pamięci i znalazła Marce'a, czytającego wiadomość na swoim tablecie.

– Właśnie o tobie rozmawiałam – powiedziała Cardenia, zbliżając się do niego.

– Ze swoimi przyjaciółmi na niby, jak widzę.

– Nie są na niby. Po prostu nie istnieją naprawdę.

– Bardzo subtelna różnica.

– Tak, chyba tak.

– I co mówiłaś?

– Że możesz sobie pozwolić na optymizm, jeśli chodzi o dynamikę prądów Nurtu. Ja nie.

– Nic mi nie wiadomo na temat mojego rzekomego optymizmu w odniesieniu do Nurtu – zaproponował Marce. – Wiem natomiast, że czuję się tym podekscytowany. Wiemy teraz o wiele więcej niż chociażby kilka miesięcy temu. Jeśli chcesz, mogę ci opowiedzieć o tym, nad czym się właśnie zastanawiam.

– Tak, poproszę – odparła Cardenia z czułością. Bardzo lubiła się przyglądać, jak Marce daje upust swojej pasji.

– Mam dość solidne przeczucie, że na obecny rozpad prądów Nurtu co najmniej częściowo wpływ miało Pęknięcie – zaczął.

– Co masz na myśli, mówiąc „miało wpływ”?

– Chodzi mi o to, że sądzę, iż to wydarzenie naruszyło coś w stabilności prądów Nurtu w lokalnej przestrzeni kosmicznej. Wstrząsnęło nimi. Zachwiało. Wydaje mi się, że wywołało falę podobną do ciśnieniowej, która rozeszła się po Nurcie, i to co obserwujemy, to wynikająca z niej destabilizacja.

– Fala ciśnieniowa.

– Cóż, *nie do końca* – odparł Marce. – W zasadzie to coś kompletnie innego. Nie umiem tego jednak wytłumaczyć po ludzku. „Fala ciśnieniowa” to coś, co najlepiej oddaje istotę rzeczy przy użyciu słów. Gdybyś umiała mówić językiem matematycznym, zdołałbym ci to wyjaśnić.

– Hatide Roynold rozmawiała z tobą w języku matematycznym.

Marce skinął głową.

– Tak, owszem. Bardzo dobrze.

– Przykro mi, że już jej nie ma.

– Mnie również. Tak czy inaczej to dość swobodna spekulacja z mojej strony, bo tak zasadniczo rzecz biorąc, nie wiem, jak działało Pęknięcie. Widzę jego skutki w danych, jakie dla tamtych czasów dał mi Chenevert, ale nie wiem, jak przebiegało. Próbuje ekstrapolować wstecz, opierając się na efektach, ale to nie najlepszy sposób na poznanie zagadnienia. Pytałaś może Jiyyi, czy istnieją jakieś zapisy na temat matematyki stojącej za Pęknięciem? Albo co zrobiono, żeby je wywołać?

– Nie było żadnych zapisów – skłamała Cardenia.

– Hm, a to pech – powiedział Marce i kontynuował. – Mimo to do tej pory sądziliśmy, że nie jesteśmy w żaden sposób zdolni wpływać na Nurt. Ale może jest inaczej. W każdym razie znaleźliśmy sposób, aby zamknąć jeden z prądów.

– A jest jakiś sposób, żeby go otworzyć?

– Prąd?

– Tak.

Marce potrząsnął głową.

– Zamknięcie prądu Nurtu jest łatwe. Przynajmniej stosunkowo. Wystarczy go po prostu zerwać przy płyciźnie.

– „Po prostu”.

– Powiedziałem „stosunkowo” – podkreślił Marce. – Otwarcie płycizny jest bez porównania trudniejsze, bo wymaga dostępu do Nurtu i poruszania się wewnątrz niego. Używając przenośni, zamykanie prądu Nurtu jest jak zamykanie drzwi. Otwarcie go jest jak przekopywanie tunelu przez górę.

– Lubię, kiedy mówisz po ludzku – powiedziała Cardenia.

– To mój drugi ulubiony typ języka.

Cardenia wskazała tablet.

– Czy to informacje na temat prądów Nurtu właśnie przeglądasz?

– Nie, to coś zupełnie innego. Wiadomość od sierżant Sherrill, którą miałaś okazję spotkać.

– Pamiętam.

– Píše, że wycofany ze służby piątek jest już w drodze do systemu Dalasýsli – powiedział Marce, unosząc swój tablet, żeby pokazać wiadomość. – Wypchali go żywnością, nasionami i hydroponiką, a także technologiami i dziełami sztuki oraz rozrywką, która jest świeższa niż osiemset lat. To zadziwiające, jak szybko piątek może się zapełnić, kiedy imperoks mówi komuś, by coś zrobić.

– Mówiłeś, że tego potrzebują.

– Zdecydowanie tak – odrzekł, odkładając tablet. – Powinnaś zobaczyć ich statek.

– Mówiłam ci, że chciałabym móc polecić.

– Cieszę się, że jednak nie poleciałaś. Dzięki temu nadal tu jesteś.

Na te słowa Cardenia się uśmiechnęła.

– Dowiedziałeś się od Dalasýsli czegoś, co nam pomoże?

– Dowiedziałem się, że jeśli nie masz innego wyboru, da się przeżyć dłużej niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Nie sądzę, żeby to była jakaś *wielka* lekcja, ale mimo wszystko. Udaje się to jednak tylko w przypadku bardzo nielicznych grup ludzi. Jeśli chcemy uratować miliony, musimy wymyślić coś na szerszą skalę. Patrząc na to realistycznie, jedyne, co możemy zrobić, to sprowadzić ludzi na Kres.

– To będzie wymagało przekradnięcia się obok wielkiego zbuntowanego statku – zauważyła Cardenia. – Jeśli wymyślisz sposób, jak to zrobić inaczej niż po prostu posyłać statki przez płyciznę Nurtu, dopóki tamtym nie skończy się amunicja, uczynię cię księciem Kresu.

- Nie ma takiej potrzeby.
- Czy pan właśnie mi mówi, jak mam wykonywać swoje obowiązki, panie Marce? – zażartowała Cardenia.
- Upraszam wybaczenia, wasza wysokość.
- No, już lepiej. Wymyśl też sposób, jak się przekraść na Kres.
- Cóż, właśnie o to chodzi – powiedział Marce. Wziął z powrotem tablet i otworzył dokument. – Myślę, że coś znalazłem.

Podziękowania

No to słuchajcie paru słów prawdy: ostatnich kilka książek sprawiło, że nabrałem głębokiego i niezachwianego uznania dla tego, co potrafi zespół w wydawnictwie Tor zrobić dla mnie i moich książek. Zawracałem im głowę mniejszymi i większymi sprawami w najmniej odpowiednim momencie, a mimo to pracujący tam ludzie robili znakomitą robotę, zmieniając mój manuskrypt w książkę, którą warto kupić i zatrzymać na półce. Uwielbiam to, jak dobrze wykonują swoją robotę. To sprawia, że chciałbym być dla nich lepszy.

A zatem z Toru gorące podziękowania kieruję do Patricka Nielsena Haydena, mojego redaktora; jego asystentki Anity Okoye; dyrektorki plastycznej Irene Gallo, która wybrała Nicolasa Bouviera, znanego jako „Sparth”, żeby wykonał świetną ilustrację na okładkę (autentyczna historia: ponieważ zwykle tak się pracuje nad książką, ilustracja Spartha została przygotowana, zanim powstała książka, i okazała się tak świetna, że postarałem się, aby w tekście pojawiły się sceny, które mogą pasować do okładki); Heather Saunders, zajmującej się składem; Alexis Saareli, mojej specjalistce od reklamy; wreszcie korektorki Deanny Hoak, którą chciałbym szczególnie docenić, bo wysłałem jej to w naprawdę ostatniej chwili i ostrzegłem, że to będzie okropny bajzel z punktu widzenia jej zawodu. Nie tylko nie zamordowała mnie gołymi rękami, ale i zachowała się absolutnie wspaniale. Chciałbym też podziękować Devi Pillai, Lucille Rettino, Fritzowi Foyowi i Tomowi Doherty’emu.

W Tor UK wdzięczny jestem Belli Pagan, a także Lisie Brewster za ciemnoniebieską okładkę.

W Audible jak zwykle słowa uznania należą się Steve’owi Feldbergowi wraz z jego niesamowitym zespołem wspaniałych ludzi. Przy tej okazji dziękuję również Wilowi Wheatonowi.

Świetny zespół złożony z Ethana Ellenberga, Bibiego Lewisa, Joela Gotlera i Matta Sugarmana zajmuje się wszystkimi koniecznymi sprawami agencyjnymi i prawnymi, za co im pokornie dziękuję.

Wdzięczny jestem Meg Frank, Olivii Ahl i Ryvenny Lewis za to, że sprawdzały mnie na ostatniej prostej pisania i upewniły się, że nie odleciałem za bardzo. Składam też podziękowania Kate Baker, Yanni Kuznii i Mary Robinette Kowal, a także wielu innym przyjaciółom, którzy dodawali mi otuchy, kiedy tego potrzebowałem.

Osobne podziękowania należą się Patty Garcii za to, jaka jest niesamowita.

Żadnych podziękowań nie kieruję dla Twittera i Facebooka, które każdego dnia starały się, żebym w nie wsiąknął, gdy ja musiałem pisać (dziękuję jednak moim przyjaciołom i rodzinie za to, co robili na Twitterze i Facebooku, bo są niesamowici).

I jak zwykle dziękuję Kristine i Athenie Scalzi, mojej żonie i córce, które znoszą mnie w stopniu znacznie większym niż na to zasługuję. Napisałbym jeszcze więcej, ale jest siódma rano, a ja siedziałem całą noc, żeby dokończyć książkę, i teraz mój mózg przypomina kisiel. Tak czy inaczej wiedzą, jak bardzo je Kocham. Mówię im to codziennie i piszę w książkach, takich jak ta, teraz.

John Scalzi
18 czerwca 2018 roku

-
- ¹ Według przekonania niektórych ludzi takie nakrycie głowy chroni przed zagrożeniami, takimi jak pole elektromagnetyczne, a także kontrola i czytanie umysłu. Często używa się tej przENOŚNI celem wyszydzenia różnego rodzaju paranoi, manii prześladowczych, wiary w pseudonaukę i teorie spiskowe (przyp. tłum.).
- ² Rebreather to urządzenie, które pozwala na wielokrotne użycie tej samej mieszanki oddechowej, w języku polskim formalnie nazywany aparatem oddechowym o obiegu zamkniętym lub półzamkniętym, a mniej oficjalnie oddycharką (przyp. tłum.).